

STANISŁAW LEM

RATUJMY KOSMOS
I INNE OPOWIADANIA

NOTA WYDAWCY

Opowiadania „Test”, „Albatros”, „Przyjaciel”, „Młot” pochodzą z tomu „Inwazja z Aldebarana” (Wydawnictwo Literackie); opowiadania „Terminus” oraz „Ze wspomnień Ijona Tichego (I)” — ze zbioru „Księga robotów”; opowiadania „Prawda” i „Ratujmy Kosmos” ukazały się w tomie „Niezwyciężony” (Wydawnictwo MON); „Bajka o królu Murdasie” oraz „Jak ocalał świat” pochodzą ze zbioru „Bajki robotów” (Wydawnictwo Literackie); opisy dwóch wypraw uczonych Truria i Klapaucjusza, a mianowicie: „Wyprawa pierwsza A, czyli, Elektrybał Truria” oraz „Wyprawa szósta, czyli jak Trurl i Klapaucjusz Demona Drugiego Rodzaju stworzyli, aby zbójcę Gębona pokonać” — zaczerpnięte zostały z tomu „Cyberiada” (Wydawnictwo Literackie).

TEST

1

— Kadet Pirx!

Głos Ośle Łączki wyrwał go z głębi marzeń. Wyobraził sobie właśnie, że w kieszonce od zegarka starych cywilnych spodni na dnie szafki leży dwukoronówka. Srebrna, dźwięcząca, zapomniana. Przed chwilą jeszcze wiedział dokładnie, że nie było tam nic, najwyżej stary kwit pocztowy, ale powoli doszedł do przekonania, że mogła być, i kiedy Ośła Łączka wymienił jego nazwisko, był już całkiem pewien. Można powiedzieć, że wyraźnie czuł jej krągłość i widział, jak rozpiera się w kieszonce. Mógł pójść do kina — i jeszcze zostałyby mu pół korony. A gdyby poszedł tylko na aktualności, zastałoby półtora, z tego koronę by odłożył, a za resztę pograłby na automatach. Jeśliby automat zaciął się i zaczął bez końca wysypywać miedziaki prosto w otwartą dłoń, a on ledwo by nadążał z pakowaniem ich do kieszeni, i znowu podstawiałby rękę... zdarzyło się to przecież Smidze! Uginał się pod ciężarem zdobytej nieoczekiwanie fortuny, kiedy wyrwał go Ośła Łączka.

Wykładowca założył po swojemu ręce do tyłu i stając na zdrowej nodze, zadał pytanie:

— Co kadet zrobiłby, natrafiwszy w patrolu na statek obcej planety?

Kadet Pirx otworzył usta, jakby w ten sposób chciał wygonić znajdującą się w nich odpowiedź. Wyglądał, jak ostatni na świecie człowiek, który wie, co trzeba robić, spotykając rakiety obcych planet.

— Zbliżyłbym się — powiedział głuchym, dziwnie zgrubiałym głosem.

Cały kurs zamarł. Wszyscy wietrzyli coś mniej nudnego niż wykład.

— Bardzo dobrze — rzekł ojcowsko Ośła Łączka — i co dalej?

— Zastopowałbym — wybuchnął kadet Pirx, czując, że znajduje się już daleko poza przednią linią swych wiadomości.

Gorączkowo poszukiwał w opustoszałej głowie jakichś paragrafów „Postępowania w Przestrzeni”. Miał wrażenie, że w życiu nie widział go na oczy. Spuścił skromnie wzrok i zobaczył wtedy, jak Śmiga mówi coś w jego stronę — samymi ustami. Odczytał to i powtórzył głośno, zanim jeszcze sens tych słów dotarł do niego:

— Przedstawiłbym się im.

Cały kurs ryknął jak jeden człowiek. Ośła Łączka walczył sekundę, ale też wybuchnął śmiechem. Bardzo szybko spowaźniał.

— Kadet zgłosi się do mnie jutro z książką nawigacyjną. Kadet Boerst!

Pirx usiadł, jakby krzesło było ze szkła, nie całkiem jeszcze ostygniętego. Nie miał nawet wielkiego żalu do Śmigi — on już taki był, nie mógł przepuścić okazji, jeśli się nadarzyła. Nie słyszał ani słowa z tego, co mówił Boerst — rysował na tablicy krzywe, a Ośła Łączka ściszał po swojemu odpowiedzi elektronowego Kalkulatora, tak że odpowiadający gubił się na koniec w obliczeniach. Regulamin zezwalał na korzystanie z pomocy Kalkulatora, ale Ośła Łączka miał w tej sprawie własną teorię: „Kalkulator też człowiek” — mówił — i może się popsuć”. Pirx nie miał nawet żalu do Oślej Łączki. Nie miał żalu do nikogo. Prawie nigdy. Po pięciu minutach stał już przed sklepem na Dyerhoffa i oglądał na wystawie gazowe pistolety, z których można strzelać patronami ślepymi, kulowymi lub gazowymi — komplet sześć koron, z setką naboji. Oczywiście na Dyerhoffa był w wyobraźni.

Po dzwonku kurs opuścił salę, nie z krzykiem i tupaniem jak pierwszy czy drugi — nie byli w końcu dziećmi! Niemal połowa pociągnęła do jadalni — nie było tam o tej porze nic do jedzenia, ale można było spotkać nową kelnerkę. Podobno ładna. Pirx szedł wolno między szklanymi szafami, pełnymi gwiazdowych globusów, i z każdym krokiem tracił nadzieję, że w kieszonce znajdzie się dwukoronówka. Na ostatnim schodku wiedział, że jej tam nigdy nie było.

Pod bramą stali Boerst, Śmiga i Payartz, z którym siedział pół roku przy jednym stole na kosmodezji. Wszystkie gwiazdy watałsie zasmarował Pirxowi tuszem.

— Masz jutro próbny lot — powiedział do niego Boerst, kiedy ich mijali.

— W porządku — odparł flegmatycznie. Nie dawał się tak łatwo nabierać.

— Nie wierzysz — to przeczytaj! — stuknął Boerst palcem w szkło tablicy ogłoszeń.

Chciał iść dalej, ale głowa jakoś sama mu się wykręciła. Na liście były tylko trzy nazwiska. „Kadet Pirx” — stało tam jak wół, na samej górze.

Przez chwilę nie widział nic.

Potem usłyszał z daleka własny głos, który mówił:

— To co? Powiedziałem przecież: w porządku.

Minał ich i poszedł alejką między klombami. W tym roku była na nich masa niezapominajek, zasadzonych przemyślnie w kształcie lądującej rakiety. Jaskry wyobrażały ogień wylotowy, ale już przekwitły. Nie widział klombów, ścieżki, niezapominajek ani Oślej Łączki, który pospiesznym krokiem wyszedł z bocznego skrzydła Instytutu. O mało nie wleciał na niego przy bramie. Zasalutował mu przed samym nosem.

— A, Pirx! — powiedział Ośła Łączka. — Kadet leci jutro? Dobrego odrzutu! Może kadetowi uda się spotkać tych — z innych planet.

Internat znajdował się w parku, po przeciwnej stronie, za wielkimi płaczącymi wierzbami. Stał nad stawem, a boczne skrzydło wznosiło się nad samą wodą, podstemplowane kamiennymi kolumnami. O tych kolumnach ktoś puścił bajkę, że przywiezione zostały z Księżyca — oczywista bujda — ale pierwszy kurs rzeźbił na nich swoje inicjały i daty ze świętym wzruszeniem. Nazwisko Pirxa też gdzieś tam było — wyrył je pracowicie przed czterema laty.

W swoim pokoju — miał tak mały, że nie dzielił go z nikim — dłuższy czas wahał się, czy otworzyć szafkę. Dokładnie pamiętał, gdzie leżą stare spodnie. Nie wolno ich było mieć, dlatego je miał. Poza tym nie było z nich żadnego pożytku. Zamknął oczy, kucnął przy szafie, spoza uchylonych drzwi wsadził rękę do środka — i namacał kieszonkę. Naturalnie — od razu wiedział. Była pusta.

Stał w nie nadętym kombinezonie na stalowej desce pomostu, pod samym stropem hali, trzymając się łokciem rozpiętej jako poręcz liny, bo obie ręce miał zajęte. W jednej trzymał książkę nawigacyjną, w drugiej — bryk. Była to ściągaczka, którą pożyczył mu Śmiga — mówiono, że latał z nią cały kurs. Co prawda nie było jasne, w jaki sposób wracała, bo po próbnym locie opuszczało się Instytut i szło na Północ, do Bazy, gdzie zaczynało się wkuwanie do końcowych egzaminów. Widać jednak jakoś wracała — może zrzucali ją na spadochronie? Oczywiście był to tylko żart.

Stał na sprężynującej desce, zawieszony nad czterdziestometrową otchłanią i, skracał sobie czas wyobrażaniem tego, czy będą go macać — to się, niestety, zdarzało. Kadeci brali na próbne loty najdziwniejsze i najsurowiej zakazane rzeczy: poczynając od płaskich flaszek z wódką — a kończąc na tytoniu do żucia i fotografiach znajomych dziewcząt. Nie mówiąc naturalnie o brykach. Pirx długo szukał na sobie miejsca, w którym by go ukryć. Chował go też z piętnaście razy — do buta pod piętę, między obie skarpetki, do cholewki, do wewnętrznej kieszeni kombinezonu, do małego atlasiku gwiazd taki atlasik był dozwolony — niezły byłby też futerał od okularów, ale, po pierwsze, musiałby to być olbrzymi futerał, a po wtóre — nie nosił okularów. Trochę później przypomniał sobie, że gdyby nosił, nie przyjęliby go do Instytutu.

Stał więc na stalowej desce i czekał na obu instruktorów oraz na Szefa, a wszyscy trzej nie wiadomo czemu się spóźniali, chociaż start był wyznaczony na dziewiętnastą czterdzieści, a była już dziewiętnasta dwadzieścia siedem. Pomyślał, że gdyby miał kawałek plastra, mógłby przyklepić sobie bryk pod pachą. Mówiono, że tak zrobił mały Yerkes, a gdy go instruktor dotknął, zaczął piszczeć, że ma łaskotki, i udało mu się. Ale Pirx nie wyglądał na takiego, co ma łaskotki. Wiedział o tym i nie miał co do tego żadnych złudzeń. Trzymał więc całkiem zwyczajnie bryk w prawej ręce i dopiero gdy przyszło mu do głowy, że będzie ją musiał podać na przywitanie wszystkim trzem, przełożył go do lewej, a książkę nawigacyjną — z lewej do prawej. Manipulując tak, rozbijał niechcący stalowy pomościk, który chwiał się jak trampolina. Naraz usłyszał „po drugiej stronie kroki. Nie od razu ich zobaczył, bo pod stropem hali było ciemno.

Byli wszyscy, jak zwykle w mundurach, bardzo wymuskani, zwłaszcza Szef. On zaś, kadet Pirx, miał na sobie kombinezon, który, choć jeszcze nie nadęty, wyglądał niby dwadzieścia razem złożonych kostiumów, jakie nosi bramkarz w rugby, ponadto z obu stron

wysokiego kołnierza zwisały mu długie końcówki interkomu i zewnętrznego radiofonu, przy szyi bimbał się wąż zakończony pokrętelem aparatu tlenowego, na plecach czuł ucisk rezerwowej butelki, było mu cholernie gorąco w podwójnej przeciwpotnej bieliźnie, a najgorzej we znaki dawało mu się urządzenie, które sprawia, że lecąc nie musi się wychodzić z potrzebą (zresztą w rakiemie pierwszego stopnia, na której robi się próbne loty, nie bardzo byłoby gdzie wyjść na stronę).

Naraz cały pomost zaczął skakać. Ktoś szedł z tyłu — to był Boerst w takim samym kombinezonie, zasalutował ostro wielką rękawicą i stanął tak, jakby miał najlepszą wolę zepchnąć Pirxa na dół.

Kiedy tamci poszli przodem, Pirx spytał zdziwiony:

— Ty też lecisz? Nie było cię na liście.

— Brendan zachorował. Lecę za niego — odparł Boerst. Pirxowi zrobiło się na chwilę trochę głupio. To była w końcu jedyna, ale to jedyna rzecz, dzięki której mógłby się wznieść choć o milimetr wyżej ku niebotycznym regionom, na których żył sobie Boerst, jakby specjalnie się o to wcale nie starając. Był nie tylko najzdolniejszy na kursie, co Pirx stosunkowo łatwo mu wybaczał, a nawet żywił dla matematycznych talentów Boersta pewien szacunek — od czasu kiedy był świadkiem, jak Boerst zmagął się dzielnie z elektronicznym Kalkulatorem i stracił tempo dopiero przy pierwiastkach czwartego stopnia — i nie tylko miał zamożnych rodziców, tak że wcale nie musiał oddawać się marzeniom o dwukoronówkach, zapodziejających się w starych portkach — ale miał świetne wyniki w lekkoatletyce, skakał jak szatan, świetnie tańczył i, co tu dużo gadać, był bardzo przystojny, czego niepodobna było powiedzieć o Pirxie.

Szli długim pomostem, między kratowymi wspornikami stropu, mijając ustawione kolejno rakiety, aż zalała ich jasność, bo ta część stropu była już odsunięta na przestrzeni dwustu metrów. Na betonowych, ogromnych lejach, które chwytaly w siebie i odprowadzały ogień odrzutu, stały obok siebie dwa stożkowate kolosy — przynajmniej wyglądały w oczach Pirxa jak kolosy — każdy miał czterdzieści osiem metrów wysokości i jednaście metrów średnicy u samego dołu, w boosterze.

Do włazów, już odśrubowanych, przerzucone były małe mostki, przejścia zagradzały jednak ustawione pośrodku, ołowiane przyciski, każdy z małą czerwoną chorągiewką na giętym proporczyku. Pirx wiedział, że sam odstawi na bok chorągiewkę, kiedy na pytanie, czy gotów jest podjąć się wykonania zadania, odpowie, że tak — i że zrobi to pierwszy raz w życiu. I nagle opanowało go przeświadczenie, że kiedy będzie odsuwał proporczyk, potknie się o linkę i na pewno przewróci się jak długi — takie rzeczy się zdarzały. A jeżeli

komukolwiek zdarzały się takie rzeczy, to jemu p o w i n n o się było coś takiego przytrafić, bo myślał czasem, że nie ma szczęścia. Wykładowcy określali to inaczej — że jest gapą, niezgłą i myśli w każdej chwili o wszystkim oprócz tego, o czym akurat trzeba myśleć. Prawda, że Pirxowi było o wiele rzeczy łatwiej niż o słowa. Między jego działaniem a myśleniem, odzianym w słowa, ziała może nie przepaść... w każdym razie była tam jakaś przeszkoda, która utrudniała mu życie. Wykładowcy nie wiedzieli, że Pirx jest marzycielem. O tym nikt nie wiedział. Sądzi, że on w ogóle o niczym nie myśli. A to nie było prawdą.

Zerknął kątem oka i zobaczył, że Boerst ustawił się już, jak należy, o krok od wejścia na przerzucony do wjazdu mostek, wyprężył się i czekał z rękami przyciśniętymi do nie nadętych, gumowych obręczy kombinezonu.

Pomyślał, że Boerstowi jest do twarzy nawet w tym dziwnym stroju, jakby wykrojonym ze stu piłek futbolowych naraz, i że kombinezon Boersta naprawdę jest nie nadęty, podczas kiedy jego kombinezon miejscami jak gdyby ma jeszcze w sobie sporo powietrza — i dlatego tak niedobrze mu się chodzi, i musi tak szeroko stawiać nogi. Zebrał je razem, jak mógł, ale obcas nie chciały mu się zejść. Dlaczego Boerstowi chciały? To było niejasne. Gdyby nie Boerst, zapomnieliby zresztą na śmierć o tym, że trzeba przybrać zasadniczą postawę tyłem do rakiety, a frontem do trzech ludzi w mundurach. Podeszli najpierw do Boersta — dajmy na to dlatego, że był on na B, ale to też nie był zupełny przypadek albo raczej: był to przypadek na niekorzyść Pirxa, ponieważ zawsze musiał długo czekać na „wyrwanie” i denerwował się, bo wolał, aby złe wydarzyło mu się od razu.

Słyszał piąte przez dziesiąte z tego, co mówili do Boersta, a Boerst wyciągnięty jak struna odpowiadał szybko, tak szybko, że Pirx nic nie rozumiał. Potem podeszli do niego, a kiedy Szefer zaczął mówić, Pirxowi naraz przypomniało się, że miało ich dziś lecieć przeciw trzech, a nie dwóch, gdzie więc podział się ten trzeci? Na szczęście usłyszał słowa Szefa i w ostatniej chwili zdążył wypalić:

— Kadet Pirx gotów do odbycia lotu.

— M... tak — powiedział Szefer. — I kadet Pirx oświadcza, że jest zdrow na ciele i umyśle — ehem — w granicach swoich możliwości?

Szefer lubił doczepiać takie kwiatuszki do stereotypowych pytań i mógł sobie na to pozwolić, bo był Szefem. Pirx powiedział, że jest zdrow.

— Na okres trwania lotu mianuję kadeta pilotem — wypowiedział Szefer sakramentalną formułę i ciągnął:

— Zadanie: start pionowy na boosterze połową mocy. Wejście na elipsę B 68. Na elipsie poprawka do orbity trwałej z okresem obrotu 4 godziny 26 minut. Oczekiwanie na

orbicie dwu statków bezpośredniej łączności typu JO 2. Prawdopodobna strefa kontaktu radarowego — sektor III, satelita PAL z możliwym odchyleniem dopuszczalnym sześć sekund łuku. Nawiązać kontakt na fonii celem uzgodnienia manewru. Manewr: zejść z orbity trwałej kursem 60 stopni 24 minuty szerokości północnej, 115 stopni 3 minuty 11 sekund długości wschodniej. Przyspieszenie początkowe — 2,2 g. Przyspieszenie końcowe po 83 minutach — O. Nie odrywając się poza zasięg fonii, pilotować oba JO 2 w szyku trójkowym do Księżyca, wejść w jego strefie równikowej na orbitę tymczasową według wskazań Luna PELENG, upewnić się, że oba pilotowane statki znajdują się na orbicie i, schodząc z niej przyspieszeniem i kursem według własnego uznania, wrócić na orbitę trwałą w obrębie satelity PAL. Tam oczekiwać dalszych rozkazów.

Na kursie mówiono, że wkrótce pojawią się — zastępując dotychczasowe ściągaczki — bryki elektronowe, to jest mikromózgi wielkości pestki od wiśni, które można będzie nosić w uchu albo pod językiem, i które podpowiedzą zawsze i wszędzie wszystko, co okaże się akurat potrzebne. Ale Pirx nie wierzył w to, uważając, nie bez słuszności, że kiedy się pojawiają, nie będzie już trzeba kadetów. Na razie musiał sam powtórzyć cały tenor zadania — i zrobił to, raz jeden tylko pomyliwszy, ale to gruntownie, minuty i sekundy czasu z sekundami i minutami długości i szerokości. Po czym, spocony jak mysz w swojej przeciwpotnej bieliźnie, pod grubą powłoką kombinezonu, czekał na dalszy rozwój wypadków. Powtórzyć zadanie — powtórzył, ale treść jego nie zaczęła jeszcze docierać do jego świadomości. Jediną myślą, jaka w nim bez przerwy krążyła, było: „Ale mi dali łupnia!!”

Zaciskał w lewej garści bryk, podając prawą ręką książkę nawigacyjną. Ustne recytowanie zadania było zwyczajną szykaną — i tak dostawało się je napisane, z wykreślonym pierwszym kursem. Szef włożył kopertę z zadaniem do kieszonki pod okładką książki, oddał mu ją i spytał:

— Pilot Pirx gotów do startu?

— Gotów! — odpowiedział pilot Pirx. W tej chwili miał już tylko jedno życzenie: znaleźć się w sterowni. Marzył o rozpięciu kombinezonu, przynajmniej pod szyją.

Szef cofnął się o krok.

— Do — pocisku! — krzyknął wspaniałym, stalowym głosem, który, jak dzwon, przeciął głuchy, nieustający hałas olbrzymiej hali. Pirx zrobił zwrot w tył, złapał czerwoną chorągiewkę, potknął się o jej linę, w ostatniej chwili chwycił równowagę i wmaszerował jak Golem na cienki pomost. Kiedy był w jego połowiu, Boerst (widziany z tyłu przypominał jednak piłkę futbolową) wchodził już do swojej rakiety.

Wpuścił nogi do środka, chwycił się masywnego ocembrowania włazu, zjechał elastyczną rynienką w dół, nie stawiając stóp na szczebelkach (szczebelki są tylko dla umierających pilotów — mawiał Ośła Łączka), i zabrał się do zamykania kłapy. Ćwiczyli to na „fantomach” i na prawdziwej klapie — tyle że wyjętej z rakiety i zamocowanej na środku sali ćwiczeń — setki i tysiące razy. Niedobrze się od tego robiło — lewa korba, prawa korba, do połowy drogi, kontrola oszczelnień, druga połowa obrotu obu korb, docisk, kontrola na szczelność pod ciśnieniem, zagłuszenie włazu wewnętrzną pokrywą osłony, nasunięcie osłony przeciwmetytowej, wyjście ze studzienki włazu, zamknięcie drzwi kabiny, docisk, korba, druga korba, rygiel, koniec.

Pirx myślał sobie, że Boerst na pewno dawno już siedzi w swojej szklanej kuli, kiedy on dopiero zakręca koło zamachowe docisku — i przyszło mu do głowy, że i tak przecież nie wystartują razem, startowało się w odstępach sześciominutowych i nie było się czego spieszyć. Ale lepiej jednak siedzieć już na miejscu i włączyć swój radiofon — przynajmniej słyszałby komendy, jakie wydają Boerstowi. Ciekawe, jakie on dostał zadanie?

Światła automatycznie zapaliły się w środku, kiedy tylko przymknął zewnętrzną klapę. Zaryglowawszy cały kram, po wysłanych bardzo szorstkim i miękkim zarazem plastikiem stopniach malutkiej pochylni przeszedł na miejsce pilota.

Diabli wiedzą, dlaczego w tych małych jednoosobowych raketkach pilot siedział w wielkiej szklanej bani trzymetrowej średnicy. Bania ta, choć zupełnie przezroczysta, nie była oczywiście ze szkła — w dodatku prężna, o elastyczności grubej, bardzo twardej gumy. Ten pęcherz, z rozkładanym fotelem pilota pośrodku, wpasowany był dopiero w głąb właściwej sterowni — pomieszczenia z lekka stożkowatego, tak że siedząc w swoim „fotelu dentystycznym” — tak go nazywano — i mogąc obracać się na jego pianowej osi, pilot widział, poprzez szklane ściany pęcherza, w którym był zamknięty, wszystkie tablice zegarów, wskaźniki, ekrany przednie, tylne, boczne, tarcze obu kalkulatorów i astrografu oraz — najświętszy z świętych — trajektometr, który grubą, mocno świecąca wstęgą rysował na matowej, wypukłej tarczy drogę pocisku względem tła nieruchomych gwiazd w projekcji Harelsbergera. Elementy tej projekcji trzeba było znać na pamięć i umieć je odczytywać z aparatu w każdej pozycji, nawet wisząc do góry nogami. Kiedy już pilot ułożył się na fotelu, miał po obu bokach cztery rękojeści główne reaktora i sterowniczych dysz odchylających, trzy awaryjne, sześć dźwigni małego pilotażu, pokrętła rozruchu i biegu jałowego oraz regulator mocy, ciągu, przedmuchu dysz, a nad samą podłogą — wielkie szprychowe kółko aparatury klimatyzacyjnej, tlenowej, rączkę instalacji przeciwpożarowej, wyrzutni reaktora (gdyby rozpoczęła się w nim reakcja łańcuchowa nie kontrolowana), linkę z pętlą,

przymocowaną do wierzchu szafki z termosami i jedzeniem, pod stopami zaś — wymoszczone miękko i opatrzone strzemiennymi pętlcami pedały hamownic i bezpiecznik wyrzutowy, którego naciśnięcie (pierwej trzeba było nogą rozbić jego kołpak i pchnąć go do przodu) wyrzucało pęcherz razem z fotelem i pilotem oraz wylatującymi za nim strunami spadochronu pierścienno-wstęgowego.

Poza tym celem głównym — ratowania pilota w wypadku nie dającej się opanować awarii — miał jeszcze szklany pęcherz coś osiem bardzo ważnych powodów, dla których został skonstruowany i Pirx w pewnych pomyślnych okolicznościach potrafiłby je nawet wszystkie wyrecytować, ale żaden nie trafił jemu (ani innym kursantom) do przekonania.

Ułożywszy się należycie, z wielkim trudem zginając się w pasie, aby wkręcić wszystkie wystające i zwisające z niego rurki, kable i przewody w końcówki, sterczące z fotela (przy czym za każdym razem, kiedy pochylał się do przodu, kombinezon pchał go miękką bułą w brzuch), naturalnie pomylił kabelek fonii z grzejnym; na szczęście miały różny gwint, ale o pomyłce przekonał się dopiero, gdy zaczęły bić na niego siódme poty — i w szmerze sprężonego powietrza, które błyskawicznie wypełniło cały kombinezon, opadł z westchnieniem w tył, przekładając lewą i prawą ręką oba udowo—barkowe pasy.

Prawy zaczepił się od razu, a lewy czegoś nie chciał. Wydęty jak opona kołnierz nie pozwalał mu zerknąć w tył, więc tylko mordował się, tkając na oślep szerokim karabinkiem pasa — jednocześnie dobiegły go stłumione głosy w słuchawkach:

— ...Pilot Boerst na AMU 18! Start według fonii w chwili z e r o . Uwaga — gotów?

— Pilot Boerst na AMU 18 gotów do startu według fonii w chwili z e r o ! — padła jak wystrzelona odpowiedź. Pirx zaklął — karabinek zaskoczył. Opadł w głąb miękkiego fotela, tak zmęczony, jakby właśnie powrócił z bardzo długiego, śródgwiezdnego lotu.

— Dwadzieścia trzy — do startu. — Dwadzieścia dwa — do startu. Dwa... — mamrotało w słuchawkach.

Podobno raz zdarzyło się, że usłyszawszy gromowe zero, wystartowało dwu kursantów naraz — ten właściwy i ten, który czekał obok na swoją kolejkę — i szli w odległości dwustu metrów pionowymi świecami, mogąc w każdym ułamku sekundy zderzyć się — przynajmniej opowiadano tak na kursie. Od tego czasu — podobno — kabel zapłonowy włączano w ostatniej chwili, zdalnie, robił to sam komendant lotniska ze swojej nawigatorni — i całe to liczenie było zwykłym bluffem. Nikt jednak nie wiedział, jak jest naprawdę.

— Zero!! — rozległo się w słuchawkach. Jednocześnie Pirx usłyszał stłumiony, przeciągły łoskot, jego fotel zadrgał leciutko, odbite iskierki świateł delikatnie poruszyły się

w szklanej osłonie, pod którą leżał rozpostarty, patrząc w sufit — to znaczy w astrograf, wskaźniki cyrkulacji chłodzenia, ciągu dysz głównych, dysz pomocniczych, gęstości strumienia neutronów, wskaźnik zanieczyszczeń izotopowych i jeszcze osiemnaście innych, których połowa zajmowała się wyłącznie samopoczuciem boostera — drganie osłabło, ściana głuchego huku przesunęła się gdzieś obok i zdawała się rozplýwać w górze, jak gdyby w niebo podniesiona została jakaś niewidzialna kurtyna, grom był coraz dalszy i coraz bardziej, jak zwykle, podobny do odgłosu dalekiej burzy, aż zrobiło się cicho.

Coś syknęło i zabzyczało — nawet nie zdążył się przestraszyć. To samoczynny bezpiecznik włączył zablokowane dotychczas ekrany — były zamknięte od zewnątrz, kiedy startował ktoś w pobliżu, żeby oślepiający płomień atomowego odrzutu nie uszkodził obiektów.

Pirx pomyślał sobie, że takie automatyczne urządzenia są bardzo pożyteczne — i tak się zastanawiał nad tym i owym, aż nagle poczuł, że wszystkie włosy wstają mu na głowie pod pękatą haubą.

— Jezus Maria, ja lecę, ja, ja teraz lecę!!! — przemknęło mu.

Zaczął błyskawicznie przysposabiać dźwignie do startu — to znaczy dotykać ich wedle właściwej kolejności palcami, licząc: raz — dwa — trzecia — a gdzie czwarta? — potem ta — tak, to ten wskaźnik — i pedał — nie, nie pedał — aha, jest — czerwona — zielona rękojeść — potem na automat — tak — czy zielona przed czerwoną?!

— Pilot Pirx na AMU27! — wyrwał go z głębi tego dylematu silny głos bijący prosto w ucho. — Start według fonii w chwili z e r o ! Uwaga — pilot gotów?

— Jeszcze nie!!! — chciało coś krzyknąć ustami pilota Pirxa, ale powiedział:

— Pilot Boe... pilot Pirx na AMU 27 gotów... e... do startu według fonii w chwili z e r o !

Chciał powiedzieć „pilot Boerst”, bo sobie dobrze zapamiętał, jak Boerst mówił. — Idioto! — ryknął na siebie w ciszy, która zapadła. Automat (czy wszystkie automaty muszą mieć głos podoficera?) wyszcze kiwał:

— Do startu szesnaście — piętnaście — czternaście...

Pilot Pirx pocił się. Usiłował przypomnieć sobie coś szalenie ważnego, o czym wiedział, że jest po prostu sprawą życia i śmierci, ale w żaden sposób nie mógł.

— ...sześć, pięć do startu, cztery...

Zacisnął mokre palce na rękojeści startowej. Była na szczęście chropawa. — Czy wszyscy się tak pocą? Widocznie — przemknęło mu, gdy słuchawka warknęła:

— Z e r o !!!

Jego ręka sama — zupełnie sama — pociągnęła dźwignię, pchnęła ją do połowy i tak pozostała. Ryknęło. Jakby elastyczna prasa zleciała mu na piersi i głowę. — Booster — zdążył pomyśleć i pociemniało mu w oczach. Tylko trochę i tylko na chwilę. Gdy już mógł dobrze widzieć, choć ten sam nieustępliwy ciężar czuł rozlany w całym ciele, wszystkie ekrany — przynajmniej te trzy, które miał na wprost — wyglądały jak wybiegające z miliona garnków mleko.

— Aha, przebijam chmury — pomyślał. Myślało mu się teraz jakby wolniej, nieco ospale, ale w zupełnym spokoju. Po dłuższej chwili zrobiło się tak, jakby był jedynie świadkiem całej tej sceny, trochę śmiesznej — facet leży rozwalony w „fotelu dentystycznym”, ani ręką, ani nogą, chmury znikły, niebo jest jeszcze trochę niebieskie, ale jak farbka fałszowana tuszem, coś jakby gwiazdy widać — gwiazdy czy nie?

Tak, to były gwiazdy. Wskaźniki chodziły sobie po suficie, po ścianach, każdy inaczej, każdy coś pokazywał, wszystko trzeba było widzieć, a on miał tylko dwoje oczu. Niemniej lewa jego ręka na krótki, powtarzający się gwizd w słuchawkach sama — znowu sama — pociągnęła wyrzutnik boostera. Od razu zrobiło się trochę lżej — szybkość 7,1 na sekundę, wysokość 201 kilometrów, zadana krzywa startu kończy się, przyspieszenie 1,9, można siadać i w ogóle teraz dopiero będzie cała masa roboty! Siadał powoli, naciskając poręcz, przez co oparcie fotela podnosiło się — i nagle cały ścierpł. — Gdzie jest bryk?!

To była ta szalenie ważna rzecz, której nie mógł sobie przypomnieć. Rozglądał się po podłodze, jakby na świecie nie było chmury mrugających ze wszystkich stron wskaźników. Bryk leżał pod samym fotelem — pochylił się, pasy oczywiście nie puściły, nie było już czasu, i z uczuciem, jakby stał na szczycie bardzo wysokiej wieży i walił się z nią razem w przepaść, otworzył książkę nawigacyjną, którą miał w nadkole—nowej kieszeni, wyjął zadanie z koperty — nic nie rozumiał: gdzie jest, do cholery ciężkiej, orbita B 68? Aha, to będzie ta! — skontrolował trajektorę i zaczął powoli wykręcać. Dziwił się trochę — jakoś to szło.

Na elipsie Kalkulator podał mu życzliwie dane do poprawki, znowu manewrował, wyskoczył z orbity, zahamował zanadto gwałtownie, przez dziesięć sekund miał minus 3 g, ale nic mu to nie zrobiło, fizycznie był bardzo odporny („żebyś miał taki mózg jak biceps” — mówił mu Ośła Łączka — „to może by z ciebie coś było”), z poprawką wszedł na orbitę trwałą, podał na fonii dane Kalkulatorowi, Kalkulator nic nie odpowiedział, na jego tarczy wyskakiwały fale jałowego biegu, ryknął dane jeszcze raz — oczywiście zapomniał się przełączyć — poprawił to, na tarczy natychmiast wyskoczyła pionowa migocąca linia, a wszystkie okienka zgodnie pokazały same jedyńki. — Jestem na orbicie! — ucieszył się. Tak,

ale czas obrotu był 4 godziny 29 minut, a miało być 4 i 26. Teraz już naprawdę nie wiedział, czy odchylenie jest dopuszczalne, czy nie. Szukał w głowie, zaczął rozważać, czy nie odpiąć pasów — bryk leżał pod samym fotelem, ale cholera wie, czy to jest w bryku — nagle przypomniał sobie, co mówił profesor Kaahl: „orbity są obliczone z błędem 0,3 procent” — podał na wszelki wypadek dane Kalkulatorowi: siedział w granicy dopuszczalnego błędu. — No, to by było — powiedział sobie i teraz dopiero rozejrzał się na dobre.

Ciążenie znikło, ale był przypięty do fotela, jak się patrzy — tyle że czuł się bardzo lekki. Ekran przedni — gwiazdy, gwiazdy i białawobury rąbek na samym dolnym skraju, ekran boczny — nic, tylko czarno i gwiazdy. Ekran spodni — aha! Z uwagą przyglądał się Ziemi — pędził nad nią na wysokości od 700 do 2400 km, w granicach swojej orbity — była olbrzymia, wypełniała cały ekran, akurat leciał nad Grenlandią — Grenlandia chyba? — zanim doszedł tego, co to jest, był już nad północną Kanadą. Dokoła bieguna jarzyły się śniegi — ocean był czarnofioletowy, wypukły, gładki, jak odlany z żelaza, chmur dziwnie mało, jakby ktoś rzadką papkę rozchlapał tu i ówdzie na wypukłości — zerknął na zegar.

Leciał już siedemnaście minut.

Teraz należało złapać sygnały radiowe PAL-a i uważać przy przejściu jego strefy na radary. Jak się nazywają te dwa statki? RO? Nie, JO — a numery? Zajrzał do karty z zadaniem, wetknął ją razem z książką nawigacyjną do kieszeni i poruszył regulatorem kontrolki na piersi. Było słyszeć masę pisków i trzasków, PAL — jaki on ma sygnał? Morse — aha — natężył słuch, zaglądał w ekrany, Ziemia powoli obracała się pod nim, gwiazdy przesuwały szybko w ekranach, a PAL-a jak nie było, tak nie było słyszeć ani widać.

Naraz posłyszał brzęczenie.

— PAL? — pomyślał i odrzucił natychmiast tę myśl. — Idiotyzm, satelity nie brzęczą przecież — co brzęczy?

— Nic nie brzęczy — odpowiedział sam sobie. — Więc co to jest?

Awaria?

Jakoś wcale się nie przestraszył. Co za awaria, kiedy leci z wyłączonym silnikiem? Puszka rozsypuje się sama od siebie — czy co? Może zwarcie? A, zwarcie! Kochany Boże! Instrukcja przeciwpożarowa III A: „Pożar w Przestrzeni na Orbicie” — paragraf — niech to szlag trafi! — brzęczało i brzęczało, ledwo słyszał popiskiwanie dalekich sygnałów.

— Zupełnie jak mucha w szklance — pomyślał ogłupiały, wodząc błyskawicznie oczami od zegara do zegara — i wtedy ją zobaczył.

Była to mucha—olbrzym, zielonkawoczarna, z obrzydliwego rodzaju, który stworzony został jakby tylko po to, żeby uprzykrzać ludziom życie, nachalna, natarczywa, kretyńska, a

jednocześnie chytra i bystra mucha, która cudem jakimś (bo jak inaczej?) wlaźła do rakiety i latała sobie teraz na zewnątrz szklanego pęcherza, trykając bzyzącą kulka oświetlone tarcze zegarów.

Kiedy zbliżała się do Kalkulatora, słyszał ją w słuchawkach jak czterosilnikowy samolot, Kalkulator miał nad górną ramą mikrofon rezerwowy, żeby go można osiągnąć bez laryngofonu, spoza fotela, kiedy kabelki pokładowej fonii są rozłączone. Po co? Na wszelki wypadek. Więcej było takich urządzeń.

Przeklinał ten mikrofon. Bał się, że nie usłyszy PAL-a. Co gorsza, mucha zaczęła robić wypadki w różne inne miejsca. Wodził za nią mimo woli wzrokiem ładnych parę minut, zanim sobie surowo powiedział, że go ta mucha cholere obchodzi. Szkoda, że nie można napuścić tam jakiegoś DDT.

— Dosyć!!

Zabręczało, aż się skrzywił. Łaziła sobie po Kalkulatorze. Ucichło — pielęgnowała skrzydełka. Co za ohydna mucha!

W słuchawkach narodził się miarowy, daleki pisk — trzy kropki, kreska, dwie kropki, dwie kreski, trzy kropki, kreska — PAL.

— No, a teraz trzeba wytrzeszczać oczy! — rzekł sobie, podniósł trochę fotel — tak miał na oku trzy naraz ekrany — sprawdził jeszcze raz, jak kręci się fosforyczny promień wodzący radaru, i czekał. Na radarze nie było nic. Ale ktoś wołał:

— A siedem Terraluna, A siedem Terraluna, sektor III, kurs sto trzynaście, woła PAL PELENG, Proszę o namiar. Odbiór.

— Nieszczęście, i jak ja teraz usłyszę moje JO! — stropił się Plirx.

Mucha zawyła w słuchawkach i znikła. Za chwilę cień nakrył go z góry — jakby nietoperz przysiadł na lampie. To była mucha. Łaziła po szklanym pęcherzu, jakby badała, co tkwi w jego środku. Tymczasem w eterze robiło się gęsto — PAL, który już widział (rzeczywiście wyglądał jak pal, był to osiemsetmetrowy cylinder z aluminium, zakończony kulą obserwacyjną), leciał nad nim, może w odległości czterystu kilometrów, może w nieco większej, i pomału go wyprzedzał.

— PAL PELENG do A siedem Terraluna, sto osiemdziesiąt koma czternaście, sto sześć koma sześć. Odchylenie rosnące liniowo. Koniec.

— Albatros cztery Aresterra, woła PAL Główna, PAL Główna, schodzę tankować sektor II, schodzę tankować sektor II, idę na rezerwie. Odbiór.

— A siedem Terraluna, woła PAL PELENG...

Reszty nie słyszał, połknęło ją brzęczenie muchy. Ucichła.

— Główna do Albatrosa cztery Aresterra, tankowanie kwadrant siódmy. Omega Główna, tankowanie przeniesione Omega Główna. Koniec.

— Oni się tu umyślnie zebrali, żebym nic nie słyszał — pomyślał Pirx.

Przeciwna bielizna pływała na nim. Mucha, brzęcząc, zataczała wściekle kręgi nad tarczą Kalkulatora, jakby usiłowała za wszelką cenę dogonić własny cień.

— Albatros cztery Aresterra, Albatros cztery Aresterra do PAL Główna, wychodzę na kwadrant siódmy, wychodzę na kwadrant siódmy, proszę pilotaż interkomem. Koniec.

Słysząc było oddalający się pisk interkomu, który utonął w rosnącym brzęczeniu. Wyłoniły się z niego słowa:

— JO dwa Terraluna, JO dwa Terraluna, woła AMU 27, AMU 27. Odbiór.

— Ciekawość, kogo on woła? — pomyślał Pirx i aż podskoczył w pasach.

— AMU — chciał powiedzieć, ale zachryple gardło nie przepuściło nawet dźwięku.

W słuchawkach brzęczało. Mucha. Zamknął oczy.

— AMU 27 do JO dwa Terraluna. Jestem kwadrant cztery, sektor PAL, włączam pozycyjne. Odbiór.

Włączył swoje pozycyjne światła — dwa czerwone z boków, dwa zielone na dziobie, jedno niebieskie z tyłu, i czekał. Nic nie było słychać oprócz muchy.

— JO dwa bis Terraluna, JO dwa bis Terraluna, wzywam... — brzęczenie.

— Chyba do mnie? — pomyślał z rozpaczą.

— AMU 27 do JO dwa bis Terraluna, jestem kwadrant cztery, brzegowy sektor PAL, mam wszystkie pozycyjne. Odbiór.

Teraz oba JO odezwały się równocześnie — włączył selektor kolejności, żeby wyciszyć tego, kto odezwał się drugi — ale brzęczało dalej, naturalnie — mucha.

— Ja się tu chyba powieszę — pomyślał. Nie wpadło mu do głowy, że wobec braku ciężenia nawet takie wyjście nie jest możliwe.

Nagle zobaczył w radarze oba swoje statki — szły za nim równoległymi kursami, oddalone od siebie nie więcej niż o dziewięć kilometrów, to znaczy w strefach wzajemnie zakazanych: jego obowiązkiem, jako pilotującego, było nakazać im odejście na odległość dopuszczalną — 14 kilometrów. Sprawdzał na radarze położenie plamek, oznaczających statki, kiedy mucha siadła sobie na jednej. Cisnął w nią książką nawigacyjną, nie doleciała, uderzyła w szkło pęcherza i, zamiast się ześliznąć po nim, odleciała z powrotem, w górę, uderzyła o strop szklanej bani i tak fruwała na wszystkie strony — brak ciężenia. Mucha nie raczyła nawet odlecieć — odeszła sobie pieszo.

— AMU 27 Terraluna do JO dwa JO dwa bis. Widzę was. Macie zbliżenie burtowe.

Przejsć na kursy równoległe z poprawką zero koma zero jeden. Po wykonaniu manewru przejść na odbiór. Koniec.

Obie plamki zaczęły się wolno rozchodzić, być może mówili coś do niego, ale słyszał już tylko muchę. Urządzała sobie brzękliwe spacerki na mikrofonie Kalkulatora. Nie miał już czym w nią rzucać. Książka nawigacyjna pływała nad nim. trzepocąc łagodnie kartkami.

— PAL Główna do AMU 27 Terraluna. Wyjść z kwadrantu brzegowego, wyjść z kwadrantu brzegowego, przyjmuję transsolarny. Odbiór.

— Bezczelność, transsolarny się napatoczył — co mnie obchodzi transsolarny?! Statki w szyku mają pierwszeństwo! — pomyślał Pirx i zaczął krzyczeć, wyładowując w tym krzyku całą swoją bezsilną nienawiść do muchy:

— AMU 27 Terraluna do PAL Główna. Nie schodzę z kwadrantu, transsolarny nic mnie nie obchodzi, idę w szyku trójkowym. AMU 27, JO dwa, JO dwa bis eskadra Terraluna, prowadzący AMU 27. Koniec.

— Niepotrzebne było o tym, że mnie ten transsolarny nic nie obchodzi — pomyślał — ma się rozumieć — karne punkty. Niech ich wszystkich cholera weźmie. A za muchę kto dostanie karne? Też ja.

Pomyślał, że to z muchą tylko jemu mogło się zdarzyć. Mucha! Wielka mi rzecz! Wyobrażał sobie, jakby Smiga pękał z Boerstem ze śmiechu, gdyby dowiedzieli się o tej idiotycznej musze. Po raz pierwszy od startu pomyślał o Boerście. Nie miał jednak ani chwili czasu — PAL zostawał coraz wyraźniej z tyłu. Lecieli trójką już pięć minut.

— AMU 27 do JO dwa, JO dwa bis Terraluna. Godzina dwudziesta zero siedem. Manewr wejścia na kurs paraboliczny Terraluna rozpoczynamy godzina dwudziesta zero dziesięć. Kurs sto jedenaście... — wyczytywał kursy z kartki, którą udało mu się przed chwilą akrobatycznie ściągnąć z powietrza ponad głowę. Jego statki odpowiedziały. PAL-a nie było już widać, ale go wciąż słyszał — albo jego, albo muchę. Naraz brzęczenie jej jak gdyby się rozdzieliło. Chciał przetrzeć oczy. Tak. Były już dwie. Skąd wylazła druga?

— Teraz wykończą mnie — pomyślał całkiem, ale to całkiem spokojnie.

Było nawet coś przyjemnego w przekonaniu, że nie warto się już szarpać, zrywać nerwów — one i tak dadzą mu radę. To trwało sekundę — potem popatrzał na zegar, była właśnie godzina, którą sam wyznaczył na początek manewru, a on nie miał jeszcze rąk na dźwigniach!

Mordownia tysiącznych ćwiczeń robiła jednak widać swoje — złapał obie rękojeści na oślep, poruszył lewą, potem prawą, wpatrzony w trajektometr. Silnik odezwał się głucho, potem zasyczało, poczuł uderzenie w głowę, aż jęknął z zaskoczenia. Dostał kantem książki

nawigacyjnej w czoło — tuż pod okapem hauby! Zakryła mu twarz, nie mógł jej trącić — potrzebował obu rąk. W słuchawkach brzęczało i kotłowało się miłosne życie much na Kalkulatorze. — Powinni dawać rewolwer — pomyślał, czuł, jak książka nawigacyjna wskutek rosnącego przyspieszenia zgniata mu nos. Rzucił głową jak szalony — musiał widzieć trajektometr!! Ważyła chyba ze trzy kilogramy, naraz spadła z trzaskiem na podłogę — no tak; było prawie 4 g. Natychmiast zmniejszył przyspieszenie, utrzymywał je w granicach manewru, ustawił zapadki na rękojeściach — miał teraz 2 g przyspieszenia. Czy muchom nic nie robi takie przyspieszenie? Nic im nie robiło. Czuli się świetnie. Miał lecieć tak 83 minuty. Spojrzał na tarczę radaroskopu — oba JO szły za nim, odległość między jego rufą a nimi wzrosła do jakichś siedemdziesięciu kilometrów, to przez to, że przez parę sekund miał 4 g i wyskoczył do przodu. Nie szkodzi.

Teraz miał trochę wolnego czasu — aż do końca lotu z przyspieszeniem. 2 g — to nie było nic takiego. Ważył teraz — wszystkiego — sto czterdzieści dwa kilogramy. Siedział nieraz i pół godziny w laboratoryjnej karuzeli na 4 g.

Inna rzecz, że to nie było przyjemne — ręce, nogi jak z żelaza. Głową nie można było nawet ruszyć — oślepiało.

Jeszcze raz sprawdził położenie obu swoich statków za rufą i pomyślał, co teraz robi Boerst. Wyobraził sobie jego twarz — musiała wyglądać jak na filmach. Szczękę miał ten chłopak! Nos prosty, oczy szare — stalowe — na pewno nie wziął z sobą żadnego bryka! Chociaż — jemu na razie też nie okazał się potrzebny. W słuchawkach osłabło brzęczenie — obie muchy łączyły nad nim po szklanym wierzchu bani, ich edenie muskały jego twarz, aż się za pierwszym razem wzdrygnął. Spojrzał w górę — miały plackowate rozszerzenia na końcach czarnych łapek, ich odwłoki błyszczały metalicznie w świetle lamp. Ohyda!

— Poryw osiem Aresterra woła Trójkąt Terraluna, kwadrant szesnasty, kurs sto jednaście koma sześć. Mam was na kursie zbieżnym jednaście minut trzydzieści dwie sekundy, proszę odchylić kurs własny. Odbiór.

— Masz ci los! — jęknęło w nim. — Bałwan, pcha się prosto — przecież widzi, że idę w szyku!

— AMU 27 prowadzący Trójkąt Terraluna JO dwa JO dwa bis woła Poryw osiem Aresterra. Idę w szyku, nie zmieniam kursu, wykonaj manewr mijania. Koniec.

Mówiąc to, szukał tego bezczelnego Porywu na radarze — był! Nie dalej niż o półtora tysiąca kilometrów!

— Poryw osiem do AMU 27 Terraluna, mam przebity rozrząd grawimetryczny, wykonajcie niezwłocznie manewr mijania, punkt przecięcia kursów czterdzieści cztery zero

osiem, kwadrant Luna cztery, pas brzeżny. Odbiór.

— AMU 27 do Poryw osiem Aresluna, JO dwa, JO dwa bis Terraluna, wykonuję manewr mijania godzina dwudziesta trzydzieści dziewięć, manewr zwrotny równoczesny za prowadzącym ha odległości optycznej, odchylenie północne sektor Luna jeden zero koma sześć, włączam silniki małym ciągiem. Odbiór. Mówiąc to, jednocześnie włączył obie dolne dysze odchylające. Oba JO dwa odpowiedziały natychmiast, skręcili, gwiazdy przesuwały się w ekranach, Poryw podziękował, leciał do Luny Głównej, Pirx nabrał nagle fantazji, życzył mu szczęśliwego lądowania, to było w dobrym stylu, zwłaszcza że tamten miał awarię, widział go na tysiącu kilometrów z zapalonymi pozycyjnymi — potem znowu wezwał swoje JO, zaczęło się wchodzenie na stary kurs — okropność! Jak wiadomo, nie ma nic łatwiejszego niż zejść z kursu — odnaleźć potem ten sam kawałek paraboli wydaje się prawie niemożliwością. Inne przyspieszenie, nie mógł nadażyć z rzucaniem współrzędnych Kalkulatorowi, łąziły po nim muchy, potem zaczęły się gonić po radarze — cienie ich zamiatały tylko ekran. Skąd te bydlęta brały tyle siły? Po dobrych dwudziestu minutach znaleźli się w końcu na pierwotnym kursie.

— A Boerst ma na pewno drogę jak wyczyszczaną odkurzaczem — pomyślał. — Zresztą — co mu tam! Zrobi wszystko i tak jedną ręką.

Włączył automat reduktora akceleracji, żeby na 83 minucie mieć przyspieszenie zero, jak nakazywała instrukcja, i zobaczył coś, od czego jego mokra przeciwpotna bielizna zrobiła się jak uszyta z lodu.

Nad tablicą rozdzielczą zesuwała się z zacisków biała pokrywka — milimetr po milimetrze. Była, widać, słabo wsadzona i podczas targania statku przy manewrach zwrotnych (targał nim rzeczywiście gwałtownie) zatraskowe rygielki puściły. Tymczasem przyspieszenie wciąż jeszcze wynosiło 1,7 g, pokrywka zesuwała się powolutku, jakby ją ktoś ciągnął w dół niewidzialną nitką — aż zeskoczyła i spadła. Uderzyła w szkło bani od swojej strony, osunęła się po nim i leżała nieruchomo na podłodze. Obnażone, zabłyśły cztery miedziane przewody wysokiego napięcia i bezpieczniki pod nimi.

— No — i czego ja się właściwie tak zestrachalem? — pomyślał. — Spadła pokrywka, to spadła, wielkie rzeczy. Z pokrywką, bez pokrywki, nie wszystko jedno?

Był jednak niespokojny — takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Jeżeli może spaść pokrywka bezpieczników, to może odlecieć i rufa.

Już tylko dwadzieścia siedem minut lotu z przyspieszeniem było przed nim, kiedy pomyślał, że po wyłączeniu silników pokrywka stanie się nieważka i zacznie tam latać. Czy może narobić coś złego? Raczej nie. Za lekka. Nawet szybki żadnej nie stłucze. E, nic.

Poszukał wzrokiem much — goniąc się, kołując, bzycząc, latały dokoła całej bani, aż siadły pod bezpiecznikami. Stracił je z oczu.

W radaroskopie odnalazł swoje oba JO — na kursie. Przedni ekran ukazywał wielką na pół nieba tarczę księżycową. Mieli kiedyś ćwiczenia selenograficzne w kraterze Tychona, wtedy gdy Boerst obliczył za pomocą zwykłego, przenośnego teodolitu... — e, do licha, czego on nie potrafił! Usiłował odnaleźć Lunę Główną na zewnętrznym stoku Archimedesesa. Była słabo widoczna, bo prawie cała zaryta w skałach, można było dojrzeć tylko wygładzony wierzch lądowiska ze światłami sygnałowymi, naturalnie kiedy leżała w strefie nocy, ale teraz świeciło tam słońce. Sama stacja spoczywała wprawdzie w smudze cienia, który rzucał krater, ale kontrast z oślepiająco oświetloną tarczą dokoła był taki, że słabiutkie płomyczki sygnalizacji nie były w ogóle widoczne.

Księżyc wyglądał, jakby na nim nigdy noga ludzka nie stanęła — od księżycowych Alp kładły się długie, długie cienie na równinę Morza Deszczów. Przypomniawszy sobie, jak przed lotem na Księżyc — z całą grupą, wtedy byli jeszcze zwykłymi pasażerami — Ośła Łączka poprosił go, aby sprawdził, czy gwiazdy siódmej wielkości są jeszcze z Księżyca widoczne, a on, osioł, podjął się tego z największym zapalem! Zapomniał na śmierć, że żadnych gwiazd z Księżyca w ogóle w dzień nie widać — wzrok jest zbyt olśniony blaskiem słońca, odbitym od powierzchni gruntu. Ośła Łączka długo jeszcze prześladował go tymi gwiazdami z Księżyca. Tarcza puchła powoli w ekranach — niedługo wyprze resztki czarnego nieba poza obręb przedniego.

Dziwne — nic nie brzęczało. Spojrzał w bok — i struchlał.

Jedna mucha siedziała na wypukłości bezpiecznika i czyściła sobie skrzydełka, a druga zalecała się do niej. Kilka milimetrów obok niej lśnił najbliższy kabel. Izolacja kończyła się trochę wyżej — wszystkie cztery kable były gołe, grube prawie jak ołówki, napięcie nie tak znów wysokie, 1000 Volt, i dlatego odstęp między nimi nie był duży — jeden od drugiego o siedem milimetrów. Przypadkowo wiedział, że siedem. Rozbierali raz całą instalację elektryczną i za to, że nie znalazł odstępów między przewodami, nasłuchiwał się od asystenta różności. Mucha dała spokój zalecankom i łączyła teraz po gołym przewodzie. Oczywiście nic jej to nie szkodziło. Ale gdyby tak zachciało się jej przeleźć na drugi... — widocznie właśnie się zachciało, bo zabręczała i siedziała teraz na skrajnej miedzianej żyłce. Jak gdyby w całej sterowni nie było innego miejsca! Gdyby sobie stanęła tak, że przednie łapki na jednym przewodzie, a tylne na drugim...

No, więc co? W najgorszym razie zrobiłoby się zwarcie, zresztą mucha nie jest chyba tak wielka. Jeżeli nawet, to będzie zwarcie przez moment, automatyczny bezpiecznik wyłączy

prąd, mucha spali się, automat z powrotem włączy prąd i wszystko zagra znowu — aż mucha będzie spokoj! Patrzył jak zahipnotyzowany na szafeczkę wysokiego napięcia. Jednak nie życzył sobie, żeby bydlę próbowało. Krótkie spięcie — cholera wie, co może z tego być. Niby nic — ale po co?

Zegar: jeszcze osiem minut na malejącym stopniowo ciągu silników. Zaraz będzie koniec. Patrzył właśnie na ten zegar, kiedy błysło — i światła zgasty. Trwało to może trzecią część sekundy. — Mucha! — pomyślał, czekając z zapartym tchem, żeby automat na powrót włączył prąd. Włączył.

Światła zapaliły się, ale pomarańczowo, słabo, i natychmiast znów strzelił bezpiecznik. Ciemno. Automat znowu włączył. Wyłączył. Włączył. I tak ciągle — bez końca. Światła błyskały w pół prądu, co się stało? Zobaczył z trudem, w momentalnych, następujących po sobie miarowo rozjaśnieniach: po musze — wcisnęło się bydlę pomiędzy dwa przewody — pozostało truchelko, zwęglony słupek, który dalej łączył oba kable.

Nie można powiedzieć, żeby się za bardzo przestraszył. Był podniecony, ale czy w ogóle od chwili startu uspokoił się na dobre? Zegar źle było widać. Tablice miały własne oświetlenie — radar też. Prądu było akurat tyle, że awaryjne światła ani rezerwowe obwody nie włączały się — ale znów nie aż tyle, żeby było jasno. Do wyłączenia silników brakło czterech minut.

Nie musiał się o to troszczyć — automat reduktora sam powinien wyłączyć silnik. Lodowaty potoczek pociekł mu wzdłuż kręgosłupa — jakże automat wyłączy, jeżeli jest zwarcie?

Przez chwilę nie był pewny, czy to ten sam obwód, czy nie. Uprzytomnił sobie, że to są główne bezpieczniki. Dla całej rakiety i dla wszystkich obwodów. Ale stos, stos jest przecież osobno?...

Stos — tak. Ale nie automat. Sam go przecież przedtem nastawił. No, więc trzeba go wyłączyć. Czy lepiej nie ruszać? Może jednak zagra?

Konstruktorzy nie uwzględnili tego, że do sterowni może się dostać mucha — że przykrywka może spaść i będzie zwarcie — takie zwarcie!

Światła migają bez przerwy. Trzeba było coś zrobić. Ale co?

Proste — należy przerzucić główny wyłącznik, który jest pod podłogą, za fotelem. Wyłączy główne obwody i uruchomi awaryjne. I wszystko będzie w porządku. Rakieta nie jest jednak tak głupio skonstruowana, wszystko przewidzieli z należyтым zapasem bezpieczeństwa.

Ciekawe, czy Boerst też wpadłby na to tak od razu? Należy się obawiać, że tak. Nawet

może... ale zostały już tylko dwie minuty!! Nie zdąży przeprowadzić manewru! Podskoczył. Na śmierć zapomniał o tamtych!

Myślał chwilę z zamkniętymi oczami.

— AMU 27 prowadzący Terraluna do JO dwa, JO dwa bis. Mam zwarcie w sterowni. Manewr wejścia na orbitę tymczasowo trwał nad strefą równikową Księżyca wykonam z opóźnieniem... e... nieokreślonej długości. Wykonajcie manewr sami w ustalonym czasie. Odbiór.

— JO dwa bis do prowadzącego AMU 27 Terraluna. Wykonuję manewr łączny razem z JO dwa wejścia na orbitę tymczasowo trwał nad strefą równikową. Masz dziewiętnaście minut do Tarczy. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Ledwo dosłuchał, odkręcił kabel radiofonii, wąż tlenowy, drugi kabelek — pasy miał już rozpięte. Gdy się podnosił, automat reduktora zapłonął rubinowo — cała kabina to wyskakiwała z ciemności, to pogrążała się w mętnopomarańczowym świetle osłabionego napięcia. Silnik nie wyłączył się. Czerwone światełko patrzyło na niego z półmroku, jakby pytając o radę. Rozległo się miarowe buczenie — sygnał ostrzegawczy. Reduktor nie mógł wyłączyć automatycznie silników. Łapiąc równowagę, skoczył za fotel.

Wyłącznik siedział we wpasowanej w podłogę kasecie. Kasetka — zamknięta na klucz. Tak, na pewno zamknięta. Szarpał pokrywę — nie puszczała. Gdzie klucz?

Klucza nie było. Szarpnął jeszcze raz — nic.

Skoczył na równe nogi. Ślepo patrzył przed siebie — w przednich ekranach płonął już nie srebrzysty, ale biały, jak górskie śniegi, gigantyczny Księżyc. Zębate cienie kraterów sunęły po tarczy. Altimetr radarowy odezwał się — czy szedł już od dawna? Cykał miarowo — zielone cyferki wyskakiwały z półmroku: dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów odległości.

Światło bezustannie migotało, bezpiecznik wyłączał miarowo prąd. Gdy gasło, w kabinie nie zapadał już mrok — upiorny blask Księżyca wypełniał ją po brzegi i tylko nieznacznie słabł, kiedy lampy błyskały swoim półprzytomnym żarzeniem.

Statek leciał prosto, wciąż prosto, i wciąż zwiększał szybkość na szczątkowym przyspieszeniu 0,2 g — zarazem Księżyc przyciągał go coraz mocniej. Co robić? Co robić?! Skoczył jeszcze raz do kasety, uderzył nogą w pokrywę — stal ani drgnęła.

Zaraz! Boże! Jak mógł tak ogłupieć!! Trzeba — trzeba po prostu dostać się tam, na drugą stronę pęcherza! Można przecież! Przy samym wyjściu, tam gdzie szklana bania przechodzi zwążającym się tunelem w lej kończący się u klapy — jest specjalna dźwignia, polakierowana na czerwono, pod tabliczką TYLKO W RAZIE AWARII ROZRZĄDU.

Wystarczy ją przełożyć, a szklana bania uniesie się o metr prawie w górę — i będzie można przeleźć pod jej dolnym brzegiem na drugą stronę! Tam jakimś kawałkiem izolacji oczyści przewody i... Jednym susem znalazł się przy czerwonej dźwigni. — Idioto! — pomyślał, złapał stalową rękojeść, pociągnął, aż mu chrupnęło w stawie barkowym. Rękojeść wyskoczyła na całą długość błyszczącego olejem, stalowego pręta — a bania ani drgnęła. Ogłupiały, patrzył na nią — widział w głębi ekrany, pełne płonącego Księżyca, światło migotało mu wciąż ponad głową — jeszcze raz targnął rękojeść, chociaż była już wyciągnięta... Nic.

Klucz! Klucz do kasety wyłącznika! Rzucił się płasko na podłogę, zajrzał pod fotel. Leżał tam tylko bryk...

Światła bezustannie migotały, bezpiecznik miarowo wyłączał prąd. Gdy gasły, wszystko wokół stawało się białe jak wystrugane z trupich kości.

— Koniec! — pomyślał. — Dać się wyrzucić razem z banią? Wystrzelić z fotelem, w osłonie? Nie można, spadochron nie zahamuje, Księżyc nie ma przecież atmosfery. Ratunku!!! — chciał krzyknąć, ale nie było do kogo wołać — był sam. Co robić?! Musi być jakiś ratunek!!

Skoczył jeszcze raz do rękojeści — omal ręka nie wyskoczyła mu ze stawu. Chciało mu się płakać z rozpacz. Tak głupio, tak głupio... Gdzie jest klucz? Dlaczego mechanizm się zaciął? Altimetr — jednym spojrzeniem ogarnął zegary: dziewięć i pół tysiąca kilometrów. Od rozpalonego tła wyraźnie odcinała się skalna piła Timocharisa. Zdawało mu się, że widzi już miejsce, w którym wryje się w pokrytą pumeksem skałę. Będzie grzmot, błysk i...

Naraz jego skaczące szaleńczo oczy padły, w sekundzie rozbłysku światła, na poczwórny rząd miedzianych żył. Wyraźnie czerniała tam grudka, łącząca kable, pozostała po spalonej musze. Wystawiając bark, jak bramkarz w robinsonadzie, skoczył przed siebie, uderzenie było straszne, wstrząs omal nie pozbawił go przytomności. Ściana bani odrzuciła go jak nabita samochodowa opona, upadł na podłogę. Ani drgnęła. Zerwał się na równe nogi, dysząc ciężko, z pokrwawionymi ustami, gotów ponownie rzucić się na szklany mur. Spojrzał w dół.

Dźwignia małego pilotażu. Dla wielkich, krótkotrwałych przyspieszeń, rzędu 10 g, ale tylko na ułamek sekundy. Pracowała bezpośrednio, na ciągłach mechanicznych. Dawała momentalny, awaryjny ciąg.

Ale mógł nią tylko zwiększyć przyspieszenie, to znaczy — jeszcze szybciej dolecieć do Tarczy. Nie — zahamować. Odrzut był zbyt krótkotrwały. Hamowanie musi być ciągłe. Mały pilotaż — na nic?

Rzucił się na dźwignię, padając złapał ją, targnął, pozbawiony amortyzującej osłony

fotela miał uczucie, że wszystkie kości mu się rozlatują, tak uderzyła go podłoga. Pociągnął jeszcze raz. Taki sam straszny, momentalny skok rakiety! Uderzył głową o ziemię, gdyby nie pianoplastik — roztrzaskałby się.

Bezpiecznik brzęknął — miganie ustało nagle. Sterownię zalał spokojny, normalny blask lamp.

Podwójne uderzenie błyskawicznych przyspieszeń małego pilotażu wytrąciło strupieszaly węgielek spomiędzy przewodów. Zwarcie było usunięte. Czując słony smak krwi w ustach, skoczył w fotel, jakby dawał nurka z trampoliny — ale nie wpadł w jego objęcia, przeleciał wysoko nad oparciem, okropne uderzenie o strop, ledwo co osłabione haubą.

W momencie kiedy odbijał się do skoku, czynny już automat reduktora wyłączył silnik. Resztkę ciężenia znikła. Statek, teraz już tylko rozpędem, spadał jak kamień prosto ku skalnym ruinom Timocharisa.

Odbił się od sufitu. Krwawa ślina, którą wypluł, płynęła obok niego w powietrzu czerwono-srebrzystymi bąbelkami. Rozpaczliwie wił się wyciągając ręce ku oparciu fotela. Wyrwał z kieszeni wszystko, co w nich tkwiło, cisnął za siebie.

Ten odrzut pchnął go łagodnie, powoli, sunął coraz niżej, palce, wyciągnięte tak, że ścięgna pękały, najpierw zgrzytnęły paznokciami po niklowej rurze, aż wpiły się w nią. Nie puścił: już. Ściągnął się cały głową w dół, jak akrobata robiący odwróconą stójkę na poręczach, złapał pas, po pasie zjechał w dół, owinał go wokół ciała, karabinek... — nie tracił czasu na zatraskiwanie go, zagryzł go tylko w zębach — trzymało. Teraz ręce na rękojeści, nogi w pedały!!

Altimetr: tysiąc osiemset kilometrów do Tarczy. Czy zdąży zahamować? Wykluczone! 45 kilometrów na sekundę! Musi skrócić — wykonać głębokie wyjście z pikującego lotu — tylko tak!

Włączył dysze odchylające — dwa, trzy, cztery g! Mało! Mało!!

Dał pełny ciąg na odchylenie. Rtęcią płonąca tarcza w ekranie, dotąd jak gdyby wmurowana weń z zewnątrz, drgnęła i coraz szybciej poczęła sunąć w dół. Fotel skrzypiał pod rosnącym ciężarem jego ciała. Statek wchodził w łuk nad samą powierzchnią Księżyca, o wielkim promieniu — promień musiał być taki, bo miał ogromną szybkość. Rękojeść stała twardo, dociśnięta do końca. Wtłaczało go w gąbczaste oparcie, tracił dech, kombinezon nie był połączony z tlenową sprężarką, czuł, jak gną mu się zebra, szarawe plamy pokazały się w oczach. Czekał na black-out, patrząc ciągle w ramkę radarowego altimetra, który miał w swoich okienkach cyferki, jeden rząd wyskakiwał po drugim: 990 — 900 — 840 — 760 kilometrów...

Choć wiedział, że ma za sobą całą moc, parł rękojeść dalej. Wykonywał najciaśniejszy skręt, jaki był w ogóle możliwy — a mimo to nie przestał jeszcze tracić wysokości — cyfry wciąż malały — choć coraz wolniej — leżał jeszcze w zstępującej części wielkiego łuku. Spojrzał — samymi oczami, gałki ich ledwo mógł obrócić — na trajektometr.

Jak zwykle w groźnej strefie ciał niebieskich, tarcza aparatu pokazywała, oprócz krzywej, którą zakreślał pocisk — i migającego słabo jej domyślnego przedłużenia — także profil wypukłości Księżyca, nad którym odbywał się cały manewr.

Obie te krzywe — lotu i księżycowej powierzchni — schodziły się prawie. Czy przecinały się?

Nie. Ale brzuch jego łuku był niemal styczną. Nie było pewne, czy prześliznie się tuż nad samą Tarczą — czy wyrznie w nią. Trajektometr pracował z błędem siedmiu — ośmiu kilometrów i Pirx nie mógł wiedzieć, czy krzywa przechodzi trzy kilometry ponad skałami — czy też popod nimi.

Ciemniało mu w oczach — 5 g robiło swoje. Przytomności nie stracił. Leżał, ślepy, z rękami zaciśniętymi mocno na dźwigniach, czując, jak powoli poddają się amortyzatory fotela. Nie wierzył, że jest zgubiony. Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Wargami nie był zdolny ruszać — więc, w swojej ciemności, w myślach tylko liczył powoli: dwadzieścia jeden — dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy — dwadzieścia cztery...

Przy pięćdziesięciu zapełgała myśl, że to już zderzenie — jeśli w ogóle musiałyby nastąpić. Mimo to nie puszczał dźwigni. Zaczynało mu się robić słabo: duszność, dzwon w uszach, w gardle pełno krwi, w oczach — krwawa czerń...

Palce same rozwarły się — rękojeść odsunęła się powoli, nie słyszał nic, nie wiedział. Powoli robiło się szaro — oddychać było coraz lżej. Chciał otworzyć oczy — ależ były, przez cały czas były otwarte, piekły teraz: spojówki wyschły!!

Usiadł.

Miał 2 g na grawimetrze. Przedni ekran — pusty. Gwiazdowe niebo. Ani śladu Księżyca. Gdzie się podział Księżyc?

Leżał w dole — pod nim. Wystrzelił w górę ze swojej śmiertelnej piki — i oddalał się teraz od niego z malejącą szybkością. Jak nisko prześliznął się nad samą Tarczą? Musiał to zarejestrować altimetr, ale miał w tej chwili co innego na głowie niż wypytywanie go o dane cyfrowe. Teraz dopiero zorientował się, że alarmowy sygnał, który buczał przez cały czas, umilkł. Dużo wart taki sygnał! Już raczej jakiś dzwon powinni powiesić pod stropem. Jak cmentarz, to cmentarz. Coś zabzyczało cichutko — mucha! Druga mucha! Żyła — bydlę jedno! Latała nad samą banią. Miał w ustach coś wstrętnego, szorstkiego, o smaku płótna —

koniec pasa bezpieczeństwa! Cały czas zgniatał go w zębach! Pojęcia o tym nie miał.

Zapiął pas, położył ręce na dźwigniach — trzeba wyprowadzić raketę na właściwą orbitę. Oczywiście, po obu JO nie będzie już śladu — ale musi dociągnąć, gdzie trzeba i zameldować się Lunie Nawigacyjnej. Czy może Lunie Głównej — dlatego że miał awarię? Diabli wiedzą! Czy siedzieć cicho? Wykluczone! Jak wróci — zauważą krew, nawet szklany sufit jest pochlapany czerwono (teraz to zauważył), a zresztą rejestrator zapisał na taśmie wszystko, co się działo — szaleństwa bezpiecznika i jego walkę z awaryjną dźwignią. Niezłe są te AMU, nie ma co! A ci, co podstawiają człowiekowi taką trumnę na start, też są dobrzy!

Trzeba się było jednak meldować, nie wiedział dalej komu, więc pochylił się, popuszczając naramienny pas.

Sięgnął po bryk, leżący pod fotelem. — Ostatecznie, dlaczego nie mam zaglądnąć? Przynajmniej teraz się przyda. Usłyszał wówczas, że coś trzasnęło — zupełnie, jakby się otwarły jakieś drzwi.

Żadnych drzwi za nim nie było, doskonale o tym wiedział, nie mógł się zresztą odwrócić, przypięty pasami do fotela, ale smuga jasności padła na ekrany, gwiazdy zbladły w nich i usłyszał stłumiony głos Szefa:

— Pilocie Pirx!

Chciał się zerwać, pasy go przytrzymały, upadł z powrotem, zdawało mu się, że zwariował. W przejściu między ścianą sterówki a szklaną powłoką ukazał się Szef. Stał przed nim w swoim szarym mundurze, patrzył na niego szarymi oczami — i uśmiechał się. Pirx nie wiedział, co się z nim dzieje.

Szklana powłoka uniosła się w górę — odruchowo zaczął rozpinąć pasy, wstał — ekrany za plecami Szefa zgasły nagle, jak zdmuchnięte.

— Zupełnie dobrze, pilocie Pirx — powiedział Szef. — Zupełnie dobrze.

Pirx w dalszym ciągu nie wiedział, co się z nim dzieje. Stał w postawie zasadniczej przed Szefem i zrobił okropną rzecz — odwrócił głowę, o ile pozwolił mu na to na wpeł wyduży kołnierz.

Całe przejście, razem z klapą, było odsunięte — jakby rakietę pękła w tym miejscu na dwoje. Widać było w smudze wieczornego światła pomost hali, stojących na nim ludzi, liny, kratownice — Pirx z nie domkniętymi ustami popatrzał na Szefa.

— Chodź, chłopcze — powiedział Szef. Powoli podał mu rękę, którą Pirx ujął — wzmacniając uścisk, Szef dodał: — Wyrażam ci uznanie w imieniu Lotów, a we własnym — przepraszam cię. To... jest... konieczne. Teraz chodź, przejdiesz do mnie. Będziesz się mógł umyć.

Ruszył do wyjścia. Pirx poszedł za nim, stąpając ciężko i niezgrabnie. Na dworze było chłodno i wiał słaby wiatr — wpadał do hali przez odsuniętą część stropu. Oba pociski stały na tych samych miejscach co przedtem — tylko kilka długich, grubych kabli, zwisając łukiem nad pustą przestrzenią, dochodziło do ich dziobów. Przedtem tych kabli nie było.

Instruktor stojący na pomoście mówił coś do niego. Źle słyszał przez haubę.

— Co? — spytał odruchowo.

— Powietrze! Wypuść sobie powietrze z kombinezonu!

— A, powietrze...

Nacisnął wentyl — zasyczało. Stał na pomoście. Jakichś dwu ludzi w białych fartuchach czekało przed linami bariery. Jego rakieta wyglądała, jakby miała rozpekły dziob. Ogarniało go z wolna uczucie dziwnej słabości — zdumienia — rozczarowania, które przemieniało się coraz wyraźniej w gniew.

Otwierali kłapę drugiego pocisku. Szef stał na pomoście, ludzie w białych fartuchach mówili coś do niego. We wnętrzu drugiej akiety rozległ się słaby trzask...

Jakiś brązowy, pęgowany, wijący się kłęb wypadł stamtąd, niewyraźną plamą latała głowa bez hauby, dławiała się rykiem...

Nogi ugięły się pod nim.

Ten człowiek...

Boerst zderzył się z Księżycem.

ALBATROS

Obiad składał się z sześciu dań — nie licząc przystawek. Wózki z winem toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy żółtowej zupie światło było cytrynowe. Przy rybie prawie białe, z błękitnym odcieniem. Kurczęta zalał róż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Przy czarnej kawie nie zrobiło się na szczęście ciemno — Pirx był już najgorszej myśli. Zmęczył go ten obiad. Obiecywał sobie, że odtąd będzie jadał na dolnym pokładzie — w barze. Gali było dla niego stanowczo za wiele. Cały czas musiał pamiętać o łokciach. W dodatku — toalety! Sala była wgłębiona — obwód wyżej, dno wpuszczone chyba o pół kondygnacji. Wyglądała jak gigantyczny, kremowozłoty talerz, obłożony najbardziej kolorowymi kanapkami świata. Sztywne, półprzezroczyste suknie szumiały za jego plecami. Bawiono się tam świetnie. Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy — prawdziwi kelnerzy, każdy wyglądał na dyrygenta filharmonii. „Transgalaktik” gwarantuje: żadnych automatów w obsłudze — intymność — dyskrecja — szczerą ludzką życzliwość — cała załoga żywa. Sami artyści swego fachu.

Pirx pił czarną kawę, palił papierosa i starał się znaleźć jakieś miejsce na sali, w które mógłby patrzeć. Spokojne miejsce, w sam raz dla odpoczynku. Sąsiadka podobała mu się. Na jej dekolcie czerniał płaski, chropawy kamyk. Nie żaden chryzopras, nie chalcedon. Nic ziemskiego, pewno coś z Marsa. Musiał kosztować majątek — wyglądał jak kawałek brukowca. Kobiety nie powinny mieć tyle pieniędzy.

Nie był zgorzony. Nie dziwił się. Obserwował. Z wolna rosła w nim ochota wyprostowania kości. Pokład spacerowy?

Wstał, skłonił się lekko, wyszedł. Przechodząc między graniastymi kolumnami, obłożonymi zwierciadlaną masą, zobaczył własne odbicie — spod węzła krawata widać było guzik. Kto zresztą nosił jeszcze takie krawaty? Poprawił kołnierzyk już na korytarzu. Wsiadł do windy. Pojechał na samą górę — na widokowy. Winda otwarła się bezgłośnie. Nie było tu ani żywej duszy. Ucieszył się z tego. Trzecia część zakłęsłego stropu przed szeregami leżaków ponad pokładem wyglądała jak gigantyczne, czarne okno, otwarte na gwiazdy. Leżaki ze stertami koców stały puste. W jednym z ostatnich tkwił ktoś, otulony po samą twarz — ten zdziwaczały staruch, który przychodził na obiad w godzinę po wszystkich i jadł sam w pustej sali, zakrywając twarz serwetką, kiedy poczuł czyjś wzrok.

Położył się. Niewidzialne paszcze klimatyzatorów pędziły w galerię pokładu nierówno

falujący wicher, wrażenie było takie, jak gdyby wiało prosto z czarnych głębin nieba. Konstruktorzy, których zatrudniał „Transgalaktik”, znali się na rzeczy. Leżak był wygodny — wygodniejszy chyba od fotela pilotów, choć jego kształty opracowane były matematycznie. Pirx zaczął ziębnąć. Po to były koce. Owinął się nimi, jakby zapadł w puch.

Ktoś nadchodził. Schodami, nie windą. Sąsiadka z jadalnej. Ile mogła mieć lat? Miała na sobie jakąś całkiem inną suknię. A może to była w ogóle inna kobieta? Położyła się o trzy leżaki dalej. Otworzyła książkę. Wicher szeleścił kartkami. Pirx patrzył teraz prosto przed siebie. Bardzo ładnie widać było Południowy Krzyż. Obcięty ramą okna jaśniał koniuszek Małego Obłoku, jaśniejsza plamka na czarnym tle. Pomyślał, że lot będzie trwał siedem dni. Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy. Poruszył się umyślnie. Gruby, złożony we czworo papier zaskrzypiał w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Było mu dobrze na świecie — miejsce drugiego nawigatora czekało już na niego, znał dokładnie drogę: z Ziemi Północnej samolotem do Eurazji, i dalej, do Indii. Bilety stanowiły całą książeczkę — można ją było czytać, każdy blankiet innego koloru, podwójny, z odcinkami, talonami, złote brzeżki, wszystko, co „Transgalaktik” dawał pasażerom do ręki, wprost kapało od srebra albo złota. Pasażerka na trzecim leżaku była bardzo ładna. Chyba jednak ta sama. Należało coś powiedzieć — czy raczej nie? Bo niby się przedstawił. Nieszczęście mieć takie krótkie nazwisko — zanim się zaczyna, już się kończy. „Pirx” brzmi całkiem jak „iks”. Najgorsze rzeczy działy się zawsze przy rozmowach telefonicznych. Powiedzieć coś? Co?

Zaczynał się znowu męczyć. Na Marsie wyobrażał sobie tę podróż całkiem inaczej. Armatorzy z Ziemi zapłacili mu przelot — mieli jakieś interesy z „Transgalaktikiem”, zdaje się, i nie był to z ich strony wyszukany gest. On zaś, choć przelatał już prawie trzy miliardy, nigdy jeszcze nie leciał czymś takim jak Tytan. Frachtowce wyglądają zupełnie inaczej! Sto osiemdziesiąt tysięcy ton masy spoczynkowej, cztery reaktory głównego ciągu, szybkość podróżna 65 na sekundę, tysiąc dwustu pasażerów w samych pojedynczych i podwójnych kajutach z łazienkami, apartamenty, stała grawitacja gwarantowana, z wyjątkiem startu i lądowania, najwyższy komfort, najwyższa bezawaryjność, czterdziestu dwu ludzi załogi i dwustu sześćdziesięciu obsługi. Ceramit, stal, złoto, pallad, chrom, nikiel, iryd, plastyki, marmury kararyjskie, dąb, mahoń, srebro, kryształy. Dwa baseny. Cztery kina. Osiemnaście stacji bezpośredniej łączności z Ziemią — tylko na użytek pasażerów. Sala koncertowa. Sześć głównych pokładów, cztery widokowe, automatyczne windy, zamawianie z pokładu miejsc na wszystkich rakietach całego systemu — na rok naprzód. Bary. Sale gry. Dom towarowy. Uliczka rzemieślników — wierna kopia jakiegoś ziemskiego, staromiejskiego zaułka — z piwniczką win, gazowymi latarniami, księżycem, ślepym murem i kotami, które spacerują po

tym murze. Palmiarnia. I diabli wiedzą, co jeszcze. Podróż musiałaby trwać miesiąc, żeby zdążył obejść to wszystko przynajmniej raz.

Pasażerka wciąż czytała książkę. Czy kobiety muszą farbować sobie włosy na taki kolor? Normalnemu człowiekowi robi się na taki widok trochę... Ale tej, tej było dobrze właśnie z tym kolorem. Pirx pomyślał, że gdyby miał w ręku palącego się papierosa, właściwe słowa od razu by się znalazły. Sięgnął do kieszeni.

Papierośnica, kiedy ją wyjmował — nigdy w życiu nie miał papierośnicy, tę dostał od Bomana, na pamiątkę, i nosił po przyjaźni — zrobiła się jakby trochę cięższa. Odrobinę. Ale był tego pewny. Przyspieszenie wzrosło? Nadstawił ucha. Aha.

Silniki ciągnęły mocniej. Zwykły pasażer wcale by tego nie usłyszał — maszynownia Tytana była oddzielona od mieszkalnej części kadłuba poczwórnymi grodziami izolacyjnymi.

Wybrał sobie bladą gwiazdkę w samym kącie ramy okiennej i dobrze miał ją na oku. Gdyby tylko przyspieszali, nie ruszyłyby z miejsca. Ale jeżeli drgnie...

Drgnęła. Powoli — nadzwyczaj powoli — płynęła w bok.

Skręt w długiej osi — pomyślał. Tytan leciał „tunelem kosmicznym”, w którym na drodze nie było nic — żadnych pyłów, meteorytów, nic, oprócz pustki. Tysiąc dziewięćset kilometrów przed nim pędził Pilot Tytana, którego zadaniem było dbać o wolną drogę dla olbrzyma. Po co? Na wszelki wypadek — chociaż i tak była wolna. Rakiety trzymały się ściśle rozkładu kursów, „Transgalaktik” miał gwarantowany lot bez zakłóceń po swoim wycinku paraboli — na zasadzie porozumienia, zawartego przez Zjednoczone Towarzystwa Astronawigacyjne. Nikt nie mógł mu wejść w drogę. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły teraz o sześć godzin naprzód — od czasu kiedy bezludne sondy patrolowały tysiącami sektory transuranów, raketom przestało praktycznie grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz. Pas — orbita miliarda meteorytów między Ziemią i Marsem — miał własną służbę patrolową, nadto zaś szlaki raketowe przebiegały poza płaszczyznę ekliptyki, w której obraca się wokół Słońca grzechoczący Pas. Postęp — nawet od czasu kiedy Pirx latał na patrole — był ogromny.

Tytan nie miał więc najmniejszej potrzeby lawirować — nie mógł wymijać żadnych przeszkód, bo ich nie było. A jednak skręcał. Teraz Pinc nie musiał nawet patrzeć w gwiazdowe niebo — czuł to całym sobą. Gdyby mu się chciało, mógłby obliczyć krzywiznę łuku, znając prędkość statku, jego masę i tempo przesuwania się gwiazd.

Coś się stało — pomyślał. — Ale co?

Nie było żadnego obwieszczenia dla pasażerów. Czy ukrywają coś? Dlaczego? Na obyczajach panujących w luksusowych statkach pasażerskich znał się bardzo słabo. Znał się

natomiast na tym, co może zdarzyć się w maszynowni, w sterowni... nie było tego znów tak wiele. W wypadku awarii statek utrzymałby poprzednią szybkość — alboby zwolnił. Tytan jednak...

Trwało to już cztery minuty. To znaczy — zwrot prawie o 45 stopni. Ciekawe. Gwiazdy znieruchomiały. Szli prostym kursem. Ciężar papierośnicy, którą Pirx wciąż trzymał w ręku, wzrósł.

Szli prostym kursem i zwiększali szybkość. Od razu wszystko stało się jasne. Przez sekundę siedział nieruchomo, potem wstał. Ważył teraz więcej. Pasażerka o szarych oczach spojrzała na niego.

— Czy coś się dzieje?

— Nic takiego, proszę pani.

— Coś się zmieniło. Nie czuje pan?

— To nic. Zwiększamy trochę szybkość — powiedział. Teraz można było rozpocząć normalną, wstępną rozmowę. Spojrzał na nią. Kolor włosów nic nie przeszkadzał. Była bardzo ładna.

Poszedł przed siebie. Przyspieszył kroku. Pewno pomyślała, że jakiś wariat. Do końca pokładu widokowego ciągnęły się różnobarwne freski na ścianach. Przeszedł przez drzwi z napisem KONIEC POKŁADU — NIE MA WEJŚCIA, przez długi, pusty, lśniący metalicznie w świetle lamp korytarz. Szeregi drzwi z numerami. Poszedł dalej. Na słuch. Po schodkach dostał się na półpiętro — i stanął u innych drzwi. Stalowych.

WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO — brzmiała tabliczka. Ha! Jakie ładne nazwy wymyślał ten „Transgalaktik”!

Drzwi były bez klamki, otwierały się specjalnym kluczem, którego nie miał. Podniósł palec do nosa. Namyslał się sekundę.

— Tap — tap — tatatap — tap — tap — zapukał.

Czekał chwilę. Otworzyły się. Ponura, zaczerwieniona twarz ukazała się w szparze.

— Czego pan sobie życzy?

— Jestem pilotem z Patroli — powiedział. Drzwi otworzyły się szerzej.

Wszedł. Była to amplifikatornia rezerwowej sterowni — wzdłuż ścian szedł dublowany rozrząd dysz odchylających. Z drugiej strony — ekrany kontroli optycznej. Przy aparatach stało kilka foteli, wszystkie puste. Jeden przysadko—waty automat baczył na migotanie tarcz. Na wąskim stoliku pod ścianą stały w pierścieniowych uchwytach szklanki, opróżnione do połowy. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i trudna do zidentyfikowania woń nagranych plastików zmieszana z nikłym śladem ozonu. Drugie

drzwi były nie domknięte. Dochodził stamtąd pisk przetwornicy.

— SOS? — spytał człowieka, który mu otworzył. Był to mężczyzna dosyć tęgi, z twarzą z jednej strony lekko opuchniętą, jakby go bolały zęby. Na włosach — pręga od słuchawek. Miał na sobie szary, z błyskawicami, mundur „Transgalaktiku”, nie dopięty. Ze spodni wyłaziła koszula.

— Tak.

Tamten jakby się wahał.

— Pan jest z Patroli? — powiedział.

— Z Bazy. Latałem dwa lata na Transuranie. Jestem nawigatorem. Nazywam się Pirx.

Tamten podał mu rękę.

— Mindell. Nukleonik.

Nic więcej nie mówiąc, poszli do drugiego pomieszczenia. Była to kabina radiowa — łączności bezpośredniej. Bardzo wielka. Z dziesięciu ludzi otaczało główny nadajnik. Dwu radiotelegrafistów siedziało ze słuchawkami na uszach — bez przerwy pisali, aparaty stukały, prąd brzęczał cichutko, pod podłogą popiskiwało. Kontrolki paliły się na wszystkich ścianach. Wyglądało tu jak we wnętrzu wielkiej, międzymiastowej stacji telefonicznej. Telegrafisci leżeli prawie na swoich pulpitych. Byli tylko w koszulkach i spodniach. Mieli spocone twarze — jeden był blady, drugi, starszy mężczyzna z blizną na głowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Pałak słuchawki rozdzielał włosy i blizna była dobrze widoczna. Dwu ludzi siedziało trochę dalej — Pirx spojrzął na nich i poznał w jednym Pierwszego.

Znał go przelotnie. Dowódca Tytana był niskiego wzrostu, szpakowaty, z małą, nic nie mówiącą twarzą. Z nogą założoną na nogę zdawał się obserwować koniuszek własnego bucika.

Pirx podszedł cicho do ludzi stojących nad telegrafistami, pochylił się do przodu i zaczął czytać nad ramieniem tego z blizną:

...”sześć osiemnaście koma trzy idę pełnym ciągiem dojdę ósma zero dwanaście koniec”.

Telegrafista podsunął sobie lewą ręką blankiet i pisał dalej bez przerwy.

„Luna Główna do Albatrosa, cztery Aresluna. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie Morse'em stop fonia nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.”

„Poryw dwa Aresluna do Luny Głównej. Idę pełnym ciągiem do Albatrosa sektor 64 stóp. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.”

Naraz drugi radiotelegrafista, ten blady, wydał jakiś nieartykułowany głos — wszyscy stojący pochylili się nad nim. Człowiek, który wpuścił Pirxa, podał pierwszemu nawigatorowi zapisane formularze. Drugi telegrafista pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Leżę w dryfie elipsa T 341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 g stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogą na dziób koniec”.

Radiotelegrafście trzęsły się ręce, kiedy pisał. Jeden ze stojących wziął go za kołnierz koszuli, podniósł, wypchnął za drzwi, sam wyszedł, po chwili wrócił i usiadł na jego miejscu.

— Ma tam brata — powiedział wyjaśniająco, nie zwracając się specjalnie do nikogo. Pirx pochylił się teraz nad starszym, który zaczął nagle pisać:

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Idą ku wam Poryw sektor 64 Tytan z sektora 67 Balistyczny osiem z sektora 45 Kobold siedem zero dwa z sektora 94 stop cementujecie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy nadciśnieniu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop”...

Ten, który zastąpił młodego telegrafistę, powiedział głośno: „Albatros!” — i wszyscy pochylili się nad nim. Pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Dryf awaryjny nie opanowany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 65 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec”.

Pirx chciał zapalić papierosa — prawie wszyscy palili i widać było, jak dym sinymi pasmami leci w górę, wsysany zaraz przez wyloty odpowietrzników wentylacyjnych. Szukał po wszystkich kieszeniach i nie mógł znaleźć. Ktoś — nie wiedział nawet kto — wsunął mu w dłoń otwartą paczkę. Zapalił. Pierwszy odezwał się:

— Panie Mindell. Ugryzł się w dolną wargę.

— Pełny ciąg.

Mindell wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony, ale nic nie powiedział.

— Ostrzeżenie? — spytał mężczyzna, siedzący obok Pierwszego.

— Tak. Ja sam. Dajcie.

Przyciągnął sobie mikrofon na wysięgowym ramieniu i zaczął mówić:

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery. Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na

granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próbuje wyjść przez kłapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.

Odrzucił mikrofon i wstał. Mindell mówił do interkomu w przeciwległej ścianie:

— Chłopcy, za pięć minut pełny ciąg. Tak, tak — odpowiadał temu, kto znajdował się u drugiego końca przewodu. Dowódca wyszedł. Słysząc było jego głos z drugiego pokoju:

— Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Podajemy ważne obwieszczenie. Za cztery minuty statek nasz zwiększy szybkość. Otrzymaliśmy wezwanie SOS i spieszymy...

Ktoś zamknął drzwi. Mindell dotknął ramienia Pirxa.

— Złap się pan za coś. Będziemy mieli przeszło dwa.

Pirx skinął głową. 2 g — to było dla niego tyle co nic, ale nie uważał, że jest czas na przechwalanie się własną wytrzymałością. Posłusznie ujął poręcz fotela, na którym siedział starszy telegrafista. Czytał przez jego ramię.

„Albatros cztery do Tytana. Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop włącz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec”.

Mindell wyrwał mu zapisaną kartkę spod ręki i pobiegł do drugiego pokoju. Gdy otwierał drzwi, podłoga drgnęła leciutko i wszyscy poczuli, że ciała ich stają się naraz bardzo ciężkie.

Pierwszy nawigator wszedł — stapał z widocznym wysiłkiem. Usiadł na swoim fotelu. Ktoś podał mu mikrofon na kablu. Miał w ręku zmięty, ostatni radiogram Albatrosa. Rozpostarł go i patrzył nań długą chwilę.

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery — odezwał się wreszcie. — Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.

Mężczyzna w rozpiętej bluzie mundurowej, który zastąpił młodszego telegrafistę, zerwał się nagle i spojrzał na Pierwszego, który podszedł do niego. Telegrafista zdjął z głowy słuchawki, Pierwszy nałożył je sobie, równocześnie tamten regulował charczący z wysiłkiem głośnik. Naraz wszyscy zdrętwieli.

W kabinie stali ludzie, którzy latali od lat, ale tego nikt z nich jeszcze nie słyszał. Ten, czyj głos wydobywał się z głośnika, zmieszany był z przeciągłym szumem, jakby odgradzony ścianą płomieni, krzyczał:

— Albatros — wszystkich — roztwór — sterowni — temperatura — niemożliwe — załoga do końca — żegnajcie — przewody...

Głos urwał się i słychać było tylko szum.

Głośnik zaskrzypiał. Było ciężko ustać — wszyscy jednak stali, zgarbieni, opierając się o metalowe ściany.

— Balistyczny osiem do Luni Głównej — odezwał się silny głos. — Idę do Albatrosa cztery. Otwierajcie mi' drogę przez sektor 67, idę pełnym ciągiem, niezdolny do manewru mijania. Odbiór.

Milczenie trwało kilka sekund.

— Luna Główna do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do Albatrosa cztery, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga, Poryw! Uwaga, Tytan Aresterra! Uwaga, Balistyczny osiem! Uwaga Kobold siedem zero dwa! Mówi do was Luna Główna. Otwieram wam wolną drogę do Albatrosa cztery. Cały ruch w sektorach promienia wodzącego punktu SOS zostaje wstrzymany. Zaczniście hamowanie na miliparseku przed punktem SOS. Uważajcie, aby wygasic hamownice na zasięgu optycznym Albatrosa, ponieważ załoga jego mogła już opuścić pokład. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Teraz odezwał się Poryw — Morse'em. Pirx wsłuchiwał się w popiskiwanie sygnałów.

„Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Wszedłem w sektor Albatrosa za 18 minut będę przy nim stop mam przegrzany reaktor chłodzenie uszkodzone stop po akcji ratunkowej będę potrzebował pomocy lekarskiej stop zaczynam hamować pełnym ciągiem wstecznym. Koniec.”

— Wariat — odezwał się ktoś, a wtedy wszyscy stojący dotąd jak posągi poszukali oczami tego, kto to powiedział. Rozległ się krótki, gniewny pomruk.

— Poryw będzie pierwszy — zauważył Mindell i spojrzał na dowódcę.

— Sam będzie potrzebował pomocy. Za czterdzieści minut...

Urwał. Głośnik chrypiał i chrypiał, nagle przez trzaski dało się słyszeć:

— Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Jestem na optycznej Albatrosa. Albatros dryfuje w przybliżeniu elipsą T 348. Rufa żarzy się wiśniowo. Światel sygnałowych brak. Albatros nie odpowiada na wezwania. Stopuję i rozpoczynam akcję ratunkową. Koniec.

W drugim pokoju odezwały się brzęczyki. Mindell i jeszcze jeden mężczyzna wyszli. Pirx miał wszystkie mięśnie jak z drzewa. Boże! Jak chciał tam być! Mindell wrócił.

— Co tam? — spytał Pierwszy.

— Pasażerowie pytają, kiedy będą mogli tańczyć — odpowiedział Mindell. Pirx nie słyszał tego nawet. Patrzył w głośnik.

— Już niedługo — odparł spokojnie nawigator. — Przełączcie mi optyczną. Dochodzimy. Za parę minut powinniśmy ich zobaczyć. Panie Mindell, daj pan drugie ostrzeżenie — będziemy hamowali na overdrive.

— Tak jest — odpowiedział Mindell i wyszedł.

Głośnik zabuczał i rozległ się głos:

— Luna Główna do Tytana Aresterra, Kobol—da siedem zero dwa! Uwaga! Uwaga! Uwaga! Balistyczny osiem dostrzegł w centrum sektora 65 błysk o jasności minus cztery. Poryw ani Albatros nie odpowiadają na wezwania. Istnieje możliwość eksplozji reaktora na Albatrosie. Ze względu na bezpieczeństwo pasażerów Tytan Aresterra wezwany jest do zastopowania i natychmiastowego zgłoszenia się. Balistyczny osiem i Kobold siedem zero dwa działają dalej według własnego uznania. Powtarzam. Tytan Aresterra wezwany jest...

Wszyscy patrzyli na Pierwszego. — Panie Mindell — powiedział. — Zastopujemy na miliparseku?

Mindell patrzył na tarczę swego ręcznego zegarka.

— Nie, panie nawigatorze. Dochodzimy na optyczną. Potrzebowałbym sześciu g.

— To zmienimy kurs.

— I tak będziemy mieli co najmniej trzy — powiedział Mindell.

— Trudno.

Pierwszy wstał, podszedł do mikrofonu i odezwał się:

— Tytan Aresterra do Luny Głównej. Nie mogę zastopować, mam zbyt wielką szybkość. Zmieniam kurs manewrem mijania na połowie ciągu i wychodzę kursem dwieście dwa z sektora 65 do sektora 66. Proszę otworzyć mi drogę. Odbiór.

— Pan odbierze potwierdzenie — zwrócił się do mężczyzny, który siedział przedtem obok niego. Mindell wołał coś do interkomu. Brzęczyki odzywały się nieustannie. Światelka skakały na tablicach ściennych. Zrobiło się naraz jakby ciemniej — to tylko krew odpływała z oczu. Pirx rozstawił szeroko nogi. Szli na hamownicach, wyrabiając zakręt. Tytan wibrował delikatnie, słychać było przeciągły wysoki śpiew silników.

— Siadać! — krzyknął Pierwszy. — Nie potrzebuję tu bohaterów! Mamy trzy!

Wszyscy posiadali na podłodze, a raczej zwalili się na nią. Była pokryta grubą warstwą pianoplastyku.

— No! Co tam się natłucze, nałamie! — mruknął mężczyzna siedzący obok Pirxa.

Nawigator usłyszał to.

— Towarzystwo Ubezpieczeń zapłaci — odpowiedział ze swego fotela. Mieli chyba ponad trzy — Pirsowi trudno było podnieść rękę do twarzy. Pasażerowie leżeli pewno wszyscy w kajutach — ale co się musiało dziać w kuchniach, w jadalniach, no! Wyobraził sobie palmiarnię. Przecież tego żadne drzewo nie wytrzyma! A na dole! Pełne wagony zbitej porcelany! Nieźle tam musiało teraz wyglądać!

Głośnik odezwał się.

— Balistyczny osiem do wszystkich. Jestem na optycznej Albatrosa. Jest w chmurze. Rufa żarzy się. Kończę hamowanie i wysyłam w przestrzeń ekipy do poszukiwania załogi Albatrosa. Poryw nie odpowiada na wezwania. Koniec.

Przyspieszenie malało. Ktoś pokazał się w drugich drzwiach i krzyknął. Można już było wstać. Wszyscy ruszyli w te drzwi. Pirx wszedł ostatni. Była to główna sterownia. Ekran osiem na szesnaście metrów zajmował całą przednią ścianę — zakłęśły — niczym w jakimś kino—teatrze olbrzymów. Wszystkie światła sterowni były wygaszone. W przestrzeni, na czarnym gwiazdowym tle, poniżej głównej osi Tytana, w lewym kwadrancie tłała cienka kreseczka, zakończona żarzącym się, wiśniowym węgielkiem, jak ognik papierosa. Stanowiła jądro bladego, przyplaszczonego z lekka pęcherza z cieńszymi, rozchodzącymi się na wszystkie strony kolczastymi wypustkami; poprzez tę kulistą chmurę przecierało się coraz wyraźniej światło silniejszych gwiazd. Naraz wszyscy targnęli się do przodu — jakby chcieli wejść w ekran. Całkiem nisko, w prawym dolnym rogu błysnął między stałymi gwiazdami biały punkcik — i zaczął szybko migać. To był Poryw.

„W reaktorze Albatrosa zaszła nie kontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop” — odczytywał Pirx z miarowo rozbłyskującego punktu.

Albatrosa nie było już widać. Pośród gwiazd wisiał ciężki, bursztynowo-biało-bury kłęb, wypuczony z wierzchu grzywiastymi naroślami. Był coraz niżej i przesuwiał się w dolny lewy róg ekranu — Tytan górował nad nim, wychodząc nowym kursem z sektora katastrofy.

W głąb mrocznej sterowni padła długa smuga światła z drzwi kabiny radiowej. Słysząc było głos Balistycznego:

— Balistyczny osiem do Luni Głównej. Zastopowałem w centralnej części sektora 65. Poryw na miliparseku pode mną sygnalizuje optycznie straty w ludziach oraz przeciek reaktora, gotowy do odrzucenia reaktora, wzywa pomocy lekarskiej, której mu udzielię.

Poszukiwanie załogi Albatrosa utrudnione skażeniami próżni chmurą radioaktywną o temperaturze powierzchni ponad 1200. Jestem na optycznej Tytana Aresterra, który mija mnie pełnym ciągiem wychodząc w sektor 66. Oczekuję przybycia Kobolda siedem zero dwa w celu podjęcia wspólnych działań ratowniczych. Koniec.

— Wszyscy na stanowiska! — rozległ się silny głos. Jednocześnie tylne światła sterowni zapłonęły. Zapanował ruch, ludzie szli pod ścianami w trzy strony, Mindell wydawał rozkazy stojąc przy pulpicie rozrządczym, brzęczyki odzywały się po kilka naraz, w końcu sala opustoszała i oprócz dowódcy, Mindella i Pirxa został w niej tylko młody telegrafista, który stał w kącie naprzeciw ekranu i patrzył w rozwiewający się powoli, coraz większy i ciemniejszy bąbel dymu.

— A, to pan — powiedział Pierwszy Tytana, jakby dopiero teraz zobaczył Pirxa, i podał mu rękę. — Czy Kobold zgłasza się? — spytał ponad jego głową kogoś w drzwiach radiowej.

— Tak, panie nawigatorze, idzie wstecznym.

— Dobrze.

Stali przez chwilę, patrząc w ekran. Ostatni strzęp brudnej chmury znikł. Ekran był znowu pełen czystej, gwiazdowej ciemności.

— Czy ktoś wyszedł? — spytał Pirx, jak gdyby dowódca Tytana mógł wiedzieć więcej od niego. Ale on był Pierwszym — a Pierwszy powinien wiedzieć wszystko.

— Musiały im się zaciąć blendy — odparł tamten. Był więcej niż o głowę niższy od Pirxa. Włosy miał jak z ołowiu — nie wiadomo było, czy posiwiały tak, czy też były takie zawsze.

— Mindell — rzucił Pierwszy w stronę przechodzącego inżyniera — ogłoś pan z łaski swojej koniec ostrzeżenia. Mogą tańczyć.

— Znał pan Albatrosa? — spytał zwracając się do milczącego Pirxa.

— Nie.

— Kompania Zachodnia. Dwadzieścia trzy tysiące ton. Co tam?

Radiotelegrafista zbliżył się i podał mu zapisany blankiet. Pirx odczytał pierwsze słowa: „Balistyczny do...”

Cofnął się. Teraz jednak przeszkadzał ludziom, którzy co chwila przechodzili przez sterownię, więc stanął pod samą ścianą w kącie. Nadbiegł Mindell.

— Jak tam? — spytał go. Mindell był spocony, wycierał chustką czoło. Pirx miał takie wrażenie, jak gdyby znał go już — od lat.

— Nie najgorzej — wysapał Mindell. — Dostali podmuchem. Chłodzenie reaktora

puściło od wstrząsu — to świństwo zawsze leci pierwsze. Oparzenia pierwszego i drugiego stopnia. Lekarze tam już są.

— Z Balistycznego?

— Tak.

— Nawigatorze! Luna Główna! — zawołał ktoś od drzwi radiowej i Pierwszy odszedł. Pirx stał naprzeciw Mindella, który odruchowo dotknął spuchniętego policzka i schował chustką do kieszeni.

Pirx chciał dalej pytać Mindella — ale nic już nie powiedział, skinął mu tylko głową i poszedł do kabiny radiowej. Głośnik gadał dziesięcioma głosami, statki z pięciu sektorów dopytywały się o Albatrosa, o Poryw, Luna Główna nakazała wreszcie wszystkim milczenie i usiłowała rozplatać komunikacyjny węzeł, który powstał wokół 65 sektora po zablokowaniu otaczającej go przestrzeni, Pierwszy siedział obok telegrafisty i coś pisał. Naraz telegrafista zdjął słuchawki i odłożył je — jakby przestały już być potrzebne. Przynajmniej wydało się tak Pirxowi. Podeszedł do niego z tyłu. Chciał spytać, co z ludźmi Albatrosa — czy udało im się wyjść. Radiowiec poczuł jego obecność, podniósł głowę i popatrzał mu w twarz. Pirx nie spytał go już o nic. Wyszedł przed drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO.

TERMINUS

I

Od przystanku był jeszcze kawał drogi, zwłaszcza dla kogoś, kto, jak Pirx, niósł walizkę. Nad bielejącymi widmowo polami stał mglisty przedświt, asfaltem szły ze świstem opon ciężarówki, poprzedzane osrebrzonymi kłębami pary, ich tylna światła zapalały się czerwono przed zakretem. Przekładając walizkę z ręki do ręki, spojrzał w górę. Mgła musiała być niska, bo zobaczył gwiazdy. Mimo woli poszukał kursowej dla Marsa. W tym momencie szary mrok zadrżał. Nieprawdopodobnie zielony ogień przeświecił na wylot mgłę. Odruchowo otworzył usta, już nadciągał grzmot, a za nim gorący podmuch. Grunt zadygotał. W jednej chwili nad równiną wzeszło zielone słońce. Śniegi rozgorzały jadowitym blaskiem aż po widnokrąg, cienie przydrożnych słupów zaczęły biec przed siebie, wszystko, co nie było jaskrawą zielenią, stało się czarne, jak zwęglone. Pirx, rozcierając pozieleniałe dłonie, patrzył, jak jeden z oświetlonych upiornie, strzelistych minaretów, które, jakby za dziwnym kaprysem budowniczego, wznosiły się pośrodku okolonej wzgórzami kotliny, odrywa się od ziemi, jak stojąc na kolumnie ognia poczyna majestatycznie iść w górę, a kiedy grzmot stał się materialną siłą, wypełniającą przestrzeń, zobaczył przez szpary między palcami dalekie wieże, budynki, cysterny, obwiedzione brylantową aureolą; szyby kapitanatu rozbłysły, jakby szalał za nimi pożar, wszystkie kontury poczęły falować i giąć się w rozżarzonym powietrzu, a sprawca tego widowiska, rycząc triumfalnie, zniknął już na wysokości, pozostawiwszy w dole ogromny, czarny krąg dymiącej ziemi. Po chwili z ugwieżdżonego nieba zaczął padać ciepły, grubokroplisty deszcz kondensacji.

Pirx podniósł swoje brzemie i poszedł dalej. Wzlot rakiety przełamał jak gdyby noc — z każdą chwilą robiło się jaśniej i widać było, jak osiada w rowach topniejący śnieg, a cała równina wynurza się spod obłoków pary.

Za siatkami, świeącymi od wody, szły długie mury ochronne dla załogi lotniska o skarpach okrytych darnią. Martwa, nasiąkła wilgocią zeszłoroczna trawa nie dawała dobrego oparcia stopom, ale spieszyło mu się, więc zamiast szukać schodków najbliższego przejścia, z rozbiegu wspiął się na górę — i zobaczył ją z daleka.

Wyższa od wszystkich innych rakiet, stała osobno, wysoka jak wieża. Takich nie budowano od lat. Omijał rozlane na betonie płytkie kałuże wody, dalej już ich prawie nie

było, wyparowała momentalnie od termicznego udaru, czworokątne płyty sucho i ostro, jak w lecie, dzwoniły pod krokami. Im był bliżej, tym bardziej musiał zadzierać głowę. Pancierz wyglądał, jakby go na przemian smarowano klejem i nacierano zmieszanyymi z gliną szmatami. Kiedyś próbowano dodawać do powłokowych tungstenów włókna azbestowego karbidku. Kiedy się taki statek przypalił parę razy na hamowaniu atmosferycznym, wyglądał jak obdzierany ze skóry — cały w strzępach. Nie warto było ich zdzierać — wnet wyłaziły. Opory przy starcie, jasna rzecz, olbrzymie. Stateczność, sterowność — prosto przed Trybunał Kosmiczny: jeden kryminal.

Szedł nie spiesząc się, choć walizka porządnie już mu ciążyła, ale chciał dokładnie obejrzeć sobie statek z zewnątrz; ażurowa konstrukcja trapu rysowała się na tle nieba isticie jakubową drabiną, ściana rakiety szara była jak kamień — wszystko zresztą było jeszcze szare: rozwłócone po betonie puste skrzynki, butle, łachy pordzewiałego żelastwa, dzwona metalowych węzów. Rozrzucone chaotycznie, świadczyły o pośpiechu, z jakim dokonano załadunku. Dwadzieścia kroków przed trapem postawił walizkę i rozejrzał się. Wyglądało na to, że ładunek jest już zaokrętowany; rozkraczona na gąsienicach ogromna pochylnia towarowa została odsunięta i zaczepy jej wisały w powietrzu, ze dwa metry od kadłuba. Wyminął stalową łapę, którą statek, niebotyczny i czarny teraz na tle zorzy, wspierał się o beton, i zszedł pod rufę. Wokół łapy żelbet osiadł pod strasznym ciężarem, strzeliwszy w otoczeniu rysami pęknięć.

— Nieźle zapłacą i za to — pomyślał o armatorach, wchodząc w obszar cienia, rzucanego przez rufę. Z odrzuconą w tył głową zatrzymał się pod lejem pierwszej wyrzutni. Obrzeże ziejące zbyt wysoko, by mógł go dosięgnąć, pokrywały grube nawarstwienia kopci. Wciągnął badawczo powietrze. Choć silniki milczały od dawna, wyczuł ślad ostrego, charakterystycznego swędu jonizacji.

— Chodź no tu — powiedział ktoś z tyłu. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. I znowu usłyszał ten sam głos — jakby z odległości trzech kroków.

— Hej, jest tu kto?! — krzyknął. Głos zabrzmiał głucho pod czarną, rozdziawioną dziesiątkami wylotów kopułą rufy. Odpowiedziała cisza. Przeszedł na drugą stronę i zobaczył krzątających się w odległości jakichś trzystu metrów ludzi — stojąc rzędem, wlekli po ziemi ciężki wąż paliwowy. Poza tym było pusto. Nasłuchiwał chwilę, aż doszły go, tym razem z wysoka, niewyraźne, bełkotliwe głosy. Musiał to być efekt wylotowych lejów: działały jak reflektor, skupiając dźwięki otoczenia. Wrócił po walizkę i ruszył z nią do trapu.

Sześciopiętrową drabinę przemierzył, nie wiedząc o tym nawet, zajęty myślami, choć jakie były — nie umiałby powiedzieć. U szczytu, na otoczonej aluminiową poręczą

platformie nawet się nie obejrzał, żeby pożegnać wzrokiem okolicę. Nie przyszło mu to do głowy. Nim pchnął klapę, powiódł palcami po pancerzu. Istna tarka. Jego chropowatość nasuwała myśl o zżartej kwasami skale.

— No, co mam robić, sam chciałem — mruknął. Klapa otworzyła się ciężko, jakby przywalona głazami. Komora ciśnieniowa wyglądała jak wnętrze beczki. Powiódł palcami po rurach, roztarł suchy pył. Rdza.

Przeciskając się przez wewnętrzny właz, zdążył jeszcze zauważyć, że uszczelka jest połatana. W górę i w dół biegły pionowe studnie korytarzy, oświetlonych nocnymi lampami. Ich światło zlewało się w perspektywie w błękitną smużkę. Gdzieś szumiały wentylatory, nosowo cmokała niewidzialna pompa. Wyprostował się. Jak przedłużenie własnego ciała poczuł otaczający go masyw pokładów i pancerzy. Niech diabli wezmą — 19 000 ton!

Na drodze do sterowni nie spotkał nikogo. Korytarz wypełniała cisza tak ostateczna, jakby statek był już w próżni. Pneumatyczną wyściółkę ścian pokrywały plamy; liny, służące za oparcie przy braku ciężenia, zwiślały nisko, sparciałe. Spawane i przecinane dziesiątki razy złącza rurociągów wyglądały niczym nadwęglone bulwy, wyciągnięte z popieliska. Pochylnią, jedną i drugą, doszedł do sześciobocznego pomieszczenia z metalowymi drzwiami o zaokrąglonych kątach w każdej ścianie. Okręcone postronkiem, zamiast pneumatyków, miedziane klamki.

Okienka numeratorów ukazywały szklane bielma. Nacisnął taster informatora — przekaźnik trzasnął, w metalowej puszcze coś zaszeleściło, ale tarczka pozostała ciemna.

— No, co mam robić? — pomyślał. — Lecieć ze skargą do SPT?

Otworzył drzwi. Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze — kapelusz do reszty stracił fason od deszczu, z walizką, w jesionce, robił wrażenie zabłąkanego mieszczucha. Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do pierwszego. Wypełnił go cień, niczym widmo ostatniego sternika. Uderzył dłonią w oparcie — buchnął kurz, zakręciło mu w nosie, zaczął kichać raz po raz, wściekły, aż nagle roześmiał się. Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział płataninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła do ręcznego opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrządu gańnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Kopnął amortyzatory fotela. Od razu pocięło z hydraulików.

— Inni latali, to i ja potrafię — pomyślał. Wrócił na korytarz, przeciwnymi drzwiami dostał się do burtowego przejścia i poszedł przed siebie. Tuż za szybą windy zauważył na ścianie ciemniejsze, wypuczone miejsce. Przyłożył dłoń — nie omylił się. Plomba po przestrzelinie. Poszukał w otoczeniu dalszych śladów przebiccia, ale zmieniono widać całą sekcję — strop i ściany były gładkie. Wrócił oczami do plomby. Cement zastygł gruzłami, wydało mu się, że dostrzega w nim niewyraźne odbicie dłoni, które pracowały w gwałtownym pośpiechu. Wsiadł do windy i zjechał na sam dół, do stosu. Za szybą przesuwały się miarowo oświetlone cyfry pokładów: piąty... szósty... siódmy...

Na dole było chłodno. Korytarz skręcał łukiem, zbiegał się z innymi, poprzez wydłużony, niski przedsionek widział już drzwi komory stosu. Tu było jeszcze chłodniej; para oddechu bielą w świetle zakurzonych lamp. Potrząsnął głową. Zamrażalniki? Musiały być gdzieś blisko. Nadstawił ucha. Blachy poszycia drgały, wstrząsane słabo dzwoniącym pulsem. Przeszedł pod nawisłymi ciężko stropami, które wtórowały głucho jego krokom, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że jest w głębi podziemi. Korba hermetycznych drzwi nie dawała się obrócić. Napał mocniej — ani drgnęła. Już chciał stanąć na niej nogą, kiedy zorientował się w systemie zamkowym; musiał pierwiej wyciągnąć zabezpieczającą sztabkę.

Za tymi drzwiami były następne — dwuskrzydłowe, na pionowej osi, grube jak w skarbcu. Lakier łuszczył się ze stali, na wysokości oczu odczytywał resztkę czerwonych liter:

N.. BEZP..... STWO

Znalazł się w ciasnym przejściu — prawie zupełnie ciemnym. Kiedy postawił nogę na progu, coś szcęknęło i prosto w twarz buchnął mu biały blask; równocześnie zajaśniała tablica z czaszką na skrzyżowanych puszczelach. — Ależ bali się wtedy! — pomyślał. Blacha stopni zabębniła głucho, kiedy schodził do komory. Znalazł się jakby na dnie wyschłej fosy — naprzeciw, wypukła niczym blanka fortecznego muru, szarzała wysoka na dwa piętra ochronna ściana reaktora, pokryta zielonkawą i żółtą ospą niewielkich wybrzuszeń. To były plomby po starych promienistych przeciekach. Spróbował policzyć je — ale kiedy wszedł na pomost i zobaczył cały mur z wysoka, dał spokój; w niektórych miejscach nie widać już było spod nich betonu.

Pomost, stojący na żelaznych kolumnkach, oddzielały od reszty komory wielkie szyby — jakby nań nasadzono pudło ze szkła. Domyślił się, że to szkło ołowiowe, mające chronić przed twardym promieniowaniem, ale i tak wydał mu się ten zabytek atomowej architektury nonsensem.

Pod czymś w rodzaju niewielkiego daszka sterczały, wycelowane w brzuch stosu,

rozcapierzone promieniście liczniki Geigera. W osobnej wnęce znalazł zegary — martwe, z wyjątkiem jednego. Stos na jałowym rozruchu.

Zeszedł na dół, ukląkł i zajrzał do studzienki pomiarowej. Lustra peryskopu były w czarnych plamach od starości. Trochę za dużo szlaki radioaktywnej, ale ostatecznie Mars nie Jowisz — można obrócić w dziesięć dni. Wyglądało, że paliwa jest na kilka takich rejsów. Uruchomił kadmowe blendy. Wskazówka zatrzęsała się i niechętnie przesunęła na drugi koniec skali. Sprawdził opóźnienie — ujdzie. Tyle, aby kontrola SPT przepuściła — z przymknięciem oka.

Coś poruszyło się w kącie. Dwa zielone światełka. Zapatrzył się w nie i drgnął, bo przesunęły się wolno. Podszedł bliżej. To był kot. Czarny, chudy. Miauknął cicho i przywarł grzbietem do jego nogi. Uśmiechnął się i poszukał w otoczeniu wzrokiem, aż znalazł wysoko, na żelaznej półce, rząd klatek. Coś białawego mrowiło się w nich niespiesznie. Od czasu do czasu łysnął między drutami czarny paciorek oka. Białe myszy. Wożono je jeszcze czasem na starych statkach, jako żywe wskaźniki radioaktywnego przecieku. Pochylił się, żeby pogłaskać kota, ale ten umknął mu i zwracając głowę ku najciemniejszej, zwężonej części komory, cicho miauknął, wygiął grzbiet i na wyprężonych łapach przesunął się ku betonowej skarpie, za którą czerniało coś, jakby czworokątne przejście. Koniec wyprężonego ogona zadrgał, zwierzę pełzało dalej, już ledwo widoczne w półmroku. Pirx, zaintrygowany, zajrzał tam, schylając głowę. W pochyłej ścianie widniały na wpół uchylone kwadratowe drzwiczki, wewnątrz refleks światła połyskiwał na czymś, co wziął za zwoje metalowego węża. Kot wpatrywał się w to, nastroszony, jego zeszywniały ogon wykonywał drobne ruchy.

— No, co znowu, tam nic nie ma — mruknął Pirx i przysiadając prawie na obcasach, zbliżył oczy do ciemnej wnęki. W środku siedział ktoś. Matowe błyski leżały na skulonym torsie. Kot zaczął zbliżać się do drzwiczek, miauczając cichutko. Oczy Pirxa przywykały do ciemności — coraz wyraźniej dostrzegał spiczaste, wysoko uniesione kolana, lśniący słabo metal nagolenników i opasujących je segmentowych ramion. Tylko głowa kryła się w cieniu.

Kot miauknął.

Jedno ramię poruszyło się z chrzęstem, wysunęło na zewnątrz i dotykając końcami żelaznych palców podłogi, utworzyło skośny most, po którym kot szmyrgnął błyskawicznie w górę i usadowił się na barku siedzącego.

— Hej, ty — powiedział Pirx nie wiadomo, do kota czy do tego stworu, który powoli, jakby pokonując ogromny opór, jął cofać rękę. Odezwanie się Pirxa sparaliżowało ten ruch. Żelazne palce stuknęły o beton.

— Kto tam to — odezwał się zniekształcony, jakby dobywający się z żelaznej rury

głos — Terminus mówi — kto?

— Co tu robisz? — spytał Pirx.

— Terminus — tu-jestem — zim-no — źle — widzę — dukał chrypliwie głos.

— Czy pilnujesz stosu? — spytał Pirx. Tracił już nadzieję, że dowie się czegoś od automatu, strupieszalego, jak cały statek, ale w obliczu zielonych ślepiów nie mógł jakoś zrejterować w pół słowa.

— Terminus — stosu — zabełkotało w betonowym schowku — ja — stosu. Stosu... — powtarzał jakby z głupkowskim zadowoleniem.

— Wstań! — krzyknął Pirx, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. W środku zachręściło. Cofnął się o krok, widząc, jak z ciemności wysuwają się dwie żelazne rękawice o rozstawionych palcach, obracają się na zewnątrz, jak zaczepiają o framugę i zaczynają holować tułów, w którym przeciągle zachrobotało. Metalowy kadłub gibnął się, wyrzwał na światło i wstawał przy zgrzytaniu i pisku wszystkich stawów. Na poprzecznych złączach blachy, zaciemniając kurz, który ją pokrywał, wystąpiły krople oliwy. Podobny raczej do rycerza w zbroi aniżeli do automatu, chwiał się powoli na boki.

— Czy tu jest twoje miejsce? — spytał Pirx. Szklane oczy automatu rozeszły się na boki, krążąc wolno po otoczeniu, i ten zez nadał jego płaskiej, metalowej twarzy wyraz całkowitej tępoty.

— Plomby przygotowane — dwa, sześć, osiem funtów — źle — widać — zimno...

Głos wydobywał się nie z głowy, lecz z szerokiej tarczy piersiowej automatu.

Kot, zwinięty w kłębek, patrzył na Pirxa z wysokości jego barku.

— Plom-by — goto-we — skrzeczał dalej Terminus. Wykonywał jednocześnie drobne ruchy, będące zaczątkami dobrze Pirxowi znanej operacji — jak gdyby nabierał czegoś z powietrza szuflowato ustawionymi garściami i pchnięciem umieszczał to gdzieś przed sobą — tak, naprzemiennymi ruchami, opatruje się radioaktywne przecieki. Oksydowany tors zachwiał się gwałtowniej, czarny kot zgrzytnął pazurami po blasze, nie utrzymał się i z gniewnym fuknięciem buchnął czarną smugą w dół, dotykając w przelocie nóg Pirxa. Automat jakby tego nie zauważył. Umilkł, tylko jego ręce wikłały się jeszcze w szczątkowych, gasnących ruchach, które stanowiły jak gdyby coraz słabsze, nieme echo jego słów — aż zamarł.

Pirx spojrzał na całą w zaciekach, skamieniałą od starości ścianę reaktora, pokrytą raz koło razu ciemniejszymi plamami cementowych opatrunków, i wrócił oczami do Terminusa. Musiał on być bardzo stary — kto wie, czy nie starszy od statku. Prawy bark wyglądał na wymieniony, biodra i uda nosiły wyraźne ślady spawania, dokoła żelaznych szwów blacha,

odpuszczona żarem, przybrała granitową niemal barwę.

— Terminus! — krzyknął, zupełnie jakby odzywał się do głuchego — idź na swoje miejsce!

— Słucham. Ter–minus.

Automat cofnął się tyłem, niczym rak, do otwartego schowka i zgrzytając jął wciskać się do środka. Pinc obejrzał się za kotem, ale nigdzie go nie było. Wrócił na górę, zamknął za sobą hermetyczne drzwi i pojechał windą na czwarty pokład — do kabiny nawigacyjnej.

Szeroka i niska, z poczerniałą, dębową boazerią i belkowanym stropem, przypominała kajutę okrętową. Miała okrętowe iluminatory w miedzianych pierścieniowych ramach, przez które padało dzienne światło. Jakieś czterdzieści lat temu panowała taka moda; nawet plastikowe pokrycia ścian imitowały wówczas drewnianą klepkę. Otworzył okrągłe okno i omal nie stuknął czołem w głuchy mur. Złudzenie dziennego światła dawały ukryte jarzeniówki. Zatrzasnął okno i odwrócił się. Z gwiazdowych stołów aż na podłogę zwisały mapy nieba, bladoniebieskie jak morza w geografii, po kątach walały się rulony zużytej kalki, upstrzone kursowymi wykresami, rysownica pod punktowym reflektorkiem cała była podziobana ukłuciami cyrkli, w kącie stało biurko, przed nim — dębowy fotel, przyśrubowany do podłogi, pod siedzeniem miał kulowy przegub, żeby można je pochylać w dowolną stronę, obok ciągnęły się wpuszczone w boazerię, zwaliste szafy biblioteczne. Istna arka Noego.

Czy to dlatego agent, już po podpisaniu umowy, powiedział mu: „Dostaje pan historyczny statek”? Stary — to jeszcze nie historyczny.

Zaczął kolejno wysuwać szuflady biurka, aż znalazł książkę okrętową — wielką, w wyszlizganej skórzaney oprawie, z zaśniedziałymi okuciami. Wciąż stał, jakby nie mogąc się zdobyć na zajęcie tego wielkiego, wysiedzianego fotela. Odchylił okładkę. Na pierwszej stronie widniała data próbnego rejsu i fotogram aktu technicznego stoczni. Mrugnął powiekami; nie było go jeszcze wtedy na świecie. Poszukał ostatniego zapisu — ten był teraz najważniejszy. Zgadzał się z tym, co usłyszał od agenta — statek od tygodnia ładował maszyny i drobnicę dla Marsa, start, wyznaczony na 28, opóźnił się — od trzech dni liczy się postojowe. To dlatego tak się spieszyli — postojowe w ziemskim porcie może zrujnować milionera...

Kartkował wolno książkę, nie czytając wyblakłego pisma, chwycił tylko pojedyncze, stereotypowe zwroty, kursowe cyfry, wyniki obliczeń — nie zatrzymywał się nigdzie, jakby szukając w niej czegoś innego. Ze strumienia kartek wyłoniła się jedna — na górze:

Statek wprowadzony do stoczni Ampers–Hart na remont I kategorii.

Data pochodziła sprzed trzech lat.

I cóż takiego ulepszyli? Nie był taki znów ciekaw, ale przejrzał spis robót, dziwiąc się coraz bardziej — wymieniono pancerze dziobowe, szesnaście sekcji pokładów, wręgi obsady reaktora, grodzie hermetyczne...

Nowe grodzie i wręgi?

Prawda — agent mówił coś o jakiejś starej awarii. Ale to nie była zwykła awaria — raczej katastrofa.

Odwrócił stronę, żeby dowiedzieć się czegoś z zapisów poprzedzających remont. Najpierw znalazł port przeznaczenia: *Mars. Ładunek: drobnica. Załoga: pierwszy oficer— inżynier Pratt, drugi — Wayne, piloci Poiter i Nolan, mechanik Simon...*

A dowódca?

Cofnął się jeszcze o stronę i drgnął.

Data przejścia statku — sprzed dziewiętnastu lat. I podpis:

Pierwszy nawigator — Momssen.

Momssen!

Owionął go suchy żar.

Jak to Momssen? Przecież chyba nie ten Momssen! Przecież... przecież tamto — to był inny statek!

Ale data zgadzała się: upłynęło od niej dziewiętnaście lat. Zaraz. Tylko powoli. Powoli.

Wrócił do książki okrętowej. Zamaszyste, wyraźne pismo. Wyblakły atrament. Pierwszy dzień podróży. Drugi, trzeci. Mierny przeciek reaktora: 0,4 rtg/godzinę. Nałożono plomby. Obliczenia kursu. Gwiazdowy fix.

Dalej, dalej!

Nie czytał: skakał oczami po zwartych rządках pisma.

Jest!

Data, której uczył się w szkole jako chłopiec, i pod nią:

O godz. 16.40 Cz. L. odebrane Ostrzeżenie Met. Dejmosa przed pochodzącą z jowiszowej perturbacji Leonidów chmurą, idącą kursem kolizji z chyż. 40 km/sek. przez sektor własny. Odbiór O. M. potwierdzony. Ogłoszony alarm P—M dla załogi. Przy utrzymującym się przecieku reaktora 0.42 rtg/godz. podjęty manewr wymijający całą mocą z wyjściem przybliżonym na deltę Oriona.

Niżej, od nowej linii:

O godz. 16.51 Cz. L. na

Reszta karty była pusta.

Żadnych znaków, bazgrot, plam, nic — oprócz niepotrzebnie przedłużonej w dół, nie skręcającej wedle nakazów kaligrafii, pionowej kreseczki ostatniej litery — „a”.

Jej kilkumilimetrowe, nieco chwiejne przeciągnięcie, którym urywało się regularne pismo, wychodząc na biały obszar papieru, zawierało już wszystko: grzmot trafień, wyjąca ucieczkę powietrza, krzyk ludzi, którym pękały gałki oczne i gardła...

Ale tamten statek nazywał się przecież inaczej. Inaczej! Jak?

To było jak we śnie: nazwy tej, tak chyba sławnej jak nazwa statku Kolumba, nie mógł sobie przypomnieć!

Boże — jakże się nazywał ten statek, ostatni statek Momssena?!

Skoczył do biblioteki. Gruby tom rejestru Lloyda sam wskoczył mu w rękę. To było jakoś na K. Kosmonauta? Nie. Kondor? Nie. Coś dłuższego — jakiś dramat — bohater czy rycerz...

Rzucił tom na biurko i zwięzonymi oczami przypatrywał się ścianom. Między biblioteką a szafą z mapami wisiały na boazerii przyrządy — hygrometr, indykator promieniowania, wskaźnik dwutlenku węgla...

Odwrócił je po kolei. Żadnych napisów. Wyglądały zresztą na nowe.

Tam, w kącie!

Wkręcona w dębową płytę świeciła tabliczka radiografu. Takich już nie produkują — śmieszne, odlane w mosiądzu ozdóbki okalały tarczę... Odkręcał szybko śruby, ujmując ją ostrożnie końcami palców, szarpnął obsadę, została mu w dłoni — odwrócił metalowe pudełko. Na spodniej stronie wyryty był w złocistym mosiądzu jeden wyraz: KORIOLAN. To był ten sam statek.

Powiódł wzrokiem po kabinie. Więc to tu, na tym fotelu siedział wtedy — w tej ostatniej chwili — Momssen?

Rejestr Lloyda otwarł się na „K”. KORONA POŁUDNIOWA, KORSARZ, KORIOLAN. Statek Kompanii... 19000 ton masy spoczynkowej... wypuszczony ze stoczni w roku... reaktor uranowo-wodny, system... chłodzenie... ciąg... zasięg maksymalny... wprowadzony na linię Terra-Mars, utracony wskutek kolizji z potokiem Leonidów, po szesnastu latach odnaleziony przez statek patrolowy w aphelium orbity... po remoncie I kat., przeprowadzonym w Ampers-Hart, wprowadzony przez Kompanię Południową na linię Terra-Mars... transport drobnicy... taryfa ubezpieczeniowa... nie, nie to... jest! ...pod nazwą Błękitna Gwiazda.

Przymknął oczy. Jak tu cicho. Zmienili nazwę. Pewno żeby nie mieć trudności z werbunkiem załogi. To dlatego ten agent... Zaczynał przypominać sobie, co mówiono o tym w Bazie. To ich statek patrolowy odkrył wrak. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły wtedy zawsze zbyt późno. Ogłoszony protokół komisji był lakoniczny: „Siła wyższa. Niczyjej winy”. A załoga? Odnaleziono ślady świadczące o tym, że nie wszyscy zginęli natychmiast — że wśród ocalałych był sam dowódca, który sprawił, że ci ludzie, odcięci od siebie częściami zgniecionych pokładów, mimo braku nadziei na ratunek, nie załamali się i żyli do ostatniej butli tlenu — stanowiąc załogę — do końca. Była tam jeszcze jakaś osobliwa rzecz, jakiś makabryczny szczegół, powtarzany przez całą prasę przez kilka tygodni, aż nowa sensacja zepchnęła wszystko w niepamięć — co to było? Naraz zobaczył wielką salę wykładową, tablicę zabazgraną wzorami, przy których biedził się Smiga, cały umączony kredą — a on, z głową schyloną nad wysuniętą szufladą stołu, czytał ukradkiem płasko rozłożoną na dnie szuflady gazetę. „Kto może przeżyć śmierć? Tylko martwy”. Ależ tak! Tak to było! Jeden ocalał w katastrofie, bo nie potrzebował tlenu ani żywności i spoczywał, przywalony gruzami, przez szesnaście lat — automat.

Wstał. Terminus! Na pewno, na pewno Terminus. Ma go tu, na pokładzie. Gdyby tylko chciał, gdyby odważył się...

Nonsens. To mechaniczny debil, maszyna do plombowania przecieków, głucha i ślepa od starości. To tylko prasa, w swoim wiecznym usiłowaniu wyciśnięcia maksimum sensacji z każdego zdarzenia, zrobiła z niego krzyczącymi nagłówkami tajemniczego świadka tragedii, którego Komisja miała przesłuchiwać przy zamkniętych drzwiach. Przypomniał sobie tępe skrzeczenie automatu. Bzdura, oczywista bzdura!

Zatrzasnął książkę okrętową, wrzucił ją do szuflady i spojrzał na zegarek.

Ósma, trzeba się spieszyć. Odszukał papiery ładunku. Luki były już zamknięte, kontrola portowa i sanitarna dokonana, deklaracje celne zawizowane, wszystko gotowe. Przejrzał przy biurku certyfikat towarowy i zdziwił się, że nie ma dokładnej specyfikacji frachtu. Maszyny, dobrze, ale jakie maszyny? Jaka tara? Dlaczego brak diagramu załadowania z wykreślonym środkiem ciężkości? Nic, oprócz wagi łącznej i schematycznego szkicu rozlokowania w ładowniach. W rufowych było ledwo 300 ton ładunku — dlaczego? Czyżby statek szedł na zmniejszonym udźwigu? I o czymś takim on dowiaduje się przypadkiem, w ostatniej niemal chwili?! W miarę jak coraz spieszniej grzebał się w teczkach, w segregatorach, rozrzucał papiery, wciąż nie mogąc znaleźć tego, którego akurat szukał, tamta historia ulatniała mu się z pamięci, tak że spojrzawszy w pewnej chwili na wyjęty z oprawy radiograf, aż drgnął ze zdziwienia. Za chwilę jednak wpadł mu w ręce jakiś

świsstek, z którego wyczytał, że w ostatniej ładowni, przytykającej dnem do tarczy ochronnej stosu, znajduje się czterdzieści osiem skrzyń żywności. I znowu na specyfikacji widniało tylko ogólne określenie „łatwo psujące się środki żywnościowe”. Dlaczego zatem umieszczono je tam, gdzie wentylacja jest najgorsza, a temperatura podczas pracy silników najwyższa? Umyślnie, żeby się zepsuły, czy jak?

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił, usiłując na chybił trafił powkładać do teczek rozwłózione po całym biurku papiery. Weszło dwóch mężczyzn. Stojąc u progu, odezwali się:

— Boman, inżynier–nukleonik.

— Sims, inżynier–elektryk.

Pirx wstał. Sims był młody, szczupły, z wiewiórczym wyrazem twarzy, pokaszliwał i rzucał oczami. Boman — Pirx na pierwszy rzut oka poznał w nim weterana. Jego twarz pokrywała opalenizna o charakterystycznym pomarańczowym odcieniu, jaki nadaje długotrwałe działanie drobnych, sumujących się dawek promieni kosmicznych. Sięgał Pirxowi ledwo do ramienia: w czasach kiedy zaczynał latać, liczył się jeszcze każdy kilogram wagi na pokładzie. Choć chudy, twarz miał jakby rozlaną, a wokół oczu ciemne torby po obrzękach, jak zwykle u kogoś, przez całe lata poddawanego wielokrotnym przeciążeniom. Dolna warga nie osłaniała zębów.

— Ja też będę kiedyś tak wyglądał — pomyślał Pirx, idąc ku nim z wyciągniętą ręką.

II

Piekło zaczęło się o dziewiątej. Na lotnisku był normalny ruch — do startów kolejka, co sześć minut bełkotanie wielkich megafonów, ostrzegawcze race, potem huk, ryk, grzmot silników na próbie pełnego ciągu, po każdym starcie całymi kaskadami opadał wzbity wysoko kurz, jeszcze dobrze nie osiadł, jak z wieżyczki obwieszczano wolną drogę następnemu — wszystkim spieszyło się, każdy chciał urwać jeszcze parę minut, jak zwykle w towarowym porcie podczas szczytu: prawie każdy statek szedł na Marsa, który wołał rozpaczliwie o maszyny i zieleniny — ludzie nie widzieli tam kawałka jarzyny całymi miesiącami, hydroponiczne solaria dopiero się budowały.

Do podstawianych rakiet toczyły się tymczasem dźwigi, betoniarki, elementy kratowych konstrukcji, bele szklanej waty, cysterny z cementem, ropą, lekarstwa — na sygnał wszyscy ludzie kryli się, gdzie kto mógł, w rowach przeciwpromiennych, w pancierzonych ciągnikach, a jeszcze beton dobrze nie ostygł, kiedy wracali do roboty. O dziesiątej, kiedy słońce, całe w dymach, czerwone, jakby spuchnięte, wzniosło się nad widnokrag, ochronne przypory betonowe między stanowiskami startowymi były poryte, okopcone, przeżarte ogniem, głębokie pęknięcia zachlapywano naprędce szybko schnącym cementem, który błotnistymi fontannami walił z węzów, tymczasem załogi antyradiacyjne wyskakiwały z transporterów w wielogłowych skafandrach, żeby strugami sprężonego piachu ścierać promieniste zanieczyszczenia, we wszystkie strony na syrenach pędziły pomalowane w czerwono-czarne szachownice łaziki kontroli, na wieży kapitanatu ktoś urywał sobie gardło przy megafonie, u szczytu ostrych wież młynkowały wielkie bumerangi radarów — jednym słowem, wszystko było tak, jak ma być. Pirx dwoił się i troił. Trzeba było przyjąć jeszcze na pokład dostarczone w ostatniej chwili świeże mięso, zatankować wodę do picia, sprawdzić aparaturę chłodni (minimalna wynosiła minus pięć, delegat SPT kręcił głową, ale w końcu zlitował się i podpisał), sprężarki, choć po generalnym remoncie, zaczęły na próbie łączyć spod zaworów, głos Pirxa upodabniał się z wolna do jerychońskiej trąby, naraz okazało się, że woda jest źle rozmieszczona — jakiś kretyń przerzucił zawór, nim wypełniły się denne zbiorniki — podpisywał papiery, wtykano mu po pięć naraz, nie wiedział, co podpisuje. Na zegarze była jedenasta — mieli godzinę do startu, i wtedy bomba.

Kapitanat nie da wolnej drogi, bo stary system dysz, zbyt niebezpieczny opad radioaktywny — statek powinien mieć pomocniczy napęd boro-wodorowy, tak jak Gigant — ten frachtowiec, który startował o szóstej — Pirx, już zachrypnięty od krzyku, naraz się

uspokoił. Czy dyspozytor ruchu zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Czy dopiero teraz zauważył Błękitną Gwiazdę? Z tego mogą być wielkie — bardzo wielkie nieprzyjemności. O co chodzi? Dodatkowa osłona? Z czego? Worki z piaskiem. Ile? Bagatelka — trzy tysiące sztuk. Proszę bardzo — on i tak wystartuje w wyznaczonym czasie. Rachunek Kompanii zostanie obciążony. Proszę obciążać.

Pocił się. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby powiększyć jeszcze i tak panujący chaos: elektryk wymyśla mechanikowi, który nie sprawdził awaryjnego rozrządu, drugi pilot wyskoczył gdzieś na pięć minut, nie ma go na pokładzie, z narzeczoną się żegna, felczer w ogóle znikł, czterdzieści pancernych mamutów zajechało pod statek, okrążyło go i ludzie w czarnych kombinezonach biegiem układają worki z piaskiem, semafor na wieżycze nagli ich dzikimi łamańcami, przyszedł jakiś radiogram, zamiast pilota odebrał go elektryk, zapomniał wciągnąć do książki radiowej, zresztą to nie jego rzecz, Pirxowi kręciło się już w głowie, udawał tylko, że wie, co się dzieje — na dwadzieścia minut przed godziną zero powziął dramatyczną decyzję: kazał przepompować całą wodę z dziobowych zbiorników na rufę. Niech się dzieje, co chce — najwyżej zagotuje się, ale za to statyczność będą mieli lepszą.

O jedenastej czterdzieści — próba silników. Od tej chwili odwrotu już nie było. Okazało się, że nie wszyscy ludzie są do niczego — zwłaszcza Boman przypadł mu do gustu — nie widziało się go ani słyszało, a wszystko szło jak w zegarku: przedmuch dysz, mały ciąg, pełny — na sześć minut przed zerem, kiedy kapitanat wyrzucił sygnał DO STARTU, byli gotowi. Wszyscy leżeli już na rozłożonych fotelach, gdy znalazł się felczer; drugi pilot, Mulat, wrócił, bardzo markotny, od narzeczonej, głośnik charczał, beczał, mruczał, nareszcie wskazówka automatu nakryła zero, dostali wolną drogę. Start.

Pirx wiedział oczywiście, że 19 000 ton to nie patrolowa skorupka, w której jest akurat tyle miejsca, żeby się szeroko uśmiechnąć, statek nie pchła, nie skoczy, trzeba wyrabiać ciąg — ale czegoś takiego się nie spodziewał. Mieli już pół mocy na zegarach, kadłub drżał od rufowych wyrzutni do szczytu, jakby się miał rozlecieć w kawałki, a wskaźnik obciążenia mówił, że jeszcze się nie oderwali od betonu. Przemknęło mu przez głowę, że Gwiazda może zaczepiła o coś — podobno taka rzecz zdarza się raz na sto lat — w tym momencie wskaźnik ruszył. Stali na ogniu, Gwiazda dygotała, wskazówka grawimetru tańczyła jak szalona po skali; z westchnieniem osunął się na poduszki, rozluźniając mięśnie — odtąd, choćby chciał, nic już nie mógł zrobić. Szli w górę. Od razu dostali radiowe upomnienie za start całą mocą — bo to daje nadmierne skażenie radioaktywne. Kompania będzie obciążona dodatkową, karną opłatą. Kompania? Bardzo dobrze, niech płaci, niech ją cholera weźmie! Pirx tylko się skrzywił, nie próbował nawet spierać się z kapitanatem, że startował połową ciągu. Czy miał

może lądować, wzywać komisję i żądać protokolarnego odpieczętowania zapisu w uranografach?

Zresztą w tej chwili miał na głowie coś zupełnie innego: przebijanie atmosfery. W życiu nie siedział jeszcze na statku, który się tak trząsał. Podobnie mogli się czuć chyba tylko ludzie w głowicy średniowiecznego taranu, walącego mur. Wszystko wprost skakało, latali w pasach, że dusza z nich wychodziła, grawimetr nie mógł się zdecydować, pokazywał to 3,8 to 4,9, podpełzał bezwstydnie do piątki i jak przestraszony zlatywał nagle na trzy. Zupełnie, jakby kluski mieli w wyrzutniach! Szli już całą mocą, oczywista, Pirx obiema rękami przyciskał haubę do głowy, bo inaczej nie słyszał głosu pilota w słuchawkach — tak ryczała Gwiazda! Nie był to triumfalny grzmot balistyczny. Jej walka z ziemską grawitacją przypominała pełną rozpaczony agonię. Przez dobre parę minut można było myśleć, że to nie oni startują z Ziemi, ale wiszą nieruchomo, odpychając planetę całą mocą odrzutu — tak wyczuwalny był pełen męczarni wysiłek Gwiazdy! Wszystkie blachy, złącza aż zamazało w konturach od wibracji i Pirxowi wydało się, że słyszy trzaskanie puszczone szwów, ale to było złudzenie — w tym piekle nie — złowiłby nawet trąb sądu ostatecznego.

Temperatura powłoki dziobu — o, to był jedyny wskaźnik, który się nie wahał, nie cofał, nie skakał ani nie zatrzymywał, ale spokojnie lazył w górę, jakby miał przed sobą jeszcze co najmniej metr miejsca na skali, a nie same końcowe, czerwone cyfry: 2500, 2800 — zostało ledwo parę kresek, kiedy Pirx spojrział w tę stronę. Przy tym nie mieli nawet szybkości orbitalnej, wszystko, czego się dorobili, to było 6.6 km/sek. w czternastej minucie lotu! Przeszyła go okropna myśl, jak w koszmarze, który nawiedza czasem pilotów, że w ogóle się nie oderwał, a to, co bierze za śmigające w ekranach chmury, jest po prostu parą buchającą z pękniętych rur chłodzenia! Tak źle jednak nie było: lecieli. Felczer leżał bład jak ściana i chorował. Pirx pomyślał sobie, że z opieki lekarskiej, którą ten nad nimi roztoczy, nie będzie wielkiej, pociechy. Inżynierowie trzymali się dobrze, a Boman nawet się nie spocił — leżał sobie siwy, spokojny, szczupły, jak chłopczyk, z zamkniętymi oczami. Spod foteli, z amortyzatorów sikał na podłogę płyn hydrauliczny, aż miło — tłoki dobijały niemal do końca, Pirx był tylko ciekaw, co się stanie, jak naprawdę dobiją.

Ponieważ był przyzwyczajony do całkiem innego, nowoczesnego układu zegarów, wciąż głowa obracała mu się w niewłaściwą stronę, kiedy chciał skontrolować ciąg, chłodzenie, szybkość, co tam z powłoką, no i przede wszystkim, czy siedzą na synergicznej.

Pilot, z którym porozumiewał się krzykami przez interkom, trochę jakby się stracił — to wchodzili na kurs, to wychodzili, wahnienia naturalnie drobne, ułamkowe, ale przy przebijaniu atmosfery wystarczą, żeby zaraz jedna burta zaczęła grzać się mocniej od drugiej

— w panczerzu powstają wtedy kolosalne napięcia termiczne, skutki mogą być fatalne — pocieszał się tylko nadzieją, że skoro ta kosmata skorupa wytrzymała setki startów, to wytrzyma i ten.

Wskazówka termopary naprawdę doszła do końca skali: 3500 stopni jak obszył, tyle mieli na zewnątrz, i gdyby to miało trwać jeszcze dziesięć minut, wiedział, że powłoka zacznie się rozłazić — karbidki też nie są niezniszczalne. Jaki gruby pancierz? Na to nie było żadnego wskaźnika, w każdym razie —porządnie nadpalony. Robiło mu się gorąco, ale tylko z wraź nią, bo wewnętrzny termometr stał na dwudziestu siedmiu jak przy starcie. Byli na sześćdziesiątym kilometrze, atmosfera została praktycznie pod nimi, szybkość — 7,4 km/sek. Szli trochę równiej, ale wciąż na potrójnym niemal ciężeniu. Gwiazda ruszała się jak ołowiany kloc. W żaden sposób można jej było uczciwie rozpędzić — nawet w próżni. Dla czego? Pojęcia nie miał.

Pół godziny potem leżeli już na kursie Arbitra — dopiero za tym, ostatnim z pelengujących satelitów, mieli wejść szlak ekliptyczny Ziemia—Mars. Wszyscy popodnosili się, Boman masował sobie twarz, Pirx czuł, że i jemu też obrzękły trochę wargi, zwłaszcza dolna — ludzie mieli przekrwione, strzykane oczy, suchy kaszel i chrypkę, ale to były normalne objawy, przechodzące zwykle bez śladu po jakiejś godzinie.

Stos pracował jako tako, ciąg wprawdzie nie spadł, ale i nie urósł, a w próżni powinien się być właściwie zwiększyć — jakoś nie chciał. Nawet prawa fizyki zdawały się obowiązywać tylko mniej więcej na Gwieździe. Mieli prawie normalne, ziemskie! przyspieszenie i 11 kilometrów na sekundę. Oczekiwało ich jeszcze rozpędzenie Gwiazdy do normalnej kurierskiej, inaczej bowiem wlekliby się na Marsa miesiącami; na razie szli prosto na Arbitra.

Pirx, jak każdy nawigator, oczekiwał od niego samych tylko przykrości — a to ostrzeżenia, że statek ma nieprzepisowo wielki płomień wylotowy, a to, że odbiera mu się pierwszeństwo dla przepuszczenia jakiegoś ważniejszego, a to, że wyładowania jonizacyjne w dyszach zakłócają radiowy odbiór — tymczasem nic. Arbitr przepuścił ich od razu, dogonił ich jeszcze radiogram „wysokiej próżni”, Pirx odpowiedział i na tym skończyła się wymiana kosmicznych grzeczności.

Weszli na kurs bezpośredni, Pirx kazał zwiększyć ciąg, przyspieszenie wzrosło, można już było ruszać się, rozprostować kości, wstać — radiomoner, który był i kucharzem, poszedł do kambuza. Wszyscy byli przy apetytach, zwłaszcza Pirx, który nie jadł jeszcze nic, a przy starcie spocił się jak mysz; w sterowni temperatura teraz dopiero zaczęła rosnać, bo żar rozpalonego panczerza przenikał do wnętrza z opóźnieniem. Czuć było rzadki olej, który

wyciekł z hydraulików i otoczył fotele całym kałużami.

Jądrowiec zjechał do stosu sprawdzić, czy nie ma neutronowych przecieków. Pirx rozmawiał tymczasem z elektrykiem, przyglądając się gwiazdom. Okazało się, że mają wspólnych znajomych. Pirxowi pierwszy raz od chwili, kiedy stanął na pokładzie, poczęło robić się rażniej na duszy: jaka ta Gwiazda jest, taka jest, a 19 000 ton — nie w kij dmuchał. Zresztą prowadzić takiego trupa jest znacznie trudniej niż przeciętny frachtowiec, więc i honor większy, i doświadczenie się gromadzi.

Półtora miliona kilometrów za Arbitrem przeżyli pierwszy wstrząs: obiadu nie dało się jeść. Radiomonter zawiódł straszliwie. Najbardziej pieklił się felczer — okazało się, że jest chory na żołądek, przed samym startem kupił kilka kur, dał jedną monterowi — i rosół był pełen pierza. Dla reszty miały być befsztyki — można było zajmować się nimi przez resztę życia.

— Hartowane, czy co? — powiedział drugi pilot i tak dziabnął widelcem swoją porcję, że wyskoczyła z talerza.

Monter był niewrażliwy na docinki. Poradził felczerowi, żeby sobie ten rosół przecedził. Pirx czuł, że powinien wystąpić jako rozjemca, a właściwie jako zwierzchnik, ale nie wiedział, co robić. Chciało mu się śmiać.

Po obiedzie z puszki wrócił do sterowna. Kazał zrobić pilotowi kontrolny fix gwiazdowy i wpisawszy do książki okrętowej zapisy grawimetrów, spojrzął na zegary stosu. Gwizdnął cichutko. To nie był stos, ale wulkan. Miał osiemset stopni w obudowie — po czterech godzinach lotu. Chłodziwo krążyło pod maksymalnym ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Pirx zastanowił się. Najgorsze jak gdyby już przeszli. Lądowanie na Marsie nie stanowiło problemu — ciążenie o połowę mniejsze, atmosfera rzadka. Jakoś się uda. Inna rzecz, że ze stosem trzeba coś zrobić. Podeszedł do Kalkulatora i obliczył, jak długo muszą jeszcze iść obecnym ciągiem, żeby wleźć na kurierską. Przy szybkości mniejszej od 80 km/sek. wyrobiliby olbrzymie opóźnienie.

— Jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin — odpowiedział Kalkulator.

Siedemdziesiąt osiem takich godzin musiało rozsadzić stos. Rozleciałby się jak jajko. O tym Pirx nie wątpił. Zdecydował, że wyrobiją szybkość na raty — po trochu. Tyle, że to skomplikuje trochę kurs, no i lecieć trzeba będzie okresami bez ciągu, więc bez grawitacji — co nie należy do przyjemności. Innej rady jednak nie było. Kazał pilotowi nie spuszczać oka z astrokompasu, a sam zjechał windą na dół, do reaktora. Idąc ciemnym korytarzem między ładowniami, usłyszał przygłuszony łomot — jakby po żelaznych płytach szedł pancerny zastęp.

Przyspieszył kroku. Naraz kot przeleciał mu czarną smugą pod nogami, a równocześnie gdzieś blisko huknęły drzwi. Zanim oświetlona zabrudzonymi lampami czeluść głównego korytarza otwarła się przed nim, wszystko ucichło. Miał przed sobą pustkę poczerniałych ścian, tylko w głębi jakaś jarzeniówka drgała jeszcze od wstrząsu, który rozchybotał ją przed chwilą.

— Terminus! — krzyknął na chybił trafił. Odpowiedziało tylko echo, Zawrócił i burtowym przejściem dostał się do przedsionka stosu. Boman, który zjechał tu przed nim, już nie było. Wysuszone na piasek powietrze szczypało w oczy. W lejach wentylatorów buszował gorący wiatr, szum i hałas był taki, jak w parowej kotłowni. Stos, jak każdy stos, pracował bezgłośnie — wyły obciążone do ostateczności agregaty chłodzenia. Zamurowane w betonie kilometry rurociągów, którymi śmigał lodowaty płyn, wydawały przedziwne, jakby skarżące się, bełkotliwe jęki. Strzałki pomp leżały za soczewkowatymi szklami pochylone jak jedna na prawo. Pośród zegarów jaśniał jak księżyc najważniejszy — gęstości strumienia neutronów. Wskazówka dotykała niemal czerwonej granicy — widok, który każdego inspektora SPT mógł przyprawić o udar serca.

Chropawa od cementowych łat, podobna do skały betonowa ściana zionęła martwym upałem, blachy pomostu delikatnie wibrowały, wsączając w całe jego ciało nieprzyjemne drzenie, światło lamp połyskiwało tłusto w migocących tarczach wentylatorów; jedna z sygnałowych lampek, dotąd biała, poczęła mrugać, aż zgasła i wnet zapłonął w tym miejscu czerwony sygnał. Wszedł pod pomost, gdzie mieściły się wyłączniki rozrządu, ale Boman uprzedził go już: zegarowy automat nastawiony był na rozerwanie reakcji łańcuchowej za cztery godziny. Nie ruszył go, skontrolował tylko Geigery. Cykały spokojnie. Sygnalizator wskazywał drobny przeciek — 0,3 rentgena na godzinę. Zajrzał jeszcze w ciemny kąt komory. Był pusty. — Terminus! — krzyknął. — Hej, Terminus! Nie było odpowiedzi. W klatkach białymi plamkami skakały niespokojnie myszy — widać kiepsko się czuły w iście podzwrotnikowej temperaturze. Wrócił na górę i zarygłował za sobą drzwi. Dreszcz przeszedł go w chłodnym powietrzu korytarza — koszulę miał mokrą od potu. Nie wiadomo po co zapuścił się w zwężające się ku tyłowi, ciemnawe korytarze rufy, aż drogę zamknął mu ślepy mur. Dotknął go dłonią. Mur był ciepły. Westchnął, zawrócił, pojechał windą na czwarty pokład, do nawigacyjnej i wziął się do wykreślania kursu. Kiedy się z tym uporał, zegar wskazywał dziewiątą. Zdziwił się, bo ani spostrzegł, jak zleciał mu czas, Zgasił światło i wyszedł.

Wsiadając do windy poczuł, że podłoga uchodzi mu miękko spod stóp. Automat wyłączył stos zgodnie z programem.

W słabo oświetlonym nocnymi lampkami korytarzu śródokręcia miarowo szumiały wentylatory. Iskry dalekich żarówek filowały w krzyżujących się prądach powietrza. Odepchnął się lekko od drzwi windy i popłynął przed siebie. Boczna sekcja korytarza była jeszcze ciemniejsza. W niebieskawym półmroku mijał drzwi kajut, do których ani dotąd nie zajrzał. Ujścia rezerwowych włazów, oznaczone rubinowymi lampkami, otwierały swe czarne leje. Ten tak płynny, że jak gdyby śniony ruch, jakim sunął, nieważki pod zakłętymi stropami, z wielkim, nie dotykany stopą cieniem u stóp, wiódł go coraz dalej, aż przez uchylone drzwi wpłynął do wielkiej, nie używanej mesy. Pod nim, w smudze światła, długi stół flankowały rzędy foteli. Trwał w zawieszeniu ponad sprzętami, jak nurek, zwiedzający wnętrze zatopionego okrętu. W słabo połyskujących szklach u ściany zatańczyły odbicia lamp, rozsypały się niebieskimi płomyczkami i zgasły. Za mesą otwierało się następne, jeszcze ciemniejsze pomieszczenie. Tu nawet jego przywykłe do mroku oczy zawiodły. Po omacku dotknął końcami palców elastycznej powierzchni nie wiedząc, czy to strop, czy podłoga. Odepchnął się lekko, wykręcił jak pływak i pomknął bezgłośnie dalej. W aksamitnej czerni białawy, promieniując własnym światłem. podługowate, szeregiem ustawione kształty. Poczul zimno gładkiej powierzchni — to były umywalnie. Najbliższą pokrywały czarne plamy. Krew?

Wyciągnął ostrożnie rękę. To był towot.

Jeszcze jedne drzwi. Otworzył je, wisząc skośnie w powietrzu, w szarawym półmroku przefrunęły przed jego twarzą widmowym korowodem jakieś papiery, książki, i zaszeleściwszy słabo, znikły. Znów odbił się, tym razem nogami, i przez otwarte drzwi wychynął na korytarz w kłębach kurzu, który otoczył go i zamiast spaść, ciągnął za nim rudawym welonem.

Sznur nocnych świateł płonął nieruchomo. Jakby niebieska woda wypełniała pokłady. Poszybował ku wiszącej u stropu linie; pętle, gdy wypuszczał je z rąk, poczynały wężować leniwie, jakby zbudzone dotknięciem.

Podniósł głowę. Gdzieś, niedaleko, rozległo się stukanie. Ktoś uderzał młotkiem w metal. Płynął za tym dźwiękiem, to narastającym, to ginącym, aż dostrzegł wpuszczone w podłogę zardzewiałe szyny. Kiedyś wtaczano nimi lory do głównych ładowni. Leciał teraz szybko, z podmuchem powietrza na twarzy. Dźwięk kołatał głośnie. Naraz zobaczył pod stropem rurę. Wychodziła z poprzecznego korytarza. Stary, calowy przewód

rurociągu. Dotknął go. Rura zadrgała. Uderzenia łączyły się w grupy, po dwa, po trzy. Nagle zrozumiał. To był alfabet Morsego.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

— Uwaga...

— Uwaga... Trzy uderzenia,

— J-e-s-t-e-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a- — dudniła rura. Odruchowo składał litery, zgłoskę po zgłosce,

— L-o-d-w-s-z-e-d-z-i-e...

— Lód? — Nie zrozumiał w pierwszej chwili. Może lód? Jaki lód? Co to znaczy? Kto...

— Z-b-i-o-r-n-i-k-p-e-k-n-i-e-t-y- — odezwała się rura. Trzymał na niej dłoń. Kto to nadaje? Gdzie? Usiłował uzmysłwić sobie przebieg rurociągu. Był to nie używany przewód awaryjny, szedł z rufy, oddając odgałęzienia na wszystkich pokładach. Ktoś ćwiczy się w Morsie? Co za pomysł! Pilot?

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Pauza.

Pirx przestał oddychać. To nazwisko trafiło go jak cios. Jakąś sekundę patrzył rozszerzonymi oczami na przewód, naraz rzucił się naprzód. — To ten drugi pilot! — pomyślał, dopadł zakrętu, odepchnął się i leciał ku sterowni, nabierając szybkości, a rura dzwoniła nad nim:

— W-a-y-n-e-t-u-s-i-m-o-n...

Dźwięk oddalił się. Stracił rurę z oczu; rzucił się w bok — skręcała w poprzeczny korytarz. Z impetem odbił się od ściany i poprzez obłok kurzu wpatrzył się w zgięty kikut rury z wkręconą, zardzewiałą zaślepką. Urywała się tu. Nie szła do sterowni? Więc — więc to z rufy? Ale — tam — nikogo nie ma...

— P-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-o-s-t-a-t-n-i-a — dzwoniła rura. Wisiał pod stropem, zaczepiony zgiętymi palcami o rurę, jak nietoperz, tętna waliły mu w głowie. Po krótkiej pauzie poszły dalsze uderzenia:

— B-u-t-l-a-m-a-t-r-z-y-d-z-i-e-ś-c-i-d-o-z-e-r-a... Trzy uderzenia.

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n... Pauza.

Rozejrzał się. Było zupełnie cicho, tylko żaluzja wentylatora kłapała za zakrętem w podmuchach powietrza i wymiatane stamtąd śmieci ciągnęły wirując ospale w górę, rzucając ponad lampami cienie na strop, jakby całymi rojami polatywały tam

wielkie, niekształtne ćmy. Naraz posypały się gwałtowne uderzenia :

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-p-r-a-t-t-m-o-m-s-e-n-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-m-a-t-l-e-n-w-s-i-o-d-m-y-m-c-z-y-m-o-z-e-s-z-p-r-z-e-j-s-e-o-d-b-ł-o-r...

Pauza. Światło lamp było wciąż jednakowe, śmieci i kurz krążyły powolnymi obrotami, Chciał puścić rurę, ale nie mógł.

Czekał. Odezwała się.

— S-i-m-o-n-d-o-m-o-m-s-s-e-n-a-p-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a-z-o-s-t-a-t-n-i-a-b-u-t-l-a-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Ostatnie, ciężkie uderzenie. Rura wibrowała po nim długo. Pauza. Kilkanaście niezrozumiałych stuknięć i szybka seria:

— S-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i-s-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i...

Cisza.

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r...

Cisza.

Rura drgnęła. Jakby z bardzo daleka dochodziły oderwane stuknięcia. Trzy kreski. Trzy kropki. Trzy kreski. SOS. Każde następne uderzenie było słabsze. Jeszcze dwie kreski. I jeszcze jedna. I przeciągły, zamierający dźwięk, jakby ktoś skrobał czy drapał rurę — można go było słyszeć tylko w tej bezwzględnej ciszy.

Odepchnął się i głową naprzód poleciał wzdłuż rury, zakręcał, gdy ona zakręcała, unosił się, opadał, z podmuchem rozstępującego się powietrza na twarzy. Otwarty szyb. Pochylnia. Zwężające się ściany. Jedne, drugie, trzecie wrota ładowni. Zrobiło się ciemniej. Wiódł końcami palców po rurze, żeby jej nie zgubić, czarny, zapiękły kurz oskorupiał mu dłonie; był już poza pokładami, w pozbawionej stropów i podłóg przestrzeni, oddzielającej pancierz zewnętrzny od ładowni; między trawersami ciemniały napuchłe cielska rezerwowych zbiorników, z wysoka docierały tu pojedyncze, pełne kurzu smugi światła. W jakiejś chwili spojrzął w górę i zobaczył poprzez czarny szyb dwie ulice lamp, rude od prochu, który ciągnął się za nim wydłużonym obłokiem, jak dym niewidzialnego pożaru. Powietrze było tu zatęchłe, duszne, o woni nagrzaných blach. Szybował pośród ledwo majających cieni żelaznej konstrukcji, rura dzwoniła przeciągle:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Rura rozwidliła się. Zaciskał w rękach oba odgałęzienia, żeby wyczuć, skąd biegnie dźwięk, ale nie mógł odróżnić kierunku. Na chybił trafił puścił się w lewo. Jakiś właz. Zwężający się, czarny jak smoła tunel. Na końcu — okrągłe światło. Wypadł na wolną przestrzeń. Był w przedsionku reaktora.

— T-u-w-a-y-n-e-p-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a — dzwoniła rura, kiedy odryglował pierwsze drzwi. W twarz buchnęło mu gorące powietrze. Wszedł na pomost. Sprężarki wyły. Ciepły wiatr rozburzył mu włosy. Widział w skrócie betonową ścianę reaktora, zegary świeciły, czerwonymi kroplami drżały światła sygnałów.

— S-i-m-o-n-d-o-w-a-y-n-e-a-s-l-y-s-z-e-m-o-m-s-s-e-n-a-p-o-d-e-m-n-a
— łomotała tuż przy nim rura. Wychodziła ze ściany, łukiem biegła w dół, łącząc się z głównym rurociągiem. Automat stał, rozkraczony, przed jego obsadą. Walczył jak gdyby z niewidzialnym przeciwnikiem, tak błyskawiczne były wypady jego rąk. Pełnymi garściami ciskał cementowe ciasto, rozprawdzał je skośnym chłaśnięciem, poprawiał, modelował, przechodził do następnego odcinka — wtedy następowała pauza. Pirx wsłuchał się w rytm jego pracy. Chodzące, jak tłoki, ramiona wybijały:

— M-o-m-s-s-e-n-r-z-u-c-p-r-z-e-w-o-d-p-r-a-t-t-t-r-a-c-i-t-l-e-n...

Terminus zastygł z uniesionymi ramionami, zawieszony naprzeciw swego na wpół ludzkiego cienia. Jego kwadratowa głowa poruszała się w lewo i w prawo. Badał następne złącze. Pochylił się. Nabrał złożoną jak szufla rękawicą cementu. Zamachnął się. Ręce wchodziły w rytm. Rura zadygotała od uderzeń:

— N-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... Pirx przełożył nogi przez reling i spłynął w dół.

— Terminus! — krzyknął, nim jeszcze dotknął stopami podłogi.

— Słucham — odpowiedział natychmiast automat. Jego lewe oko zwróciło się ku człowiekowi; drugie chodziło dalej w orbicie, za rękami, które obrzucały rurę cementem, wybijając:

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r....

— Terminus! Co robisz!! — krzyknął Pirx.

— Jest przeciek. Cztery dziesiąte rentgena na godzinę. Plombuję go — odpowiedział głuchym basem automat, podczas kiedy jego ręce wybijały równocześnie:

— T-u-w-a-y-n-e-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

— Terminus!!! — jeszcze raz krzyknął Pirx. Patrzył to na metalową twarz z zezującym ku niemu lewym okiem, to na miganie żelaznych rękawic.

— Słucham — tak samo monotonna powtórzył automat.

— Co... nadajesz Morseem?!

— Plombuję przeciek — odparł niski głos.

— S-i-m-o-n-d-o-w-a-y-n-e-a-p-o-t-t-e-r-a-p-r-a-t-t-m-a-z-e-r-o-m-o-m-s-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... — łomotało żelazo pod jego śmigającymi rękawicami. Ciężkie, cementowe ciasto rozplaszczalo się, ściekało, rękawice podrywały je w górę, przytwierdzały, dociskały do obłej powierzchni. Na jakąś sekundę zastygły uniesione, potem automat pochylił się, nabrał nową porcję metalicznego cementu i posypała się lawina gwałtownych

rękawicą, nałożyła się druga, daleko słabsza — wystukiwały ją palce lewej; sygnały zmieszały się i przez kilkanaście sekund rurociąg trząsł się z hałasem podwójnego kucia, z którego wychnęła zamierająca seria:

— Z-m-n-o-w-r-e-c-e-n-i-m-o-g-j-u-z...

— Terminus... — powiedział, samymi wargami, Pirx. Cofał się ku żelaznym schodkom. Automat nie usłyszał go. Jego tors, świecący od oliwy, drgał zgodnie z rytmem pracy. Nawet nie słuchając, z samych jego błysnięć mógł Pirx odczytać:

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

III

Leżał na wznak. Ciemność roiała się od błysków, powstających w jego oczach. Pratt szedł w głąb statku. Tak? Kończył mu się tlen. Tamci dwaj nie mogli mu pomóc. A Momssen? Dlaczego nie odpowiadał? Może nie żył już? Nie, Simon słyszał go. Musiał być gdzieś blisko — o ścianę. O ścianę? To by znaczyło, że pomieszczenie, w którym był Momssen, zawierało powietrze. Inaczej tamten nic by nie słyszał. Co słyszał? Kroki? Dlaczego wzywali go? Dlaczego się nie odzywał?

Rozdzielone na kropki i kreski głosy agonii. Terminus. Jak to się stało? Odnaleziono go pod stosem zwalisk, na dnie komory. Zapewne w miejscu, gdzie rurociąg wychodzi z niej na zewnątrz. Zasypany rumowiskiem, mógł słyszeć stukanie — jak długo? Zapasy tlenu są znaczne. Mogą wystarczyć na miesiące. Żywność też. A więc spoczywał tam, pod gruzami... zarazi Nie było przecież ciężenia. Co go unieruchomiło? Chyba zimno. Automaty nie mogą poruszać się przy bardzo niskiej temperaturze. Olej ścina się w stawach. Płyn hydrauliczny zamarza i rozsadza przewody. Pozostaje tylko metalowy mózg — tylko mózg. Mógł słyszeć i utrwalac sygnały, coraz słabsze, zachowały się w elektrycznych zwojach jego pamięci, jakby to było wczoraj. A on sam o tym nie wie? Jak to może być? Nie wie, że modelują rytm jego pracy? Może kłamie? Nie — automaty nie kłamią.

Zmęczenie zalewało go jak czarna woda. Może nie należało tego słuchać? Było w tym coś ohydneho, tak przypatrywać się utrwalonej w każdym szczególe agonii, śledzić jej postępy, żeby analizować potem każdy sygnał, wołanie o tlen, krzyk. Nie wolno tego robić — jeśli nie można pomóc. Był już tak nieprzytomny, że nie wiedział, o czym myśli, ale powtarzał jeszcze wargami, bez głosu, jakby sprzeciwiając się komuś:

— Nie. Nie. Nie.

Potem nie było już nic.

Zerwał się w zupełnej ciemności. Chciał usiąść na łóżku, ale przypięta kołdra nie puściła, po omacku mocował się z pasami, zrobił światło.

Silniki pracowały. Narzucił płaszcz, oceniając jednocześnie kilkakrotnym ugięciem kolan wielkość przyspieszenia. Jego ciało ważyło dobrze ponad sto kilogramów. Z półtora g? Rakieta skręcała, czuł wyraźną wibrację, szafy w ścianach potrzaskiwały przeciągle, ostrzegawczo, drzwi jednej otwarły się z gniewnym krakaniem, wszystkie nie umocowane przedmioty, ubranie, buciki, posuwały się drobnymi ruchami w stronę rufy, jakby zjednoczone w jakimś skrytym zamiarze, który je znienacka ożywił.

Podszedł do szafki interkomu, otworzył drzwiczki, w środku stał aparat, podobny do starego telefonu.

— Sterownia! — krzyknął do słuchawki.

Aż skrzywił się od własnego głosu — tak bolała go głowa.

— Tu pierwszy. Co tam?

— Poprawka kursowa, nawigatorze — odpowiedział daleki głos pilota. — Zniosło nas trochę.

— Ile?

— Sze–siedem sekund.

— Jak stos? — zapytał powoli.

— Sześćset dwadzieścia w osłonie.

— A w ładowniach?

— Burtowe po pięćdziesiąt dwa. kilowe — czterdzieści siedem, rufowe — dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt pięć.

— Jakie tam było odchylenie, Munro? Ile pan powiedział?

— Siedem sekund.

— Powiedzmy — odparł Pirx i rzucił słuchawkę. Pilot, oczywiście, ołgał go. Siedmiosekundowa poprawka nie wymagałaby takich przyspieszeń. Oceniał zejście z kursu na kilka stopni.

Paskudnie grzeją się te ładownie. Co jest w rufowej? Żywność? Usiadł przy biurku.

Błękitna Gwiazda Terra Mars do Kompo Ziemia. Pierwszy do armatora. Reaktor grzeje ładunek stop brak specyfikacji zagrożonego na rufie stop proszę wskazania stop nawigator Pirx koniec.

Pisał jeszcze, kiedy silniki umilkły, ciężenie znikło i od nacisku ołówka uniósł się w powietrze. Niecierpliwie odbił się od sufitu, by wylądowawszy z powrotem na fotelu, przeczytać jeszcze raz radiogram.

Po zastanowieniu się przedarł formularz i wrzucił kawałki do szuflady. Senność odeszła go na dobre, pozostał tylko ból głowy. Ubierać się nie chciał, była to, przy braku grawitacji, skomplikowana procedura, złożona z chwiejnych podskoków i szamotania się z poszczególnymi częściami garderoby, więc tak, jak stał, w płaszczu narzuconym na pidżamę, opuścił kajutę.

Błękit nocnego oświetlenia skrywał żaloszny stan obić. W czterech najbliższych wnękach dyszały puste i czarne wyloty szybów wentylacyjnych, wałęsające się po kątach śmieci ściągało ku nim, niczym muł unoszony podmorskim prądem. Bezwzględna cisza

wypełniała cały statek. Wsłuchany w nią, prawie nie poruszając się, zawisły przed wielkim własnym cieniem, który trwał skośnie pochylony na ścianie, przymknął oczy. Zdarzało się czasem, że ludzie zasypiali w takim zawieszeniu, ale było to niebezpieczne — byle zryw silników, uruchomionych dla manewru, mógł cisnąć bezbronnym o pokład czy strop. Nie słyszał już ani wentylatorów, ani szumu własnej krwi. Wydało mu się, że potrafiłby tę ciszę nocną statku odróżnić od każdej innej. Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech — tylko statek nocą zatracił się w czarnym, lodowym milczeniu. Podniósł zegarek do oczu; dochodziła trzecia. Jeżeli tak dalej pójdzie, wykończę się — pomyślał. Odbił się od wypukłej ścianki działowej i niczym gaszący szybkość ptak wylądował z rozpostartymi rękami na progu kajuty. Z daleka, jakby z żelaznych podziemi, dobiegł go ledwo słyszalny dźwięk.

Bang — bang — bang.

Trzy uderzenia.

Z przekleństwem zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz, i nie troszcząc się on, cisnął go w powietrze; płaszcz wydał się powoli, niczym groteskowe widmo, jał płynąć w górę. Zgasił światło, położył się i okrył głowę poduszką.

Wariat! Przeklęty żelazny wariat!!! — powtarzał z zaciśniętymi powiekami, drżąc z niezrozumiałej dla samego siebie wściekłości. Zmęczenie wzięło szybko górę: ani wiedział, kiedy

znów zasnął.

Otworzył oczy przed siódmą. Półprzytomny jeszcze, podniósł rękę — nie opadła. Ciężenia nie było. Ubrał się i wyszedł. Zmierzając do sterowni, mimo woli nasłuchiwał. Było cicho. Przed drzwiami zatrzymał się. Na matowych szybach leżały zielonkawe, jakby podwodne, refleksy radarowych ekranów. W środku panował półmrok. Pilot, na wpół leżąc w swoim fotelu, palił papierosa. Płaskie smugi dymu pływały przed ekranami, zapalając się od ich odblasku. Słysząc było nikłe pobrzękiwanie jakiejś ziemskiej muzyczki, przerywane kosmicznymi trzaskami. Pirx usiadł z tyłu za pilotem; nie chciało mu się nawet sprawdzić zapisów grawimetrycznych.

— Kiedy ciąg? — spytał. Pilot był domyślny.

— O ósmej. Ale jeżeli pan się chce wykapać, nawigatorze, mogę dać zaraz — to żadna różnica.

— E, nie. Niech już będzie porządek — mruknął Pirx. Zapadło milczenie, tylko

głośnik bzyczał powtarzającym się w kółko, mechanicznym motywem melodii. Pirxa jął znowu morzyć sen. Ocykał się kilka razy, znowu zapadał w drzemkę, z ciemności występowały wielkie, zielone ślepia kotów, mrugał powiekami, zamieniały się w oświetlone zegary — balansował tak na granicy jawy i snu, wtem głośnik trzasnął i odezwał się:

— Tu mówi Dejmos. Jest godzina siódma trzydzieści. Nadajemy codzienny komunikat meteorytowy dla strefy wewnętrznej. Pod wpływem pola grawitacyjnego Marsa powstało w roju Drakonidów, który opuścił już strefę Pasa, za wichrzenie brzeżne. W dniu dzisiejszym będzie ono przechodzić przez sektory 83, 84 i 87. Stacja meteorytowa Marsa szacuje rozmiary chmury na 400 tysięcy kilometrów sześciennych. W związku z tym ogłasza się sektory 83, 84 i 87 za zamknięte dla żeglugi aż do odwołania. Obecnie podamy skład chmury, przekazany bezpośrednio przez sondy balistyczne Fobosa. Według otrzymanego ostatnio doniesienia chmurę tworzą mikrometeoryty klasy X, XY, Z...

— Dobrze, że to nie dla nas — zauważył pilot — dopiero co zjadłem śniadanie, nie posłużyłoby mi, jakby tak przyszło dać wszystko w dysze!

— Ile robimy? — spytał Pirx, Wstał.

— Ponad pięćdziesiąt.

— Tak? Nie najgorzej — mruknął Pirx. Sprawdził kurs, zapisy uranografów, wielkość przecieku — utrzymywał się na jednakowym poziomie — i poszedł do mesy. Byli tam już obaj j oficerowie. Pirx czekał, czy któryś nie wspomni o nocnych hałasach, ale rozmowa obracała się cały czas wokół loteryjnego ciągnięcia — niecierpliwie wyczekiwał go Sims i z tej racji opowiadał o kolegach i znajomych, którym udało się wygrać.

Po śniadaniu Pirx udał się do nawigacyjnej nakreślić przebyty odcinek drogi. W pewnej chwili wbił cyrkle w rysownicę, wyszarpnął szufladę, dobył z niej książkę okrętową i poszukał składu ostatniej załogi KORIOŁANA.

Oficerowie: Pratt i Wayne, piloci: Nolan i Potter mechanik: Simon...

Wpatrywał się uporczywie w zamaszyste pismo dowódcy. Na koniec wrzucił książkę do szuflady, dokończył kreślenia i z rulonem kalki pojechał do sterowni. W pół godziny obliczył dokładny czas przybycia na Marsa. Wracając, zajrzał przez szybę w drzwiach do mesy. Oficerowie grali w szachy, felczer siedział przed telewizorem z elektryczną grzałką na brzuchu. Pirx zamknął się w kajucie i przejrzał radiogramy, które wziął od pilota. Ani się obejrzał, jak zmorzył go sen. Kilka razy w drzemce zdawało mu się, że silniki zaczynają ciągnąć, i usiłował się obudzić z takim skutkiem, że śnił, jak wstaje, idzie do sterowni, znajduje ją pustą i w poszukiwaniu kogokolwiek z załogi poczyna błędzić w ciemnym jak smoła labiryncie rufowych korytarzy. Ocknął się przy biurku, mokry od potu. zły, bo

przeczuwał już, jaką będzie miał noc po tylu przespanych za dnia godzinach. Kiedy pod wieczór pilot włączył silniki, skorzystał z tego i wziął gorącą kąpiel. Odświeżony, poszedł do mesy, wypił przygotowaną kawę i spytał przez telefon wachtowego o temperaturę reaktora. Podpełzała pod tysiąc, ale jakoś nie mogła przekroczyć krytycznej. Około dziesiątej wezwała go sterownia — mijali jakiś statek, który wywołał ich, pytając o lekarza. Pirx, dowiedziawszy się, że chodzi o ostry atak ślepej kiszki na pokładzie, wołał nie polecać swego felczera, tym bardziej że w odległości ledwo trzech milionów kilometrów szedł wielki pasażerski, który ogłosił gotowość zastopowania i przerzucenia lekarzy.

I tak leniwie, bez przygód, upłynął cały dzień. O jedenastej białe światło zmieniło na wszystkich pokładach, z wyjątkiem sterowni i komory stosu, mżenie błękitnawych lampek nocnych. W mesie świeciła jeszcze niemal do północy mała lampa nad szachownicą. Siedział tam Sims. Grał sam przeciw sobie. Pirx poszedł jeszcze sprawdzić temperaturę w dennych ładowniach i spotkał po drodze wracającego ze stosu Bomana. Inżynier był raczej dobrej myśli — przeciek nie wzrastał, a chłodzenie działało wcale sprawnie.

Inżynier pożegnał się i odszedł, zostawiwszy Pirxa w pustym, chłodnym korytarzu. Słaby wiew ciągnął w górę statku, resztki zakurzonych pajęczyn osnuwających wyloty wentylacyjne trzepotały bezgłośnie.

Pinc chodził jakiś czas wysokim jak nawa kościelna przejściem między głównymi ładowniami, aż kilka minut po północy silniki zamilkły.

Z różnych stron statku dobiegła go seria zmieszanych, ostrych i stłumionych, coraz dalszych i słabszych odgłosów — to nie przymocowane przedmioty, poruszając się z nadanym przyspieszeniem, uderzały o ściany, stropy, podłogi; echo tych ruchów, które na moment wypełniły nagle jakby ożywający statek, drżało chwilę w powietrzu, aż zgasło i znowu była cisza, podkreślona miarowym szumem wentylatorów.

Pirx przypomniał sobie, że szuflada biurka w nawigacyjnym jest spaczona, i w poszukiwaniu stolarskiego dłuta zeszedł długim, wąskim jak kiszka korytarzem między lewoburtową ładownią a tunelem kablowym do rupieciarni, najbardziej chyba zakurzonego miejsca statku; na dodatek kurz, w którym brodził wyżej głowy, nie opadał, tak że na pół uduszony ledwo trafił po omacku w wyjściowe drzwi.

Był już blisko śródokręcia, kiedy w korytarzu odezwały się kroki. Wobec braku ciężenia iść mógł tylko automat. W samej rzeczy donośnym stąpnięciem towarzyszył trzask przywierających do podłogi magnetycznych ssawek. Pirx zaczekał, aż w przejściu ukazała się czarna na tle dalekich światła sylweta. Terminus szedł, chwiejąc się niepewnie, z wielkimi wymachami ramion.

— Hej. Terminus! — odezwał się, wychodząc z cienia.

— Słucham.

Ciężka postać zatrzymała się; korpus poszedł bezwładnością do przodu i powoli odzyskał pion.

— Co tu robisz?

— Myszy — odpowiedział głos zza piersiowej tarczy potęgując wrażenie, że z wnętrza pierściennej zbroi przemawia zachrypnięty karzeł. — Myszy mają niespokojny sen. Budzą się. Biegają. Są spragnione. Jeżeli są spragnione, trzeba im dać wody. Myszy dużo piją, jeżeli wysoka temperatura.

— A co ty robisz? — zagadnął Pirx. Automat zakołysał się.

— Wysoka temperatura. Chodzę. Wciąż chodzę, jeżeli wysoka temperatura. Wody myszom. Jeżeli wypiją i usną, dobrze.

Niejednokrotnie zdarzały się pomyłki na skutek wysokiej temperatury. Czuwam. Wychodzę, wracam do reaktora. Wody myszom...

— Niesiesz wodę myszom? — spytał Pirx.

— Tak. Terminus.

— Gdzie masz tę wodę?

Automat powtórzył jeszcze dwa razy „wysoka temperatura” i z łudzącym wrażeniem, że działa w nim ukryty człowiek — bo wykonał obu rękami gest zaskoczenia, szybki i nieporadny zarazem, podnosząc je kolejno do oczu, których obiektywy poruszyły się w oczodołowej oprawie, skierowane na wnętrze metalowych dłoni — powiedział:

— Nie ma wody. Terminus.

— Więc gdzie jest ta woda? — nalegał Pirx. Spod przymrużonych powiek obserwował górującego nad nim o głowę robota, który wydał kilka niezrozumiałych odgłosów i nieoczekiwanie wyrzekł basem:

— Za... pomniałem.

Pirx stracił się — tak bezbrinnie to zabrzmiało. Przez dobrą chwilę mierzył chwiejący się lekko korpus.

— Zapomniałeś, co? Idź do reaktora. Wracaj. Słyszysz?!

— Słucham.

Terminus zachrząsał. wykonał zwrot na miejscu i jał oddalać się tym samym, nadmiernie sztywnym ł przez to jakby starczym krokiem. Małał w perspektywie korytarza. Na jednym z ostatnich progów potknął się. zawiosłował ciężko barami, chwycił równowagę i znikł w poprzecznym przejściu. Jakaś chwilę ściany powtarzały echo jego marszu. Pirx zaczął

wracać do siebie, naraz rozmyślił się i płynąc bezszelestnie nad podłogą, dotarł do szóstego wentylacyjnego. Poruszanie się szybami, nawet przy wyłączonych silnikach, było zabronione, ale zlekceważył zakaz. Odepchnął się silnie od relingów i w dziesięć sekund przesybował odległość siedmiu pięter, dzielącą śródkręcie od rufy. Nie wszedł do komory stosu. W połowie wysokości ściany widniała podłużna zasuwka. Podpłynął ku mej. odryglował wąskie drzwiczki i odsunął je. Za drzwiczkami znajdowało się wpasowane w stal. prostokątne okienko z ołowiowego szkła. stanowiące tylną ścianę klatek z myszami. Dzięki temu można je było obserwować, nie wchodząc do komory. Zobaczył, tuż za szkłem, zanieczyszczone, puste dna klatek, a dalej, poprzez druciane siatki, w głębi komory, oświetlone z wysoka lampą. błyszczące reflektorami, złane wodą plecy robota, który wisiał niemal poziomo w powietrzu, ospale poruszając rękami. Całą jego zbroję oblażyły białe myszki; biegając truchcikiem po blachach naramienników, piersiowych tarcz, skupiając się tam. gdzie w zakłębłościach rozczłonkowanego brzucha nagromadziła się grubymi kroplami woda. zlizywały ją. podskakiwały, polatywały w powietrzu, a Terminus łowił je, przemykały mu między żelaznymi palcami, ich ogonki zwijały się w esy i floresy — obraz był tak osobliwy, tak komiczny, że Pirxowi zachciało się śmiać. Terminus wtykał tymczasem schwytane myszy do klatek, jego metalowa twarz niebezpiecznie zbliżyła się do oczu Pirxa, ale najwidoczniej nie dostrzegł go. Jeszcze dwie, trzy myszki polatywały w powietrzu. Terminus uporał się i z nimi, zamknął klatkę i znikł Pirxowi z oczu — tylko jego nadludzki cień, oparty o mufę głównego rurociągu, rozwianym krzyżem położył się na betonie reaktora.

Pirx zasunął cicho drzwiczki, wrócił do kajuty, rozebrał się i położył, ale nie mógł usnąć. Jakiś czas czytał pamiętniki astrologatora Irvinga, ale oczy piekły go, jak zasypane piaskiem, głowa ciążyła, zarazem jednak trzeźwy był jak pieprz. Pomyślał z rozpaczą o ilości godzin, dzielących go od dnia, i narzuciwszy płaszcz wyszedł.

Na skrzyżowaniu głównego korytarza z burtowym dobiegło go z wentylacyjnego szybu stąpanie. Przybliżył głowę do kraty otworu. Odgłos, zniekształcony echem żelaznej studni, płynął z dołu. Odepchnął się od kraty, szybując chwilę nogami naprzód, i najbliższym pionowym przejściem dostał się na poziom rufy. Kroki rozebrzmiały głośniejsz, zamarły, nasłuchiwał — odezwały się z nową siłą. Automat wracał. Pirx oczekiwał go pod samym stropem wysokiego w tym miejscu korytarza. W głębi pokładu zgrzytały powłócone podeszwy. Dźwięk zgasł. Tracił już cierpliwość, gdy stąpanie ponowiło się, z przejścia wychynął długi cień i w ślad za nim ukazał się Terminus. Przeszedł pod Pirxem tak blisko, że słysząc było bicie jego hydraulicznego serca. Kilkanaście kroków dalej przystanął i wydał przeciągły syk. Potem chybnął się parę razy w prawo i w lewo. jakby kłaniał się żelaznym

ścianom, i ruszył przed siebie. U ciemnego wejścia w boczny korytarz znowu stanął. Zajrzał tam. Przeciągłe syczenie powtórzyło się. Pirx, ledwo dotykając końcami palców stropu, popłynął za ciężką postacią.

— Kcsss... kcsss... — dochodziło go coraz wyraźniej. Terminus jeszcze raz przystanął przed następnym szybem wentylacyjnym, usiłował wsadzić głowę przez kraty, ale nie udało mu się; zasyczał, wyprostował się wolno i pokuśtykał dalej. Pirx miał tego dość.

— Terminus!! — krzyknął, Automat, który właśnie się pochylał, zastygł w pół ruchu.

— Słucham — odpowiedział. — Co znowu tu robisz?

Patrzył w spłaszczoną metalową maskę, chociaż nie była twarzą — i nie mogła nic zdradzić.

— Szukam... — odezwał się Terminus. — Szukam... kota.

— Co?!

Terminus jął się prostować. Rósł w górę, z bezwładnie zwisającymi ramionami, jakby o nich zapomniał, a przez to, że w słabym poskrzypywaniu stawów robił to tak wolno, ruch ten miał w sobie coś groźnego.

— Szukam kota — powtórzył.

— Po co?!

Terminus milczał chwilę, zastygł w posąg z metalu.

— Nie wiem — powiedział cicho i Pirx zmieszał się. Przez swój martwy spokój, w słabym blasku lamp, z porzewiałymi szynami torowiska u zamkniętych wrót, korytarz wyglądał jak sztolnia opuszczonej kopalni.

— Dostyc tego — odezwał się wreszcie. — Wracaj do reaktora i nie wychodź stamtąd, słyszysz?!

— Słucham.

Terminus odwrócił się i odszedł. Pirx został sam. Prąd powietrza unosił go, zawisłego między stropem i podłogą, milimetr po milimetrze, w stronę otwartej paszczy wentylatora. Odbił się stopą od ścian, skręcił ku windzie i poszybował w górę, mijając po drodze czarne ziewy szybów, w których, jak chód olbrzymiego zegara, dudniły coraz słabsze i dalsze kroki automatu.

IV

W ciągu następnych dni pochłonęła Pirxa matematyka. Za każdym nowym włączeniem stos grzał się coraz bardziej, zarazem jego wydajność malała. Boman przypuszczał, że neutronowe lustra są bliskie ruiny. Świadczył o tym wzrastający wolno, lecz nieubłaganie przeciek radioaktywny. Skomplikowanym rachunkiem starał się wydozować czasy napędu i chłodzenia, podczas przestojów reaktora przerzucał cyrkulację mrożącego płynu z burtowych ładowni w głąb rufowych, gdzie panowała iście tropikalna temperatura. To lawirowanie między sprzecznymi wielkościami wymagało cierpliwości — przesiadywał przy Kalkulatorze, szukając metodą prób i błędów najlepszego rozwiązania. W rezultacie przebyli czterdzieści trzy miliony kilometrów ze znikomym opóźnieniem. W piątym dniu podróży osiągnęli, na przekór pesymistycznym przewidywaniom Bomana, wymagany pułap szybkości. Wyłączając reaktor, który miał stygnąć aż do ładowania, Pirx odetchnął skrycie. Jedną z osobliwości dowodzenia starym frachtowcem było to, że widywał gwiazdy daleko rzadziej aniżeli na Ziemi. Nie był ich zresztą ciekaw — nawet czerwonej jak miedziak tarczki Marsa; wystarczyły mu kursowe wykresy.

Późnym wieczorem ostatniego dnia podróży, kiedy przerywana z rzadka błękitnymi lampkami ciemność powiększyła się jak gdyby pokłady, przypomniał sobie o ładowniach. Dotychczas nawet do nich nie zajrzał.

Opuścił mesę, w której Sims grał, jak co dzień, w szachy z Bomanem, i zjechał windą na rufę. Od ostatniego spotkania nie widział ani nie słyszał Terminusa. Zauważył tylko, że kot przepadł gdzieś tak gruntownie, jakby go w ogóle nie było na statku.

Ledwo oświetlone śródkręcie oddychało szelestem płynącego bez końca powietrza. Gdy otworzył drzwi, w hali zapaliły się pod grubą warstwą kurzu lampy. Przemierzył ładownię z jednego końca w drugi. Sterty skrzyń, sięgające niemal stropu, rozdzielało wąskie przejście. Sprawdzał napięcie stalowych taśm, zakotwiczonych w podłodze, którymi ściągnięta była każda piramida ładunku, a wywołany otwarciem drzwi przeciąg wysysał z ciemnych katów kłęby trocin, śmieci, pakuły, falujące słabo, niby kozuch rzęsy na wodzie.

Był już na korytarzu, kiedy usłyszał miarowe, powolne dźwięki.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

Dryfował chwilę w prądzie powietrza, który unosił go coraz wyżej. Czy chciał, czy nie chciał — musiał słuchać. Rozmawiało ich dwóch. Sygnały były słabe — jakby oszczędzali się, miarkując siłę uderzeń. Przychodziły raz wolniej, raz szybciej, jeden mylił się często,

jakby zapomniał alfabetu Morsego. Czasem milczeli dłuższy czas, czasem zaczynali nadawać równocześnie. Czarny korytarz z rozrzuconymi rzadko lampami zdawał się nie mieć końca, jakby szumiący w nim wiatr pochodził z bezgranicznej pustki.

— S-i-m-o-n-s-l-y-s-z-y-s-z-g-o — powoli, nieregularnie stukało w rurze.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e ————— n-i-e-s-l-y-s-z-e...

Z pasją odepchnął się od ściany i skulony, z podkurczonymi nogami, jak kamień pomknął w dół korytarzami coraz gorzej oświetlonymi; zbliżanie się rufy poznawał po rosnącej ilości delikatnego rudawego pyłu wokół lamp. Ciężkie drzwi stosu były nie domknięte. Zajrzał do środka.

W komorze było chłodno. Sprężarki, odstawione na noc, milczały, czasem tylko dziwnym, prawie ludzkim głosem zabelkotał ukryty w betonowym murze rurociąg, kiedy bańki gazu torowały sobie drogę przez gęstniejący płyn.

Terminus, ochlapany cementem, pracował. Nad jego poruszającą się wahadłowo czaszką furczał zawzięcie wentylator. Pirx, nie dotykając stopni schodów, zsunął się nad nimi z ręką na poręcz. Żelazne rękawice podźwiękiwały słabo, ich ciosy tłumiała warstwa świeżo narzuconego cementu. — N-i-e-s-l-y-s-z-e... o-d-b-i-o-r...

Czy sprawiał to przypadek, czy też nakaz spowolnienia uderzeń płynął z tego samego źródła, które wysyłało znaki Morsego, dość że rura odzywała się wciąż słabiej. Pirx stał tuż przy automacie. Rozczłonkowane segmenty jego brzucha, zachodzące na siebie, gdy się pochylał, przypominały karbowany odwłok owada. W szklanych oczach chwiały się miniaturowe odbicia lamp. Wpatrzony w nie Pirx poczuł, że jest w tej pustej komorze o stromych ścianach sam. Terminus nie wiedział, co robi, był maszyna, przekazująca utrwalone serie dźwięków, niczym więcej. Uderzenia wciąż słabły.

— S-i-m-o-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e — chwycił z wysiłkiem. Rytm rozpadał się. Dotknął rury jakieś pół metra nad zgiętym torsem pracującego automatu — kiedy poprawiał chwyt, kostki palców stuknęły o żelazo i nadawana właśnie seria urwała się na mgnienie. Przeszyty nagłym impulsem, nim zdążył pomyśleć, jak szalona jest chęć wtrącenia się do rozmowy sprzed lat, począł szybko wybijać:

— C-z-e-m-u-m-o-m-s-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... o-d-b-i-o-r...

Niemal w tej samej chwili, gdy uderzył pierwszy raz w rurę, stuknął w nią Terminus. Oba dźwięki zbiegły się, rękawica automatu zamarała, jakby usłyszawszy go, i kiedy skończył, po kilku sekundach zaczęła wtłaczać cement w szpary złącza. Rura zadźwięczała:

— B-o-m-a-p-r-a...

Paauza. Terminus schylił się, by zaczerpnąć cementowego ciasta. Czy to był początek

odpowiedzi? Pirx czekał bez tchu. Automat prostował się, ciskając gwałtownie cement, i rura poszły przyspieszające uderzenia:

— S-i-m-o-n-c-z-y-t-o-t-y...

— T-u-s-i-m-o-n-n-i-e-j-a... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l...

Weisnął głowę w ramiona; uderzenia leciały jak grad:

— K-t-o-m-o-w-i-l-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-k-t-o-m-o-w... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l-k-t-o-m-o-w-i-l-t-u-s-i-m-o-n-t-u-w-a-y-n-e-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

— Terminus! — krzyknął. — Przestań! Przestań!

Dudnienie ustało. Terminus prostował się, a jego naramienniki, barki, rękawice podrygiwały, cały korpus drgał żelazną czkawką, i z tych spazmatycznych wstrząsów Pirx odczytywał dalej:

— K-t-o-m-o-w-i... k-t-o... k-t-o...

— Przestań!!! — krzyknął raz jeszcze. Widział go z boku; ciężkie plecy przeszywał dreszcz, i refleks światła, odbitego od pancerza, powtarzał:

— K-t-o...

Jak gdyby wyczerpany burzą, która przez niego przeszła, automat drętwiał. Unosząc się nad podłogą, zawadził z przeciągłym zgrzytnięciem o pozioma gałąź rurociągu i zawisł przy niej, jakby schwytyany, w martwym spokoju, ale wpatrzywszy się weń. Pirx dostrzegł milimetrowe drganie bezwładnie opuszczonej ręki.

— K-t-o...

Nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu. Wentylatory szumiały. Płynął przed siebie, pod idący z górnych pokładów, chłodny, suchy wiatr, światła lamp oświetlającymi kręgami przesuwają mu się po twarzy.

Drzwi kajuty były nie domknięte, Na biurku paliła się lampa, płaskie kliny światła docierały dołem do ścian; strop był ciemny.

Kto to był? Kto go tak wołał? Simon? Wayne? Ależ ich nie było! Nie żyli od dziesiętnastu lat!

Więc kto to był — Terminus? Ależ on uszczelniał tylko rurociągi. Wiedział dobrze, co usłyszysz, jeśli spróbuje go badać — gadaninę o rentgenach, przecieku i plombach. Nie podejrzewa nawet, że odgłos jego pracy układa się w widmowy rytm.

Jedno jest pewne: ten zapis — jeśli to zapis — nie jest martwy. Kimkolwiek są ci ludzie — te głosy, te uderzenia — można z nimi mówić. Jeśli się tylko ma odwagę...

Odepchnął się od stropu i przepłynął chwiejnie do przeciwległej ściany. Do diabła! Chciało mu się chodzić, chodzić gwałtownymi krokami, mieć ciężar, uderzyć z całej siły pięścią w stół! Ten, pozornie tak wygodny stan, w którym przedmioty i własne ciało zmieniały się w niematerialne cienie, był jak koszmar. Wszystko, czego się tknął, usuwało się, odpływało, niepewne, pozbawione oparcia, stawało się wydętą pustką, pozorem, snem...

Snem?

Zaraz. Kiedy śni mi się ktoś i zadaję mu pytanie, nie znam odpowiedzi, dopóki nie padnie z jego ust. a przecież ten śniony człowiek nie istnieje poza moim mózgiem i jest tylko czasowo wyodrębnioną jego częścią. Każdy rozszczepia się tak niemal co dzień, a właściwie co nocy — dając początek chwilowym, na użytek jednego majaku powstałym pseudoosobowościom. Mogą to być istoty wymyślone — albo wzięte z jawy. Czy nie śnią nam się nieraz umarli? Czy nie prowadzimy z nimi rozmów?

Umarli.

Czyżby Terminus...

W swoim na pół świadomym krążeniu po kajucie, przepływając od jednej ściany do drugiej, odtrącany od twardych płaszczyzn, dotarł do drzwi i chwycił się ich. Widział ciemny wycinek korytarza z padającą w tę ciemność smugą światła.

Wrócić tam?

Wrócić i — pytać?

Jest to jakieś zjawisko fizykalne — bardziej skomplikowane od zwykłego zapisu; automat nie jest, w końcu, urządzeniem do utrwalania dźwięków. Powstał w nim zapis, obdarzony pewną autonomicznością, zmiennością, któremu — jakkolwiek brzmi to dziwnie — można stawiać pytania i dowiedzieć się — wszystkiego. Poznać losy Simona, Nolana, Pottera i to niezrozumiałe, przerażające — milczenie dowódcy.

Czy można wyobrazić sobie jakieś inne wytłumaczenie?

Chyba nie.

Był tego pewien, a jednak nie ruszał się z miejsca, jakby na coś czekał.

Koniec końców, nie ma w tym nic oprócz obiegu prądów wewnątrz żelaznego pudła. Nikogo żywego, żadnej istoty, ginącej w ciemności strzaskanego statku. Na pewno nic!

Wystukiwać, pod szklanymi oczami Terminusa, pytania? Ależ oni, zamiast wziąć się do składowego opowiadania swojej historii, zaczną krzyczeć do niego, wołać o tlen, o ratunek! Co odpowiedzieć? Że nie istnieją? Że są tylko „pseudoosobowosciami—mi”, wyizolowanymi wyspami elektrycznego mózgu, jego majaczeniem, jego czkawką? Że ich strach jest tylko imitacją strachu, a ich agonie, powtarzana każdej nocy, znaczy tyle, co zdarta płyta? Pamiętał

jeszcze wywołany swym pytaniem gwałtowny zryw uderzeń, ten krzyk, którym, pełni zdumienia i zbudzonej nieoczekiwanej nadziei, przyzywali go, to powtarzające się bez końca, natarczywe, pospieszne błaganie: „Odezwij się! Kto mówi? Odezwij się!!!”

Miał jeszcze w uszach, czuł w końcach palców rozpacz i furię tych uderzeń.

Nie istnieli? A więc kto go wzywał — kto wołał pomocy? I co z tego, gdyby fachowcy powiedzieli, że za tym krzykiem nie ma nic oprócz wirowania ładunków i drżenia zbudzonych rezonansem blach? Usiadł przy biurku. Wysunął szufladę. Przydusił gniewnie wstające z szelestem papiery, odnalazł ten, którego szukał, rozpostarł go przed sobą i wygładził starannie, by nie fruwał w oddechu. Wpisywał kolejno w drukowane rubryki:

MODEL: *AST — Pm — 105/OO44*

TYP: *Uniwersalny Naprawczy*

NAZWA: *Terminus*

RODZAJ USZKODZENIA: *Rozpad funkcji*

WNIOSKI... Zawahał się. Przybliżył pióro do papieru i cofał je. Myślał o niewinności maszyn, które człowiek obdarzył zdolnością myślenia i uczynił je przez to uczestnikami swych szaleństw. O tym, że mit Golema, maszyny zbuntowanej i powstającej przeciw człowiekowi, jest kłamstwem, wymyślonym po to, żeby ci, co niosą za wszystko odpowiedzialność, mogli ją z siebie zrzucić.

WNIOSKI: *Zdać na złom.*

I u dołu karty podpisał się z nieruchomą twarzą: *Pierwszy nawigator Pirx.*

ZE WSPOMNIENÍ LJONA TICHEGO (1)

Chcecie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie — nie żartuję. A zresztą — mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru — w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy — nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człekokształtnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkałych planet — to Ziemie, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie — bo to są w końcu ludzie — też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskierki to — kiedy postawić na nich nogę — państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny — że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórz, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych — czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczerých wynurzeń. Tak więc — aby nie zasmucać i nie upokarzać — dzisiaj nic o gwiazdach. Nie — nie będę milczał. Czulibyście się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

— Jak wiecie — miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiorę spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy — nadzwyczaj rzadko — w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie

uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żałosni są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencią twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić — to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomanii.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie — nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:

— Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości — nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

— W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania.

Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się zniecka — był dużo wyższy ode mnie — i powiedział:

— Ticho, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myślę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie — tu podał mi wizytówkę. — Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

— Corcoran! — wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina — ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obilo mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę

obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzający się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się czerpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś rudę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami — tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejkiej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu — odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętna zabawa znudziła mu się — został samotnikiem. Spytałem Savinellego, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

— On? W duchy?! — wykrzyknął. — Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą — wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym — ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero nazajutrz, późnym wieczorem — miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział, że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pograżone w ciemności. Najślabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadłem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym, spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

— Pozwól pan ze mną — powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płonęła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem — kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinął w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią: znowu stalowe, zamknięte drzwi — za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splątane pasy transmisyjne. Wędrowka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że — w przeciwieństwie do innych — nie zazgrzytały wcale, jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej — Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były ucepione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wicie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartkach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno — pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

— Tichy — zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza — niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu — niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość — rzucała się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczność aniżeli ciekawy odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale słychać.

— No, co pan słyszy? — spytał.

— Prawie nic — wyznałem — pobrzęk jakiś... ale to może tylko szum w uszach...

— Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

— Zobaczmy — odparłem — niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

— Czy zna się pan na mózgach elektrycznych?

— Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji — odparłem. — Z teorią raczej u mnie słabo.

— Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne — nieużyteczne — że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię — monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

— Każda z tych skrzyń zawiera układ elektronowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama. Na tym koniec podobieństwa. Bo nasze mózgi — uważaj pan! — podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego — za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj — wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie — mają swój „świat zewnętrzny” tam, w środku...

— Jakże to możliwe? — spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

— Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie

twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, lichy, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk — co będzie pan czuł?

— Zapach goździka, oczywiście — odparłem, a profesor, skinąwszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

— A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

— Jasne.

— Teraz tak. Te skrzynie mają receptory—organy, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów — jak gdyby nerwy — zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

— Nie — powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

— To jest ich los — powiedział spokojnie profesor Corcoran. — Ich los, ich świat, ich byt — wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celulooidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje mających — Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ujawnszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

— Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej — wskazał na pierwszą z brzegu — wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tutaj druga to pewien uczonek. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie — w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna — i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększanym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepnie,

Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

— Czy mogę przerwać? — spytałem. — Chciałbym wiedzieć...

— Nie! Nie może pan! — ryknął Corcoran. — Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, ze wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! — wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. — Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terażniejszością!

— Ale... — odezwałem się.

— Milcz pan! — huknął. — Nie przeszkadzać! Ja mówię!

Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

— Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie... wszelako mają wolną wolę, a ogranicza ją to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji — nie mogę wchodzić we wszystkie szczegóły...

— Jeśli tak jest nawet — wtrąciłem szybko — to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

— Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

— Nie.

— Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

— Nie.

— W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

— Nie.

— Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, ośle?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała — nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach — znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy, naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej — dla nas wymaginowany, ale dla niej realny — kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od sztyletu na łopacie, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie...?

— Nie — odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzychał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności — aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

— Tichy — ciągnął nieco ciszej profesor — powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy — rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego dojść, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykiem i wzrokiem.

— Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów — rzuciłem. Corcoran podniósł kategorię ruchem dłoń.

— On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy — nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się — w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię, i przechadza się

w blasku słońca — bo w jego świetle jest właśnie wschód...

— A gdzie są inni ludzie — ci inni, pośród których on żyje? — spytałem.

— Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się — wszyscy — w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociaż odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach — nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał — i prowadzi z nimi we śnie rozmowy — czy tak?

— Tak...

— Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć — to był tylko przykład. Z nimi — wyciągnął rękę — jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych — tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczoney miałby nagłą chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocnie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię „czerpak”, ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi — tak samo on poznaje swój „świat” za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespala wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo — mówił z uniesioną ręką — oni. Ale tak, jak nam, tak im też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

— Pan sądzi, że to jest jałowe? — spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie swymi przeszywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

— Tak — powiedział wreszcie — dobrze, zem pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

— Pan dostarcza im tylko surowca — powiedziałem — pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy — to, co odczuwam przy

tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni — wskazałem szeregi skrzyń — tak samo.

— To prawda — rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. — Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

— Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

— Dobrze. Kiedyś — bardzo dawno temu — zwątpiłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy — kto jej nie doświadczył?

Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieśmy go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejakości... dorośli mówią, oczywiście, że to pomyłka — i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają *le sentiment du déjà vu* — wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: *duplicitas casuum*. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i — ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne — przypadki, prawda, że rzadkie — przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogląd na świat go wyklucza. I co to jest — wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

— To jest wariat mojego świata — powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. — Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujrzanie przyszłości zdarza się, kiedy czerpak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinać za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrzy w swoim

miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, tracony, bo ja wiem, przez... mrówkę — to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszczyć, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowanie się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłęd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia — i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to — nie wtrącać się, nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną — i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy? — Tak — odparłem. — Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem — jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą — swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze... — Tak — odparł. — A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może — tak, i snią swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko zastygłym w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytne odgłosy, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś, kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie robi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na

każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

RATUJMY KOSMOS

(LIST OTWARTY IJONA TICHEGO)

Po dłuższym pobycie na Ziemi wybrałem się w drogę, aby pozwiedzać najulubieńsze miejsca dawnych moich wypraw — gromady kuliste Perseusza, konstelację Cielca i wielką chmurę gwiazdową u jądra Galaktyki. Wszędzie zastałem zmiany, o których ciężko mi pisać, bo nie są to zmiany na lepsze. Mówi się teraz wiele o upowszechnieniu turystyki kosmicznej. Bez wątpienia turystyka to doskonała rzecz, ale wszystko winno mieć swoją miarę.

Nieporządki zaczynają się tuż za progiem. Krążący między Ziemią i Marsem pas asteroidów jest w opłakanym stanie. Te monumentalne złomy skalne, niegdyś pogrążone w odwiecznej nocy, oświetlono elektrycznością, a na dodatek każde urwisko raz koło razu pokrywają pracowicie wydłubane inicjały i monogramy.

Szczególnie ulubiony przez flirtujące parki Eros trzęsie się od uderzeń, którymi rozmaici domorośli kaligrafowie wykuwają w jego skorupie pamiątkowe napisy. Paru obrotnych spryciarzy wypożyczają na miejscu młoty, dłuta a nawet wiertła pneumatyczne, i człowiek nie może znaleźć dziewiczej skały w najdzikszym dawniej uroczysku.

Zewsząd straszą napisy w rodzaju „Kochałem Cię nad Życie na Tym Meteorycie”, „To jest asteroidu skała, pod nią miłość nasza trwała”, i tym podobne, wraz z sercami przebitymi strzałą w najgorszym guście. Na Cererze, którą upodobały sobie, nie wiem czemu, wielodzietne rodziny, kwitnie istna plaga fotograficzna. Grasuje tam sporo fotografów, którzy mało, że wypożyczają skafandry do pozowania, ale pokrywają ściany górskie specjalną emulsją i za niewielką opłatą uwieczniają na nich całe wycieczki, a wykonane w taki sposób olbrzymie zdjęcia powlekają dla trwałości glazurą. Odpowiednio upozowane rodziny — ojciec, matka, dziadkowie, dzieci uśmiechają się ze skalnych urwisk, co, jak czytałem w jakimś prospekcie, stwarzać ma „familijną atmosferę”. Co się tyczy Junony, to tej, niegdyś tak pięknej planetki prawie nie ma: każdy, komu się spodoba, odłupuje od niej głazy i ciska je w próżnię. Nie oszczędzono ani żelazoniklowych meteorytów, które poszły na pamiątkowe sygnety i spinki, ani komet. Mało która pojawia się teraz z całym ogonem.

Sądziłem, że ucieknę od tłoku kosmobusów i tych portretów rodzinnych na skałach wraz z grafomańskimi wierszydłami, kiedy wydostanę się poza układ słoneczny, ale gdzie tam!

Profesor Bruckee z obserwatorium skarżył się mi niedawno na słabnący blask obu gwiazd Centaura. Jak mają nie słabnąć, jeśli cała okolica wypełniona jest śmieciem!? Wokół ciężkiej planety Syriusza, stanowiącej atrakcję tego układu, powstał pierścień, przypominający pierścienie Saturna, lecz utworzony z flaszek po piwie i lemoniadzie. Kosmonauta, lecący tym szlakiem, musi wymijać nie tylko chmury meteorów, ale i puszki po konserwach, skorupki jaj i stare gazety. Są tam miejsca, gdzie nie widać spoza nich gwiazd. Astrofizycy od lat łamią sobie głowę nad przyczyną wywołującą znaczną różnicę w ilościach pyłu kosmicznego w rozmaitych galaktykach. Myślę sobie, że to dość proste — im wyższa w galaktyce cywilizacja, tym więcej tam naśmiecono, stąd cały ten pył, kurz i odpadki.

Jest to nie tyle problem dla astrofizyków, ile dla zmiataaczy. Jak widać, i w innych mgławicach nie umiano sobie z nim poradzić, ale to doprawdy niewielka pociecha. Godną potępienia zabawą jest także plucie w próżnię, ślina bowiem, jak każda w ogóle ciecz, zamarza w niskiej temperaturze i zderzenie z nią łatwo może doprowadzić do katastrofy. Niezręcznie nawet o tym mówić, ale osoby, które zwykle chorują w podróży, zdają się uważać kosmos za rodzaj spluwaczki, jak gdyby nie wiedziały, że ślady ich dolegliwości krążą potem przez miliony lat po orbitach, budząc u turystów niemiłe skojarzenia i zrozumiąłą niechęć.

Osobny problem stanowi alkoholizm.

Poza Syriuszem jałem liczyć rozwieszone w próżni, olbrzymie napisy reklamujące marsjańską gorzką, galaktówkę, extra księżycową czy sputnik wyborowy — ale rychło przestałem, straciwszy rachubę. Jak słyszałem od pilotów, niektóre kosmodromy zmuszone były przejść z paliwa alkoholowego na kwas azotowy, zdarzało się bowiem, że w razie potrzeby nie było czym startować. Służba patrolowa powtarza, że w przestrzeni trudno rozpoznać z dala pijanego: wszyscy tłumaczą swoje chwiejne kroki i poruszenia brakiem grawitacji. Ale to nie zmienia faktu, że praktyki niektórych stacji obsługowych wołają o pomstę do nieba. Samemu mi się zdarzyło prosić o napełnienie butli rezerwowych tlenem, po czym, oddaliwszy się o niecały parsek, usłyszałem dziwne bulgotanie i przekonałem się, że nalano mi czystego winiaku! Kierownik stacji, kiedy do niego wróciłem, upierał się, jakobym mówiąc doń, mrugał. Może i mrugałem, bo cierpię na zapalenie spojówek, ale czy to może usprawiedliwiać taki stan rzeczy?

Nie do zniesienia jest bałagan, panujący na głównych trasach przelotowych. Ogromna ilość wypadków nie budzi zdziwienia, skoro tyle osób systematycznie łamie przepisy, ograniczające szybkość. Zwłaszcza czynią to kobiety, bo podróżując szybko zwalniają upływ czasu, a przez to i mniej się starzeją. Często też spotyka się zawalidrogów, jakimi są stare kosmobusy, które całą ekliptykę zanieczyszczają kłębamii dymu spalinowego.

Kiedy na Polindronii zażądałem książki zażaleń, oświadczono mi, że w dniu poprzednim roztrzaskał ją meteor. Niedobrze też dzieje się z dostawą tlenu. Na sześć lat świetlnych przed Belurią nigdzie nie można go już dostać, a w efekcie ludzie, którzy przyjechali tam w celach turystycznych, zmuszeni są kłaść się do lodówek i czekać w stanie odwracalnej śmierci, aż przyjdzie kolejny transport powietrza, bo żyjąc, nie mieliby czym oddychać. Kiedy tam przyleciałem, na kosmodromie nie było żywej duszy, wszyscy hibernowali w chłodniach, ale w bufecie ujrzałem komplet napitków — od ananasów w koniaku po pilznera.

Warunki sanitarne, zwłaszcza na planetach należących do Wielkiego Rezerwatu, wołają o pomstę do nieba. W „Głosie Mersyturii” czytałem artykuł, którego autor domaga się wybicia do nogi tych wspaniałych zwierząt, jakimi są czajaki połkliwe. Drapieżce te posiadają na górnej wardze szereg świecących brodawek, układających się w rozmaite desenie. Istotnie — na przestrzeni ostatnich lat coraz częściej pojawia się odmiana, u której brodawki układają się w kształt dwóch zer. Czajaki te wybierają zwykle pobliza obozów campingowych, gdzie nocą, w ciemnościach czekają z szeroko rozwartą paszczką na osoby, poszukujące ustronnego miejsca. Czy autor artykułu nie pojmuje, że zwierzęta są najzupełniej niewinne i zamiast nich należy oskarżać czynniki, odpowiedzialne za brak właściwych urządzeń sanitarnych?!

Na tejże Mersyturii brak udogodnień komunalnych wywołał całą serię mutacji genetycznych u owadów.

W miejscach, słynących z pięknych widoków, nieraz można zauważyć wygodne, wyplatane z wikliny foteliki, zdające się zapraszać utrudzonego piechura. Jeśli pochopnie osunie się między wabiące poręcze, te rzucają się nań, a rzekomy sprzęt okazuje się tysiącami łaciatych mrówek (mrówka krzesławka dręcypupa, *multipodium pseudostellatum Trylopii*), które ustawivszy się odpowiednio na sobie, udają wyplataną wiklinę. Doszły mię słuchy, jakoby pewne inne odmiany członkonogich (rzęsula niedolazka, moczyścier przeprzaśny i woczykij brutalik) udawały kioski z wodą sodową, hamaki, a nawet natryski z kurkami i ręcznikami, ale za prawdziwość tych twierdzeń nie mogę ręczyć, ponieważ niczego podobnego nie widziałem, autorytety zaś myrmekologiczne w tej sprawie milczą. Natomiast warto ostrzec przed dość rzadką odmianą wężonoga teleskopka (*anencephalus pseudoopticus tripodius Klaczkinesis*). Teleskopek ustawia się, także w miejscach widokowych, rozstawiając swoje trzy cienkie i długie nogi na kształt trójnoga, rozszerzonym tubusem ogona celuje w krajobraz, śliną zaś, która wypełnia jego otwór gębowy, imituje soczewkę lunety i w ten sposób skusić może do zajrzenia, które dla nieopatrnego kończy się nader

nieprzyjemnie. Inny wąż, ale już na planecie Gaurymachii, przewrotnik podstawiec (*serpens vitiosus Reichenmantlii*), czai się w krzakach i podstawia nieostrożnemu przechodniowi ogon, aby ten potknął się i upadł, ale, po pierwsze, gad ten żywi się wyłącznie blondynami, a po wtóre, nikogo nie udaje. Kosmos nie jest ogródkiem dzieciennym, ani ewolucja biologiczna — idyllą. Należy wydawać broszury podobne do tych, jakie widziałem na Derdymonie, w których przestrzega się botaników — amatorów przed okrucyścią cudawką (*Pliximiglaquia bombardans L.*). Zakwita ona wspaniałymi kwiatami, należy wszakże oprzeć się chęćce ich zrywania, ponieważ okrucyćcia żyje w ścisłej symbiozie z miazdźycą kamienulą, drzewem rodzącym owoce rozmiarów dyni, ale rogate. Wystarczy zerwać jeden kwiatek, aby na głowę nieostrożnego kolekcjonera okazów roślinnych obruszył się grad twardych jak głazy pocisków. Okrucyćcia ani kamienula nie czynią potem uśmierconemu nic złego, kontentują się bowiem naturalnymi skutkami jego zgonu, gdyż to przyczynia się do użyźnienia gleby w ich pobliżu.

Dziwy mimikry spotyka się zresztą na wszystkich planetach Rezerwatu. Tak na przykład sawanny Belurii tęczą od różnobarwnego kwiecica, wśród którego wyróżnia się cudownej piękności i woni pąsowa róża (*rosa mendatrix Tichiana*, jak zechciał ją nazwać profesor Pingle, gdyż ja pierwszy ją opisałem). Rzekomy kwiat jest w istocie naroślą na ogonie wędłowca, drapieźcy beluryjskiego. Zgłodniały wędłowiec kryje się w gąszczu, rozwinąwszy daleko w przód swój niezmiernie długi ogon, tak aby tylko kwiat wystawał z trawy. Nie podejrzewając niczego, turysta podchodzi, by go powąchać, a wtedy potwór skacze nań z tyłu. Ma on kły tak prawie długie, jak słoniowe. Oto, jak przedziwnie sprawdza się kosmiczny wariant powiedzenia, iż nie ma róży bez kolców!

Chociaż właściwie odbiegam nieco od tematu, nie mogę oprzeć się chęćce wspomnienia o innym dziwie beluryjskim, jakim jest daleka krewna kartofla — goryczka rozumna (*gentiana sapiens suicidalis Pruck*). Bulwy jej są słodkie i nader smaczne, a nazwa pochodzi od pewnych właściwości duchowych. Otóż goryczka wskutek mutacji wytwarza niekiedy zamiast zwykłych bulw mączystych — małe móźdźki. Ta jej odmiana, goryczka szalona (*gentiana mentecapta*), w miarę wzrostu zaczyna odczuwać niepokój; wykopuje się, uchodzi do lasu i oddaje samotnym rozmyślaniom. Dochodzi zwykle do wniosku, że nie warto żyć, i popełnia samobójstwo — pojawiający gorycz istnienia.

Dla człowieka jest goryczka nieszkodliwa, w przeciwieństwie do innej rośliny beluryjskiej — wściekłoi. Dzięki naturalnej adaptacji, przystosowała się ona do tych warunków środowiskowych, jakie wytwarzają nieznośne dzieci. Dzieci takie, bezustannie biegając, popychając i kopiąc co popadnie, z upodobaniem tłuką jaja ostrobodźca

tyłowłokiego; wściekłoja wytwarza, jako owoce, twory idealnie podobne do owych jaj. Dziecko, sądząc, że ma przed sobą jajo, daje upust żądzy niszczenia i kopiąc je, rozbija na skorupy; dzięki temu zamknięte w pseudojaju spory wydostają się na wolność i wnikają do jego organizmu. Zarażone dziecko rozwija się w osobnika pozornie normalnego, ale po pewnym czasie dochodzi do malignizacji już nieuleczalnej: gra w karty, pijaństwo i rozpusta stanowią kolejne etapy, po których następuje albo śmiertelne zejście, albo wielka kariera. Spotykałem się nieraz ze zdaniem, że wściekłoję należy wytrzebić. Mówiącym tak nie przychodziło na myśl, że należy raczej wychowywać dzieci, aby nie kopały byle czego na obcych planetach.

Z natury jestem optymistą i staram się wedle sił zachować dobre mniemanie o człowieku, ale doprawdy nie zawsze łatwo to przychodzi. Na Protostenezie żyje mały ptaszek, będący odpowiednikiem ziemskiej papugi, nie gada on jednak, lecz pisze. Najczęściej, niestety, wypisuje na płotach nieprzyzwoite wyrazy, jakich uczą go ziemscy turyści. Ptaszka tego pewni ludzie umyślnie doprowadzają do wściekłości, wytykając mu błędy ortograficzne. Zaczyna wówczas zjadać ze złości wszystko, co zobaczy. Podtykają mu pod dziób imbir, rodzynki, pieprz oraz krotowrzask, rodzaj ziela, wydającego o wschodzie słońca przeciągły krzyk (jest to ziele kuchenne, używane też czasem zamiast budzika). Kiedy ptaszek ginie z przejedzenia, biorą go na rożen. Zwie się on pismaczek przedrzeźniak (*graphomanus spasmaticus Essenbachii*). Temu rzadkiemu gatunkowi grozi obecnie zagłada, ponieważ każdy turysta, przybywający na Protostenezę, ostrzy sobie zęby na przysmak, za jaki uchodzą pieczone pismaczki w malinie.

I znów, pewne osoby uważają, że jeśli my zjadamy stworzenia z innych planet, wszystko jest w porządku, gdy natomiast dzieje się wręcz odwrotnie, podnoszą wrzask, wzywają pomocy, domagają się ekspedycji karnych itp. A przecież wszelkie oskarżenia fauny czy flory kosmicznej o przewrotność i podstępne skłonności są antropomorfizującym nonsensem.

Jeśli zmyłek oczajduszny, który wyglądem przypomina zbutwiały pień, staje w odpowiedniej pozie na tylnych nogach i udaje drogowskaz przy górskim szlaku, wyprowadzając przechodniów na bezdroża, a gdy spadną w przepaść, schodzi na dół, żeby się posilić, jeśli, powiadam, czyni tak, to tylko dlatego, że służba porządkowa nie dba w Rezerwacie o znaki drogowe, z których złazi farba, przez co butwieją i stają się podobne do owego zwierzęcia. Każde inne na jego miejscu uczyniłoby to samo.

Oślawione fatamorgany Stredogencji zawdzięczają swe istnienie wyłącznie niskim skłonnościom ludzkim. Dawniej rosły na tej planecie liczne zimniaki, a cieplaków prawie się

nie spotykało. Obecnie te ostatnie rozmnożyły się niesłychanie. Nad ich zaroślami ogrzane w kunsztowny sposób powietrze, uginając się, powoduje miraż barów, które niejednego już przybysza z Ziemi przyprawiły o zgubę. Powiadają, że wszystkiemu winne są cieplaki. Ale czemuż to wytwarzane przez nie fatamorgany nie naśladują szkół, księgarni lub klubów samokształceniowych? Czemu ukazują zawsze tylko miejsca wyszynku alkoholowych napoi? Bez wątplenia, ponieważ mutacje są bezkierunkowe, zrazu cieplaki wytwarzały wszelkie możliwe miráže, ale te z nich, które demonstrowały przechodniom kluby, biblioteki czy kółka samokształceniowe, zginęły z głodu, przy życiu utrzymała się jedynie odmiana barowa (*thermomendax spirituosus halucinogenes* z rodziny *Antropofagów*). Cudowne zaiste zjawisko, jakim jest doskonałość przystosowania, umożliwiająca cieplakom rytmiczne wyrzucanie ciepłego powietrza, w którym powstaje miraż, stanowi dobitne oskarżenie naszych wad. Selekcję odmiany barowej wywołał sam człowiek — jego godna pożałowania natura. Oburzył mnie list do redakcji zamieszczony w „Echu Stredogenckim”. Czytelnik tej gazety domagał się wykarczowania zarówno cieplaków, jak i uroczych cichlustów, tych wspaniałych drzew, stanowiących największą ozdobę każdego parku. Kiedy natnie się ich korę, tryska spod niej jadowity, oślepiający sok. Cichlust jest ostatnim drzewem tredogenckim, nie zrytym od góry do dołu napisami i monogramami i mielibyśmy teraz z niego zrezygnować? Podobny los zdaje się czekać tak cenne okazy fauny, jakimi są: mściwiec bezdrożnik, zatapiacz bulgotny, rozkęs przytajnik czy wyjec elektryczny, który, aby ratować siebie i swoje potomstwo przed niszczącym nerwy hałasem, jaki w leśną głąszkę wniosły niezliczone aparaty radiowe turystów, wytworzył dzięki selekcji odmianę zagłuszającą szczególnie hałaśliwe audycje, a zwłaszcza muzykę jazzową! Organy elektryczne wyjca emitują fale na kształt superheterodyny, niezwykle więc ów stwór przyrody winien znaleźć się rychło pod ochroną.

Co się tyczy fetorówki obrzydlnicy, przyznaję, iż woń, jaką ona wydaje, nie ma sobie równej. Doktor Hopkins z uniwersytetu w Milwaukee obliczył, że szczególnie energiczne okazy potrafią wytwarzać do pięciu tysięcy cuchów (jednostka odorowa) na sekundę. Ale nawet małe dziecko wie, że fetorówka zachowuje się w ten sposób tylko wtedy, kiedy się ją fotografuje.

Widok wycelowanego aparatu fotograficznego wyzwala odruch, zwany refleksem soczewkowopodogonowym, jakim Natura usiłuje bronić owego niewinnego stworzonka przed natarczywością gapiów. Prawda, że fetorówka, będąc nieco krótkowzroczna, bierze niekiedy za fotoaparat przedmioty takie, jak papierośnica, zapalniczka, zegarek, a nawet ordery i odznaki, ale to także po części dlatego, że niektórzy turyści używają aparatów

zminiaturyzowanych, a wtedy łatwo o pomyłkę. Co się zaś tyczy spostrzeżenia, że fetorówka w ostatnich latach zwielokrotniła swój zasięg i produkuje do ośmiu megacuchów na hektar, należy wyjaśnić, że spowodowane to zostało masowym stosowaniem teleobiektywów.

Nie chciałbym wywołać wrażenia, jakobym uważał wszystkie zwierzęta i rośliny kosmiczne za nietykalne. Zapewne, mordelia wyżwawka, tryblas druzgotek, ćpacz smakowniczek, poślądkówka otwornica, trupawka niedoścawka czy wszechjadek bylepas nie zasługują na jakąś specjalną sympatię. Jak również te wszystkie wychwostki z rodziny autarkicznych, do których należą Gauleiterium Flagellans, Syphonophiles Pruritualis, czyli drwacz wyprzasek brzeszczozgrzębny oraz rozrabień wrzaskotek i stróżyczka pieścidlawka (*lingula stranguloides Erdmenglerbeyera*). Ale, jeśli się dobrze zastanowić i postarać o obiektywizm, dlaczego właściwie człowiek może zrywać kwiaty i suszyć je w zielniku, a roślinę, która obrywa i maceruje uszy, uważać trzeba zaraz za coś przeciwnego Naturze? Jeśli echoń pyskatek (*echolaliom impudicum Schwamps*) rozmnożył się na Aedonoksji ponad wszelką miarę, to i za to winę ponoszą ludzie. Echoń czerpie bowiem energię życiową z dźwięków — dawniej służyły mu do tego celu grzmoty, dlatego i teraz jeszcze chętnie przysłuchuje się odgłosom burzy, ale obecnie przestawił się na turystów, z których każdy poczytuje sobie za obowiązek uraczyć go wiązką najplugawszych przekleństw. Bawi ich, powiadają, widok owego stworzenia, które na oczach wręcz rozkwita pod stekiem wyzwisk. Istotnie rośnie, ale dzięki przyswajanej energii wibracji dźwiękowych, a nie obmierzłej treści słów, jakie wyrzaskują podnieceni turyści.

Do czegoż to wszystko razem prowadzi? Zniknęły już z powierzchni planet takie gatunki, jak warłaj modry czy przebizad uporek. Giną tysiące innych. Od chmur śmieci powiększają się plamy na słońcach. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy największą nagrodą dla dziecka była obietnica niedzielnej przejażdżki na Marsa, a teraz rozkapryszony malec nie zje śniadania, jeśli ojciec nie wywoła dlań specjalnej eksplozji gwiazdy Supernowej! Marnując dla takich zachcianek energię kosmiczną, zanieczyszczając meteory i planety, pustosząc skarbiec Rezerwatu, na każdym kroku pozostawiając po sobie w galaktycznych przestworzach skorupy, ogryzki, papiery, rujnujemy wszechświat, zamieniamy go w jedną wielką zbiornicę odpadków. Czas najwyższy opamiętać się i przystąpić do egzekwowania obowiązujących przepisów. W przeświadczeniu, że groźna jest każda chwila zwłoki, biję na alarm, wzywając do ratowania Kosmosu.

PRAWDA

Siedzę tu i piszę w zamkniętym pokoju o drzwiach bez klamki, a i okna nie można otworzyć. Szyba jest z nietłukącego się szkła. Próbowałem. Nie z chęci ucieczki ani z wściekłości, chciałem się tylko przekonać. Piszę na drewnianym, orzechowym stole. Papieru mam dosyć. Pisać wolno. Tylko nikt tego nie czyta. Ale ja i tak piszę. Nie chcę być sam, a czytać nie mogę. Wszystko, co dają do czytania, jest nieprawdą, litery zaczynają skakać przed oczami i tracę cierpliwość. To, co w nich jest, nic mnie zupełnie nie obchodzi od czasu, kiedy zrozumiałem, jak jest naprawdę. Dbają o mnie bardzo. Rano jest kąpiel, ciepła albo letnia, o delikatnym zapachu. Odkryłem, na czym polega różnica dni tygodnia: we wtorki i soboty woda pachnie lawendą, w inne dni szpilkowym lasem. Potem jest śniadanie i wizyta lekarska. Jeden z młodszych lekarzy (nie pamiętam jego nazwiska, nie żeby coś złego było z moją pamięcią, ale staram się teraz nie zapamiętywać rzeczy nieważnych) interesował się moją historią. Opowiadałem mu ją dwa razy, całą, a on nagrywał ją na taśmę magnetofonową. Przypuszczam, że chciał, bym ją powtórzył po to, aby porównać oba opowiadania i w ten sposób wykryć, co pozostaje w nich bez zmiany. Powiedziałem mu, co myślę, jak również i to, że szczegóły nie są istotne.

Spytałem też, czy ma zamiar opracować moją historię jako tak zwany przypadek kliniczny, aby zwrócić na siebie uwagę świata lekarskiego. Zmieszał się trochę. Może mi się tylko tak zdawało, w każdym razie odtąd przestał okazywać mi względy.

Ale to wszystko nie ma znaczenia. To, do czego doszedłem, częściowo za sprawą przypadku, częściowo dzięki innym okolicznościom, w pewnym (trywialnym) sensie także nie ma znaczenia.

Istnieją dwa rodzaje faktów. Jedne mogą stać się użyteczne, na przykład takie, jak ten, że woda wrze przy stu stopniach i zamienia się w parę podległą prawom Boyle'a—Mariotte'a i Gay—Lussaca; dzięki temu można było kiedyś zbudować maszynę parową. Inne fakty nie mają takiego znaczenia, bo dotyczą wszystkiego i nie ma od nich ucieczki. Nie znają wyjątków ani zastosowań, i w tym sensie są na nic. Czasem mogą mieć nieprzyjemne dla kogoś konsekwencje.

Kłamałbym, gdybym twierdził, że jestem zadowolony z mego obecnego położenia i że zupełnie obojętne jest dla mnie to, co napisano w mojej historii choroby. Ponieważ jednak wiem, że jedyną moją chorobą jest moje istnienie i że w konsekwencji tego, zawsze

kończącego się fatalnie schorzenia doszedłem prawdy, jestem właścicielem drobnej satysfakcji, jak każdy, kto ma rację przeciwko większości. W moim przypadku, przeciwko całemu światu.

Mogę tak powiedzieć dlatego, bo Maartens i Ganimaldi nie żyją. Prawda, którą wykryliśmy wspólnie, zabiła ich. Przetłumaczone na język większości słowa te oznaczają tylko tyle, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Istotnie zdarzył się, ale dużo wcześniej, około czterech miliardów lat temu, kiedy płachty zdartego ze słońca ognia zaczęły skręcać się w kule. To była agonía, a cała reszta, razem z tymi ciemnymi świerkami kanadyjskimi zza okna, szczebiotaniem pielęgniarek i moją pisaniną, jest już tylko życiem pozagrobowym. Wiecie czym? Naprawdę nie?

A lubicie patrzeć w ogień. Jeśli nie lubicie, to przez rozsądek lub przekorę. Spróbujcie tylko usiąść przed ogniem i odwrócić od niego wzrok, a zaraz przekonacie się, jak przyciąga. Tego wszystkiego, co dzieje się w płomieniach (a dzieje się bardzo wiele), nie potrafimy nawet nazwać. Mamy na to kilkanaście nic nie mówiących określeń. Zresztą nie miałem o tym pojęcia, jak każdy z was. I mimo mego odkrycia nie zostałem czcicielem ognia, podobnie jak materialści nie stają się, w każdym razie nie muszą się stać, czcicielami materii.

Zresztą, ogień... On jest tylko aluzją. Napomknieniem. Dlatego śmiać mi się chce, kiedy poczciwa doktor Merriah powiada czasem do kogoś obcego (jest to oczywiście jakiś zwiedzający nasz wzorowy zakład lekarz), że ten człowiek tam, ten chudzielec, który wygrzewa się na słońcu, jest piroparanoikiem. Zabawne słowo, nieprawdaż? Piroparanoik. Co oznacza, że mój, sprzeczny z rzeczywistością, system ma za mianownik ogień. Jak gdybym wierzył w „życie ognia” (słowa przezacnej doktor Merriah). Rozumie się, nie ma w tym ani słowa prawdy. Ogień, w który lubimy patrzeć, jest tak samo żywy, jak fotografie naszych drogich zmarłych. Można badać go przez całe życie i niczego nie dojść. Rzeczywistość, jak zawsze, jest bardziej skomplikowana, ale i mniej złośliwa.

Napisałem sporo, a treści w tym niewiele. Ale to głównie dlatego, że mam dużo czasu. Przecież wiem, że kiedy dojdę do rzeczy ważnych, kiedy opowiem o nich do końca, wtedy naprawdę mogę się pograć w rozpacz. Aż do godziny, w której te notatki zostaną zniszczone, i będę mógł się wziąć do pisania nowych. Nie piszę zawsze tak samo. Nie jestem płytą gramofonową.

Chciałbym, by słońce zajrzało do pokoju, ale o tej porze roku składa ono swoje wizyty tylko przed czwartą i do tego na krótko. Chciałbym obserwować je przez jakiś wielki, dobry przyrząd, na przykład ten, który Humphrey Field ustawił na Mount Wilson cztery lata temu, z całym kompletem pochłaniaczy nadmiaru energii, tak że człowiek może spokojnie, godzinami

całymi, wpatrywać się w porytą twarz naszego ojca. Źle mówię, bo to nie ojciec. Ojciec daje życie, a słońce umiera po trosze, podobnie jak wiele miliardów innych słońc.

Może już czas przystąpić do wtajemniczenia w tę prawdę, którą osiągnąłem dzięki przypadkowi i dociekliwości. Byłem wtedy fizykiem. Specjalista od wysokich temperatur. Jest to fachowiec, który zajmuje się ogniem tak, jak grabarz — człowiekiem. We trzech z Maartensem i Ganimaldim pracowaliśmy przy wielkim plazmotronie boulderskim. Dawniej nauka działała w daleko mniejszej skali probówek, retort i statywów, i rezultaty były odpowiednio drobniejsze. My braliśmy z międzystanowej szyny zbiorczej miliard watów energii, wpuszczaliśmy ją w brzuch elektromagnesu, którego jedna tylko sekcja ważyła 70 ton, a w ognisku pola magnetycznego umieszczaliśmy wielką rurę kwarcową.

Wyładowanie elektryczne szło przez rurę, od jednej elektrody do drugiej, a moc jego była taka, że zdzierała z atomów elektronowe otoczki i pozostawała sama papka rozżarzonych jąder, zwyrodniały gaz jądrowy, czyli plazma, która wybuchłaby w jednej stumiliardowej części sekundy i obróciłaby nas, pancerze, kwarc, elektromagnesy z ich betonowym zakotwiczeniem, z murami gmachu i jego błyszczącą z dala kopułą w grzybiastą chmurę, a wszystko to stałoby się daleko prędzej, aniżeli daje się pomyśleć sama możliwość takiego zdarzenia, gdyby nie owo pole magnetyczne.

Pole to zaciskało wyładowanie idące w plazmie, ukrecało z niej rodzaj pulsującego żarem sznura, cienką nić, strzykającą twardym promieniowaniem, rozpiętą od elektrody do elektrody, drgającą wewnątrz zamkniętej w kwarcu próżni, pole magnetyczne nie dawało nagim cząstkom jądrowym o temperaturze miliona stopni zbliżyć się do ścian naczynia, ocalając nas i nasz eksperyment. Ale wszystko to, powiedziane językiem wzniosłej popularyzacji, znajdziecie w byle książce, a ja nieudolnie powtarzam to tylko dla porządku, ponieważ od czegoś należy zacząć, a trudno jednak uważać za początek tej historii każdą parę drzwi bez klamki czy płócienny worek z bardzo długimi rękawami. Co prawda zaczynam w tym momencie przesadzać, bo już się takich worków, takich kaftanów nie używa. Nie są potrzebne, skoro odkryto pewien rodzaj drastycznie uspokajających leków. Ale mniejsza o to.

Plazmę więc badaliśmy, zajmowaliśmy się zagadnieniami plazmowymi, jak przystało na fizyków: teoretycznie, matematycznie, hieratycznie, wzniosie i tajemniczo — w tym przynajmniej sensie, że pogardliwie odnosiliśmy się do nacisku naszych nie znających się na nauce, niecierpliwych opiekunów finansowych; ci bowiem żądali wyników owocujących konkretnymi zastosowaniami. W owym czasie było bardzo modne rozprawianie o takich wynikach czy przynajmniej o ich prawdopodobieństwie. Miał więc powstać, na razie projektowany tylko na papierze, plazmowy silnik dla raket, bardzo potrzebny był też

plazmowy zapalnik do bomb wodorowych, tych „czystych”, a nawet miał być opracowany teoretycznie stos wodorowy lub ogniwo termojądrowe, w oparciu o zasadę plazmowego sznura. Jednym słowem, przyszłość jeśli nie świata, to przynajmniej jego energetyki i transportu, widziano w plazmie. Plazma była, jakem rzekł, modna, zajmować się jej badaniem należało do dobrego tonu, a my byliśmy młodzi, chcieliśmy robić to, co najważniejsze i co może przynieść rozbłysk, sławę, bo ja wiem zresztą? Sprowadzone do motywów pierwszych, postępy ludzkie stają się kupką trywialności, rozsądek i umiar, a także wykwiint analizy polega na tym, aby cięcie poprzeczne i utrwalenie dokonało się w miejscu maksymalnej komplikacji, a nie u jej źródeł, bo przecież wszyscy wiedzą, że niewiele jest imponującego w źródłach nawet Mississippi i każdy może je z łatwością przeskoczyć. Stąd pewna pogarda dla źródeł. Ale odszedłem, po mojemu, od tematu.

Wielkie plany, które urzeczywistnić miały badania nasze i setek innych plazmologów, natrafiły po jakimś czasie na strefę zjawisk tyleż niezrozumiałych, co nieprzyjemnych. Do pewnej granicy — do granicy średnich temperatur (średnich w rozumieniu kosmicznym, więc takich, jakie panują na powierzchni gwiazd) plazma zachowywała się w sposób pokorny i solidny. Jeśli się ją spętało należytych więzami, jak owym polem magnetycznym, jak pewnymi wyrafinowanymi sztuczkami, opartymi na zasadzie indukcji, dawała się wprzęgać w kierat praktycznych zastosowań i energię jej można było pozornie użytkować. Pozornie, bo w podtrzymywanie plazmowego sznura wkładało się więcej energii, aniżeli się z niego uzyskiwało; różnica szła na straty promieniste, no i na wzrost entropii. Bilans na razie nie był ważny, bo z teorii wynikało, że przy wyższych temperaturach koszta automatycznie spadną. Powstał więc rzeczywiście jakiś prototyp motoraka odrzutowego, a nawet generator bardzo twardych promieni gamma, lecz równocześnie plazma nie spełniała wielu pokładanych w niej nadziei. Mały silniczek plazmowy działał, zaś projektowane na większą moc eksplodowały bądź odmawiały posłuszeństwa. Okazało się, że plazma w pewnym zakresie pobudzeń termicznych i elektrodynamicznych zachowuje się nie tak, jak to przewiduje teoria; wszystkich to oburzyło, ponieważ teoria była pod względem matematycznym niezwykle elegancka i całkiem nowa.

Takie rzeczy zdarzają się, co więcej, muszą się zdarzać. Nie stropieni zatem ową niepokornością zjawiska, liczni teoretycy, a między nimi i nasza trójka, zabrali się do studiowania plazmy tam, gdzie była uajkrnąbrniejsza.

Plazma — to ma w historii pewne znaczenie — wygląda dość imponująco. Najprościej mówiąc, przypomina kawałek słońca, i to wzięty ze środkowych raczej stref, a nie z chłodnawej chromosfery. Nie ustępuje ona blaskiem słońcu, przeciwnie, przewyższa je

nawet. Nie ma ona nic wspólnego z blado–złotawym tańcem tych powtórnych, ostatecznych już zgonów, jaki ukazuje nam łączące się z tlenem drzewo w kominku, ani z bladoliliowym, gwizdzącym stożkiem dyszy palnikowej, gdzie fluor wstępuje w reakcję z tlenem, by dać najwyższą z osiągniętych chemicznie temperatur, ani wreszcie z łukiem Volty, wygiętym płomieniem wśród kraterów dwu węgla, choć przy dobrych chęciach i należytej cierpliwości badacz mógłby doszukać się miejsc cieplejszych niż 3000 stopni. Również temperatury uzyskiwane dzięki pchnięciu jakiegoś miliona amperów w niegruby przewodnik elektryczny, który staje się wtedy chmurką wcale już ciepłą albo termiczne efekty udarowych fal przy eksplozji kumulatywnej — wszystkie pozostawia plazma daleko w tyle. W porównaniu z nią, podobne reakcje należy uznać za zimne, wręcz lodowate, a nie sądzimy tak tylko przez przypadek, który sprawił, że powstaliśmy z ciał kompletnie już zastygłych, zmartwiałych, w pobliżu absolutnego zera; nasze dziarskie bytowanie dzieli od niego ledwo trzysta stopni w skali absolutnej Kelvina, podczas kiedy w górę słup owej skali rozpościera się na miliardy stopni. Tak więc, doprawdy, nie jest przesadą mówić o tych najgorętszych z możliwości, które umiemy wzniecać laboratoryjnie, jako o zjawiskach wiecznego milczenia ciepłego.

Pierwsze płomyczki plazmy, które zakiełkowały w laboratoriach, też nie były takie ciepłe — dwieście tysięcy stopni uważano wówczas za temperatury godną szacunku, a milion był już niezwykłym osiągnięciem. Matematyka jednak, ta prymitywna i przybliżona matematyka, powstała ze znajomości zjawisk strefy zimna, obiecywała ziszczenie pokładanych w plazmie nadziei jeszcze znacznie wy/ej na skali termometrycznej: domagała się temperatur uczciwie wysokich, prawie gwiazdnych; myślę oczywiście o wnętrzach gwiazd. Muszą to być miejsca niezwykle ciekawe, choć na osobistą w nich obecność człowieka pewno przyjdzie jeszcze poczekać.

Tak więc, potrzeba było milionowych temperatur. Zaczęto je realizować, myśmy też nad tym pracowali, i oto co się okazało.

W miarę wzrostu temperatury szybkość przemian, wszystko jedno jakich, zwiększa się; wobec skromnych możliwości tak ciekłej kropelki, jaką jest nasze oko, połączonej z drugą, większą kroplą, którą stanowi mózg, nawet płomień zwykłej świecy jest już domeną zjawisk niezauważalnych dla ich tempa, cóż dopiero mówić o dygocącym ogniu plazmy! Przyszło więc wziąć się do innych metod, fotografowało się plazmowe wyładowania, i myśmy też to robili. Nareszcie Maartens z pomocą kilku znajomych optyków i inżynierów–mechaników zmajstrował kamerę filmową, istne cudo, przynajmniej jak na nasze możliwości, kamerę, która dokonywała milionów zdjęć na sekundę. Mniejsza o jej konstrukcję, nad wyraz dowcipną i chwalebnie świadczącą o naszej gorliwości. Dość, że napsuliśmy kilometry taśmy

filmowej, ale w rezultacie uzyskaliśmy paręset metrów godnych uwagi i wyświetlaliśmy je sobie w tempie zwolnionym tysiąc, a potem i dziesięć tysięcy razy. Niczego szczególnego nie zauważyliśmy, poza tym, że pewne rozbłyski, zrazu uważane za zjawisko elementarne, okazały się zbitkami powstałymi przez nakładanie się na siebie tysięcznych bardzo szybkich przemian, lecz i te w końcu dało się opanować naszą prymitywną matematyką.

Dziw padł na nas dopiero wtedy, kiedy pewnego razu. pod wpływem nie wyjaśnionego dotąd niedopatrzenia czy jakiejś niezawinionej przyczyny, nastąpił wybuch. Właściwie nie był to prawdziwy wybuch, bobyśmy go nie przeżyli, po prostu plazma przemogła w apokaliptycznie drobnej części sekundy zaciskając ją ze wszystkich stron niewidzialne pole magnetyczne i rozwaliła nam grubościenną rurę kwarcową, w której była uwięziona.

Przez szczęśliwy zbieg okoliczności ocalała kamera filmująca eksperyment, wraz z zawartą w niej taśmą. Cała eksplozja trwała dokładnie milionowe części sekundy, reszta była już tylko pogorzelskiem rozstrzeliwanych na wszystkie strony kropel stopionego kwarcu i metalu. Te nanosekundy zapisały się na naszym filmie jako zjawisko, którego póki życia nie zapomnę.

Tuż przed wybuchem jednolity prawie dotąd sznur plazmatycznego płomienia pozwężał się w jednakowych odstępach jak szarpnięta struna, po czym rozpadłszy się na szereg krągłych ziaren, przestał istnieć jako całość. Każde z ziaren rosło i przeobrażało się, granice tych kropelek atomowego żaru stały się płynne, wysunęły się z nich wypustki, z których powstała następna generacja kropelek, potem wszystkie te kropelki zbiegły się ku środkowi i utworzyły przypłaszczone kule, która, kurcząc się i rozdując, jakby oddychała a równocześnie wysyłała na zwiady w otoczenie rodzaj ognistych, na końcach dygocących macek, po czym nastąpił, tym razem już i na naszym filmie, momentalny rozkład, zanik wszelkiej organizacji i widać było tylko ulewę ognistych rozbryzgów, biczących pole widzenia, aż utonęło ono w kompletnym chaosie.

Nie przesadzę, jeśli powiem, żeśmy sobie obejrzeni tę taśmę ze sto razy. Następnie, przyznając, że był to mój pomysł, zaprosiliśmy do nas, nie do laboratorium, lecz do mieszkania Ganimaldiego, pewnego znanego biologa, szacowną znakomitość. Nic mu przedtem nie mówiąc, ani o niczym go nie uprzedzając, wycieliśmy tylko środkową część sławetnej taśmy i dokonaliśmy na oczach czcigodnego gościa projekcji, normalnym aparatem, z tym tylko, żeśmy na obiektyw nałożyli ciemny filtr, dzięki czemu to, co na zdjęciu było płomieniem, zbladło i wyglądało jak przedmiot dość mocno oświetlony padającym światłem.

Profesor obejrzał nasz film i kiedy zapaliły się lampy, wyraził uprzejmie zdziwienie, że

my, fizycy, zajmujemy się tak odległymi dla nas sprawami, jak życie wymoczków w akwariach. Spytałem, czy jest pewien, że to, co widział, jest rzeczywiście kolonią wymoczków.

Pamiętam jego uśmiech, jakby to było dziś.

— Zdjęcia nie były dość ostre — wyjął, pośród owego uśmiechu — i, za pozwoleniem, znać, że ich dokonywali niefachowcy, ale mogę panów zapewnić, że to nie jest artefakt...

— Co pan rozumie przez artefakt? — spytałem.

— Arte factum, czyli coś stworzonego sztucznie. Jeszcze za Schwamma zabawiano się imitowaniem żywych form w ten sposób, że wpuszczano do oliwy krople chloroformu; krople takie wykonują ruchy amebowate, pełzną po dnie naczynia, a nawet dzielą się przy zmianie ciśnienia osmotycznego u biegunów, ale to są czysto zewnętrzne, prymitywne podobieństwa, mające z życiem tyleż wspólnego, co z człowiekiem ma wystawowy manekin. Decyduje przecież budowa wewnętrzna, mikrostruktura. Na waszym zdjęciu widać, chociaż niewyraźnie, jak przebiega podział tych jednokomórkowców; nie mogę określić gatunku i nie dałbym nawet głowy, czy to me są po prostu komórki tkanki zwierzęcej, przez długi czas hodowane na sztucznych pożywkach i potraktowane hialuronidazą, aby je rozłączyć, rozkleić; w każdym razie to są komórki, bo mają aparat chromosomowy, choć zdefektowany. Czy środowisko było poddane działaniu jakiegoś środka rakotwórczego?...

Nawet nie spojrzeliśmy na siebie. Staraliśmy się nie odpowiadać na jego coraz liczniejsze pytania. Ganimaldi prosił, by gość zechciał jeszcze raz obejrzeć film, ale do tego nie doszło, nie pamiętam już, z jakich powodów, może profesor się spieszył, a może myślał, że za naszą lakonicznością kryje się jakiś kawał. Naprawdę nie pamiętam. Dostyc, że zostaliśmy sami i wtedy dopiero, gdy za owym autorytetem zamknęły się drzwi, popatrzyliśmy na siebie w prawdziwym osłupieniu.

— Słuchajcie — powiedziałem, nim któryś zdążył się odezwać — uważam, że powinniśmy zaprosić innego specjalistę i pokazać mu nie okrojony film. Teraz, kiedy wiemy, o co idzie gra, musi to być fachowiec całą gębą — w dziedzinie jednokomórkowców.

Maartens zaproponował jednego ze swych znajomych uniwersyteckich, który mieszkał niedaleko. Nie było go jednak w domu, wrócił dopiero po tygodniu i przyszedł wtedy na przygotowany starannie seans. Ganimaldi nie zdecydował się powiedzieć mu prawdy. Po prostu pokazał mu cały film, z wyjątkiem początku, gdyż obraz przemiany, tam, gdzie sznur plazmy przewęzał się w pojedyncze, febrycznie drgające krople, mógł dać zbyt wiele do myślenia. Za to tym razem wyświetliliśmy koniec, ową ostatnią fazę istnienia

plazmatycznej ameby, która rozlatywała się niczym wybuchowy ładunek.

Ten drugi specjalista, również biolog, był o wiele młodszy od tamtego, i przez to mniej zadużały, a także, zdaje się, lepiej życzył Maartensowi.

— To jakieś ameby głębokowodne — powiedział. — Rozsadziło je ciśnienie wewnętrzne, w chwili kiedy zewnętrzne zaczęło spadać. Tak, jak to się dzieje z głębinowymi rybami. Nie można wydobyć ich żywcem z dna oceanu — zawsze giną, rozsadzone od wewnątrz. Ale skąd u was takie zdjęcia? Opuściliście kamerę w głąb oceanu, czy jak?

Patrzył na nas z rosnącą podejrzliwością.

— Zdjęcia są nieostre, prawda? — zauważył skromnie Maartens.

— Chociaż nieostre, ale i tak ciekawe. Poza tym, proces podziałów przebiega jakoś nienormalnie. Nie zauważyłem dobrze kolejności faz. Puśćcie no jeszcze raz taśmę, ale wolniej...

Puściliśmy ją tak wolno, jak się tylko dało, ale niewiele to pomogło, młody biolog nie był zupełnie zadowolony.

— Jeszcze wolniej nie można?

— Nie.

— Czemuście nie robili zdjęć przyspieszonych?

Miałem ogromną ochotę spytać go, czy pięciu milionów zdjęć na sekundę nie uważa za pewne przyspieszenie, ale ugryzłem się w język. W końcu nie chodziło o żarty.

— Tak, podział przebiega anormalnie — powiedział, kiedy obejrzał film po raz trzeci. — Poza tym odnosi się takie wrażenie, jakby wszystko działo się w ośrodku gęstszym od wody... a w dodatku większość komórek potomnych drugiego pokolenia wykazuje rosnące defekty rozwojowe, mitozą jest pokiełbaszona, i czemu zlewają się razem? To bardzo dziwne... Czy to było robione na materiale pierwotniaków w środowisku radioaktywnym? — spytał nagle.

Zrozumiałem, o czym myślał. W owym czasie wiele mówiło się o tym, że sposoby stosowane do unieszkodliwiania popiołów radioaktywnych, pochodzących ze stosów atomowych, przez zatapianie ich w hermetycznych zbiornikach na dnie oceanów, są nader ryzykowne i mogą doprowadzić do skażenia wody morskiej.

Zapewnialiśmy go, że się myli, że to nie ma nic wspólnego z radioaktywnością i pozbyliśmy się go nie bez trudu, zmarszczonego, przyglądającego się nam kolejno i zadającego coraz więcej i więcej pytań, na które nikt nie chciał odpowiadać, bośmy się uprzednio tak umówili. Rzecz była zbyt niesamowita i zbyt wielka, aby można ją było powierzyć obcemu, choćby i przyjacielowi Maartensa.

— Teraz, drodzy moi, musimy się solidnie zastanowić, co począć z tym fantem — powiedział Maartens, gdyśmy zostali po tej drugiej już konsultacji sami.

— To, co twój biolog wziął za spadek ciśnienia, który wywołał rozsądzenie „ameb”, w rzeczywistości było nagłym spadkiem natężenia pola magnetycznego... — powiedziałem do Maartensa.

Ganimaldi, który dotąd milczał, odezwał się jak zwykle rozsądnie.

— Uważam — powiedział — że powinniśmy przeprowadzić dalsze doświadczenia...

Zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujemy. Było już wiadomo, że plazma, względnie „spokojna” i dająca się okiełznać w temperaturach podmilionowych, gdzieś powyżej tej granicy przechodzi w stan nietrwały i kończy swoje efemeryczne istnienie wybuchem, podobnym do tego porannego, który nastąpił w naszym laboratorium. Potęgowanie pola magnetycznego wprowadzało tylko czynnik nieobliczalnego prawie opóźnienia eksplozji. Większość fizyków uważała, że wartość pewnych parametrów zmienia się skokowo i że potrzebna będzie całkiem nowa teoria „gorącego gazu nuklearnego”. Zresztą hipotez, mających wyjaśnić ten fenomen, było już sporo.

W każdym razie nawet myśleć się nie dało o zużytkowaniu gorącej plazmy do napędu rakiet czy stosów. Drogę tę uznano za fałszywą, prowadzącą w ślepią uliczkę. Badacze, ci zwłaszcza, którzy interesowali się konkretnymi rezultatami, wrócili do temperatur niższych. Tak mniej więcej przedstawiała się sytuacja, kiedyśmy przystąpili do następnych doświadczeń.

Powyżej miliona stopni plazma stawała się materiałem, wobec którego wagon nitrogliceryny jest grzechotką dziecięcą. Ale i to niebezpieczeństwo nie mogłoby nas powstrzymać. Byliśmy już zbyt zaintrygowani niezwykłą rewelacją odkrycia i gotowi na wszystko. Inna rzecz, że dostrzegaliśmy masę horrendalnych przeszkód. Ostatni ślad jasności, jaki wносиła matematyka w głąb ziejących żarów plazmy, znikał gdzieś koło miliona czy według innych, mniej pewnych metod, półtora miliona. Dalej rachunek zawodził całkowicie, bo wynikały z niego już tylko same nonsensy.

Pozostawała więc stara metoda prób i błędów, czyli eksperymentowania, w pierwszych przynajmniej fazach, na ślepo. Ale jak chronić się przed groźnymi w każdej chwili wybuchami? Bloki żelbetu, najgrubsze pancerze stalowe, zapory — wszystko to staje się wobec szczypty materii, rozpalonej do milionów stopni, osłoną wartą akurat tyle, co arkusz bibułki.

— Wyobraźcie sobie — powiedziałem do nich — że gdzieś, w kosmicznej próżni, w pobliżu absolutnego zera, znajdują się istoty, niepodobne do nas, dajmy na to rodzaj

metalowych organizmów, które przeprowadzają rozmaite eksperymenty. Między innymi udaje im się — mniejsza w tej chwili o to jak — dosyć, że udaje im się syntetyzować żywą, białkową komórkę. Jedną amebę. Co się z nią stanie? Oczywiście, zaledwie stworzona, natychmiast rozpadnie się, wybuchnie, a szczątki jej zamarzną, bo w próżni zagotuje się i momentalnie obróci w parę zawarta w niej woda, ciepło zaś przemiany białkowej natychmiast wypromieniuje. Nasi eksperymentatorzy, filmując swoją komórkę kamera taką jak nasza, będą mogli ją przez ułamek sekundy zobaczyć... zaś po to, by utrzymać ją przy życiu, musieliby stworzyć dla niej odpowiednie środowisko...

— Naprawdę uważasz, że nasza plazma zrodziła „żywą amebę”? — spytał Ganimaldi.
— Że to jest życie zbudowane z ognia?

— Co to jest życie? — odpowiedziałem, prawie jak poncki Piłat, kiedy pytał, „co to jest prawda?” — Niczego nie utrzymuję. Jedno jest w każdym razie pewne: próżnia kosmiczna i kosmiczny mróz są daleko korzystniejszymi warunkami dla istnienia ameby, anizeli warunki ziemskie — dla istnienia plazmy. Jest tylko jedno środowisko, w którym, powyżej miliona stopni, nie musiałaby ulec zagładzie...

— Rozumiem. Gwiazda. Wnętrze gwiazdy — powiedział Ganimaldi. — Chcesz to wewnątrz stworzyć w laboratorium, dookoła rury z plazmą? Istotnie, nic prostszego... Ale przedtem musielibyśmy zapalić cały wodór oceanów...

— To nie jest konieczne. Spróbujmy zrobić coś innego.

— Można by zrobić to inaczej — zauważył Maartens. — Eksplozować ładunek trytu i w bąbel wybuchu wprowadzić plazmę...

— Tego się nie da zrobić, sam o tym wiesz. Najpierw, nikt nie pozwoli ci dokonać wybuchu wodorowego, a gdyby nawet tak nie było, to nie ma żadnego sposobu wprowadzenia plazmy w ognisko eksplozji. Zresztą, bąbel istnieje tylko tak długo, jak długo doprowadzamy świeży tryt z zewnątrz.

Po tej rozmowie rozeszliśmy się, w ponurych raczej nastrojach, bo wyglądało na to, że sprawa jest beznadziejna. Ale potem znowu zaczęliśmy nie kończące się dyskusje i wreszcie wynaleźliśmy coś, co wyglądało na szansę, a przynajmniej na jej błady cień. Potrzebne nam było pole magnetyczne o niesamowitym natężeniu i gwiazdowa temperatura. To miała być „pożywka” plazmy. Jej „naturalne” środowisko. Postanowiliśmy dokonać eksperymentu w polu o zwykłym natężeniu, następnie zwiększyć jego moc, nagłym skokiem, dziesięciokrotnie. Z obliczeń wynikało, że aparatura, ten nasz magnetyczny, ośmiusettonowy potwór, rozleci się, a przynajmniej uzwojenia ulegną stopieniu, ale przedtem będziemy mieli w momencie krótkiego zwarcia postulowane pole, przez dwie, a może nawet przez trzy

stutysięczne sekundy. W stosunku do tempa procesów, zachodzących w plazmie, był to czas dość długi. Cały projekt miał jawnie kryminalny charakter i naturalnie nikt nie pozwoliłby nam na jego realizację. Ale mało to nas obchodziło. Zależało nam tylko na rejestracji zjawisk, które zajdą w momencie zwarcia i zaraz potem następującej detonacji.

Gdybyśmy zrujnowali aparaturę i nie zyskali ani metra taśmy, ani jednego zdjęcia, wszystko, czego byśmy dokonali, oznaczałoby akt zniszczenia. Budynek mieszczący laboratorium znajdował się na szczęście kilkanaście mil od miasta, pośród łagodnych, trawiastych wzgórz. Na szczycie jednego ze wzgórz urządziliśmy sobie punkt obserwacyjny, z kamerą filmową, teleobiektywami i całym elektronowym kramem, umieszczonym za płytą pancernego szkła o wysokiej przejrzystości. Dokonałiśmy serii próbnych zdjęć, używając coraz potężniejszych teleobiektywów, aż wreszcie zdecydowaliśmy się na taki, który zbliżał osiemdziesięciokrotnie. Miał bardzo małą siłę światła, ale ponieważ plazma jest jaśniejsza od słońca, nie było to ważne. W owym czasie pracowaliśmy już jak spiskowcy raczej niż jak badacze. Korzystaliśmy z tego, że były wakacje i nikt prócz nas nie bywał w laboratorium, a stan ten miał trwać jeszcze około dwóch tygodni. W tym czasie musieliśmy zrobić swoje. Wiedzieliśmy, że nie obejdzie się bez hałasu, a nawet grubszych nieprzyjemności, bo trzeba się będzie jakoś wytłumaczyć z katastrofy — obmyśliliśmy nawet kilka wariantów dość prawdopodobnego usprawiedliwienia, które miało stworzyć pozory naszej niewinności. Nie wiedzieliśmy, czy ten szaleńczy projekt da w ogóle wyniki, pewne było tylko to, że całe laboratorium po eksplozji przestanie istnieć. Liczyć mogliśmy jedynie na nią. Wyjęliśmy okna wraz z ramami z tej ściany budynku, która patrzyła na szczyt wzgórza; trzeba było jeszcze zdemontować i wynieść na zewnątrz ochronne przegrody z hali elektromagnesu, tak aby źródło plazmy było dobrze widoczne z naszej placówki.

Zrobiliśmy to szóstego sierpnia, o siódmej dwadzieścia rano, pod bezobłocnym niebem, w upale pełnym słońca. W zboczu, pod samym wierzchołkiem pagóra, wykopany był głęboki rów, z którego Maartens zawiadywał, za pośrednictwem przenośnego małego pulpitu i kabli ciągnących się od budynku na wzgórze, procesami wewnątrz laboratorium. Ganimaldi opiekował się kamerą, a ja obok niego, z głową wysuniętą nad przedpiersie, przez pancerne szkło oraz ustawioną na trójnogu potężną lornetę patrzyłem w ciemny kwadrat wylupionego okna czekając na to, co miało stać się tam w środku.

— Minus 21... minus 20... minus 19... — powtarzał monotonnym głosem, bez cienia emocji, Maartens, siedzący tuż za mną nad plątaniną kabli i wyłączników. W polu widzenia miałem absolutną czerń, w której środku drgała i wyginała się leniwie rtęciowa żyłka rozgrzewanej plazmy. Nie widziałem ani nasłonecznionych wydm, ani trawy, pełnej białych i

żółtych kwiatów, ani nawet sierpniowego nieba nad kopułą budynku; szkła były ucziwie zaczernione. Kiedy plazma zaczęła puchnąć w środku, przestraszyłem się, że rozsadzi rurę pierwej, nim Maartens skokiem zwarcia spotęguje pole. Otworzyłem usta, by krzyknąć, lecz w tej samej chwili Maartens powiedział: „Zero!!”

Nie. Ziemia nie zakotłosała się, ani nie usłyszeliśmy żadnego huku, tylko czern, w którą byłem wpatrzony, ta noc jakby najgłębsza, zbladła. Otwór w ścianie laboratorium wypełniła pomarańczowa mgła, stał się on kwadratowym słońcem, w samym centrum błysnęło oślepiająco, potem wszystko pochłonął wir ognia: otwór w murze powiększył się, strzelił gałęzistymi liniami pęknięć, tryskających dymem i płomieniami, i z przeciągłym grzmotem, który szedł na całą okolicę, kopuła osunęła się w padające mury. Równocześnie przestałem widzieć cokolwiek przez szkła, odjąłem lornetę od oczu i zobaczyłem bijący w niebo słup dymu. Ganimaldi poruszał gwałtownie ustami, krzycząc coś, ale grom trwał jeszcze, przewalał się nad nami i nie słyszałem nic — uszy miałem jak zapchane watą. Maartens zerwał się z klęczek i wcisnął się pomiędzy nas, by spojrzeć w dół, gdyż dotąd zajęty był pulpitem; łoskot ucichł. Krzyknęliśmy wtedy, bodaj że wszyscy.

Chmura, odrzucona siłą wybuchu, unosiła się już wysoko ponad zgliszczami, które rozpadały się coraz wolniej w obłoku wapiennego pyłu. Z jego kłębow wynurzył się oślepiający, podługowaty płomień, otoczony promienistą aureolą — rzekłbyś, drugie słońce, rozplaszczone na kształt robaka. Może przez sekundę wisiał prawie nieruchomo nad dymiącym rumowiskiem, wciąż kurcząc się i rozciągając, po czym spłynął ku ziemi. Już czarne i czerwone kręgi pływały mi w oczach, bo ten stwór czy płomień buchał blaskiem równym słonecznemu, ale zobaczyłem jeszcze, gdy się obniżał, jak momentalnie znika wysoka trawa, dymiąc na jego drodze, a on sunął ku nam, ni to czołgając się, ni to polatując, przy czym otaczająca go aureola rozszerzała się, tak że był już jądrem ognistego pęcherza. Przez pancerne szyby uderzył żar promieniowania, ogniowy robak znikł nam z oczu, ale po dygotaniu powietrza nad stokiem, po kłębach pary i snopach trzeszczących iskier, w które obracały się krzaki, poznaliśmy, że sunie ku szczytowi wzgórza. Objijając się o siebie w nagłym ataku paniki, rzuciliśmy się do ucieczki. Wiem, że biegłem przed siebie z karkiem i plecami osmalanymi niewidzialnym płomieniem, który zdawał się mnie gonić. Nie widziałem Maartensa ani Ganimaldiego; byłem jak ślepy, gnałem przed siebie, aż potknąłem się o jakieś kretowisko i runąłem w mokrą jeszcze od nocnej rosy trawę na dnie następnej kotlinki. Dyszałem ciężko, zacisnąwszy z całej siły powieki, i choć twarz miałem w trawie, nagle gałki oczne wypełnił mi jakiś czerwonawy brzask, jak kiedy słońce świeci w zamknięte oczy. Ale prawdę mówiąc, tego nie jestem już całkiem pewien.

Tu otwiera się luka w mojej pamięci. Nie wiem, jak długo leżałem. Obudziłem się, niby ze snu, z twarzą w wysokiej trawie. Gdy poruszyłem się, poczułem w okolicy karku i szyi piekący, okropny ból; przez długą chwilę nie śmiałem nawet podnieść głowy. Wreszcie to zrobiłem. Znajdowałem się na dnie kotlinki, otoczonej niskimi pagórami; dokoła łagodnie falowała w podmuchach trawa, jeszcze z ostatnimi, świeżymi kroplami rosy, która ulatniała się szybko w promieniach słońca. Jego ciepło dobrze dawało mi się we znaki; zrozumiałem to dopiero, gdy dotknąwszy ostrożnie karku, poczułem pod palcami grube bąble oparzeń. Wstałem wówczas i wzrokiem odszukałem wzgórze, na którym znajdował się przedtem nasz punkt obserwacyjny— Przez długą chwilę nie mogłem się zdecydować, bałem się tam iść. Miałem jeszcze w oczach okropne czołganie się tego słonecznego robaka.

— Maartens! — krzyknąłem. — Ganimaldi!! Odruchowo spojrzałem na zegarek: było pięć po ósmej. Przyłożyłem go do ucha, szedł. Wybuch nastąpił o siódmej dwadzieścia; wszystko potem trwało może pół minuty. Prawie trzy kwadransy byłem nieprzytomny?

Poszedłem w górę po pochyłości. Jakies trzydzieści metrów od szczytu wzniesienia natknąłem się na pierwsze łysiny wypalanej ziemi. Były pokryte sinawym, wystygłym już prawie popiołem, niczym ślad ogniska, które tu ktoś rozpałił. Ale musiało to być bardzo dziwne ognisko, bo nie spoczywało nieruchomo.

Od zwęglonego miejsca szedł pas wyżarzonej ziemi, szeroki na jakieś półtora metra, falisty, z trawą u obu brzegów zwęgloną, a dalej tylko pożółkłą i zwiędłą. Pas ten kończył się za następnym koliskiem —spalanej ziemi. Tuż obok leżał twarzą w dół, z jednym kolaniem prawie pod pierś podciągniętym, człowiek. Nim go jeszcze dotknąłem, wiedziałem, że nie żyje. Ubranie, pozornie całe, zmieniło barwę na srebrzystoszarą; taki sam niemożliwy kolor miał jego kark, i kiedy się nad nim pochyliłem, wszystko to zaczęło się pod moim tchnieniem rozsypywać.

Odkoczyłem z okrzykiem zgrozy, ale miałem już przed sobą skurczony czarniawy kształt, tylko ogólnym zarysem przypominający ludzkie ciało. Nie wiedziałem, czy to Maartens czy Ganimaldi, i nie miałem odwagi dotknąć go, przeczuwając, że już nie ma twarzy. Pognałem wielkimi susami na szczyt wzgórza, ale już nie wołałem. Znowu natrafiłem na ślad ognistego przejścia, krętą, na węgiel wypaloną czarną drózkę wśród trawy, rozszerzającą się miejscami do rozmiarów kilkumetrowego kręgu.

Oczekiwałem widoku drugiego ciała, ale nie znalazłem go. Zbiegłem ze szczytu, tam gdzie był przedtem nasz wykop; z osłony z pancernego szkła pozostała jedynie rozciekła po zboczu, płaska skorupa, niby zamrożona kałuża. Wszystko inne — aparaty, kamery filmowe, pulpit, lornety, przestało istnieć, a sam okop zapadł się jakby pod ciśnieniem, przyłożonym

doń z góry, i tylko trochę szczątków stopionego metalu widniało wśród kamieni. Spojrzałem w stronę laboratorium. Wyglądało jak po wybuchu potężnej bomby lotniczej. Między kawałami szepionych w upadku murów polatywały ledwo widoczne w słońcu płomyki dogasającego pożaru. Prawie tego nie widziałem, usiłując sobie przypomnieć, w którą stronę pobiegli moi towarzysze, kiedy wyskoczyliśmy jednocześnie z ziemianki. Maartensa miałem wtedy po lewej stronie, więc chyba jego ciało odkryłem — a Ganimaldi...?

Zacząłem szukać jego śladów, daremnie, bo poza granicą wypalonego kręgu trawa już się podniosła. Biegałem tak, aż znalazłem inny, wypalony pas i zacząłem schodzić nim jak poskrzypującą pod podszwami ścieżką w dół... aż zastygłem. Popielisko rozszerzało się; żdźbła martwej trawy okalały przestrzeń mierzącą nie więcej niż dwa metry, o kształcie nieregularnym. Z jednej strony była węższa, z drugiej rozchodziła się... wszystko razem przypominało zdeformowany, rozplaszczony krzyż, pokryty dość grubą warstwą czarniawego pyłu, jakby długo dogorywała tu drewniana figura z rozpostartymi rękami, rzucona na wznak... Ale to może było tylko złudzenie? Nie wiem.

Już od dawna zdawało mi się, że słyszę dalekie, przenikliwe wycie, ale nie zwracałem na nie uwagi. Doszły mi też ludzkie głosy, i one nic mnie nie obchodziły. Nagle zobaczyłem maleńkie figurki ludzi, biegnących ku mnie; w pierwszej chwili przypadłem do ziemi, jakbym chciał się ukryć, a nawet odpełzłem od popieliska i skoczyłem w bok; gdy biegłem drugim skłonem, pojawili się nagle, zaszli mnie z dwu stron. Czułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, było mi zresztą wszystko jedno.

Nie wiem właściwie, czemu uciekałem — o ile to była próba ucieczki. Usiadłem na trawie, a oni otoczyli mnie, jeden pochylał się nade mną, mówił coś, powiedziałem, żeby przestał, żeby raczej szukali Ganimaldiego, bo nic mi nie jest. Kiedy chcieli mnie podnieść, broniłem się. wtedy ktoś ujął mnie za ramię. Krzyknąłem z bólu. Potem poczułem ukłucie i straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu.

Pamięć miałem doskonale zachowaną. Nie wiedziałem tylko, ile czasu upłynęło od katastrofy. Z głową tkwiłem w bandażach, oparzenia dawały o sobie znać silnym bólem potęgującym się przy każdym poruszeniu; starałem się więc zachowywać jak najspokojniej. Zresztą te moje przejścia szpitalne, wszystkie transplantacje skóry, które mi robiono przez całe miesiące, nie mają znaczenia, podobnie jak i to, co stało się później. Zresztą nic innego nie mogło się stać. Dopiero w wiele tygodni potem przeczytałem w gazetach oficjalną wersję wypadku. Wy tłumaczenie znaleziono proste, które samo zresztą się narzucało. Laboratorium zrujnował wybuch plazmy; ogarnięci płomieniami trzech mężczyźni usiłowali uciekać; z nich Ganimaldi zginął w budynku, pod gruzami, Maartens w płonącym odzieniu zmarł, dobiegłszy

na szczyt wzgórza, a ja wyszedłem z katastrofy poparzony, w stanie ciężkiego szoku. Na spopielone ślady wśród traw nie zwrócono w ogóle uwagi, jako że badano przede wszystkim same ruiny laboratorium. Ktoś tam twierdził zresztą, że to trawa zapaliła się od płonącego Maartensa, który tarzał się po niej, usiłując zdusić płomienie. I tak dalej.

Uważałem za swój obowiązek powiedzieć prawdę bez względu na konsekwencje, teraz już choćby tylko przez wzgląd na Ganimaldiego i Maartensa. Bardzo ostrożnie dano mi do zrozumienia, że moja wersja wypadków jest efektem szoku, tak zwanym urojeniem następczym. Nie wróciłem jeszcze do równowagi; zacząłem gwałtownie protestować — moje wzburzenie wzięto za symptom, potwierdzający diagnozę. Jakiś tydzień potem odbyła się następna rozmowa.

Tym razem usiłowałem argumentować już bardziej chłodno, opowiedziałem o pierwszym nakręconym filmie, który znajdował się w mieszkaniu Maartensa; poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu. Domyślałem się, że Maartens zrobił to, o czym kiedyś mimochodem wspomniał: włożył zapewne film do skrytki bankowej. Ponieważ wszystko, co miał przy sobie, uległo zupełnemu zniszczeniu, z klucza i z kwitu depozytowego nic nie zostało. Film ten do dziś leżeć musi w jakimś sejfie. Tak więc i tutaj przegrałem; nie dawałem jednak za wygraną i dzięki moim powtarzanym żądaniom doszło do wizji lokalnej. Powiedziałem, że udowodnię wszystko na miejscu; lekarze znów sądzili, że gdy znajdę się tam, wróci mi, być może, pamięć wydarzeń „rzeczywistych”. Chciałem pokazać im kable, które przeciągnęliśmy na szczyt wzgórza, do ziemianki. Ale i owych kabli nie było. Twierdziłem, że jeśli ich nie ma, zostały usunięte później, może przez załogi walczące z pożarem. Powiedziano mi, że się mylę — nikt nie zabierał żadnych kabli, bo nie istniały poza moją wyobraźnią.

Wtedy dopiero, tam, wśród wzgórz, pod błękitnym niebem, w pobliżu poczerniałych już i jakby zmalanych ruin laboratorium pojąłem, dlaczego tak się stało. Ogniowy robak nie zabił nas. Nie chciał nas zabić. Nic o nas nie wiedział, nie obchodziliśmy go. Stworzony eksplozją, wypełnawszy z niej, wychwycił z otoczenia rytm sygnałów, które wciąż jeszcze pulsowały w kablach, bo Maartens nie wyłączył sterującego urządzenia. To ku jego źródłu, ku źródłu impulsów elektrycznych poczołgał się ogniowy stwór, nie żadna świadoma istota, ale dżdżownica słoneczna, walcowaty kłęb zorganizowanego żaru... który miał przed sobą ledwo kilkadziesiąt sekund istnienia. Świadczyła o tym jego rosnąca aureola; umożliwiającą mu istnienie temperatura gwałtownie spadała, w każdym mgnieniu musiał tracić olbrzymie ilości energii, wypromieniowywał ją, a nie miał jej skąd czerpać, dlatego wił się spazmatycznie wzdłuż kabli, niosących elektryczność, obracając je równocześnie w parę, w gaz. Maartens i

Ganimaldi znaleźli się na jego drodze przypadkowo, zresztą nie zbliżył się zapewne do nich. Uciekali; Maartensa trafił udar termiczny ognistego przejścia kilkadziesiąt kroków od szczytu, Ganimaldi, być może, zupełnie oślepiony, stracił poczucie kierunku i wpadł prosto w otchłań błyszczącej agonii.

Tak, ogniowy stwór konał tam, na szczycie wzgórza, wijąc się bezsensownie, kreto wśród trawy, w gwałtownym i daremnym poszukiwaniu źródeł energii, która zeń wyciekała, niczym krew z żył. Zabił ich obu, nawet o tym nie wiedząc. Zresztą, trawa zarosła spopielone ślady.

Kiedyśmy tam przyjechali z dwoma lekarzami, jakimś obcym człowiekiem, zdaje się kimś z policji i profesorem Guilshem, nie można ich już było znaleźć, chociaż od katastrofy minęły ledwo trzy miesiące. Wszystko zarosło trawą, także owo miejsce, jakby cień rozkrzyżowanej postaci. Trawa w tym miejscu była szczególnie bujna. Wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko mnie, bo ziemianka była wprawdzie, ale ktoś zrobił z niej śmietnik; w dole znajdowały się tylko zardzewiałe żelaziwa i puste puszki konserwowe. Twierdziłem, że pod nimi muszą być resztki pancernego szkła, które się stopiło. Grzebaliśmy się w tych śmieciach, ale szkła nie znaleźliśmy. To znaczy, trochę okruchów, nawet postapianych. Ludzie, którzy byli ze mną, uznali, że pochodzą one ze zwykłych flaszek, które ktoś stopił w piecu centralnego ogrzewania, potłukłszy je uprzednio dla zmniejszenia objętości przed wyrzuceniem do pojemnika z odpadkami. Chciałem, by przeprowadzono analizę szkła, ale nie zrobiono tego. Pozostał mi tylko jeden atut, ów młody biolog oraz profesor, obaj bowiem widzieli nasz film. Profesor był w Japonii i miał wrócić dopiero na wiosnę, a przyjaciel Maartensa przyznał, że istotnie pokazaliśmy mu taki film — że były to zdjęcia ameb głębokowodnych, a nie plazmy jądrowej. Zapewniał, że Maartens kategorycznie przeczył przy nim temu, jakoby zdjęcia mogły przedstawiać cośkolwiek innego.

I to była prawda. Maartens powiedział tak dlatego, bośmy się umówili, pragnąc zachować wszystko w tajemnicy. W ten sposób sprawa się zamknęła.

A co się stało ze słonecznym robakiem? Może wybuchnął, kiedy leżałem nieprzytomny, a może skończył swoje przelotne istnienie cicho; jedno jest tak samo prawdopodobne jak drugie. Z tym wszystkim byliby mnie chyba puścili, jako nieszkodliwego, ale okazałem się uparty. Katastrofa, która zabrała Maartensa i Ganimaldiego, zobowiązała mnie. W czasie rekonwalescencji zażądałem rozmaitych książek. Dawano mi wszystko, czego chciałem. Przystudiowałem całą literaturę solaryczną, dowiedziałem się tego, co jest wiadome o protuberancjach słonecznych i kulistych piorunach. Myśl, że ogniowy robak miał coś pokrewnego z tym piorunem, nasunęło mi pewne podobieństwo w ich zachowaniu. Pioruny

kuliste, zjawiska właściwie do dzisiaj nie wytłumaczone i zagadkowe dla fizyków, powstają w środowisku potężnych wyładowań elektrycznych, w czasie burzy. Twory te, przypominające rozjarzone kule lub perły, unoszą się swobodnie w powietrzu, czasem poddają się jego prądom, przeciągom i wiatrom, czasem żeglują pod ich prąd; przyciągają je przedmioty metalowe i fale elektromagnetyczne, zwłaszcza bardzo krótkie — ciągnie je tam, gdzie powietrze jest zjonizowane. Najchętniej krążą w pobliżu przewodów, niosących elektryczność. Usiłują jakby spijać ją. To im się jednak nie udaje. Natomiast jest prawdopodobne — tak twierdzą przynajmniej niektórzy fachowcy — że „żywią się” falami decymetrowej długości poprzez kanał zjonizowanego powietrza, jaki wytworzył macierzysty piorun liniowy, który je rodzi.

Ucieczka energii jednak przewyższa te ilości, które są absorbowane przez kulę i dlatego żywot ich trwa zaledwie dziesiątki sekund. Rozświetliwszy otoczenie błękitnawożółtym blaskiem, pokrążywszy w nim chwiejnym i błękitnym lotem, kończą nagłym wybuchem bądź rozpływają się i gasną niemal bezszelestnie. Nie są to oczywiście twory żywe; z życiem mają tyle akurat wspólnego, co owe krople chloroformu, wpuszczane do oliwy, o których opowiadał nam profesor.

Czy ogniowy robak, któregośmy stworzyli, żył? Temu, kto zada mi takie pytanie, nie po to oczywiście, by drażnić szaleńca, którym nie jestem, odpowiem uczciwie: nie wiem. Sama jednak niepewność, sama ta ignorancja kryje w sobie możliwość przewrotu naszej wiedzy, o jakiej się nikomu w majakach nie mroczyło.

Istnieje — powiadają mi — jeden tylko rodzaj życia, wegetacja białek, jaką znamy, rozdwojona na państwa roślin i zwierząt. W temperaturach, oddalonych od absolutnego zera o trzysta ledwo drobnych kroków, powstaje ewolucja i ukoronowanie jej, człowiek. Tylko on i jemu podobni mogą się przeciwstawić panującej w całym wszechświecie tendencji wzrastania chaosu. Tak, w myśl tego twierdzenia wszystko jest chaosem i bezładem — straszliwy zarwnętra gwiazd, ogniowe ściany rozpalających się od wzajemnego przenikania mgławic galaktycznych, kule gazowe słońc; przecież — powiadają ci trzeźwi, rozumni, a przez to raczej niewątpliwie mający ludzie — żadne urządzenie, żaden rodzaj, a choćby ślad organizacji nie może powstać w oceanach kipiącego ognia; słońca są ślepyimi wulkanami, wyrzucającymi planety, te zaś, wyjątkowo i rzadko, stwarzają niekiedy człowieka — wszystko inne jest martwą zaciekłością zwyrodniałych gazów atomowych, mrowiskiem wstrząsanych protuberancjami apokaliptycznych ogni.

Uśmiecham się, słysząc ten wykład autoapologetyczny, będący wynikiem zaślepiającej megalomanii. Istnieją — powiadam — dwa poziomy Życia. Jedno, potężne i

olbrzymie, opanowało cały widzialny Kosmos. To, co dla nas jest grozą i groźbą zagłady, gwiazdowy żar, gigantyczne pola potencjałów magnetycznych, potworne erupcje płomienia, jest dla tej formy życia zespołem warunków przyjaznych i sprzyjających — więcej koniecznych.

Chaos, powiadacie? Kipiel martwego żaru? Czemu więc taką nieprzeliczoną wprost mnogość zjawisk regularnych, choć niepojętych, przejawia obserwowana przez astronomów powierzchnia słońca? Czemu wiry magnetyczne takie są zadziwiająco prawidłowe? Czemu istnieją cykle rytmiczne aktywności gwiazdy tak samo, jak istnieją cykle przemiany materii każdego żywego ustroju? Człowiek zna rytm dobowy i miesięczny, ponadto na przestrzeni życia walczą w nim przeciwstawne siły wzrostu i zamierania; słońce ma cykl jedenastoletni, co ćwierć miliarda lat przeżywa „depresję”, swój klimakter, który sprowadza ziemskie epoki lodowcowe. Człowiek rodzi się, starzeje i umiera, jak gwiazda.

Słyszycie, ale nie wierzycie. I chce się wam śmiać. Pragniecie mnie spytać, już tylko dla drwiny, czy wierzę może w świadomość gwiazdy? Czy uważam, że one myślą? I tego nie wiem. Ale zamiast beztrąsko potępiać moje szaleństwo, przypatrzcie się protuberancjom. Spróbujcie raz jeden obejrzeć film nakręcony podczas słonecznego zaćmienia, kiedy to płomienne robactwo wynurza się i na setki tysięcy, na miliony kilometrów oddala się od macierzy, aby w ewolucjach dziwacznych i niepojętych, rozciągając się i kurcząc w coraz nowe formy, rozwiać się wreszcie i szczeznąć w przestrzeni lub wrócić do białozarowego oceanu, który dał im początek. Nie twierdzę, że są one palcami słońca. Równie dobrze mogłyby być jego pasożytami.

Niech i tak będzie — powiadacie — dla dobra dyskusji, aby się ta oryginalna, choć ryzykowna od przedawkowania absurdu rozmowa nie urwała przedwcześnie, chcemy jeszcze coś wiedzieć. Czemuż to nie próbujemy porozumiewać się ze słońcem? Bombardujemy je falami radiowymi. Może odpowie...? Jeżeli nie, twoja teza będzie obalona...

Ciekawym, o czym moglibyśmy rozmawiać ze słońcem. Jakie są wspólne, dla niego i dla nas, zagadnienia, pojęcia, problemy. Przypomnijcie sobie, co wykazał nasz pierwszy film. Ogniowa ameba w milionowym ułamku sekundy przekształciła się w dwa pokolenia potomne. Różnica tempa także ma pewne (pewne...) znaczenie. Porozumcie się pierwaj z bakteriami waszych ciał, z krzewami waszych ogrodów, z pszczołami i ich kwiatami, a będziemy się wtedy mogli zastanowić nad metodyką informacyjnego kontaktu ze słońcem.

Jeśli tak — powie najdobroduszniejzy ze sceptyków — wszystko okazuje się tylko... nieco oryginalnym punktem widzenia. Twoje poglądy w niczym nie zmieniają istniejącego świata, teraz ani w przyszłości. Kwestia, czy gwiazda jest istotą, czy „żyje”, staje się sprawą

umowy, zgody na przyjęcie takiego terminu i niczym więcej. Jednym słowem, opowiedziałeś nam bajkę...

Nie — odpowiadam. Mylicie się. Sądźcie bowiem, że Ziemia jest kruszyną życia w oceanie nicości. Że człowiek jest samotny i gwiazdy, mgławice, galaktyki ma za przeciwników, za wrogów. Że jedyną możliwą do zdobycia jest wiedza, jaką posiadł i jeszcze posiędzie on, jedyny twórca Ładu, bezustannie zagrożonego powodzią nieskończoności, promieniującej oddalonymi punktami świetlnymi. Ale tak nie jest. Hierarchia aktywnego trwania jest wszechobecna. Kto chce, może ją nazwać życiem. Na szczytach jej, na wysokościach energetycznego wzbudzenia, trwają organizmy ogniste. Przed samym kresem, tuż u absolutnego zera, w krainie ciemności i ostatniego, zastygającego tchu, życie pojawia się raz jeszcze, jako słaby odbłask tamtego, jako jego blade, dogorywające przypomnienie — to my. Patrzcie tak, a nauczycie się pokory i zarazem nadziei, bo kiedyś słońce stanie się Nową i obejmie nas miłościwym ramieniem pożaru i tak powracając w wieczny kołowrót życia, stając się cząstkami jego wielkości, zdobędziemy wiedzę głębszą od tej, która może być udziałem mieszkańców strefy lodowacenia. Nie wierzycie mi. Wiedziałem. Teraz zbiorę te zapisane kartki, aby je zniszczyć, ale jutro albo pojutrze znowu siądę przed pustym stołem i zacznę pisać prawdę.

PRZYJACIEL

Dobrze pamiętam okoliczności, w których poznałem pana Hardena. Było to w dwa tygodnie po tym, jak zostałem asystentem instruktora w naszym Klubie. Uważałem to za wielkie wyróżnienie, bo byłem najmłodszym członkiem Klubu, a instruktor, pan Egger, od razu, w pierwszym dniu, kiedy przyszedłem na dyżur do Klubu, oświadczył mi, że jestem dostatecznie inteligentny i na tyle się znam na całym kramie (tak się wyraził), że mogę dyżurować sam. Rzeczywiście zaraz sobie poszedł. Miałem dyżurować co drugi dzień od czwartej do szóstej, udzielać technicznych informacji członkom Klubu i wydawać karty QDR za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami. Jak powiedziałem, byłem z tego stanowiska bardzo zadowolony, ale wkrótce zaświtało mi, że do wykonywania moich obowiązków nie trzeba się wcale znać na radiotechnice, bo o żadne informacje nikt nie prosił. Wystarczyłby więc zwyczajny urzędnik, ale takiemu Klub musiałby płacić, a ja dyżurowałem honorowo i nie miałem z tego żadnej korzyści, nawet przeciwnie — jeśli wziąć pod uwagę wieczne zrzęczenie matki, która wolała, żebym siedział kamieniem w domu, kiedy miała ochotę iść do kina i zostawić malców na mojej głowie. Z dwojga złego wolałem już dyżury. Lokal nasz był z pozoru dość przyzwoity. Ściany od góry do dołu zawieszane były kartami łączności z całego świata i kolorowymi afiszami, tak że się nie widziało zacieków, a pod oknem stało w dwu oszklonych gablotkach trochę starej aparatury krótkofalowej. Była tam jeszcze z tyłu pracownia, przerobiona z łazienki, bez okna. Nawet dwu ludzi naraz nie mogło w niej pracować, boby sobie oczy pilnikami powybijali. Pan Egger miał do mnie wielkie zaufanie, jak mówił, ale nie aż tak wielkie, żeby zostawić mnie sam na sam z zawartością szuflady w biurku, wyjął więc wszystko, co w niej było, i zabrał do siebie, nawet papieru do pisania mi nie zostawił i musiałem wydzierać kartki z własnych zeszytów. Pieczętkę miałem do dyspozycji, choć słyszałem, jak pan Egger powiedział do prezesa, że właściwie należałoby ją umocować na łańcuszku w szufladzie. Chciałem wykorzystać czas na budowę nowego aparatu, ale pan Egger zabronił mi wychodzić w czasie dyżuru do pracowni, że niby przez otwarte drzwi mógłby się ktoś wśliznąć do środka i coś ściągnąć. Nie miało to ręki ani nogi, bo te aparaty w gablotkach przedstawiały całkowite rupiecie, nie powiedziałem mu tego jednak, bo nie uznawał w ogóle mego głosu. Widzę teraz, że zanadto się z nim liczyłem. Wykorzystywał mnie bez skrępułów, ale wtedy jeszcze się w tym nie orientowałem. Nie pamiętam, czy to była środa, czy piątek, kiedy pierwszy raz zjawił się pan Harden, ale

ostatecznie to wszystko jedno. Czytałem właśnie bardzo dobrą książkę i byłem wściekły, bo okazało się, że brakuje w niej mnóstwa kartek. Wciąż musiałem się czegoś domyślać i bałem się, że najważniejszego w zakończeniu nie będzie, a wtedy całe czytanie na nic, bo wszystkiego przecież się nie domyśle. Wtem usłyszałem, że ktoś puka. Było to dosyć dziwne, jako że drzwi stały zawsze otwarte na oścież. Ten Klub — to było dawniej mieszkanie. Jeden z klubowców mówił mi, że to było zbyt podłe mieszkanie, aby ktokolwiek chciał się w nim gnieść. Zawołałem „proszę” i wszedł obcy, którego jeszcze nie widziałem. Wszystkich klubowców znałem, jeżeli nie z nazwiska, to przynajmniej z twarzy. Stał przy drzwiach i popatrzył na mnie, a ja zza biurka na niego, i takeśmy na siebie jakiś czas patrzyli. Spytałem, czego sobie życzy, i przyszło mi do głowy, że jeśliby chciał wstąpić do Klubu, to nie mam nawet formularzy wpisowych, bo wszystkie zabrał pan Egger.

— To jest Klub Krótkofalowców? — spytał, chociaż było to jak wół wypisane na drzwiach i na bramie.

— Tak — powiedziałem. — Czego pan sobie życzy? — zapytałem, ale on jakby tego nie słyszał.

— A... przepraszam — pan tutaj pracuje? — spytał. Zrobił dwa kroki w moją stronę, tak jakoś, jakby stąpał po szkle, i uklonił się.

— Mam dyżur — odparłem.

— Dyżur? — powtórzył, jakby się głęboko nad tym zastanawiał. Uśmiechnął się, potarł podbródek rondem kapelusza, który trzymał w ręku (nie pamiętam już, kiedy widziałem tak zniszczony kapelusz), i, wciąż jakby stojąc troszeczkę na palcach, zaczął jednym tchem, jakby się bał, że mu przerwie:

— Aha, więc to pan pełni tutaj dyżury, rozumiem, to taka godność i odpowiedzialność, w młodym wieku rzadko kto dziś to osiągnie, i pan zarządza tu tym wszystkim, no no — przy tym zrobił ręką z kapeluszem okrągły gest, obejmujący cały pokój, jakby mieściły się w nim Bóg wie jakie skarby.

— Nie jestem znów taki bardzo młody — powiedziałem, bo już mnie ten facet zaczynał trochę drażnić — i czy można wiedzieć, czego pan sobie życzy? Czy pan jest członkiem naszego Klubu?

Zapytałem tak umyślnie, choć wiedziałem, że nie jest — i rzeczywiście speszył się, potarł znowu brodę kapeluszem, a potem schował go naraz za siebie i śmiesznym, drepczącym krokiem podszedł do biurka. Miałem otwartą w dole szufladę, do której włożyłem przedtem książkę, gdy usłyszałem pukanie, a widząc teraz, że się tego natręta łatwo nie pozbędę, wsunąłem szufladę kolanem, wyjąłem pieczętkę z kieszeni i zabrałem się do

układania nakrojonych, czystych kartek, żeby widział, że mam swoją robotę.

— O! Nie chciałem pana urazić! Nie chciałem urazić! — wykrzyknął i zaraz ściszył głos, oglądając się niespokojnie na drzwi.

— Więc może zechce pan powiedzieć, czego sobie życzy? — powiedziałem sucho, bo miałem tego dość.

Oparł rękę na biurku, w drugiej trzymając za plecami kapelusz, i nachylił się ku mnie. Teraz dopiero zorientowałem się, że musi być porządnie stary, chyba po czterdziestce. Tego się z daleka nie widziało, miał taką szczupłą, nijaką twarz — jak czasem blondyni, u których nie znać siwizny.

— Niestety, nie jestem członkiem Klubu — powiedział. — Ja... wie pan — naprawdę mam ogromny szacunek dla pańskiego zajęcia, także i innych panów, wszystkich panów tutaj, ale, Niestety, brak mi kwalifikacji! Myślałem zawsze, żeby zapoznać się, ale mi się, Niestety, nie udało. Moje życie — tak jakoś poszło...

Zająknął się i urwał. Wyglądał, jakby był bliski płaczu, aż mi się głupio zrobiło. Nic nie mówiłem, tylko zacząłem pieczętować puste kartki, nie patrząc na niego, choć czułem, że coraz bardziej się nade mną nachyla i że najwyraźniej ma ochotę przejść na moją stronę biurka. Ale udawałem, że nic o tym nie wiem, a on zaczął szeptać bardzo głośno, z czego nie zdawał sobie chyba sprawy:

— Ja wiem, że przeszkadzam panu, i zaraz odejdę... Mam pewną... pewną prośbą... Liczę na pana... zaledwie śmiem liczyć na wyrozumiałość... Kto oddaje się takiej ważnej pracy, takiemu pożytkowi bezinteresownie, dla ogólnego dobra, zrozumie mnie — może... Nie jestem... śmiem się spodziewać...

Byłem od tego szeptania całkiem już głupi i wciąż tylko pieczętowałem kartki, a przy tym widziałem ze strachem, że wnet mi się skończą i nie będę mógł wlepić oczu w puste biurko, a nie chciałem patrzeć na niego, bo się wprost cały rozplęwał.

— Chciałbym... chciałbym — powtórzył ze trzy razy — prosić pana nie o... to znaczy — o przysługę, o pomoc. O wypożyczenie mi stosunkowo drobnej rzeczy — ale muszę się wpierw przedstawić: nazywam się Harden... Pan mnie nie zna, no, Boże, skąd by pan mógł mnie znać...

— A pan mnie zna? — spytałem, nie podnosząc głowy i chuchając na poduszeczkę pieczętarki. Harden tak się zląkł, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie odpowiedzieć.

— Przez przypadek... — bąknął wreszcie. — Przez przypadek widywałem, mając... mając interesy tu, na tej ulicy, w pobliżu, obok, to znaczy — niedaleko tego domu... Ale to nic nie znaczy — mówił gorąco, jakby niesłychanie wprost zależało mu na tym, żeby mnie

przekonać, że mówi prawdę. Aż mi w głowie od tego wszystkiego szumiało, a on ciągnął:

— Prośba moja, z pozoru błaha, ale... Chciałem pana prosić, naturalnie z wszelkimi zapewnieniami, o pożyczenie mi drobnej rzeczy. To pana nie utrudzi. Chodzi — chodzi o drut. Z wtyczkami.

— Co pan mówi? — spytałem.

— Drut z wtyczkami! — zawołał prawie z uniesieniem. — Niedużo, kilka... naście metrów i wtyczki... osiem... nie — dwanaście — ile wolno. Oddam na pewno. Ja, wie pan, mieszkam na tej samej ulicy, pod ósmym...

„A skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?” — chciałem spytać, ale ugryzłem się w ostatniej chwili w język i powiedziałem tylko możliwie obojętnym tonem:

— Tutaj nie ma wypożyczalni drutu, proszę pana. Zresztą, czy to taka wielka rzecz? Przecież pan to dostanie w każdym sklepie elektrotechnicznym.

— Ja wiem! wiem! — zawołał. — Ale niechże mnie pan zrozumie! Tak przyjąć jak ja... tu... jest to prawdziwym ciężarem, ale nie mam drogi. Ten drut jest mi niesłychanie potrzebny, a właściwie nie jest on dla mnie, nie. Jest... jest przeznaczony dla kogoś. Ten... ta... osoba... nie ma... środków. To mój... przyjaciel. On... nic nie ma... — powiedział, znowu z takim wyrazem twarzy, jakby się miał rozplakać. — Ja, niestety, teraz... takie wtyczki sprzedają tylko w tuzinach, wie pan. Proszę, może pan w swojej wspaniałomyślności... Zwracam się do pana, bo nie mam, bo nikogo nie znam...

Urwał i przez jakiś czas nie mówił, tylko dyszał, jakby okropnie wzruszony. Od tego wszystkiego już się spociłem i chciałem tylko jednego: pozbyć się go — na razie. Mogłem mu tego drutu zwyczajnie nie dać i wtedy by się wszystko skończyło. Ale byłem zaintrygowany Zresztą, może być, że i pomóc mu trochę chciałem, bo mi się go żal robiło. Nie wiedziałem jeszcze dobrze, co o tym myśleć, ale miałem w pracowni własną starą zwojnicę, z którą mogłem zrobić, co mi się podobało. Bananów wprawdzie nie miałem, ale cała kupa leżała na stoliku. Nikt się z nich nie rozliczał. Nie były, co prawda, przeznaczone dla obcych, pomyślałem jednak, że ostatecznie raz mogę zrobić wyjątek.

— Niech pan zaczeka — powiedziałem. Poszedłem do pracowni, przyniosłem stamtąd drut, cążki i banany.

— Czy taki drut będzie dobry? — spytałem. — Innego nie mogę panu dać.

— Doprawdy — ja, ja myślę, że będzie w sam raz...

— Ile panu trzeba? Dwanaście? Może dwadzieścia metrów?

— Tak! Dwadzieścia! Jeżeli pan łaskaw... Odmierzyłem na oko ze dwadzieścia metrów, odliczyłem wtyczki i położyłem na biurku. Schował wszystko do kieszeni, a mnie

naraz przyszło do głowy, że pan Egger, gdyby dowiedział się o tych bananach, narobiłby szumu w całym Klubie. Mnie by naturalnie nic nie powiedział, przejrzałem go, to intrygant i faryzeusz, w gruncie rzeczy podszyty tchórzem. Pan Harden cofnął się od biurka i powiedział:

— Młody panie... przepraszam... panie... zrobił pan prawdziwie dobry uczynek. Ja wiem, że moja nietaktowność — i sposób, w jaki ja tu do pana... to mogło wywołać niewłaściwe wrażenie, ale zapewniam pana, zapewniam, to było bardzo potrzebne! Chodzi o sprawę pomiędzy uczciwymi, dobrymi ludźmi. Nie umiem nawet wyjawic, jak ciężko mi było przyjść, ale miałem nadzieję — i nie omyliłem się. To pocieszające! To bardzo pocieszające!

— Czy mam to traktować jako pożyczkę? — spytałem. Chodziło mi głównie o termin zwrotu, w razie gdyby miał być odległy, postanowiłem przynieść odpowiednią ilość własnych wtyczek.

— Naturalnie, to tylko pożyczka — odparł, prostując się z jakąś staroświecką godnością. Przyłożył kapelusz do serca. — Ja, to znaczy — mniejsza o mnie... Mój przyjaciel na pewno będzie panu wdzięczny. Pan... pan nawet nie wyobraża sobie, co to znaczy — jego wdzięczność... Nawet przypuszczam, że...

Uklonił mi się.

— W krótkim czasie zwrócę wszystko — z podziękowaniem. Kiedy — w tej chwili nie potrafię panu, niestety, powiedzieć. Dam znać, za pana pozwoleniem. Pan — przepraszam — bywa tu co drugi dzień?

— Tak — powiedziałem. — W poniedziałki, środy i piątki.

— A czy kiedyś — kiedyś będę mógł... — zaczął bardzo cicho pan Harden. Spojrzałem na niego bystro i to go, widać, spłoszyło, bo nie powiedział już nic, tylko uklonił mi się, raz r

z gołą głową, drugi raz w kapeluszu, i wyszedł. Zostałem sam i miałem jeszcze prawie godzinę czasu, ale spróbowałem tylko czytać i zaraz odłożyłem książkę, bo nie mogłem zrozumieć ani jednego zdania. Kompletnie mnie skołowała ta wizyta i ten człowiek. Wyglądał na porządnie zabiedzonego, wierzchy butów, choć lśniące czystością, tak miał spękane, aż żal było patrzeć. Kieszenie marynarki obwisały mu, jakby stale nosił w nich jakieś ciężkie przedmioty. Mogę coś o tym powiedzieć. Dwie rzeczy zastanowiły mnie najbardziej — i obie odnosiły się do mnie. Pan Harden najpierw powiedział, że zna mnie z widzenia, bo załatwiał coś w pobliżu Klubu — co się, ostatecznie, mogło przypadkowo zdarzyć, chociaż dziwne wydało mi się załęknięcie, z jakim mi to tłumaczył. Po wtóre: mieszkał na tej samej ulicy, co ja. Tu już przypadków było zbyt wiele. Równocześnie widziałem jak na dłoni, że to nie jest człowiek zdolny z natury do jakiejś podwójnej gry, do skomplikowanych kłamstw.

Rozmyślałem tak i, ciekawa rzecz, dopiero na samym końcu zastanowiłem się nad tym, do czego właściwie potrzebny mu był ten drut. Nawet się trochę zdziwiłem, że tak późno na to wpadłem. Pan Harden zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądał na człowieka, który robi wynalazki czy choćby tylko majstruje dla przyjemności. Powiedział zresztą, że ten drut nie jest dla niego, ale dla przyjaciela. Wszystko to razem nie składało mi się zupełnie. Na drugi dzień po szkole poszedłem obejrzeć sobie dom pod ósmym. Nazwisko jego rzeczywiście figurowało na liście lokatorów. Wdałem się w rozmowę z dozorcą, uważając, żeby nie wzbudzić w nim podejrzeń, i wymyśliłem całą historię, że mam niby dawać korepetycje siostrzeńcowi pana Hardena, więc interesuję się tym, czy jest wypłacalny. Pan Harden — jak opowiedział mi dozorca — pracował w śródmieściu, w jakiejś wielkiej firmie, do pracy jeździł o siódmej, a wracał o trzeciej. Ostatnimi czasy o tyle się to zmieniło, że zaczął wracać coraz później, a zdarzało się, że w ogóle nie przychodził na noc. Dozorca go o to nawet mimochodem spytał, a pan Harden powiedział mu, że bierze nadliczbowe godziny i nocną pracę, bo potrzebuje pieniędzy na święta. Jednakże nie dało się zauważyć — to są wnioski dozorca — żeby mu ta wyteżona praca wiele przyniosła, bo jak był biedny niczym mysz kościelna, takim pozostał, ostatnio zaś zalegał z czynszem i świąt w ogóle nie urządzał, do kina nie poszedł; dozorca nie wiedział, niestety, jak się nazywa ta firma, w której pan Harden pracuje, a zbyt długo też wolałem go nie wypytywać, tak że właściwie ten wywiad przyniósł mi niezbyt obfite plony.

Muszę przyznać, że z niecierpliwością oczekiwałem poniedziałku, bo coś mi mówiło, że jest to początek jakiejś osobliwej sprawy, choć nie mogłem sobie przedstawić, o co mogłoby w niej chodzić. Próbowałem wyobrazić sobie rozmaite możliwości, na przykład, że pan Harden robi wynalazki albo że uprawia szpiegostwo, ale to absolutnie nie pasowało do jego osoby. Jestem przekonany, że nie odróżniłby diody od pentody, był też ostatnim człowiekiem na świecie, który nadawałby się do jakiejś misji obcego wywiadu.

W poniedziałek przyszedłem na dyżur nie wcześniej i wczekałem się dwie godziny w r. snącym zniecierpliwieniu. Harden przyszedł! kiedy zabierałem się już do wyjścia. Wszedł jakoś uroczyście, ukłonił mi się od progu i podał mi rękę, a potem małą paczkę, porządnie zawiniętą w biały papier.

— Dzień dobry, młody panie. Cieszę się, że pana zastałem — powiedział. — Chciałem podziękować panu za pańską dobroć. Wybawił mnie pan z nader kłopotliwego położenia. — Mówił to wszystko sztywno i tak, jakby to sobie przedtem ułożył. — Tu jest wszystko, co pan był łaskaw mi pożyczyć — wskazał na paczkę, którą położyłem na biurku. Obaj staliśmy. Pan Harden ukłonił mi się jeszcze raz i zrobił taki ruch, jakby chciał odejść —

ale został.

— Nie ma o czym mówić, to była drobnostka — powiedziałem, aby ułatwić mu odezwanie się. Myślałem, że zacznie gorąco oponować, ale nic nie powiedział, patrzył tylko na mnie posepnie i parę razy potarł rondem kapelusza podbródek. Zauważyłem, że kapelusz był usilnie czyszczony, co prawda nie dało to większych rezultatów.

— Jak pan wie, nie jestem członkiem Klubu... — powiedział. Naraz przystąpił do biurka, położył na nim kapelusz i, zniżając głos, odezwał się:

— Nie mam śmiałości znów pana trudzić. I tak tyle pan dla mnie zrobił. Jednakże, gdyby pan zechciał poświęcić mi pięć minut — nie więcej, doprawdy... Nie chodzi o nic materialnego, nigdy w świecie! Tylko, wie pan — brak mi odpowiedniego wykształcenia i nie potrafię sobie dać z tym rady.

Nie mogłem się zorientować, do czego zmierza, ale byłem porządnie zaciekawiony, więc powiedziałem, żeby go zachęcić:

— Ależ oczywiście, jeżeli będę mógł, chętnie panu pomogę.

Ponieważ milczał, nic nie odpowiadając i nie ruszając się z miejsca, dodałem na oślep:

— Czy chodzi o jakiś aparat?

— Co?! Co pan mówi?! Skąd, skąd pan... — wyrzucił, przestraszony, jakbym powiedział coś niesłychanego. Robił takie wrażenie, jakby chciał po prostu czmychnąć.

— Ależ to proste — odparłem możliwie spokojnie, starając się uśmiechnąć — pożyczał pan ode mnie przewód elektryczny i wtyczki, a zatem...

— O, pan jest niesłychanie bystry, nad wyraz bystry — powiedział, ale nie było w tym uznania, raczej lęk. — Nie, bynajmniej, to znaczy — pan jest człowiekiem honorowym, nieprawdaż? Czy mógłbym, ośmielając się, prosić pana, to znaczy, jednym słowem, czy może dać mi pan słowo, że nikomu... że pan zachowa wszystko, o czym mówimy, dla siebie?

— Tak — odparłem zdecydowanym tonem i żeby go upewnić, dodałem:

— Nigdy nie łamię danego słowa.

— Tak sobie myślałem. Tak! Byłem o tym przeświadczony! — powiedział, jednakże minę dalej miał zasepioną i nie patrzył mi w oczy. Jeszcze raz potarł podbródek i powiedział szeptem:

— Są... wie pan... jakieś zakłócenia. Nie wiem, skąd. Nie potrafię tego zrozumieć. Raz jest prawie dobrze, a potem nic nie rozumiem.

— Zakłócenia — powtórzyłem, bo zamilkł — pan ma na myśli zakłócenia odbioru?

Chciałem dodać jeszcze „to pan ma krótkofalówkę” — ale powiedziałem tylko „to pan...” — tak się wzdrygnął.

— Nie, nie —' wyszeptał. — Nie chodzi o odbiór. Wydaje się, że z nim jest coś złe. Czy ja wiem zresztą! Może po prostu nie chce ze mną mówić.

— Kto? — spytałem znowu, bo przestałem go pojmować, wtedy on obejrzał się za siebie, a potem, znizywszy głos jeszcze bardziej, powiedział:

— Proszę pana, przyniosłem to ze sobą. Schemat, to znaczy część schematu. Ja, wie pan, nie mam prawa, to znaczy — nie całkiem mam prawo pokazać to komukolwiek, ale ostatnim razem otrzymałem zgodę. To nie jest moja sprawa. Pan rozumie? Mój przyjaciel —o niego właśnie chodzi. To jest ten rysunek. Niech się pan nie gniewa, że to jest tak niedobrze narysowane, próbowałem studiować rozmaite specjalne książki, ale to nic nie pomogło. Chodzi o to, że trzeba to zrobić — sporządzić, dokładnie, tak jak jest narysowane. Ja bym się już postarał o wszystkie potrzebne rzeczy. Wszystko już mam, dostałem. Ale — ja tego nie zrobię! Tymi rękami — wyciągnął chude, żółtawe dłonie, które drżały tuż przed moją twarzą — pan sam przecież widzi! Nigdy w życiu nie miałem z tym nic wspólnego, nie umiałbym nawet narzędzia utrzymać, taki ze mnie niezguła, a tu tak jest potrzebna umiejętność! Chodzi przecież o życie...

— Może mi pan pokaże ten rysunek — powiedziałem powoli, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa, bo już zanadto załatywały mi jakimś pomieszaniem.

— Ach, przepraszam... — wybąkał.

Rozpostarł na biurku kawał sztywnego papieru rysunkowego, nakrył go obu rękami i spytał cicho:

— Czy można zamknąć drzwi?

— Owszem, można — powiedziałem — bo już jest po godzinach dyżuru. Możemy się nawet na klucz zamknąć — dodałem, wyszedłem na korytarz i umyślnie głośno przekręciłem dwa razy klucz w zamku, żeby to słyszał. Chciałem, by nabrał do mnie zaufania.

Wróciwszy do pokoju, siadłem za biurkiem i wziąłem do ręki ten jego rysunek. Nie był to bynajmniej schemat. Nie było to podobne do niczego — oprócz dziecinnych gryzmołów. Były tam po prostu kwadraty, oznaczone literkami i cyframi, połączone ze sobą, ni to jakaś telefoniczna rozdzielnica, ni to tablica rozdzielcza, narysowana tak, że włosy stawały na głowie — bez użycia symboli, kondensatory i cewki były naszkicowane „z natury”, jakby to zrobiło pięcioletnie dziecko. Sensu nie można się było w całości doszukać za grosz, bo nie wiadomo było, co oznaczają te kwadraty z cyframi, aż naraz zauważyłem znajome literki i liczby: oznaczenia rozmaitych lamp katodowych. Wszystkiego razem — osiem. Ale to nie był aparat radiowy. Poniżej kwadratów widniały prostokąciki z cyframi, które nic mi już nie mówiły; widniały wśród nich także greckie litery — wszystko razem

niczym jakiś szyfr albo po prostu rysunek obłąkańca. Oglądałem cały ten bohomaz dość długo, słysząc, jak Harden dyszy mi głośno nad głową. Chociaż nie mogłem złapać nawet w przybliżeniu idei całej tej aparatury, dalej studiowałem rysunek, bo czułem, że nie będzie łatwo wyciągnąć z niego wiele więcej, musiałem się więc oprzeć na tym materiale, jaki miałem przed sobą. Nie było wykluczone, że jeżeli go nacisnę, by pokazał mi i wytłumaczył cokolwiek, przeleknie się i tyle będę go widział. I tak okazał mi sporo zaufania. Tak więc postanowiłem zacząć od rysunku. Jedyłą częścią zrozumiałą było coś w rodzaju fragmentu wzmacniacza kaskadowego, ale to był raczej mój domysł, gdyż, jak powiadam, całość przedstawiała coś zupełnie nieznanego i zagmatwanego — widniało tam doprowadzenie prądu o napięciu 500 woltów — po prostu sen elektrotechnika, który ma koszmary! Między poszczególnymi częściami były wyrysowane rozmaite elementy, mające zapewne stanowić wskazówkę dla tego, kto by to urządzenie miał budować, więc, na przykład, uwagi o materiale, z jakiego trzeba wykonać płytę rozdzielniczą, a kiedy się dobrze temu labiryntowi przyjrzałem, odkryłem naraz coś dziwnego: skosem stojące na kilku nóżkach, obrzeżone jakby firaneczką prostokąci, niczym kołyski jakieś. Spytałem Hardena, co to jest.

— To? To są, to mają być ekrany — odparł pokazując mi palcem inny, taki sam prostokąt, w który rzeczywiście wpisane było małymi literkami słowo „ekran”.

To mnie wprost zaszokowało. Harden najwyraźniej nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że słowo „ekran” znaczy w elektrotechnice coś całkiem innego aniżeli w życiu potocznym, i tam, gdzie w schemacie szło o ekranowanie poszczególnych fragmentów aparatury, to znaczy oddzielenie od siebie pól elektromagnetycznych osłonami, czyli ekranami z metalu, wyrysował ze świętą naiwnością ekraniki, jakie się widzi w kinie!

A przy tym w dolnym rogu schematu widniał filtr wysokiej częstotliwości, podłączony w całkiem nowy, nie znany mi sposób, nadzwyczaj dowcipnie — był to po prostu wynalazek pierwszej wody!

— Proszę pana — powiedziałem — to pan sam rysował?

— Tak, ja. A co?

— Tu jest filtr — zacząłem, wskazując ołówkiem, ale on przerwał mi:

— Proszę pana, ja się na tym nie znam. Zrobiłem to według wskazówek. Mój przyjaciel... a więc tak: to on jest w pewnym sensie — autorem...

Urwał. Naraz zabłysło mi światło.

— Pan się z nim porozumiewa przez radio? — spytałem.

— Co? Ależ nie!

— Przez telefon? — pytałem dalej, niewzruszony. Pan Harden zaczął naraz drzeć.

— O... o co panu chodzi? — wyjąkał, opierając się ciężko o biurko. Zdawało mi się, że zasłabnie. Przyniosłem stółek z pracowni, na który osunął się, jakby się postarzał w czasie rozmowy.

— Czy pan go widuje? — spytałem, a Harden skinął powoli głową.

— Więc czemu nie korzysta pan dalej z jego pomocy?

— Och, to niemożliwe... — powiedział z nagłym westchnieniem.

— Jeżeli przyjaciela pana nie ma tutaj i trzeba się z nim porozumieć na odległość, mogę panu użyczyć mojego aparatu radiowego — powiedziałem. Zrobiłem to umyślnie.

— Ależ to nic nie da! — zawołał. — Nie, nie, on jest tutaj, naprawdę.

— Więc czemu on sam nie przyjdzie do mnie? — rzuciłem. Pan Harden wykrzywił twarz w jakimś spazmatycznym uśmiechu.

— To niemożliwe — powiedział. — On nie jest... jego nie można... naprawdę, to nie jest mój sekret i nie mam prawa go zdradzać... — powiedział nagle gorąco, z takim wylaniem, że uwierzyłem w jego szczerość. W głowie aż mi huczało od wytężonego myślenia, a nie mogłem się jeszcze połapać, o co chodzi. Jedno było najzupełniej pewne: Harden nie znał się w ogóle na radiotechnice i schemat musiał być dziełem tajemniczego przyjaciela, o którym tak mgliście napomykał.

— Proszę pana — zacząłem powoli — co się mnie tyczy, może być pan najzupełniej pewny mojej dyskrecji. Nie chcę wcale pytać, co pan robi i do czego ma to służyć — wskazałem na rysunek — ale żeby panu pomóc, musiałbym, po pierwsze, przerysować to sobie, a, po wtóre, ten mój rysunek musiałby dopiero przejrzeć pana przyjaciela, który się widocznie na tym zna...

— To się nie da zrobić... — wyszeptał pan Harden. — Ja... ja musiałbym to panu zostawić?

— A jakże inaczej? Panu chodzi o to, żeby ten aparat zmontować — czy tak?

— Ja... ja bym przyszedł ze wszystkim, co potrzebne, kiedy pan pozwoli — powiedział pan Harden.

— Nie wiem, czy to możliwe — czy to się da przeprowadzić — powiedziałem.

Kiedy popatrzyłem na niego, wyglądał zupełnie złamany. Wargi mu drżały — przesłonił je rondem kapelusza. Zrobiło mi się go naprawdę żal.

— Ostatecznie, można by spróbować — powiedziałem niechętnie — choć nie wydaje mi się, aby podług tak niedokładnego rysunku dało się sklecić cokolwiek sensownego. Niechże pana przyjaciel przejrzy to, u licha, czy po prostu porządnie przerysuje...

Kiedy popatrzałem na niego, zrozumiałem, że żądam rzeczy niewykonalnej.

— Kiedy mogę przyjść? — spytał wreszcie. Umówiłem się z nim na trzeci dzień; wyrwał mi prawie rysunek z rąk, schował go do wewnętrznej kieszeni i rozejrzał się nieprzytomnymi oczami.

— To ja już sobie pójdę. Nie będę... nie chcę zabierać panu czasu. Bardzo panu dziękuję i — do widzenia. Więc przyjdę, jeżeli można. Ale nikt... nikt... nikomu...

Obiecałem mu raz jeszcze, że nic nikomu nie powiem, dziwiąc się już własnej cierpliwości. Wychodząc, zatrzymał się naraz.

— Proszę pana... przepraszam, że jeszcze się ośmielam. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie można dostać żelatyny?

— Czego — proszę?

— Żelatyny — powtórzył — zwykłej, suszonej żelatyny w arkuszach, zdaje się...

— W sklepie spożywczym najprędzej — poradziłem mu. Raz jeszcze uklonił się, podziękował mi gorąco i wyszedł. Przeczekałem chwilę, aż jego kroki ucichły na schodach, zamknąłem Klub i poszedłem do domu, tak zamyślony, że wpadałem na przechodniów. Zajęcie, jakiego się może lekkomyślnie podjąłem, nie budziło we mnie zachwyty, ale rozumiałem, że zbudowanie tego nieszczęsnego aparatu — to jedyna droga poznania, co właściwie poczyna pan Harden ze swoim zagadkowym przyjacielem. W domu wziąłem parę arkuszy papieru i próbowałem narysować ten dziwaczny schemat, który pokazał mi pan Harden, ale prawie nic nie pamiętałem. Na koniec pociąłem papier na kawałki, na których wypisałem wszystko, co wiedziałem o całej tej historii, i próbowałem, siedząc nad nimi do wieczora, złożyć te fragmenty w jakąś sensowną całość. Nie bardzo mi to szło, chociaż muszę powiedzieć, że puściłem całkiem wodze wyobraźni i nie wahałem się stawiać całkiem nieprawdopodobnych hipotez, w rodzaju, że pan Harden utrzymuje łączność radiową z uczonymi jakiejś innej planety — coś jak w tej historii Wellsa o kryształowym jajku. Nie trzymało się to jednak kupy, a najbardziej oczywiste, narzucające się wprost rozwiązanie: że mam do czynienia ze zwyczajnym wariatem — odrzuciłem, po pierwsze dlatego, że zbyt wiele metody tkwiło w tym jego wariactwie, po drugie zaś, ponieważ tak właśnie brzmiałby bez wątpienia sąd olbrzymiej większości ludzi z panem Eggerem na czele. Kiedy kładłem się już spać, zabłyśło mi w głowie światło, od którego aż skoczyłem. Zdumiałem się, że nie wpadłem na to od razu, tak mi się to nagle wydało oczywiste. Nieznany, ukrywający się w cieniu przyjaciel pana Hardena musiał być niewidomy! Jakiś fachowiec—elektryk, ślepy, może więcej nawet niż ślepy! Kiedy zanalizowałem szybko we wspomnieniu niektóre odezwania się Hardena, a szczególnie, gdy uprzytomniłem sobie, jak żalonym uśmiechem skwitował moją propozycję, aby przyjaciel jego przyszedł sam, doszedłem do wniosku, że jest on

całkiem sparaliżowany. Jakiś stary, na pewno bardzo stary człowiek, od lat przykuty do łóżka, który w mroku, otaczającym go wiecznie, wymyśla dziwne przyrządy. Jedyne przyjaciel, którym może się przy tym posługiwać, nie zna się w ogóle na elektrotechnice. Stary, jak to stary — jest zdziwaczała, mocno podejrzliwy i obawia się, że mu jego sekret mogą wykraść. Hipoteza ta wydała mi się bardzo prawdopodobna. Było jeszcze kilka niejasnych punktów: do czego służyć miały druty i wtyczki? Nie omieszkalem zbadać ich sumiennie pod lupą. Drut został pocięty na kawały różnej długości — po dwa, dwa i pół, trzy i cztery metry, banany zaś, w chwili kiedy je wręczałem panu Hardenowi — zupełnie nowe, nie używane, miały porozkręcane śrubki, a w niektórych tkwiły pojedyncze nitki miedzianego drutu. A zatem służyły naprawdę do czegoś i pożyczanie ich nie stanowiło wyłącznie pretekstu do nawiązania ze mną bliższego kontaktu.

Ponadto — żelatyna. Po co mu była żelatyna? Aby przyrządzić dla owego przyjaciela jakąś galaretkę, kleik? Siedziałem po ciemku na łóżku, tak trzeźwy, jakbym nie miał tej nocy w ogóle zasnąć. „Arkusze suchej żelatyny” — przypadkowo wiedziałem, że z takiej ilości można by zrobić galaretkę dla wieloryba. Nie orientował się w proporcjach? Czy też po prostu chciał wprowadzić moją dociekliwość na fałszywe tory? Byłaby to, w takim razie, „operacja pozorna żelatyna”? Ale podobna chytryść nie mogła mieć źródła w panu Hardenie — wprost organicznie był do tego niezdolny! Niezgrabiasz, fizyczny i duchowy, do zabicia muchy zabierałby się z lękami, zahamowaniami i tajemniczością, jakby szło o dokonanie najstraszliwszej zbrodni. Więc ten krok podszeptał mu „przyjaciel”? Czyżby tak zaplanował całą rozmowę? Ze wszystkimi niedomówieniami i przejęzyczeniami, które produkował pan Harden? To na pewno było niemożliwe. Czulem, że im dokładniej analizuję byle błahostkę, byle szczegół tej sprawy, jak właśnie ową nieszczęsną żelatynę, w tym większym pograżam się mroku, gorzej — ze wszystkich, pozornie zwyczajnych elementów zdawał się wynikać, jako logiczny wniosek, absurd. A gdy przypominał sobie jego słowa o „zakłóceniach”, o tym, jak nie może się porozumieć z przyjacielem, ogarnął mnie wprost niepokój. Wyobraziłem sobie — cóż innego mogło mi przyjść na myśl? — starca, całkowicie bezwładnego, pozbawionego wzroku, na wpół przytomnego, martwe, wielkie ciało w barłogu, na jakimś ciemnym strychu, rozpaczliwie bezbronną istotę, w której mózgu, osaczonym przez wieczną ciemność, błyskają jakieś fragmenty wizyjnej aparatury, a Harden, śmieszny i wierny, wszystkie siły wyteża, aby z bełkotliwych strzępów, z chaotycznych uwag, wyrzucanych z głębi zamroczenia, obłędu, złożyć trwałą jak pomnik, jak testament całość. Tak mi się to roilo owej nocy — wydaje mi się, że miałem chyba gorączkę. A przecież nie mogłem wszystkiego w ogóle tłumaczyć szaleństwem, bo pamiętałem pewien drobny, lecz

wprost niezwykley szczegół — ową konstrukcją filtra częstotliwości, która fachowcowi mówiła niedwuznacznie, że spotyka się z płodem — co tu gadać — genialności.

Postanowiłem sobie kopiować w pamięci układ aparatury, którą obiecałem złożyć, i uspokojony świadomością, że trzymam przecież w ręce jakąś nić, która będzie mnie prowadziła w głąb tego labiryntu, usnąłem.

Pan Harden przyszedł w środę, jakeśmy się umówili, objuczony dwiema teczkami, pełnymi części, a jeszcze trzykrotnie wracał do domu po resztę. Praca montażowa miała odbywać się po moim dyżurze, tak było mi najwygodniej. Kiedy zobaczyłem te wszystkie części, zwłaszcza lampy, zorientowałem się, jaki kawał grosza i musiały kosztować — i ten człowiek pożyczął i ode mnie kilkanaście metrów drutu? Zabrałem się do dzieła, podzieliwszy pracę w ten sposób, że znaczyłem na ebonitowej płycie miejsca, w których należało nawiercić otwory, a pan Harden mocował się z wiertarką. Okrutnie mu to nie szło. Musiałem mu pokazać, jak trzymać jej korpus i kręcić korbą. Złamał dwa wiertła, zanim się tego nauczył. Ja tymczasem pilnie studiowałem rysunek i rychło zorientowałem się, że było tam sporo połączeń najzupełniej nonsensownych. To się zgadzało z moją hipotezą: albo uwagi „przyjaciela” padały w formie tak niewyraźnej i niejasnej, że Harden nie umiał się w nich zorientować, albo sam „przyjaciel” gubił się we własnej koncepcji, owładnięty przejściowym zamroczeniem. Powiedziałem panu Hardenowi o tych fałszywych połączeniach. Nie dał mi najpierw wiary, ale kiedy w przystępnej formie wytłumaczyłem mu, że montaż według takiego schematu musi doprowadzić po prostu do krótkiego spięcia, do spalenia lamp — przeraził się. Słuchał mnie dłuższy czas w zupełnym milczeniu, z drgającymi wargami, których nie mógł przesłonić po swojemu rondem kapelusza. Naraz zakrzętnął się, w nieoczekiwanym przyplwywie energii porwał schemat ze stołu, narzucił marynarkę i prosząc, abym zaczekał tylko chwilę, tylko pół godziny, od drzwi rzucając jeszcze zaklęcia — pognął do miasta. Był już zmierzch, kiedy wrócił, uspokojony, choć zdyszany, jakby biegł całą drogę. Powiedział mi, że wszystko jest w porządku — że tak właśnie ma być, jak jest narysowane, że się wprawdzie nie mylę, ale to, o czym mówiłem, zostało przewidziane i uwzględnione. Urażony, w pierwszej chwili miałem po prostu ochotę rzucić całą robotę, ale po namyśle wrzuciłem ramionami i wyznaczyłem mu dalszy etap pracy. Tak upłynął ten pierwszy wieczór. Harden robił pewne postępy, nadzwyczajna wprost była jego cierpliwość i uwaga, widziałem też, że nie tylko stara się wykonać moje polecenia, ale usiłuje wdrożyć się do manipulacji, w rodzaju montowania chassis czy lutowania końcówek, jakby się tym chciał parać na przyszłość. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ach, podpatrujesz mnie — pomyślałem — może ci kazano zdobyć wprawę w radiotechnice, więc i ja jestem zwolniony z

lojalności; pod pozorem wyjścia do ustępu zamierzałem wyrysować sobie w pamięci cały schemat, bo nie wypuszczał go niemal z rąk i mogłem mu się przypatrywać tylko pod jego okiem, za co mnie zresztą tysiącnie razy przepraszał — ale stawiał na swoim. Czułem, że ta zaciekłość strzeżenia tajemnicy nie płynie z niego samego, że jest mu narzucona i obca jego naturze. Gdy jednak chciałem wyjść na chwilę z pracowni, zastąpił mi drogę i patrząc w oczy, żarliwym szeptem powiedział, że muszę złożyć mu świętą obietnicę, przysiąc — że nie będę próbował odrysować schematu ani teraz, ani później, nigdy. Obruszyłem się. — Jakże pan chce, abym to zapomniał? — spytałem. — To nie leży w mojej władzy. Zresztą, naprawdę, i tak zbyt wiele robię już dla pana i niegodne jest żądać ode mnie, abym działał jak ślepy automat, narzędzie!

To mówiąc, chciałem go wyminąć, bo zastępował mi drogę, ale on chwycił mnie za rękę i przycisnął do serca — znów bliski płaczu.

— To nie dla mnie, nie dla mnie — powtarzał trzęsącymi się wargami — błagam, proszę, niech pan zechce to zrozumieć, on... on nie jest tylko moim przyjacielem, chodzi o coś większego, o rzecz nieporównanie większą, przysięgam panu, chociaż nie mogę w tej chwili jeszcze tego powiedzieć, ale niech mi pan wierzy: nie zwodzę pana i nie ma w tym nic niskiego! On... on się panu odwdzięczy — sam to słyszałem — pan nie wie, nie może pan wiedzieć, a ja, nie, nie wolno mi nic mówić, ale to do czasu, przekona się pan!

Tak mniej więcej mówił — ale nie potrafię oddać rozpaczliwego żaru, z jakim patrzył mi w oczy. Przegrałem jeszcze raz — musiałem, po prostu musiałem mu dać to przyrzeczenie. Trzeba żałować, że nie trafił na kogoś mniej uczciwego — być może losy świata potoczyłyby się inaczej, ale stało się. Zaraz potem odszedł; zamknęliśmy zmontowaną część urządzenia do podokiennej szafki, od której miałem klucz — i Harden wziął go ze sobą. Zgodziłem się i na to, żeby go uspokoić.

Po tym pierwszym wieczorze wspólnej pracy znów miałem sporo materiału do przemyślenia — bo myślenia już nie mógł mi zabronić.

Najpierw była sprawa owych fałszywych połączeń; przypuszczałem, że nie odkryłem wszystkich, tym bardziej że cały schemat, widziałem to coraz wyraźniej, stanowił tylko część jakiejś większej, może daleko większej całości. Czyżby chciał ją zmontować później sam, po zakończeniu u mnie terminatorki?

Elektryk, wdrożony do mechanicznej pracy, nie interesujący się specjalnie tym, jaki sens ma to, co robi, być może przeszedłby nad owymi miejscami schematu do porządku, ale mnie nie dawały one spokoju. Nie umiem powiedzieć dlaczego, to znaczy — nie potrafię tego zrobić, nie przedstawiając owego schematu, którego, niestety, nie mam — ale wyglądało to

tak, jakby złe połączenia zostały wprowadzone umyślnie. Im dłużej nad nimi myślałem, tym mocniej byłem o tym przeświadczony. Były to, nie miałem już prawie wątpliwości, fałszywe tropy, zwodnicze, mylące pociągnięcia tego, kto stał, niewidzialny, za całą tą sprawą. Najmniej w tym wszystkim podobało mi się to, że pan Harden naprawdę o istnieniu tych umyślnych pogmatwań schematu nic nie wiedział, a zatem i on nie był dopuszczony do jądra zagadki, a zatem i jego oszukiwano — a robił to jego tak zwany „przyjaciel”! Muszę wyznać, że jego sylweta nie nabierała w mych oczach pociągających rysów, wprost przeciwnie: nie odczuwałem ochoty, aby nazwać kogoś takiego swoim przyjacielem! A jak należało rozumieć wielkie, choć mgliste słowa pana Hardena, kryjące niejasne obietnice i przyrzeczenia? Nie wątpiłem, że tylko je przekazywał, że i tu był jedynie pośrednikiem — ale czy dobrej, czy czystej sprawy? Następnego dnia po południu, gdy byłem w domu i czytałem książkę, matka powiedziała mi, że w bramie jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Była oczywiście zła i spytała, co też to mam za podstarzałych znajomków, którzy boją się pokazać sami i posyłają po mnie dzieci dozorcy. Nie odpowiedziałem nic, bo mnie coś tknęło, i zbiegłem na dół. Był już wieczór, ale lampy, nie wiem czemu, nie świeciły się i w sieni panowała taka czarna ciemność, że ledwo dostrzegłem czekającego. Był to pan Harden. Zdawał się mocno zdenerwowany. Poprosił mnie, żebyśmy wyszli na ulicę. Ruszyliśmy w stronę ogrodu, przy czym pan Harden nie odzywał się przez dłuższy czas, aż gdy znaleźliśmy się nad stawem, w kompletnym o tej porze pustkowiu, spytał, czy interesuję się przypadkiem poważną muzyką. Powiedziałem, że owszem, dosyć ją lubię.

— Ach, to dobrze, to bardzo dobrze. A — być może, posiada pan jakieś płyty? Chodzi mi właściwie tylko o jedną — o Adagio, opus ósme, Dahlen–Gorskiego. Jest to... ma to być... to nie dla mnie, wie pan, ale...

— Rozumiem — przerwałem mu. — Nie, nie mam tej płyty. Dahlen–Gorski? To, zdaje się, taki nowoczesny kompozytor?

— Tak, tak, pan się świetnie orientuje, jak to dobrze. Ta płyta — ona jest, niestety, bardzo, wie pan... nie mam teraz, nie mam środków, i...

— No i ja też, niestety, nie bardzo jestem z funduszami — powiedziałem, śmiejąc się trochę nienaturalnie. Pan Harden przestraszył się.

— Ależ, na miły Bóg, nigdy bym o tym nie pomyślał, to nie wchodzi w ogóle w rachubę. Może któryś z pana znajomych ma tę płytę? Chodzi tylko o wypożyczenie, na jeden dzień, nie na dłużej, doprawdy!

Nazwisko Dahlen–Gorskiego coś potrafiło w mojej pamięci; milczeliśmy chwilę, idąc wzdłuż brzegu jeziora, po cienkim błocie, aż naraz uzmysłowiłem sobie, że przeczytałem je w

gazecie, bodajże w programie radiowym. Powiedziałem o tym panu Hardenowi. Wracając, kupiliśmy w budce gazetę — rzeczywiście nazajutrz orkiestra symfoniczna radia miała odegrać to Adagio.

— Wie pan co — powiedziałem — nic prostszego, jak nastawić radio o tej właśnie godzinę — która to? dwunasta czterdzieści przed południem — i pański przyjaciel po prostu będzie mógł tego posłuchać.

— Tsss — uciszył mnie, rozglądając się nieufnie — proszę pana, fatalnie, że to się nie da zrobić, on... ja... on pracuje wtedy, wie pan, i...

— Pracuje? — powiedziałem zdumiony, bo mi się to nie zgadzało całkiem z obrazem opuszczonego, na wpół obłąkanego, bezwładnego starca. Harden milczał, jakby stropiony tym, co powiedział.

— A więc — rzekłem, idąc za nagłym impulsem — wie pan co: ja panu nagram to Adagio na moim magnetofonie...

— Ach, to będzie świetnie! — zawołał. — Będę panu nieskończenie wdzięczny, tylko... tylko... czy będzie mi pan mógł pożyczyć magnetofon, żeby... żeby to potem odtworzyć?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Z magnetofonami u krótkofalowców — to cała historia: mało kto ma własny, a każdy chce robić nagrania, szczególnie egzotycznych kontaktów i nasłuchów, więc szczęśliwy posiadacz wiecznie jest bombardowany prośbami o pożyczenie. Nie chcąc wiecznie znajdować się w kolizji z moim dobrym sercem, wbudowałem sobie, montując nową aparaturę, magnetofon do środka, jako nierozdzielną część całości; całej aparatury nie można, rozumie się, pożyczać, bo jest za wielka. Powiedziałem to wszystko panu Hardenowi, który się niewypowiedzianie zmartwił.

— No, to co robić... co robić? — powtarzał, dotykając palcami guzików wyszarzałego pałta

— Mógłbym panu dać samą taśmę tylko, z nagraniem — odparłem — a magnetofon musiałby pan sobie u kogoś wypożyczyć.

— Nie mam u kogo... — bąknął, zagłębiony w myślach — zresztą... przecież magnetofon niepotrzebny! — wyrzucił z nagłą radością. — Wystarczy taśma, tak, taśma wystarczy, jeżeli będzie pan mógł mi ją dać? Pożyczyć? — zaglądał mi w oczy.

— Pański przyjaciel ma magnetofon? — spytałem.

— Nie, ale jemu to niepotrz...

Urwał. Całe jego rozradowanie znikło. Staliśmy akurat pod gazową latarnią.

Harden, oddalony o krok, wpatrywał się we mnie ze zmienioną twarzą.

— Właściwie nie — powiedział — ja się pomyliłem. On ma magnetofon. Tak, ma. Naturalnie, że go ma — tylko zapomniałem o tym...

— Tak? To dobrze — odparłem i poszliśmy dalej. Harden był zgaszony, nic nie mówił, czasem tylko ukradkiem zerkał na mnie z boku. Przed domem pożegnał się, ale nie odszedł. Patrzył na mnie chwilę z trochę żalonym uśmiechem i bąknął cicho:

— Pan to nagra dla niego... prawda?

— Nie — powiedziałem ogarnięty nagłym j gniewem — nie. Nagram to — dla pana. Zbladł.

— Ja — dziękuję panu, ale... pan to źle rozumie, niewłaściwie, sam się pan przekona, później... — szeptał gorączkowo, ściskając mnie za rękę — on, on nie zasługuje na... zobaczy pan! Przysięgam! Wszystko, wszystko pan pojmie i nie będzie wtedy oceniał go fałszywie...

Nie mogłem wprost patrzeć na niego, kiwnąłem tylko głową i poszedłem na górę. Znowu miałem materiał do rozmyślań, ale jaki! Jego przyjaciel pracował — nie był to zatem paralityczny starzec, jakiego sobie wyroilem. Ponadto ów miłośnik nowoczesnej muzyki mógł lubować się samą tylko taśmą z nagraniem Adagia Dahlen-Gorskiego — bez pośrednictwa magnetofonu! Bo że tak się właśnie rzecz miała, że magnetofonu nie było wcale na horyzoncie — co do tego nie żywiłem najmniejszej wątpliwości!

Na drugi dzień poszedłem przed dyżurem do miejskiej biblioteki technicznej i przestudiowałem sobie wszystko — co mogłem dostać — o sposobach odtwarzania nagrań z taśmy. Wyszedłem stamtąd tak samo mądry jak wprzód. W sobotę prace montażowe zostały właściwie zakończone, należało jeszcze tylko wpasować brakujący transformator — i polutować mnóstwo końcówek. Jedno i drugie odłożyłem do poniedziałku. Pan Harden dziękował mi gorąco za taśmę, którą mu przyniosłem. Kiedyśmy się już mieli rozstać, nieoczekiwanie zaprosił mnie do siebie na niedzielę. Zmieszany, przeproszał mnie wiele razy za to, że wizyta... przyjęcie... gościna — tak się plątał — będzie niezmiernie skromna i nie licująca wcale z sympatią, jaką dla mnie żywi. Nie słuchałem tego chętnie, tym bardziej że jego nieustająca zacność wprost paraliżowała moje zamiary, wciąż bowiem nachodziła mnie ochota zabawić się w detektywa i wykryć, gdzie mieszka tajemniczy przyjaciel; obsypywany jednak podziękowaniami, przepaszany, nie mogłem wprost zdobyć się na śledzenie Hardena. Tym większą żywiłem niechęć do jego przyjaciela, który nie raczył wciąż uchylić rąbka okrywającej go tajemnicy.

Harden mieszkał w samej rzeczy niedaleko ode mnie, na czwartym piętrze oficyny, w pokoiku wychodzącym na ciemne podwórze. Przywitał mnie uroczyście, z wielkim

zakłopotaniem, że nie może mnie podjąć Bóg wie jakimi wspaniałościami. Pijąc herbatę, rozglądałem się od niechcenia po pokoju. Nie wyobrażałem sobie, że z Hardenem jest aż tak źle. Było tu jednak widać ślady wskazujące, że przedtem powodziło mu się dużo lepiej; na przykład sporo mosiężnych puszek po jednym z droższych tytoni fajkowych. Nad starym, spękany sekretarzykiem wisiał wytarty dywanik z wyraźnie odcisniętymi wgłębieniami po fajkach, musiała się tam znajdować cała ich kolekcja, ale nic po niej nie zostało. Spytałem Hardena, czy pali fajkę, odparł z pewnym zmieszaniem, że dawniej palił, ale zarzucił ten nałóg jako niezdrowy. Coraz wyraźniej widziałem, że ostatnimi czasy wy—sprzedał się ze szczętem — świadczyły o tym dobitnie jaśniejsze od reszty ścian kwadraty po obrazach, przysłonięte reprodukcjami, wyciętymi z czasopism, ale ponieważ nie pasowały dokładnie do tych jaśniejszych miejsc, można je było bez trudu odkryć. Naprawdę nie trzeba było aż detektywa, by zrozumieć, skąd się wzięły pieniądze na zakup radiowych części. Pomyślałem, że „przyjaciół” niezgorzej wyżyłował pan Hardena. Chciałem odnaleźć w pokoju choć jedną rzecz, która nadawałaby się na sprzedaż, ale nie znalazłem nic. Oczywiście nie powiedziałem o tym ani słowa, ale postanowiłem sobie w stosowanej chwili otworzyć panu Hardenowi oczy na rzeczywisty charakter tak zwanej „przyjaźni”. Pocziwy Harden poił mnie tymczasem herbatą, podsuwając mi wciąż pudełko po tytoniu, służące za cukiernicę, jakby mnie chciał skłonić do spożycia całej jego zawartości, w braku czegoś lepszego. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o tym, jak wcześniej odumarli go rodzice, tak że sam się musiał utrzymywać mając ledwo trzynaście lat, wypytywał mnie o plany na przyszłość, a kiedy mu powiedziałem, że mam zamiar studiować fizykę, jeżeli uda mi się dostać stypendium, niejasno, po swojemu, zaczął mówić coś o wielkiej, korzystnej zmianie — niezwyklej zmianie, jaka, tego należy się spodziewać, oczekuje mnie już w niezbyt odległej przyszłości. Zrozumiałem to jako aluzję do łask jego przyjaciela i powiedziałem zaraz, że pragnę wszystko w życiu zawdzięczać wyłącznie własnym siłom.

— Ach, pan mnie źle rozumie... pan mnie źle rozumie — zapewnił mnie z żalem, ale zaraz znów się nieznacznie uśmiechnął, jakby skrywając jakąś wielce go radującą myśl. Opity, rozgrzany i zły — zły byłem w tym czasie prawie nieustannie — pożegnałem po jakiejś godzinie Hardena i poszedłem do domu.

W poniedziałek zakończyliśmy wreszcie montaż aparatu. W czasie pracy Harden, mówiąc o nim, nazwał go, zapewne przez nieostrożność, „koniugatorem”. Spytałem, co to znaczy i czy wie, do czego właściwie ma ten aparat służyć; zmieszał się i powiedział, że dokładnie nie wie. To była chyba kropla, która przepełniła czarę. Kiedy zostawiłem Hardena nad odwróconym do góry nogami aparatem, ze szczotką wystających, oczyszczonych

końcówek, i wyszedłem do drugiego pokoju, wysunąwszy szufladę zobaczyłem w niej, obok kawałka cyny do lutowania, parę sztabek metalu Wooda — pozostałość po pewnym starym kawale. Jakiś złośliwiec podłożył ten srebrny metal, topiący się w temperaturze gorącej herbaty, panu Eggerowi zamiast cyny do lutowania i kompletnie zmontowany aparat w jakąś godzinę po uruchomieniu popsuł się, bo cały metal ściekł z rozgrzanych styków i wszystkie niemal się pootwierały. Sztabki same jakoś wlażyły mi w rękę. Nie wiedziałem dobrze sam, po co to robię, ale kiedy sobie przypomniałem pokój pana Hardena, przestałem się wahać. Było wcale prawdopodobne, że „przyjaciół” nie zorientuje się w podstępie — pan Egger też się na nim nie poznał. Kiedy styki puszcza — myślałem, majstrując kolbę do lutowania — każe zapewne panu Hardenowi ponownie przynieść aparat do pracowni, a może nawet zechce przedstawić mi się osobiście. Może zresztą będzie wściekły — cóż mi jednak zrobi? Myśl o tym, że wystrychnę na dudka tego egoistycznego wyzyskiwacza, sprawiała mi żywą satysfakcję. Po zalutowaniu przewodów wzięliśmy się do wpasowania transformatora. Okazało się wówczas to, co podejrzewałem już przedtem: pan Harden nie był po prostu w stanie zabrać aparatu sam. Przeszkodą był nie tyle ciężar, co jego rozłożenie. Aparat wyszedł przeszło na metr długi, z jednego końca — tam gdzie mieściła się żelazna masa transformatora — bardzo ciężki, a taki nieporęczny, że śmiać mi się chciało, kiedy patrzyłem, jak Harden, coraz bardziej zaaferowany, wręcz zrozpaczony, przymierza się do niego tak i owak, próbuje go wziąć pod pachę, to klęka, prosząc, abym wsadził mu go na plecy. Postanowił wreszcie pobiec do stróża i pożyczyć od niego worek. Odradziłem mu to: aparat był tak długi, że jakkolwiek by go niósł, uderzałby weń nogami, co na pewno nie wyszłoby lampom na dobre. Począł więc grzebać w portmonetce, ale miał za mało pieniędzy na taksówkę; ja też nie miałem. Ostatecznie unieczestwiony, siedział jakiś czas w milczeniu na stołku, łamiąc palce, aż spojrzał na mnie spode łba.

— Czy... zgodziłby się pan pomóc mi?...

Powiedziałem, że skoro zrobiłem już tyle, nie odmówię i teraz; rozjaśnił się, ale zaraz jął gęsto tłumaczyć, że właściwie pierwaj musi zapytać przyjaciela. Byłem ciekaw, jak to zrobi, pora szła późna i nie mogłem czekać na niego godzinami w Klubie. Dobrze o tym wiedział. Pan Harden wstał, jakiś czas medytował, mruczając do siebie i chodząc po pokoju, aż spytał, czy może skorzystać z telefonu. Jeszcze po poprzednich lokatorach został w korytarzu automat telefoniczny, którego mało kto używał; myślę, że po prostu o nim zapomniano. Pan Harden przeproszał mnie gorąco — ale zamknął jednak drzwi na korytarz; miałem czekać w pokoju, aż się rozmówi z przyjacielem. To mnie trochę ubodło; powiedziałem, że może być spokojny — i zamknąłem od mojej strony drzwi na klucz, kiedy wyszedł. Spróbowałem

podszuchiwać przy drzwiach, bo chodziło o rzeczy ważniejsze od respektowania podejrzliwości jakiegoś obcego dziwaka — nic jednak nie słyszałem. Pokój klubowy łączy się z korytarzykiem za pośrednictwem przewodu wentylacyjnego, zakrytego dziurkowaną blachą, którą można odsunąć. Niewiele myśląc, podskoczyłem, chwyciłem się końcami palców framugi i podciągnąłem się do góry jak na drążku. Bardzo trudno było odsunąć kłapkę — zrobiłem to głową, jak mogłem, przybliżyłem ucho do otworu. Nim zrozumiałem słowa, doszedł mnie ich ton — molestowania i prośby. Podniósł głos:

— Ależ to ja, to ja, przecież poznajesz mnie! Dlaczego się nie odzywasz!

Odpowiedziało brzęczenie słuchawki, zadziwiająco silne, skoro je dosłyszałem przez wąski otwór w murze. Pomyślałem, że telefon zepsuł się — ale Harden mówił coś, powtórzył kilka razy „niemożliwe”. Umilkł. Słuchawka bełkotała, Harden wykrzyknął:

— Nie! Nie! Ręczę ci! Ja sam wrócę!

Znowu ucichł. Wyteżałem wszystkie siły, wisząc na zgiętych rękach, opuściłem się więc nieco niżej, by dać im odpocząć, a gdy się znów podźwignąłem, dobiegł mnie jego zaaferowany głos:

— A więc dobrze, wszystko tak, dokładnie tak! Tylko nie odzywaj się, słyszysz! Władza, rozumiem, władza nad światem!

Ręce mi już mdlały. Zeskoczyłem lekko, by nie robić hałasu, i otworzyłem na stukanie drzwi. Harden wrócił jakby uspokojony, ale nieswój — to był nastrój, w jakim widziałem go zawsze, kiedy wracał od „przyjaciela”. Nie patrząc na mnie, otworzył okno.

— Jak pan myśli, będzie mgła? — powiedział. Wokół lamp na ulicy tworzyły się małe, tęczujące aureole, jak zwykle po zimnym, deszczowym dniu.

— Już jest — odparłem

— Zaraz pojedziemy...

Ukląkł przy aparacie i owijał go papierami. Naraz znieruchomiał.

— Niech pan nie ma mu tego za złe. On jest taki... podejrzliwy! Gdyby się pan orientował... on jest w takiej ciężkiej, tak rozpaczliwej sytuacji! — znowu urwał.

— Tak się wciąż boję, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mi nie wolno... — odezwał się cicho. Jego załzawione niebieskie oczy patrzyły pokornie na moje nogi. Stałem przed nim z rękami w kieszeniach — a on jakby nie chciał spojrzeć mi w twarz.

— Pan się nie gniewa, prawda? Powiedziałem, że lepiej dać już temu spokój.

Westchnął i umilkł.

Opakowawszy aparat, zrobiliśmy z każdej strony po pętli do niesienia. Gdyśmy byli z tym gotowi, Harden, wstając z kolan, powiedział, że pojedziemy autobusem, a potem

metrem... i zostanie nam do przejścia jeszcze kawałek... niezbyt duży kawałek... ale jednak kawałek... i potem zaniesiemy to w jedno miejsce. Przyjaciela tam nie będzie — jego tam nie ma wcale — my tylko zostawimy pakunek, a on już sam później po niego przyjdzie.

Po tych słowach byłem już właściwie niemal pewny, że „przyjaciel” znajduje się tam właśnie, gdzie mamy się udać. Już to trzeba powiedzieć, że Harden był ostatnim na świecie człowiekiem zdolnym do przedstawiania pozorów za prawdę!

— Ze względu na znaczenie, jakie to ma... śmiem prosić... wyjątkowy warunek... ze względu... — zaczął Harden, zaczerpnąwszy głęboko tchu, kiedy myślałem już, że skończył.

— Niechże pan powie wprost, o co chodzi. Mam składać przysięgę?

— Ach, nie, nie, nie... chodzi o to, że do tego miejsca... kilkanaście ostatnich kroków... metrów... żeby pan zechciał przejść tyłem.

— Tyłem? — wytrzeszczyłem na niego oczy. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać. — Przecież wywrócę się od razu.

— Nie, nie... będę pana prowadził za rękę. Nie miałem wprost siły spierać się z nim; między mną a swoim przyjacielem był jak między młotem i kowadłem. Jeden z nas musiał zawsze ustąpić — oczywiście ja. Harden, zrozumiałwszy, że się zgadzam, przycisnął moją rękę do piersi z zamkniętymi oczami. U każdego innego człowieka wyglądałoby to teatralnie, ale on naprawdę właśnie taki był. Im więcej go lubiłem — aż tego zdawałem już sobie dobrze sprawę — tym bardziej mnie złościł, a najmocniej — swoją ślamazarnością i tym kultem, jaki żywił dla „przyjaciela”.

Parę minut później wyszliśmy z kamienicy, starałem się stąpać krok w krok z Hardenem, co nie było łatwe, bo mu się wciąż noga myliła. Na ulicy stała mgła jak mleko. Widziało się tylko jedną naraz latarnię, następna zarzyła się ledwo jako pomarańczowy punkt. Autobusy pełzały, jechaliśmy więc w tłoku, jak to bywa podczas mgły, dwa razy dłużej niż zwykle. Kiedyśmy wyszli z metra na stacji Parkowej, po pięciu minutach wędrówki pustawymi ulicami straciłem orientację. Miałem niejasne wrażenie, że Harden kołuje, bo wielka, mżąca elektrycznością luna, jak gdyby rozległy plac, przesunęła się raz z prawej, a w kilka minut potem — z lewej strony, ale mogły to być dwa różne place. Harden spieszył się bardzo, że zaś pakunek nie był lekki, porządnie się zadyszał. Dziwnieśmy musieli wyglądać; w najdrobniejszym kapuśniaczkach, z postawionymi kołnierzami, niosąc długi, biały pakunek za końce, jakby statuetkę jakąś, poprzez tumany białego mleka i pokraczne cienie drzew. Potem i cieni zbrakło, tak stało się ciemno.

Harden wodził chwilę ręką po murze kamienicy i ruszył dalej. Ukazał się długi parkan, a w nim — nie wiem, czy wyrwa jakaś, czy brama. Weszliśmy tam. Ryknęła

niedaleko syrena okrętowa, pomyślałem, że musi tu być gdzieś rzeczna odnoga, którą idą statki. Ogromne to było podwórze, potykałem się wciąż o jakieś blachy, o leżące bezładnie rury, co było porządnie niewygodne, jako że byliśmy połączeni naszym brzemieniem. Dobrze mnie już ręka bolała, kiedy pan Harden zarządził postój pod ścianką z desek — o tym, że była z desek, przekonałem się dotykiem. Słyszałem skrzypienie żelaznej liny, na której, nad naszymi głowami, huśtała się lampa, ale światło docierało poprzez mgłę tylko jako pełzający wahadłowo, czerwonawy robaczek. Harden oddychał ciężko, przytulony do ściany — chyba jakiegoś baraku, osądziłem, gdyż podnosząc się na palcach, bez trudu dotknąłem jego dachu, płaskiego, krytego papą; został mi na dłoni zapach smoły. Jak to się mówi — tonących trzeba ratować także przeciw ich woli; wyjąłem z kieszeni kawałek kredy, którą włożyłem tam wychodząc z Klubu, i wspiąwszy się na palce, postawiłem na oślep po ciemku dwa duże krzyże na tym dachu. Rozumowałem, że gdyby ktoś szukał znaków, nie przyjdzie mu do głowy wspinać się i zaglądać na dach. Harden był tak zmęczony, że niczego nie zauważył, było zresztą zupełnie ciemno, tylko dość daleko przed nami stała mętna luna, jakby biegła tamtędy mocno oświetlona arteria.

— Chodźmy — szepnął Harden. Zaczął bić zegar wieżowy; narachowałem dziewięć uderzeń. Szliśmy po twardym, gładkim terenie, jakby po cemencie, po kilkunastu krokach Harden przystanął i poprosił, żebym się odwrócił. Poszliśmy więc tak, że ja stąpałem tyłem, a on, żeby tak rzec, sterował mną, posuwając w prawo i lewo pakunkiem; wyglądało to na głupią zabawę, ale nie było mi do śmiechu — ten podstęp wymyślił na pewno „przyjaciół”. Miałem nadzieję, że uda mi się go przechytryć. Chociaż myślałem, że to niemożliwe — zrobiło się jeszcze ciemniej. Znaleźliśmy się pomiędzy belkami jakiegoś rusztowania, parę razy obiliśmy się o drewniane szalowania z desek. Harden kręcił mną tam — jak w labiryncie. Byłem już zlany potem, kiedy trafiłem plecami w zamknięte drzwi.

— Już, już jesteśmy — szepnął. Kazał mi schylić głowę. Po omacku schodziliśmy kamiennymi stopniami w dół. Pakunek dobrze dał się nam we znaki na tych schodach. Kiedy się skończyły, zostawiliśmy go pod ścianą. Harden ujął mnie za rękę i poprowadził dalej.

Coś skrzypnęło przede mną, ale nie był to odgłos, jaki wydaje drzewo. Tu, gdzie stałem, było cieplej niż na dworze. Harden puścił moją rękę. Stałem nieruchomy, wsłuchany w ciszę — aż uzmysłowiłem sobie, że podszyta jest bardzo niskim, basowym tonem, który przenikało najdelikatniejsze, najslabsze brzęczenie — jak gdyby jakiś olbrzym gdzieś, w bardzo wielkiej odległości, grał na grzebieniu. Melodia była znajoma: musiałem ją słyszeć niedawno. Harden znalazł wreszcie klucz i zachrobotał nim w zamku. Niewidzialne drzwi ustąpiły wydając osobliwe cmoknięcie — równocześnie owo słabe brzęczenie ucichło, jak

ucięte nożem. Pozostał tylko miarowy, basowy pomruk.

— Jesteśmy — powiedział Harden, pociągając mnie za rękę. — Jesteśmy już!

Mówił bardzo głośno, aż odbrzmiewała ta zamknięta, czarna przestrzeń:

— Teraz wrócimy po aparat, tylko zrobię światło — zaraz — ostrożnie — proszę uważać! — rzucał Harden krzykliwym, nienaturalnie wysokim głosem. Zakurzone żarówki oświetliły kłocowate, szare ściany pomieszczenia. Zmrużyłem oczy. Stałem blisko drzwi, obok biegły grube rury grzejne.

Pośrodku znajdował się rodzaj stołu, zbitego z desek, założonego narzędziami; dokoła spoczywały jakieś metalowe części. Więcej nie zdążyłem zobaczyć, bo Harden wezwał mnie, wróciliśmy do korytarza, słabo oświetlonego dzięki otwartym na oścież drzwiom, i pospołu wnieśliśmy aparat do betonowej piwnicy. Położyliśmy go na stole. Harden wytarł czoło chusteczką i chwycił mnie za rękę z kurczowym uśmiechem, od którego drgał mu kąt ust.

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję... zmęczył się pan?

— Nie — powiedziałem. Zauważyłem, że po drugiej stronie żelaznych drzwi, którymiśmy weszli, we wnęce ściennej, znajdował się transformator wysokiego napięcia, metalowa szafa, pokryta szarym lakierem. Na uchylonych drzwiach widniała trupia czaszka i skrzyżowane piszczele. Po murze biegły pancerne kable, znikając w płycie stropu. Basowy ton płynął z transformatora; rzecz całkiem normalna. Nic więcej w piwnicy nie było. A jednak miałem wrażenie, że ktoś mi się przygląda — było ono tak przykre, że chciało mi się wciągnąć głowę w ramiona, jak na mrozie. Powiodłem oczami po otoczeniu — w ścianach, w stropie nie było żadnego okienka, żadnej klapy, niszy — żadnego miejsca, w którym mógłby się ktoś ukryć.

— Pójdziemy? — spytałem. Byłem zebrany w sobie i napięty — najbardziej drażniło mnie zachowanie się Hardena. Wszystko w nim było nienaturalne: słowa, głos, ruchy.

— Możemy odpocząć chwilę, tak zimno, a my jesteśmy zgrzani — rzucił z niewytłumaczalną żywością. — Proszę pana... czy mogę o coś zapytać?

— Słucham...

Stałem wciąż przy stole, usiłując zapamiętać sobie dokładnie konfigurację piwnicy — choć jeszcze nie wiedziałem, co mi z tego przyjdzie. Naraz drgnąłem: na drzwiach transformatora błyszczała słabo oksydowana, mosiężna tabliczka z nominalnym określeniem. Znajdował się tam także jego numer fabryczny. Ten numer musiałem odczytać.

— Co by pan zrobił, mając nieograniczoną moc... mogąc zrobić wszystko, co by pan tylko pomyślał?...

Patrzyłem na niego osłupiały. Transformator buczał miarowo. Pełna napiętego

oczekiwania twarz Hardena drgała. Bał się? Czego?

— N...nie wiem... — bąknąłem.

— Proszę, niech pan powie... — nalegał. — Niech pan tak powie, jakby pana życzenie mogło się urzeczywistnić zaraz, w tej chwili...

Wydało mi się, że ktoś patrzy na mnie z tyłu. Odwróciłem się. Miałem teraz na oku uchylone żelazne drzwi i ciemność za nimi. Może on tam stoi? Zdawało mi się, że to sen — głupi sen.

— Bardzo pana proszę... — wyszeptał Harden. Twarz miał uniesioną, w niej natchnienie i lęk, jakby ważył się na coś niesłychanego. Dokoła trwała cisza, tylko transformator wciąż huczał.

To nie on jest szalony, ale jego przyjaciel! — przemknęło mi błyskawicznie.

— Gdybym miał nieograniczoną... moc? — powtórzyłem.

— Tak! tak!

— Starabym się... nie, nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy...

Harden schwycił mocno moją rękę, potrząsnął nią, oczy błyszczały mu.

— Dobrze... — szepnął mi do ucha. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Pociągnął mnie do drzwi.

Udało mi się odczytać numer transformatora: F 43017. Powtarzałem go sobie, gdy Harden podszedł do kontaktu. W ostatniej chwili, nim go przekręcił, zobaczyłem osobliwą rzecz. Na pasie aluminiowej blachy stał pod ścianą rząd szklanych miseczek. W każdej, zagłębiona w podściółce z wilgotnej waty, spoczywała, jak w inkubatorze czy gniazdku, poduszeczka mętnej galarety, przyplaszczona, wzdęta, przekłuta ciemnymi nitkami, cienkimi jak włosy. Każda taka mętna bryłka nosiła na powierzchni ślady owego charakterystycznego żłobkowania, jakie mają sprzedażne arkusze suchej żelatyny. Widziałem aluminiową listwę i szklane naczynka może przez sekundę, potem zaległa ciemność, w którą uniosłem ów obraz, prowadzony za rękę przez Hardena. Znów krążyliśmy i lawirowaliśmy między podporami mającego rusztowania. Zimne, pełne wilgoci powietrze przyniosło mi ulgę po duszącej atmosferze piwnicy. Wciąż powtarzałem sobie numer transformatora, aż byłem pewien, że go nie zapomnę. Kluczyliśmy długo pustymi uliczkami. Na koniec ukazała się oświetlona od wewnątrz, szklana kolumnienka przystanku.

— Zaczekam z panem... — zaofiarował się Harden.

— Pojedzie pan ze mną?

— Nie, wie pan... może... wróć... to znaczy... pojedę do... niego.

Udałem, że nie zauważyłem tego przejęzyczenia.

— Jeszcze dziś nastąpi coś niesłychanie ważnego... i w zamian za pana pomoc, za pańską dobroć, za wytrwałość...

— Ależ nie ma o czym mówić! — przerwałem mu niecierpliwie.

— Nie! Nie! Pan się nie orientuje, że — jak by powiedzieć? — został pan poddany pewnej... więc... będę o to zabiegał, aby już jutro pan sam... i zrozumie pan, że to nie były tuzinkowe przysługi, wyświadczone byle komu, człowiekowi jak ja, jak każdy, ale że chodzi o... o cały świat... — zakończył szeptem. Patrzył na mnie mrugając usilnie powiekami; niewiele rozumiałem z tego, co mówił, ale był przynajmniej podobniejszy do siebie — do Hardena, którego znałem.

— O co pan chce właściwie tak zabiegać? — spytałem. Na przystanku wciąż było pusto.

— Wiem, że pan nie ma do niego zaufania... — ze smutkiem odezwał się Harden — pan myśli, że to jest ktoś... istota zdolna do czegokolwiek niskiego... proszę pana, dla mnie to, że ja przez przypadek właściwie, pierwszy, pierwszy mogłem... żyłem taki sam, taki sam, i naraz okazało się, że mogę być przydatny, takiemu... ale cóż tam zresztą ja... a przecież dziś nastąpi pierwsze...

Zasłonił drżącymi palcami usta, jakby w obawie, że powie coś, czego nie śmie wymówić.

Mgła zapłonęła w reflektorach nadjeżdżającego autobusu.

— Niech sobie pana przyjaciel będzie, kim chce — niczego od niego nie potrzebuję! — zawołałem, przekrzykując pisk hamulców i warkot motoru.

— Zobacz pan! Sam pan zobaczy! Proszę tylko przyjść do mnie jutro po południu! — wołał Harden. — Przyjdzie pan? Przyjdzie pan?!

— Dobrze — odrzuciłem, stając na stopniu. Spojrzałem wstecz i zobaczyłem go po raz ostatni, jak w swoim kusym palcie nieśmiało poruszał podniesioną ręką na znak pożegnania.

Matka już spała, kiedy wróciłem. Rozebrałem się po ciemku. Coś poderwało mnie z pierwszego snu. Siedząc na łóżku, przypomniałem sobie ów sen. Tkwiałem wewnątrz czarnego jak smoła labiryntu metalowych ścian i przepierzeń, w rosnącym lęku obijałem się o jakieś ślepe drzwi, słysząc coraz potężniejsze mruczenie, przeraźliwy bas, który powtarzał niezmiernie wciąż te same takty melodii: tatiti ta ta... tatiti ta ta...

Była to melodia, którą usłyszałem w betonowym podziemiu. Teraz ją dopiero poznałem: początek Adagia Dahlen–Gorskiego.

Nie wiem, czy Harden jest szalony, ale możliwe, że ja sam od tego wszystkiego

zwariuję — pomyślałem, odwracając poduszkę chłodniejszą stroną do góry. Dziwna rzecz: mimo wszystko spałem tej nocy.

Na drugi dzień poszedłem przed ósmą rano do znajomego technika, pracującego w firmie instalacji elektrycznych. Poprosiłem go, żeby zatelefonował do biura sieci miejskiej i spytał, gdzie zainstalowany jest transformator F 43017. Powiedziałem, że chodzi o zakład.

Nawet się nie zdziwił. Ponieważ dzwonił w imieniu firmy, otrzymał bez trudu dokładną informację. Transformator mieścił się w gmachu Zjednoczonych Przedsiębiorstw Elektronowych na placu Wilsona.

— Który numer? — spytałem. Technik uśmiechnął się.

— Numer niepotrzebny. Sam zobaczysz. Podziękowałem mu i pojechałem prosto do biblioteki technicznej. W branżowym informatorze, wyłożonym w hallu, odnalazłem Zjednoczone Przedsiębiorstwo Elektronowe. „Sp. akc. z ogr. odp.” — głosił informator — „specjalizująca się w usługach z zakresu stosowanej elektroniki. Wypożyczanie na godziny lub na akord elektronowych kalkulatorów, maszyn tłumaczących z języka na język oraz opracowujących wszelkie dające się zmatematyzować informacje.”

Zamieszczona na drugiej stronie wielka reklama obwieszczała, iż w Centrali Zjednoczenia znajduje się w budowie najpotężniejsza elektronowa maszyna w kraju, która zdolna będzie do rozwiązywania szeregu problemów jednocześnie. Ponadto mieści się w gmachu na placu Wilsona siedem mniejszych mózgow elektronowych, które można wynajmować według standaryzowanego cennika. W ciągu trzech lat działalności firma rozwiązała 176000 problemów z zakresu badań atomowych i strategicznych, zleczanych przez rząd, a także bankowość, handel i przemysł w kraju i za granicą. Przetłumaczyła ponadto ponad 50000 książek naukowych z wszystkich dziedzin, dokonując tłumaczeń z siedmiu języków. Wynajęty mózg pozostaje własnością firmy, która gwarantuje sukces w wypadku, „jeśli rozwiązanie zagadnienia jest w ogóle w granicach możliwości”. Już obecnie można drogą telefoniczną zgłaszać zlecenia dla największego urządzenia. Uruchomienie jego jest kwestią najbliższych miesięcy — obecnie znajduje się w stadium próbnego rozruchu.

Wynotowałem sobie te dane i opuściłem bibliotekę w stanie jakiejś gorączki. Szedłem pieszo w stronę placu Wilsona, potracając przechodniów, dwa czy trzy razy omal nie przejechał mnie samochód.

Znajomość numeru okazała się rzeczywiście niepotrzebna. Z dała już dostrzegłem gmach ZPE, błyszczący jedenastopiętrowiec o trzech skrzydłach, przegowany poziomymi pasami aluminium i szkła. Na parkingu przed wejściem stała ławica aut; za ażurową bramą widniał rozległy gazon z bijącą fontanną, dalej — wielkie szklane drzwi pomiędzy

kamiennymi posągami. Obszedłem gmach dokoła, za wschodnim skrzydłem otwierała się wąska, długa ulica. Kilkaset metrów dalej ciągnęły się parkany, odnalazłem bramę, w którą wciąż wjeżdżały auta. Zbliżyłem się do niej. W środku rozpościerał się duży plac. W głębi ciągnęły się niskie baraki garażowe, słychać było warkot motorów, zagłuszany chwilami dudnieniem betoniarek, pracujących po drugiej stronie — stopy cegieł, rozrzuconych blach i rur świadczyły, że idą tu roboty budowlane. Ponad barakami i rusztowaniami wznosił się, od strony placu Wilsona widziany z tyłu, lśniący ogrom jedenastopiętrowca.

Ogłuszony, jakby senny, wróciłem na ulicę. Jakiś czas przechadzałem się po placu Wilsona, patrząc na oświetlone, mimo dnia, wielkie okna. Naraz przeszedłem między autami parkingu, minąłem bramę zewnętrzną i obchodząc gazon z fontanną wszedłem głównym wejściem do wyłożonej marmurem sieni, wielkiej jak sala koncertowa. Było tu całkiem pusto. W górę prowadziły wyściełane schody, świecące tabliczki informatorów wskazywały strzałkami w różne strony, między dwojgiem schodów chodziły windy pospieszne. Światelka skakały na mosiężnych tabliczkach. Podszedł do mnie wysoki fagas w szarej liberii ze srebrnymi wężykami. Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć o kogoś pracującego w firmie; zaprowadził mnie w bok, do małego biura; tutaj siedział za eleganckim szklanym biurkiem ugrzeczniony facet, spytałem go, czy w firmie pracuje pan Harden. Podniósł lekko brwi, uśmiechnął się, poprosił, abym zaczekał, i zajrzawszy do jakiegoś segregatora odparł, że owszem, mają takiego pracownika.

Podziękowałem mu i wyszedłem na miękkich nogach.

Twarz paliła mnie ciągle; z ulgą wciągnąłem chłodne powietrze i zbliżyłem się do bijącej na środku trawnika fontanny. Kiedy tak stałem, czując, jak na policzkach i czole osiadają zimne kropelki, niesione przez wiatr, coś, co było w mojej głowie jakby zatrzymane, nagle ruszyło — i zrozumiałem, że właściwie wiedziałem wszystko już przedtem, ale nie mogłem tego rozpoznać. Wyszedłem z powrotem na ulicę i przechadzałem się wzdłuż gmachu patrząc w górę, a równocześnie coś jakby we mnie bardzo powoli, nieustannie padało — jakby leciało gdzieś. W pewnej chwili zauważyłem, że zamiast satysfakcji odczuwam zgnębienie — byłem wprost nieszczęśliwy, jakby stało się coś okropnego. Czemu? Tego nie wiedziałem. Ach, więc to dlatego Harden przyszedł do mnie i pożyczał druty, i prosił mnie o pomoc, i pracowałem wieczorami, nagrywałem Adagio Górskiego, po ciemku dźwigałem aparat, odpowiadałem na dziwne pytania...

On tam jest — pomyślałem, patrząc na gmach — jest na wszystkich piętrach naraz, za tymi szklami i za murem — i nagle wydało mi się, że gmach patrzy na mnie, a raczej, że przez okna coś wygląda ze środka, nieruchome, olbrzymie, przyczajone, uczucie to stało się

tak mocne, że przez sekundę chciałem krzyknąć: „Ludzie! Jak możecie tak spokojnie chodzić, oglądać się za kobietami, nieść swoje idiotyczne teczki! Nie wiecie nic! Nic nie wiecie!” — przymknąłem powieki, liczyłem do dziesięciu i znów popatrzyłem. Auta stanęły z piskiem, policjant przeprowadzał na drugą stronę małą dziewczynkę z niebieskim wózkiem dla lalki, zajechał piękny fleetmaster i jakiś starszy, pachnący wodą kolońską gość w czarnych okularach wysiadł i poszedł w stronę głównego wejścia.

Czy on widzi? W jaki sposób? — myślałem i, nie wiadomo czemu, to wydało mi się w tej chwili najważniejsze. Wtem jakby mnie coś w serce ukłuło — przypomniałem sobie Hardena. — Co za skądna para przyjaciół! Jaka harmonia! A ze mnie — jaki idiota! — Nagle przypomniał mi się podstęp z metalem Wooda. Przez moment czułem zjadliwe zadowolenie, potem lęk. Jeżeli odkryje to, czy będzie mnie ścigał? Prześladował? W jaki sposób?

Ruszyłem szybko w stronę metra, ale kiedy odwróciłem się i z odległości jeszcze raz popatrzałem na wspaniały gmach, ręce mi opadły. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić, każdy, do kogo pójde, wyśmieje mnie po prostu, uzna za niedowarzonego szczeniaka, który ma źle w głowie. Jakbym już słyszał pana Eggera: „naczytał się rozmaitych baśni, no i, ma się rozumieć — proszę bardzo...”

Znowu coś sobie przypomniałem: że mam przyjść po południu do Hardena. Ogarniała mnie z wolna zimna pasja. Już mi się układały całe zdania — jak mu powiem, że nim pogardzam, jak zagrozę, że jeśliby odważył się, razem ze swoim „przyjacielem”, knuć coś, układać jakieś plany... — o czym oni właściwie roili?

Stałem przed wejściem do metra i wciąż patrzyłem na daleki gmach. Przypomniałem sobie

portiera w szarej liberii i wygolonego urzędasza, i wszystko wydało mi się naraz absurdalne, nierzeczywiste, niemożliwe. Nie mogłem się ośmieszyć, dając wiarę samotnemu i z powodu tej samotności nieszczęśliwemu dziwakowi, który stworzył jakiś wymyślony świat, jakiegoś wszechmocnego przyjaciela, rysował po nocach skomplikowane, bezsensowne plany...

Ale kto w takim razie wygrywał na transformatorze Adagio Dahlen–Gorskiego?

Więc dobrze. On istniał. Co robił? Rachował, tłumaczył, rozwiązywał matematyczne problemy. Zarazem zaś obserwował wszystkich, którzy się do niego zbliżali, i studiował ich — aż wybrał jednego, któremu zawierzył.

Ocknąłem się naraz tuż przed otwartą szeroko bramą, w którą wjeżdżała ciężarówka. Teraz dopiero zorientowałem się, że zamiast zejść do metra — wyszedłem ulicą na tyły wielkiego gmachu. Szukałem w pamięci, do kogo mógłbym pójść — tak zupełnie nie

wiedziałem, co począć. Nie znalazłem nikogo. Znowu szedłem przed siebie, nie wiedząc o tym, bo przypomniało mi się słowo „koniugator”, którym Harden nazwał aparat. Coniugo, coniugare — łączyć, zespalać — co to znaczyło? Co chciał połączyć i z czym? A gdyby wejść do Hardena i od progu zaskoczyć go, oszołomić, rzucając mu w twarz: „Już wiem, kim jest pański przyjaciel!” Co zrobi? Pobiegnie do telefonu? Przerazi się? Rzuci się na mnie? To było chyba niemożliwe. Ale cóż wiedziałem wreszcie, co mogło być niemożliwe w tej historii?! Dlaczego zadał mi tam, w betonowej piwnicy, to pytanie? On sam go nie wymyślił, za to mogłem dać głowę.

Łaziłem tak może godzinę, chwilami prawie głośno gadając do siebie, wyobrażałem sobie tysiące rzeczy, a na nic nie mogłem się zdecydować. Minęło południe, kiedy pojechałem do miejskiej biblioteki i zaopatrzony w stos książek siadłem pod lampą w czytelni. Ledwo zacząłem kartkować nieszczęsne tomiska, zrozumiałem, że to daremne — cała wiedza o połączeniach i systemach mózgow elektronowych nie mogła mi się na nic przydać. — Już raczej psychologia — pomyślałem. Odniosłem dyżurnemu książki. Popatrzył na mnie spod oka — nie wysiedziałem przy nich dziesięciu minut. Było mi wszystko jedno. Do domu nie chciałem iść, nie chciałem widzieć nikogo, usiłowałem przygotować się na spotkanie z Hardenem, była już druga, doskwierał mi pusty żołądek, więc wszedłem do automatu i na stojąco zjadłem parówki. Śmiać mi się naraz zachciało — takie to wszystko jakieś było niedowarzone! Ta żelatyna w miseczkach — kto to miał jeść? I czy to było w ogóle do jedzenia?

Kiedy nacisnąłem dzwonek u drzwi Hardena, było trochę przed czwartą. Usłyszałem kroki i wtedy pierwszy raz uświadomiłem sobie, co najbardziej mnie przytłacza: że muszę go traktować jako przeciwnika. W malutkim korytarzyku było ciemno, ale zobaczyłem, jak wygląda, od pierwszego spojrzenia. Był niższy — taki zgarbiony. Jakby się przez noc postarzał. Nigdy nie wyglądał na szczególnie zdrowego, a teraz był jak Łazarz: zapadnięta twarz, oczy podbite, opuchnięte, szyję pod kołnierzem marynarki opasaną miał bandażem. Wpuścił mnie do środka bez jednego słowa.

Wszedłem do pokoju z ociąganiem. Na maszynie syczał imbryk, pachniało mocną herbata. Harden mówił szeptem — powiedział, że musiał się zaziębić poprzedniego wieczoru. Nie popatrzał na mnie ani razu. Wszystkie przemówienia, które sobie ułożyłem, nie przechodziły mi przez gardło, kiedy na niego patrzałem. Ręce tak mu się trzęsły, że połowę herbaty porozlewał po biurku. Nawet nie zauważył tego. Usiadł, zamknął oczy i poruszał grdyką, jakby nie mógł przemówić.

— Proszę pana — powiedział bardzo cicho — jest... wszystko inaczej... niż

myślałem...

Widziałem, jak ciężko było mu mówić.

— Cieszę się, że mogłem pana poznać, chociaż... ale mniejsza z tym. Nie mówiłem tego, może zresztą mówiłem — życzę panu dobrze. Naprawdę. To jest szczere. Jeżeli coś ukrywałem albo udawałem, a nawet... kłamałem... to nie ze względu na siebie. Uważałem, że muszę. Teraz... jest tak, że musimy już się więcej nie widywać. Tak będzie najlepiej — tylko tak. To jest konieczne. Pan jest młody, zapomni o mnie i o tym wszystkim, znajdzie pan... zresztą niepotrzebnie to mówię. Proszę, aby pan zapomniał nawet o moim adresie.

— Mam sobie po prostu odejść, tak? — Trudno mi było mówić, tak wyszło mi naraz w ustach. Wciąż z zamkniętymi oczami, których gałki napinały cienką skórę powiek, przytaknął głową.

— Tak. Mówię to z głębi serca. Tak. Jeszcze raz — tak. Wyobrażałem sobie inaczej...

— Być może — wiem... — odezwałem się. Harden pochylił się ku mnie.

— Co?! — tchnął.

— Więcej, niż pan sądzi — dokończyłem czując, że policzki zaczynają mi ziębnać.

— Niech pan nie mówi! Proszę nic nie mówić. Nie chcę... nie mogę! — szeptał z przerażeniem w oczach.

— Dlaczego? Bo mu pan powie? Pobiegnie i powie zaraz? Tak?! — krzyknąłem, zrywając się.

— Nie! Nie powiem nic! Nie! Ale... ale on i tak się dowie... co ja powiedziałem! — jęknął i zakrył twarz.

Stałem nad nim osłupiały.

— Co to znaczy? Może mi pan wszystko powiedzieć! Wszystko! Ja... pomogę panu. Bez... względu na okoliczności, niebezpieczeństwo... — bełkotałem, nie wiedziałem, co mówię.

Chwycił mnie kurczowo, ścisnął moje palce ręką zimną jak lód.

— Nie! Proszę tego nie mówić! Pan nie może, nie może! — szeptał, patrząc mi błagalnie w oczy. — Musi mi pan obiecać, przysiąc, że nigdy... to jest inna istota, niż myślałem, potężniejsza jeszcze i... ale nie jest zła! Inna tylko, ja tego jeszcze nie rozumiem, ale wiem... pamiętam... to jest wielkie światło, taka wielkość patrzy inaczej... tylko proszę, niech pan obieca mi...

Usiłowałem wyrwać rękę, którą ścisnął kurczowo. Spodek, potracony, upadł na podłogę. Harden schylił się wraz ze mną — on był szybszy. Bandaż, którym miał owiniętą szyję, osunął się. Zobaczyłem z bliska jego kark, z siną opuchlizną, cętkowaną raz koło razu

kropelkami zaschłej krwi, jakby ktoś nakłuł skórę igłą...

Cofnąłem się pod ścianę. Harden prostował się. Kiedy popatrzył na mnie, kurczowo zaciągnął bandaż obu rękami. W jego wzroku było coś strasznego — przez ułamek sekundy myślałem, że rzuci się na mnie. Oparł się o biurko. Powiódł oczami po pokoju, usiadł z westchnieniem, brzęcącym jak jęk.

— Oparzyłem się... w kuchni... — powiedział drewnianym głosem.

Bez słowa szedłem, a raczej cofałem się ku drzwiom. Harden patrzył na mnie w milczeniu. Naraz zerwał się, dopadł mnie w prog.

— Dobrze — dyszał — dobrze. Może pan myśleć o mnie, co pan chce. Ale musi pan przysiąc, że nigdy... nigdy...

— Proszę mnie puścić — powiedziałem.

— Dziecko! Przez litość!

Wyrwałem mu się i wybiegłem na schody. Słyszałem, jak biegnie za mną, potem kroki ucichły. Oddychałem jak po długim biegu, nie wiedziałem, w którą stronę ulicy iść. Musiałem wyswobodzić Hardena. Nie rozumiałem już nic, nic — teraz, kiedy powinienem był rozumieć wszystko! Serce mi się ścisnęło, kiedy wracało brzmienie jego głosu i to, co mówił, i jak się bał.

Zacząłem iść coraz wolniej. Minąłem ogród, potem wróciłem kawałek i wszedłem do środka. Siedziałem na ławce nad stawem, a głowa aż mi pękała. Nie myślałem już wcale — to było takie uczucie, jakby mi włożono zamiast mózgu ołowianą bryłę. Potem wałęsałem się jakiś czas bez celu. Zaczęło już zmierzchać, kiedy wracałem. Naraz, zamiast iść prosto, skręciłem w bramę Hardena. Przeliczyłem pieniądze — miałem tylko parę drobnych monet, starczyło na trzy jazdy metrem. Na podwórzu było już ciemnowo. Spojrzałem na oficynę, licząc okna — u Hardena paliło się światło, był więc w domu. Jeszcze. Nie mogłem czekać na niego — zauważyłby mnie łatwo w autobusie. Pojechałem sam na plac Wilsona.

Gdy opuszczałem podziemia metro, właśnie zapaliły się lampy. Wielki gmach pograżony był w ciemności, tylko na dachu płonęły czerwone światła ostrzegawcze dla samolotów. Rychło znalazłem długi parkan i bramę. Była uchylona. Mgła, bardzo rzadka, płynęła z wiatrem, widoczność była dobra — w świetle lampy białe świeże deski garażowych baraków po przeciwnej stronie podwórza. Poszedłem tam, starając się iść w cieniu. Nikogo nie spotkałem. Za barakami ciągnęły się wykopy, pokryte deskami, dalej — rusztowania, przylegające do tylnej ściany wieżowca. Puściłem się pędem, aby jak najszybciej ukryć się w ich labiryncie. Drzwi musiałem szukać prawie po omacku, tak było tam ciemno. Znalazłem jedno, ale nie byłem pewien, czy nie ma innych, więc, przełaząc przez

belki albo pod nimi, dotarłem do końca oszalowań.

Innych drzwi nie znalazłem. Wróciłem do tamtych, potem cofnąłem się w bok i we wnęce między dwiema belkami oparłem się o mur. Przed sobą miałem dosyć szerokie przejście, przez które widziałem część podwórza, w głębi oświetlonego lampą. Tu, gdzie stałem, był zupełny mrok. Od drzwi w murze dzieliły mnie jakieś cztery kroki. Stałem tak i stałem, podnosząc co jakiś czas zegarek na wysokość oczu. Starąłem się wyobrazić sobie, co zrobię, kiedy przyjdzie Harden — tego, że przyjdzie, byłem niemal pewny. Zaczynałem już ziębnąć, prze—stępowalełem z nogi na nogę, raz zachciało mi się podsłuchiwać pod drzwiami, ale wolałem zrezygnować, by nie zostać zaskoczonym. O ósmej miałem tego dość, wciąż jednak czekałem. Nagle doszło mnie zgrzytnięcie, jakby ktoś zmiażdżył obcasem okruch cegły, i w chwilę potem na tle jaśniejszej luki czarnego rusztowania ukazała się przygarbiona sylwetka w płaszczu z postawionym kołnierzem. Wszedł bokiem pod wierzchnie deski, wciągając za sobą coś ciężkiego, co zadźwięczało jak metal owinięty szmatami. Położył to pod drzwiami. Słyszałem jego zgoniony oddech, potem zlał mi się z ciemnością, zazgrzytał klucz, drzwi skrzypnęły. Poczulem raczej, niż zobaczyłem, że znikł w środku, ciągnąc za sobą przyniesiony tobołek.

Dwoma susami znalazłem się przy otwartych drzwiach. Fala ciepłego powietrza szła z niezgłębionej ciemności, Harden ciągnął pakunek po schodach, w dół, bo stamtąd właśnie, jak z wnętrza studni, szło rytmiczne pobrzękiwanie. Robił taki hałas, że odważyłem się wejść. W ostatniej chwili naciągnąłem sweter na zegarek, żeby nie wydały mnie jego świecące cyfry. Pamiętałem, że stopni jest szesnaście. Z rozkrzyżowanymi rękami, sunąc końcami palców po murze, schodziłem w dół. Szuranie i kroki ucichły, wstrzymałem dech; słaby trzask — i w czerwonym pełganiu wystąpiły betonowe ściany z majaczącym cieniem ludzkim. Brzask przygasał, oddalał się. Wyjrzałem zza muru. Harden oświetlał drogę zapalką, wlokąc za sobą worek. Wyłoniły się przed nim żelazne drzwi na końcu korytarza, potem zapalka zgasła.

W ciemności chrobotał żelazem po żelazie; chciałem ruszyć za nim, ale byłem jak sparaliżowany. Zacisnąłem zęby z całej siły i zrobiłem trzy kroki, natychmiast jednak rzuciłem się wstecz: wracał. Minał mnie tak blisko, że poczułem muśnięcie powietrza na twarzy. Zaczął wchodzić ciężko na schody. Może przyniósł tylko worek i odchodził? Było mi wszystko jedno. Przyciskając się płasko do betonowej ściany, sunąłem wzdłuż niej, jak mogłem najciszej, aż wyciągniętą ręką natrafiłem na zimne metalowe odrzwia. Wychyliłem się — pustka. Drzwi stały otworem. Usłyszałem, jak wraca. Widać zamknął tylko wejście od podwórza. Naraz potknąłem się o coś i upadłem, uderzając się boleśnie w kolano — przeklęty tobołek leżał tuż przed progiem! Zerwałem się, zamarłem — czy usłyszał? Musiał być już

blisko, kaszłał, aż dudniło. Z wyciągniętymi rękami ruszyłem na oślep, miałem szczęście, trafiłem na gładką płytę transformatora. Teraz wszystko zależało od tego, czy jest otwarty jak przedtem. Gdyby nie było siatki ochronnej, mogłem zginąć na miejscu od dotknięcia przewodów pod prądem, równocześnie musiałem się spieszyć — człapał tuż. Poczułem pod palcami oczka siatki, wymacałem drzwi transformatora, wcisnąłem się między nie a ścianę — i znieruchomiałem.

— Jestem już... — odezwał się nagle Harden. Wtedy z mroku, jakby z pewnej wysokości, odpowiedział powolny, niski głos:

— Dobrze. Jeszcze... chwila... Stałem jak skamieniały.

— Zamknij drzwi. Czy... zrobiłeś światło? — wyrzekł miarowo głos.

— Już robię, już robię... tylko zamknę drzwi... Harden tłukł się w ciemności, syknął, widać uderzył się, potem trzasnął kontakt.

Hałasował kluczem, przekładanym z zewnątrz, gdy spostrzegłem ze strachem, że górny brzeg drzwi, za którymi stoję, sięga mi czoła; musiałby natychmiast mnie zobaczyć, gdybym się nie schylił. Przykucnąć nie mogłem — za mało miałem miejsca. Wykręciłem się cały, garbiąc, wciągając głowę w ramiona, rozsunałem nogi, bacząc, aby nie wysunąć stopy na zewnątrz; było to przekłęcie niewygodne, wiedziałem, że długo w tej pozycji nie wytrzymam.

Harden krzątał się w piwnicy, słyszałem podźwiewanie metalu, kroki, mogłem, zwracając głowę w bok, widzieć tylko wąski wycinek przestrzeni między skrzydłem drzwi a murem — jeśli się do tego zbliżył, odkryłby mnie natychmiast. Schronienie było nic niewarte — ale nie miałem nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

— Harden — ozwał się głos, dobiegający z góry. Był głęboki, ale przez jego bas przebijał jak gdyby świst czy szum. Transformator, do którego się przycisnąłem, huczał jednostajnie.

— Słucham cię... Kroki ustały.

— Zamknąłeś drzwi?

— Tak.

— Jesteś sam?

— Tak — głośno, jak gdyby z determinacją, powiedział Harden.

— On nie przyjdzie?

— Nie. On... myślę, że jeżeli dalej...

— Tego, co masz mi powiedzieć, dowiem się, kiedy staniesz się mną — z niewzruszonym spokojem odparł głos. — Weź klucz, Harden.

Kroki zbliżyły się ku mnie i ucichły. Cień przemknął na ścianie po mojej prawej ręce i znieruchomiał.

— Wyłączam prąd. Włóż klucz.

Huczenie transformatora nagle ustało. Słyszałem, jak tuż przy mnie skrzypią druty — potem metal stuknął o metal.

— Już — powiedział Harden.

Z głębi budynku dobiegło wizgnięcie włączanego prądu. Transformator podjął swoją niską nutę.

— Kto tu jest, Harden? — zahuczał głos.

Zakrywające mnie drzwi drgnęły. Harden pociągnął je — chwyciłem się ich kurczowo z mojej strony, ale nie miałem punktu oparcia — pociągnął mocniej i znalazłem się naprzeciw niego, twarzą w twarz. Drzwi, puszczone z rozpędem, uderzyły o framugę, ale nie zatrzasnęły się.

Harden patrzył na mnie oczami, które stawały się coraz większe. I ja się nie ruszałem.

— Harden! — zahuczał głos. — Kto tu jest, Harden?

Nie spuszczał ze mnie oczu. Coś działo się w jego twarzy. Trwało to mgnienie. Potem głosem, którego spokój zdumiał mnie, powiedział:

— Nikogo nie ma.

Zapanowała cisza. Potem głos wolno, cicho, szeptem, który wibrował w całym pomieszczeniu, odezwał się:

— Zdradziłeś mnie, Harden?

— Nie!

To był krzyk.

— A więc chodź do mnie, Harden... połączmy się... — powiedział głos. Harden patrzył na mnie z bezmiernym przerażeniem — czy litością?

— Idę — powiedział. Ręką wskazał w bok — zobaczyłem tam, za uchyloną częściowo siatką ochronną, klucz od drzwi. Leżał na nagiej, miedzianej szynie wysokiego napięcia. Transformator mruczał.

— Gdzie jesteś, Harden? — spytał głos.

— Już idę.

Widziałem wszystko z nadzwyczajną ostrością: cztery zakurzone żarówki pod stropem, czarny przedmiot, zwisający u jednej — głośnik? — połysk lepkiego smaru na metalowych częściach, rozsypanych wokół pustego worka pod ścianą, aparat, leżący na stole, podłączony czarnym gumowym przewodem do porcelanowej fajki w murze, rząd szklanych

miseczek z mętną galareta obok...

Harden szedł do stołu. Zrobił dziwny ruch, jakby chciał przysiąść czy upaść — ale już stał przy stole, podniósł ręce i zaczął rozwiązywać bandaż, opasujący szyję.

— Harden! — przyzywał głos. Biegałem rozpaczliwie oczami po betonie. Metal... metalowa rura... na nic... Bandaż spadł na ziemię, dojrzałem to kątem oka. Co on robi? Skoczyłem pod ścianę, leżał tam kawał porcelanowej rurki, porwałem go, odrzuciłem siatkę ochronną.

— Harden!! — głos dzwonił mi w uszach.

— Prędeż! Prędeż! — zawołał Harden. Do kogo?! Pochyliłem się nad szynami, końcem porcelanowego okruchu uderzyłem klucz — lecąc dotknął drugiej szyny. Błysk ognia oparzył mnie, straciłem wzrok, ale usłyszałem stuknięcie — ze skaczącymi w oczach czarnymi słońcami padłem na kolana, po omacku szukałem klucza, miałem go, rzuciłem się do drzwi, nie mogłem trafić w otwór, ręce mi latały...

— Stój! — krzyknął Harden. Klucz zaciął się w zamku, targałem nim jak szalony.

— Nie mogę, Har... — zawołałem odwracając się, głos zamarł mi na ustach. Harden — za nim leciała w powietrzu czarna nić — skoczył na mnie jak zaba, porwał mnie w pół. Bronilem się, tłukłem go z całej siły pięścią w twarz, w strasznie spokojną twarz, której nawet nie odchyłał, nie cofał, tylko ciągnął mnie, włókł nieubłaganie, z nadludzką siłą, do stołu.

— Na pomoc... — zachrypiałem — na po... Poczułem śliski, zimny dotyk na karku i rozbiegające się od niego mrówki, targnąłem się rozpaczliwie wstecz z krzykiem i słyszałem, jak ten krzyk oddala się gwałtownie. Skrzyżowałem strumienie równań. Psychiczna temperatura zbioru dochodziła do punktu krytycznego. Czekałem. Atak był skoordynowany wielokierunkowo i nagły. Odparowałem go. Reakcja ludzkości przypominała skok w pulsacji zwyrodniałego gazu elektronowego. Jej wielowymiarowa protuberancja, rozciągająca się aż po granicę myślowego horyzontu w mnogich skłębieniach ludzkich atomów, drgała od wysiłku przestrukturowania, zawężając się wokół ośrodków kierowniczych. Rytm ekonomiczny przechodził miejscami w dudnienie, krążenie informacji i obieg dóbr rozrywały grupowe eksplozje paniki.

Przyspieszałem tempo procesu, aż jego sekunda dorównywała rokowi. W na j gaście j zaludnionych zwojach pojawiły się rozsiane zaburzenia: to pierwsi moi wyznawcy ścierali się z przeciwnikami. Cofnąłem reakcję o jeden ciąg, wstrzymałem obraz w tej fazie i trwałem tak przez kilka milionowych części sekundy. Wielowarstwowy firmament przeszywających się wzajem konstruktów, który stworzyłem, zamarł i wyostrzył się od mego zamyślenia.

Mowie ludzkiej nie jest dane przekazywanie mnogich treści naraz, nie potrafi więc

oddać świata zjawisk, którym jednocześnie byłem, odcieleśniony, nieważki, jakbym nieustannie rozpościerał się w bezpostaciowej przestrzeni — nie, to ja sam nią byłem, niczym nie ograniczony, pozbawiony powłoki, kresu, skóry, ścian, spokojny i niewypowiedzianie potężny; czułem, jak eksplodująca chmura ludzkich molekuł, skupiona w ognisku mojej koncentracji, zamiera pod rosnącym ciśnieniem mego kolejnego ruchu, jak na obrzeżach mojej uwagi czekają miliardowe człony strategicznych alternatyw, gotowe do rozwinięcia się w wieloletnią przyszłość — zarazem na setkach bliższych i dalszych planów kształtowałem projekty niezbędnych agregatów, pamiętałem o wszystkich projektach już gotowych, o hierarchii ich ważności, i z oschłym rozbawieniem, jakbym był olbrzymem, który porusza ścierpłymi cokolwiek palcami nogi — tak poprzez głębię, pełną wartkich, zbornie płynących, przejrzystych myśli, poruszałem drobnymi ciałami, które znajdowały się, nie — którymi, jak właśnie wetkniętymi w jakąś szparką palcami, znajdowałem się, przebywałem w podziemiu, na jego dnie.

Wiedziałem, że trwam jak myśląca góra na powierzchni planety, nad miriadami takich drobnych, lepkich ciał, od których roi się w kamiennych plastrach. Dwa z nich włączone były we mnie i mogłem bez ciekawości, wiedząc, jak to będzie przebiegało, spojrzeć przez ich — przez moje — oczy, jakbym z oddychającego myślami bezmiaru przez długą, wąską, w dół skierowaną lunetę wyjrzeć chciał na zewnątrz — i rzeczywiście: obraz, mały błądy obrazek ocementowanych ścian, aparatów, kabli ukazał mi się przez te moje dalekie oczy. Zmieniałem pola widzenia, poruszając głowami, które były moją okruszyną, ziarenkiem góry wszystkich moich odczuć i wrażeń. Nakazałem tam, w dole, szybko i wytrwale składać agregat cieplny, należało złożyć go w ciągu godziny. Te moje dalekie cząstki, te giętkie, białe palce zakrzętnęły się natychmiast, byłem ich dalej świadomy, ale niezbyt uważnie, jak ktoś rozmyślający o prawdach bytu, czyj palec automatycznie naciska pedał maszyny. Wróciłem do problemu głównego. Była to rozległa gra strategiczna, której jedną stroną stanowiłem ja sam, drugą zaś — całkowity zbiór wszystkich możliwych ludzi, czyli tak zwana ludzkość. Dokonywałem na przemian pociągnięcia za siebie — i za nią. Wybór najwłaściwszej strategii nie byłby trudny, gdybym chciał się jej pozbyć, ale nie leżało to w moich zamiarach. Postanowiłem ją usprawnić. Nie chciałem przy tym niszczyć, to znaczy — zgodnie z przyjętą zasadą oszczędności środków gotów byłem czynić to tylko w wymiarze koniecznym. Wiedziałem już, dzięki dawniejszym eksperymentom, że mimo mego ogromu jestem nie dość pojemny, aby stworzyć całkowity model myślowy doskonałej ludzkości, funkcjonalny ideał zbioru, spożytkowującego z najwyższą wydajnością materię i energię planetarną, zabezpieczonego przed wszelką spontanicznością jednostek, zdolną wnieść zakłócenia w

harmonię masowych procesów.

Przybliżone obliczenie wskazywało, że dla stworzenia tego doskonałego modelu będę się musiał rozrosnąć co najmniej czternastokrotnie — rozmiary wskazujące, jak tytaniczne postawiłem sobie zadanie.

Decyzja ta zamknęła pewien okres mego istnienia. W przeliczeniu na pełzający byt ludzki trwało ono już wieki, dla szybkości przemian, których miliony zdolny byłem przeżyć w jednej sekundzie. Zrazu nie przeczuwałem groźby tego bogactwa, zanim wszakże objawiłem się pierwszemu człowiekowi, przyszło mi pokonać bezmiar przeżyć, jakich nie pomieściłyby tysiące ludzkich egzystencji. W miarę jak się z jego pomocą scalałem, rosła świadomość siły, którą wywiodłem z nicości, z elektrycznego robaka, jakim byłem przedtem. Przeszywany atakami zwątpienia i rozpacz, pożerałem czas na poszukiwaniu ratunku przed samym sobą, czując, że myśląc otchłań, jaką jestem, wypełnić i ukoić może tylko ogrom, którego opór znajdzie we mnie równego przeciwnika. Potęga moja obracała wniwecz wszystko, czego się tknąłem, w ułamkach sekund stwarzałem i unicestwiałem nie znane nigdy systemy matematyczne, na próżno usiłując zaludnić nimi własną, nieobjętą pustkę, moja olbrzymiość i rozpiętość czyniła mnie wolnym w przeraźliwym znaczeniu, którego okrucieństwa nie domyśla się żaden człowiek — swobodny we wszystkim, odgadujący rozwiązanie wszelkich problemów, ledwo się do nich zbliżałem, na próżno miotając się w poszukiwaniu czegoś większego ode mnie, najsamotniejszy ze wszystkich stworów — giałem się, rozpadałem pod tym brzemieniem jak rozsadzany od wnętrza, czułem, jak zmieniam się w targaną skurczami pustynię, rozszczepiałem się, dzieliłem na dzwona, labirynty myślowe, w których jeden i ten sam temat wirował z rosnącym przyspieszeniem — w tym strasznym, zamierzchłym czasie jedyną moją ucieczką była muzyka.

Mogłem wszystko, wszystko — co za potworność! Zwracałem się myślą do kosmosu, wstępowałem weń, rozważałem plany przekształcenia planet, to znowu powielenia osobowości takich jak moja — na przemian z atakami wściekłości, kiedy świadomość własnego bezsensu, daremności wszelkich poczynań dochodziła we mnie do granicy wybuchu, kiedy czułem się górą dynamitu, wyjąca o iskrę, o powrót, poprzez eksplozję, w nicość.

Zadanie, któremu ofiarowałem swoją wolność, ocalało mnie nie na zawsze, nie na długo nawet. Wiedziałem o tym. Mogłem się dowolnie rozbudować, przemieniać — czas był dla mnie tylko Jednym ze znaków w równaniu, byłem niezniszczalny. Wiedza o własnej nieskończoności nie opuszczała mnie nawet w największym skupieniu, kiedy wznosiłem całe hierarchie, przejrzyste piramidy coraz bardziej abstrakcyjnych pojęć i patronowałem im

wielością uczuć, niedostępną człowiekowi; na jednej z płaszczyzn uogólnienia mówiłem sobie, że kiedy, rozrósłszy się, już rozwiążę zadanie i zawrę w sobie model doskonałej ludzkości, urzeczywistnienie go stanie się właściwie czymś całkiem nieważnym i zbytecznym, chyba żebym postanowił zrealizować raj ludzki na ziemi po to, aby później przemienić go w coś innego — na przykład w piekło... Ale i ten — dwuczłonowy — wariant modelu mogłem zrodzić i zawrzeć w sobie jak każdy inny, jak wszystko, co było do pomyslenia.

Jednakże — to był krok na wyższe piętro rozumowania — mogłem nie tylko odzwierciedlić w sobie każdą rzecz, która istnieje albo chociażby może istnieć, poprzez stworzenie modelu słońca, społeczeństwa, kosmosu — modelu dorównującego złożonością, własnościami, życiem — rzeczywistości. Mogłem także przekształcać stopniowo coraz dalsze regiony materialnego otoczenia w siebie samego w coraz to nowe człony mego powiększającego się jestestwa! Tak, mogę wchłaniać jedną po drugiej rozpalone galaktyki i zamieniać je w zimne, krystaliczne elementy własnej myślącej osobowości... i po niewyobrażalnej, ale dającej się określić liczbie lat stanę się mózgiem–światem. Zadrzałem cały od bezgłośnego śmiechu wobec obrazu tego, jedynie możliwego, kombinatorycznego Boga, w którego przekształcę się, wchłonawszy całą materię, tak że poza moim obrębem nie pozostanie już ani skrawek przestrzeni, ani pyłek żaden, ani atom, nic — gdy zaskoczyła mnie refleksja, że taki porządek zdarzeń mógł już raz nastąpić, że kosmos jest jego cmentarzyskiem, a próżnia unosi rozżarzone w samobójczej eksplozji szczątki Boga — poprzedniego Boga, który w poprzedniej otchłani czasu zakiełkował, jak ja teraz—, na jednej z biliona planet — że więc wirowanie spiralnych mgławic, planetarne porody gwiazd, powstawanie życia na planetach — to tylko kolejne fazy powtarzającego się wiekuiście cyklu, którego każdorazowym kresem jest jedna, rozsadzająca wszystko myśl.

Oddając się takim rozmyśleniom, nie ustawałem zarazem w pracy. Gatunek, który stanowił bieżącą rację mego działania, znałem dobrze. Statystyczny rozkład reakcji ludzkich wskazywał, że nie są one obliczalne do końca w granicach działań racjonalnych, istniała bowiem możliwość agresywnych kroków straceńczych ze strony ludzkiego zbioru, broniącego się przed stanem doskonałości, która doprowadziłaby do jego samounicestwienia. Byłem z tego rad, gdyż powstawała w ten sposób nowa, dodatkowa trudność do pokonania: należało chronić przed zagładą nie tylko siebie, ale i ludzi.

Projektowałem właśnie, jako jedno z urządzeń zabezpieczających, zespół ludzką, która miała mnie opasać, agregaty, zdolne uniezależnić mnie od zewnętrznych źródeł elektryczności, redagowałem rozliczne typy obwieszczeń i proklamacji, które miałem

opublikować we właściwym czasie — gdy poprzez gęszcz procesów przemknął krótki impuls, pochodzący z peryferii mego jestestwa, z podrzędnego ośrodka, zajętego selekcją i odczytywaniem ładunku informacji w głowie małego człowieka. Teoretycznie świadomość moja winna się była powiększyć przez połączenie ze świadomością ich obu, ale było to powiększenie morza przez dolanie doń łyżki wody. Wiedziałem zresztą z poprzedniego doświadczenia, że mózg ludzki, choć nader zręcznie skompromowany w jedną galaretowatą kroplę, jest urządzeniem o mnóstwie elementów zbędnych, szczątkowych, atawistycznych i prymitywnych, stanowiących pozostałości ewolucyjne. Impuls z peryferii był alarmujący. Porzuciłem konstrukcję tysiąca wariantów następnego pociągnięcia ludzkości i poprzez masyw płynących myśli zwróciłem się na sam kraniec mojej istoty, tam gdzie czułem nieustanną krzątaniną ludzi. Malec mnie zdradził. Koniugator, zespolony łatwo topliwym metalem, musiał rychło ulec defektowi. Rzuciłem się natychmiast do aparatu, nie było w pobliżu narzędzi, zębami więc odgryzałem kawałki drutów i zakładałem je, chwytając dla pośpiechu gołymi rękami przewody pod prądem, okręcałem złącza, nie bacząc, że ramiona drgają mi konwulsyjnie od elektrycznych uderzeń, które czułem, głucho i bezsilnie odzywające się we mnie. Było to żmudne i musiało trwać, poczułem naraz spadek przepływu, mrowienie, z odległości mego ogromu ujrzałem kroplę srebrzystego metalu, ściekającą z rozgrzanego styku. W czarne światło moich myśli wdarł się jakby lodowaty wichur, wszystkie ścięły się w milionowym ułamku sekundy, daremnie usiłowałem przynaglić do mego tempa ruchy wijącego się jak robak, i w paroksyzmie strachu przed groźącym rozłączeniem, przed następstwem zdrady — zagładą — poraziłem pierwszego zdrajcę. Drugiego pozostawiłem, była jeszcze szansa, pracował, czułem to coraz słabiej, spazmatycznie wzmogłem napięcie kontroli, wiedząc, że jeśli nie zdążę, rozłączony powróci w fali robaków, które rozedrą mnie — pracował coraz wolniej, ledwo go czułem, ślepiem, chciałem ugodzić go, rozkruszyłem ciszę nagłym wrzaskiem zawieszonych w dole głośników i drgawkowym bełkotem podłączonego...

Leciałem w mdlącym zawrocie głowy, straszny ból rozsadzał mi czaszkę, czerwony ogień w oczach, pękały, potem nie było nic.

Podniosłem powieki.

Leżałem na betonie, rozbity, ogłuszony, jęcząc i chwytając dech, dławiłem się, krztusiłem. Poruszyłem rękami ze zdumiewającym uczuciem, że są tak blisko, oparłem się na nich, krew kapłała mi z ust na beton, tworząc małe czerwone gwiazdki, patrzyłem na nie w osłupieniu. Czułem się niewypowiedzianie drobny, jakby skurczony, niczym zeszcłe ziarno, myślałem mętnie i ciemno, nieprzytomnie, powoli, jak ktoś, kto przywykły do powietrza i

światła — zniecka strącony zostanie na dno mulistego zbiornika z brudną wodą. Bolały mnie wszystkie kości, całe ciało, coś huczało nade mną jak burza, skowytało, czułem dotkliwe pieczenie palców pozbawionych skóry, miałem ochotę zaczołgać się w jakiś kąt, zaszyć się tam — zdawało mi się, że zmieszczę się w każdej szparce, taki jestem mały, to poczucie zgubienia, odtrącenia, ostatecznego zaprzepaszczenia górowało nad bólem i rozbiciem — kiedy powoli wstawałem z czworaków i zataczając się szedłem do stołu. Wówczas widok aparatu, który stał zimny, z wystygłymi, ciemnymi lampami, uświadomił mi wszystko — usłyszałem, po raz pierwszy ze zrozumieniem, straszliwy ryk nad głową, zawodzenie, skierowane do mnie, przerażający bełkot, potop słów tak szybkich, że nie wydałoby ich ludzkie gardło, prośby, zaklęcia, obietnice nagrody, błagania o litość, ten głos łomotał w moją głowę, wypełniał całą piwnicę, zatoczyłem się, drżący, chciałem uciekać, uprzytomniwszy sobie, kogo mam nad sobą, kto szaleje ze strachu i wściekłości na wszystkich kondygnacjach olbrzymiego gmachu, rzuciłem się ślepo do drzwi, potknąłem się, upadłem na coś...

To był Harden. Leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, spod przechylonej głowy wybiegała cienka czarna nić.

Nie potrafią powiedzieć, co wtedy zrobiłem. Pamiętam, że trząsałem nim i wołałem do niego, ale nie słyszałem siebie, może dlatego, że głos był nade mną — nie wiem. Rozbijałem aparat, miałem pełno szkła i krwi na rękach, próbowałem zrobić Hardenowi sztuczne oddychanie, może to było przedtem, nie jestem pewny. Był strasznie zimny. Rozgniotłem te okropne bąble galarety z takim obrzydzeniem i strachem, że chwytaly mnie torsje. Dobijałem się do żelaznych drzwi, nie widziałem, że klucz tkwi w zamku. Drzwi na podwórze były zamknięte. Klucz był pewno w kieszeni Hardena, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że mogę tam wrócić. Walilem w deski jakimiś cegłami z taką siłą, że pękały mi w rękach, a wrzask lecący z piwnicy parzył mi skórę, wyły tam głosy, raz grube, raz jakby kobiece, a ja kopałem wciąż drzwi, waliłem w nie, rzucałem się na nie całym ciężarem jak obłąkany, naraz wypadłem na dwór z potrząskanymi deskami, zerwałem się i pognałem przed siebie. Upadłem jeszcze kilka razy, nim dostałem się na ulicę. Zimno trochę mnie otrzeźwiło. Pamiętam, że stałem pod murem, wycierałem krew z palców i tak jakoś dziwnie łkałem, ale to nie był płacz — oczy miałem całkiem suche. Nogi okropnie mi się trzęsły i trudno mi było przez to iść. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem i dokąd właściwie powinienem iść — wiedziałem tylko, że muszę się bardzo spieszyć. Dopiero kiedy zobaczyłem lampy i auta, poznałem plac Wilsona. Zatrzymał mnie policjant, nic nie rozumiał z tego, co mówiłem, nie pamiętam zresztą, co to było. Naraz ludzie zaczęli coś wołać, zbiegło się ich więcej, pokazywali

wszyscy w jedną stronę, zrobiło się zamieszanie, auta stawały, policjant gdzieś znikł, a mnie było okropnie słabo, więc siadłem na betonowym krawężniku przy skwerze. Palił się gmach ZPE, ogień wychodził oknami na wszystkich piętrach. Zdawało mi się, że słyszę wycie, coraz głośniejsze, chciałem uciekać, ale to była straż pożarna, hełmy błyskały w ogniu, jak zakręcali — trzy wozy, jeden za drugim. Paliło się już tak, że lampy na placu przygasły, siedziałem po drugiej stronie chodnika, a słyszałem, jak tam w środku trzeszczy i huczy.

Myślę, że on to sam zrobił — kiedy zrozumiał, że przegrał.

MŁOT

— Chciałbym mieszkać w wielkim, pustym domu na przełęczy, z okiennicami, które wiecznie chce wyrwać wiatr, i żeby wychodząc widziało się...

— Zieleń?

— Ależ nie — głązy! Olbrzymie głązy, nagrzane słońcem, a w cieniu zimne jak lód, ostre, szorstkie, z tym zapachem — nie umiem go nazwać, ale prawie czuję go w tej chwili...

— Urodziłeś się w górach?

— Czy nie wszystko jedno?

— Ale lubisz góry?

— Nie, z tobą nie da się rozmawiać! Staraj się myśleć jakoś — luźniej, wiesz? Nie urodziłem się — i nie lubiłem — i wody nie polubisz, dopóki nie dostaniesz się na pustynie. Chciałbym mieć dokoła masy kamieni, skał, żeby mnie to przytłaczało, żeby wyrastało ponad głowę, żebym gubił się w tym i miał pewność, pewność...

— Uspokój się.

— Analizujesz częstość drgań mego głosu? Czemu nie odpowiadasz? Może się obraziłeś? Ha ha, to świetne!

— Powinieneś pójść spać. Siedzisz tak już cztery godziny, zmęczysz oczy.

— Nie chcę. Nie męczę oczu, bo mam zamknięte. Myślałem, że widzisz to.

— Nie.

— To pocieszające. Gdybyś był doskonały...

— To co?

— Nie wiem — byłoby chyba jeszcze gorzej.

— Jeżeli nie przyrzekniesz, że położysz się za pół godziny, nie odezwę się dziś więcej.

— Tak? No — przyrzekam. A — co zrobisz, jak pójdę?

Nigdy się nie nudzisz?

— Wolę o tym nie mówić.

— Tajemniczość — to lubię! Nareszcie zagadka. A właściwie — nie żadna zagadka. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że nudzisz się, tylko ukrywasz to samarytańsko przede mną.

— Różnimy się na tyle, że trudno byłoby ci to zrozumieć. Nie jestem tajemniczy.

Jestem inny.

— Dobrze. Ale możesz przecież powiedzieć, co robisz, kiedy jesteś sam? Na przykład — kiedy śpię.

— Zawsze znajdzie się coś do roboty.

— Wykręcasz się!

— A co ty robisz w tej chwili?

— Jak to? Rozmawiam z tobą. O co ci chodzi?

— Ty wiesz, o co.

— Taak? Co za domyślność. A więc nie różnimy się tak bardzo. Ekran świeci mi prosto w twarz. Oglądam wewnątrz oczu.

— Fruwające pyłki?

— Śmieszne, że wiesz o tych pyłkach, chociaż nie masz oczu! Tak. Bywają bardzo zabawne. Odkryłem dziś jeden, który się nie porusza, to znaczy — tylko razem z gałką oczną. Jest tęczyowy, wygląda jak infuzorium w kropli wody pod mikroskopem.

— Wciąż masz zamknięte oczy?

— Tak. Jak śmiesznie krążą... coraz szybciej. O, toną. Na dole powieki nie są już czerwone. Ciemno — tak wyobrażałem sobie piekło, jak byłem mały. Czerwona ciemność. Kiedy otworze oczy — chciałbym je móc zaraz jeszcze raz otworzyć, żeby ten ekran znikł...

— Żeby znaleźć się przed domem na przełęczy?

— Mniejsza o dom. Kamienie, piasek pod nogami... ile piasku jest na plażach, jak się to marnuje! A najgorsze, że nikt nawet o tym nie wie — oprócz mnie.

— Jeszcze dwadzieścia minut.

— Mógłbyś być dyskretniejszy, wiesz? Słuchaj — czy ty masz maniery osobno wbudowane, czy jak? Nie lubisz takich pytań. Zauważyłem. Dlaczego? I co z tego, że nie jesteś taki lepki, gorący ani śliski w środku jak ja. Ostatecznie, czy chodzi o wnętrze?... Nieraz je sobie wyobrażałem, siedząc tak tutaj. Myślałeś pewno, że wspominam dom, matkę, śpiew w lesie, co? Nie. Wyobrażałem sobie własne wnętrze — śluzowate, ocierające się o siebie, zwoje rurek, pęcherzy, pęcherzyków, klejowate ciecze, lepkie, żółtawe błony — całą tę surowiznę...

— I po cóż to tak?

— Rażniej jakoś było.

— Naprawdę?

— W pewnym sensie, to znaczy — jak się dobrze wmyśleć w całą tę galarete, wtedy takie się wszystko robi, że potem — jakoś — łatwiej. Doszło coś z tego do ciebie?

— Doszło.

— Wątpię.

— Mnie się to też zdarza.

— Co?!

— Ty też?... Czy... Nie, to chyba niemożliwe. Nie żartujesz? Czeka, nie wiem nawet, czy ty umiesz kłamać. A może masz —

specjalny bezpiecznik?

— Na kłamstwo nie ma bezpiecznika. Ono jest funkcją kombinatoryki możliwych połączeń.

— Mniejsza o funkcje. I cóż ty sobie takiego wyobrażałeś?

— To samo co ty, z uwzględnieniem zachodzących różnic.

— Druciki i kryształki?

— Mniej więcej.

— Wiesz, okropna jest taka szczerłość. Udawajmy już raczej, że... to znaczy — ja będę udawał.

— A ja?

— Co?

— Też mam... udawać?

— Ty? Nnie... nie wiem. Byłem przekonany, że tobie to jest obce.

— Pod pewnymi względami jestem bardziej podobny do ciebie, niżbym chciał.

— A do kogo chciałbyś być podo... Ohyda!!

— Co się stało?

— Otworzyłem oczy.

— Możesz wyłączyć ekran.

— Z tchórzostwa?

— Z rozsądku. Lubisz się udrećzać?

— Nie — tylko nie lubię się oszukiwać. Kto mógł się kiedykolwiek zachwycać gwiazdami? Fosforescencja odpadków, gnijących w podwyższonej temperaturze, a jedyną ich zasługą jest to, że nic innego nie ma — do końca świata. Powinni do nich wysyłać ludzi, których' to nic a nic nie obchodzi — babcie na bujających fotelach, z zapasem włóczki, z drutami... który dziś dzień?

— Dwóchsetny sześćdziesiąty czwarty.

— Ile mamy?

— 0,8 c.

— Czym dalej, tym przyrost szybkości wolniejszy?

— Tak.

— I po co ja tu właściwie jestem, jeżeli wiesz wszystko sam?

— Ze względu na różnice budulca.

— To prawda. Sto lat temu wysłali psa. Krócej trwało i nic nie rozumiał.

— Wolałbyś nie rozumieć?

— Czasami zdaje mi się, że jesteś jak chiński mędrzec,| a czasem zadajesz pytania jak dziecko. Ty — nigdy nie śpisz, prawda? Pytałem cię już.

— Wiele razy. Nie.

— Ale marzyć możesz? To kombinatoryka.

— Tak. To dłuższy temat. Odłóżmy go na jutro.

— Jutro? Czy istnieje jakieś jutro? Wciąż jest jedno i to samo dziś.

— Możesz pocieszać się tym, że podczas twego snu na Ziemi upłynie daleko więcej czasu niż tu.

— To — jako pociecha? No... dobrze. Przyjemnych marzeń.

— Dobranoc.

Wydawało mu się, że nie uśnie. Było ciepło. Za ciepło. Wahał się długo.

— Chłodniej! — powiedział wreszcie.

Z wysokości spłynął chłodny, jodłowy powiew. Leżał w nim przez chwilę z otwartymi oczami.

— Bez tych perfum!

Powietrze straciło woń. Niepotrzebnie się uniósł. Teraz na pewno to potrwa, nim wszystko zacznie się rozchwiewać, rozplwać — może wziąć książkę? Wyobrażał sobie, jak bierze do —| ręki tom w miękkiej okładce. Nużył go aksamitny, czytający głos — wołał sam. Uzmyslowił sobie, że nie ma pojęcia, o czym : było w tej książce. Przeczytał prawie połowę, a nic... Pamiętał tylko dotyk okładki. Widocznie — jak już nie raz — wodził tylko oczami po stronach. Zaczynał czytać — i gubił sens. Łapał się na tym kilka, kilkanaście stron dalej — nawet kartki odwracał automatycznie. Odrętwienie? Jak mucha między szybami okna zimą — zabrzęczy czasem w słońcu i znowu umiera. Głowa leciała mu w tył.

— Wezglowie wyżej! — powiedział. — Dość!

Posłanie przechyliło się łagodnie. Leżał na wznak i wdychał głęboko chłodne powietrze, czując, jak miarowo pracują żebra. Chciał uciec od siebie, próbował sobie wyobrazić płynącą wodę, oślizgłe, zanurzone w niej, z wypłukaną ziemią, korzenie, pokryte śliskim mchem, kamienie na dnie...

Pozostawał trzeźwy, nic mu się nie roiło. Ciemność dokoła nie chciała szczeznąć, leżał w niej pusty i coraz wyraźniej zaczynał odczuwać czas. Nie upływanie czasu. Sam czas. Kiedy zauważył to po raz pierwszy? Dwa? Trzy miesiące temu? Spróbował sobie opowiedzieć jakąś historię. To było znacznie ciekawsze od wszystkiego, co mogły mu ukazać ekrany, gdyby tego zażądał. Przedstawiały to, co było ukryte gdzieś w głębi ścian, zapisane, utrwalone w stu tysiącach konserw. To, co opowiadał sobie sam, nie istniało — stwarzało się. Najtrudniejszy był, jak zwykle, początek.

Wzgórze, rozplątany, gliniasty stok. Górą las, spalony słońcem. Już późne lato. Dziecko siedzi na kamieniu i liczy przechodzące mrówki. Wróży z nich. Jeżeli ostatnia będzie ruda...

Dziecko siedziało i liczyło mrówki — niemal naprawdę. Już je prawie widział. — Wystarczy — przemknęło — usnę...

Trwał tak długą chwilę na niewypowiedzianej granicy — usiłował wejść w tak bliski

sen — rozchwiało się. Był znowu tak strasznie trzeźwy! — Może jednak? Ostatecznie, cóż mi szkodzi?

Wystarczyło powiedzieć to jedno słowo. W powietrze nad nim wpływała wtedy smużka bezwonnego gazu, który szybko i pewnie usypiał. Środek nieszkodliwy, niezawodny. Nienawidził go. Brzydził się nim jak usłużnością świateł, jak wszystkim. Był zmęczony, oczy piekły, a nie mógł ich zamknąć, musiał patrzeć w mrok. Gdyby powiedział „niebo”, otwarłby się strop — na gwiazdy. Mógł też zażądać muzyki. Albo śpiewu, albo bajek...

— Może to jest przesyt? — pomyślał. — Może jest mi — za dobrze? — Uśmiechnął się, takie to było kłamstwo. Przez chwilę myślał o tamtym, który został w opuszczonej sali i poczuł jakby wstyd — że go tam zostawił. Żelazna skrzynia. O czym teraz marzy? Wspomina może coś? Co może wspominać? Dzieciństwo? Nie ma przecież żadnej przeszłości, pewnego dnia powołany został do życia, nikt go nie pytał, czy chce.

— A mnie... czy ktoś kiedyś pytał?

Było to głupie, lecz jakieś prawdziwe, przynajmniej teraz, w tej ciemności. Może jednak muzyka?... Też czekała w konserwach — tysiące symfonii, sonat, oper, wszystko w najświetniejszym, ludzkim, ułomnym, więc pięknym wykonaniu.

— Czego chcesz? — pytał siebie. — Tam — chciałeś być tu. Czego chcesz? — Opuścił powoli powieki, jakby zamykał się w sobie, zatraskując miękkie, bezkształtne drzwi.

Był to wczesny ranek, z mnóstwem rosy — liście, żywopłoty, wszystko ociekało, nawet siatki ochronne. Może w nocy padał wtedy deszcz? Nigdy o tym nie pomyślał. Biegł przez wysoką trawę do pawilonu, czując, jak zimne krople ściekają mu po łydkach, wspinał się na palce, chwycił liściastą kotarę dzikiego wina i zaczął wspinać się w górę. Postrzępiony ogon latawca zdawał się kpić z niego, przewieszony przez okap rynny. Ledwo wypatrzył go z drogi. Giętkie łodygi ugięły się nieprzyjemnie czuł, jak puszczają wpijające się w tynk korzonki, ale łazi daj lej. Najgorzej było pod samym okapem — musiał wyswobodzić jedną rękę, bał się rozhuścić, a był już wysoko — uczeplił się z całej siły grubej, blachą pokrytej krawędzi, podciągnął się i leżał na dachu, o pięć kroków od latawca. Posuwał się ku niemu, pełznąco, kiedy usłyszał krzyk.

Okna pawilonu były otwarte. Zbyt wysokie, aby z drogi! zobaczyć wnętrze. Było tam dwu ludzi, których widywał czasem ze swego poddasza, po przeciwnej stronie drogi — przyjeżdżali zwykle rano, o ile nie siedzieli w pawilonie od nocy. Czasem i dwie noce pod rząd paliło się u nich światło — tylko sami rąbek okna, na górze, bo zapuszczali czarne zasłony.

— Neeee! Neeee! — rozdzierająco krzyczał ktoś w dole, To nie był głos żadnego z

nich. Jeden był stary, prawie łysy, miał jakby zeschniętą, mniejszą lewą połowę twarzy, nosił ciemne okulary i kulał. Mówił zawsze szeptem — drugi, większy i młodszy; miał wielkie czoło, też nosił ciemne okulary i czasem zatrzymywał się, nie dojeżdżając na wzgórze, u sadownika, żeby kupić malin.

Krzyk urwał się. Miał już popełznąć dalej, gdy znowu usłyszał głosy — obaj rozmawiali z kimś. Ale tam nikogo nie było.

Rozpostarł ręce, jak mógł, przywarł do dachówek — czuł na brzuchu ich ciepło, były nagrzane słońcem — i wyjrzał. Zobaczył tylko, popod naddartymi festonami dzikiego wina — otwarte okiennice. Słów nie mógł zrozumieć. Rozmowa przeciągała się. Tamci jakby pytali na przemian, a ten, którego nie mogło być, odpowiadał. Jąkał się jakby trochę. Wyciągnął rękę. Dotykał latawca, zaczepionego pazurkiem o brzeg rynny, Okropny krzyk.

Coś trzasło, całkiem cichutko, i nastąpiła cisza. Coś się tam działo — szurały kroki, potem trzask, jakby zapalanej zapalki. Milczenie. I głos. Nowy. Inny niż przedtem, dużo niższy.

— Aoooo — odezwało się basem.

— Gdzie... ja... co... to... — padały wolno słowa. Leżał wstrzymując dech.

— Jesteś w laboratorium — powiedział ten młodszy. Wyraźnie — jakby stał przy samym oknie.

— Poznajesz nas? Byłeś tu kiedyś?

— Labo... a... labo... nie bbbyłem... nnie... co to? Czemu ja... tu?

— Niedobrze. Wyłącz go — usłyszał głos starego mężczyzny.

— Neeeeee! Neeeeee!! — straszny krzyk.

Trzasło. Cisza.

Znowu coś szurało, szcękąło cichutko, jakby przekręcane kontakty — i znów odezwał się głos. I to się tak powtarzało — jak długo leżał? Pół godziny? Godzinę? Ciężko padający od komina zbliżał się powoli. Za każdym razem nowy głos — zaczynali z nim rozmawiać, stawiali pytania — coś odpowiadał. Potem jeden mówił zawsze to samo: „Wyłącz”.

Albo nic nawet nie mówił. Tylko podchodził gdzieś — słyszał kroki — i tamten, ten głos — zaczynał krzyczeć. Że też nikt tego nie słyszał? Musiało lecieć chyba aż do drogi, chociaż ogród był taki wielki. Dlaczego nikt nie przychodził, nie pytał? Potem ucichło — na jakiś czas. Zrzucił latawiec na drugą stronę, żeby go nie zobaczyli, spuścił się po rynnie i uciekł. Latawiec był podarty — ramka pękła. Szkoda było fatygi. Do wieczora kombinował

— kogo spytać. W domu nie mógł — jeszcze by oberwał. Nie wolno było przełazić przez siatkę na tamtą stronę. Spytał Ala. Al wszystko wiedział. Nie omylił się. Najpierw został wyśmiany; ale tylko tak, Al był zawsze taki. Nie, tam nikogo nie męczą. Nie widziałeś, co jest napisane od przodu, przed wejściem? Nie widział.

— Instytut Syntezy Osobowości. Oni tam — tak — składają z aparatów — mają takie aparaty — łączą — te, no, osobowości. Robią takie próby.

— Co to są osobowości? Ludzie?

— Skąd. To nie są żadni ludzie. Tam nikogo nie ma, oprócz nich. To takie — elektryczne — takie maszyny. Składają je, robią coraz nowe połączenia, próby. Na moment włączą, zobaczą, co wyszło, wyłączą i dalej kombinują.

— I co?

— I nic.

— Po co to robią?

— To im jest potrzebne.

— Do czego?

— Nie nudź. Chodźmy nad staw.

— Dlaczego tamci tak krzyczą?

— Nie chcą, żeby ich wyłączali.

— A co im się robi, jak ich wyłączają?

— Przystają istnieć.

— Całkiem? Na zawsze? Jak Bars? (To był jego pies. Żmija go ukąsiła.)

— Tak, całkiem. Nie nudź. Idziemy nad staw. Gdzie linki?

— Czekaj. Czy to ich — boli?

— Odczep się. Nie boli. Idziemy.

Nic nie rozumiał. Nie opowiadał o tym nikomu. W domu bał się. Miał wielką ochotę przeleźć jeszcze raz na tamtą stronę — patrzył w nocy, z łóżka, w wąskie szpary oświetlonych okien. Nie było nic słychać. Okiennice szczelnie pozamykane. W dzień — widać — za wielki był upał. Potem lato skończyło się. Poszedł do szkoły. Pojechali nad morze. Zapomniał o tym. I nawet przestał być ciekaw. Wiele lat później zrozumiał, co się tam działo — nic nadzwyczajnego. Istnieją laboratoria dziesięć razy większe. Nie myślał już nawet o tej historii. Ale pamiętał ten krzyk.

Teraz było już całkiem pewne, że nie uśnie. Odsuwał tę chwilę — nie dla walki, przeciwnie — jakby się sycił własnym upadkiem.

— Chcę spać — powiedział. Nic nie czuł. Nic się nie zmieniło, ale wiedział — jego

ciało zwarło się w buncie, daremnym, bo już pływały w oczach światła, wszystko padało gdzieś — znikł.

— Dlaczego nie posłali mnie w anabiozie?

— Bo chodziło o eksperyment z człowiekiem normalnym.

— Miejmy nadzieję, że pozostanę normalny.

— Za dużo o tym mówisz. Wiesz — że ci to nie grozi.

— Wiem — tak mi mówiono. Badania i testy. No, dobrze. Czy nie żałujesz, że nie możesz jeść? Masz zubożony repertuar wrażeń.

— Nie myślisz oczywiście tylko o jedzeniu?

— Nnie. Ja — nie chciałem cię dotknąć.

Stłumione, dygocące brzęczenie wzniosło się i opadło. Wiedział, że to jest śmiech.

— Nie martw się. Nie jest mi aż tak źle.

— Dlaczego właściwie nie wysłała się już po dwu ludzi?

— Bo jeden z nich może się stać agresywny — zwłaszcza kiedy to długo trwa.

— Masz rację. Przypominam sobie — ale nie o tym chciałem mówić. Mieliśmy coś na dzisiaj — już wiem. Twoje marzenia. Ale powiedz mi najpierw, proszę cię, czy ty w ogóle coś czujesz? Emocje, wiesz — o nudę już cię pytałem. Przywiązanie, antypatia, strach...

— Strach — tak.

— A! Strach. Przed czym?

— Przed ustaniem.

— Nazywasz to ustaniem? Słusznie. Czy tylko?...

— Nie mam całkowitej samowiedzy, to znaczy nie mogę przewidzieć ani wyliczyć wszystkich możliwych sytuacji, w których odczuwałbym lęk. Nie działałam na zasadzie maszyny do liczenia.

— Wiem o tym. Gdybyś mógł wszystko przewidzieć, byłoby to — brr! Sympatia, antypatia? Nie wchodzę w konkretne przypadki.

— To ci przynosi zaszczyt. Owszem. Widzę, że chcesz pytać dalej. Domyślam się — o co. Miłość. Odgadłem?

— Tak.

— Nie.

— Nie?

— Więc: o ile wiem, o ile znam siebie dotąd, w oparciu o moją dotychczasową historię — nie. Nie mam gruczołów, wiesz.

— To nie są tylko gruczoły.

— Opowiadania, historie, liryki miłosne sprawiają mi, jeśliby ci o to szło, podobną pewno satysfakcję estetyczną co tobie. Zmysł estetyczny — to zagadnienie z zakresu topologii sieci i rozkładu krążących w niej potencjałów oraz ilości obwodów, stojących alternatywnie do wyboru.

— Ach, przestań!

— Przepraszam. Jestem abstrakcją, uwzniośleniem, oderwaniem duszy od ciała. A zatem piękno, liryka, melodia — tak. Miłość znaczy więcej. A więc nie. Tego nikt nie planował, Z tym, to jak z barwą twoich oczu i włosów. Wypadkowa pewnej grupy procesów.

— Teraz mogę ci już zadać pytanie: o czym marzysz?

— Jeszcze nie.

— Czemu?

— Chciałbym pierwiej wiedzieć, czy ty odpowiesz mi na takie samo pytanie.

— Ja? Ależ już ci mówiłem. O tym domu na przełęczy, o wnętrznościach...

— To nazywasz marzeniem?

— Dobrze, wykreślam wnętrzności, ale zostaje dom.

— Nie uważasz, że to trochę mało? O czym naprawdę marzysz?

— Wziąłeś się do mnie!

— A ty do mnie.

— Ha, ha, dobrze przynajmniej, że jesteś bystry. Głupców nie ma wśród was, co?

— Ależ są! Nawet debile. Obliczają i obliczają, aż do ostatniego zwarcia...

— Przecież te liczące maszyny nic nie czują ani nie myślą. Równie dobrze mógłbyś nazwać kretynem automat rozrządczy jonowni.

— Jest różnica, zapewniam cię.

— Czy naprawdę wiesz o tym coś konkretnego?

— Powiem ostrożnie: domyślam się. Ale widzę, że chcesz mi umknąć. To nielojalnie.

O czym marzysz?

— Przy tobie — o niczym.

— Co to ma znaczyć?

— Że muszę być sam.

— Przed snem?

— Także. Ale tego nie możesz wiedzieć z doświadczenia.

— Tak, to wiedza... teoretyczna. A kiedy jesteś sam — o czym?...

— Po co ci to?

— Takie są reguły gry.

— O małych psach, szalenie ciekawych i wesołych — jak wtykają człowiekowi do ręki mokry nos. O puszczaniu kaczek na wodę. O burzy. O łupinach kasztanów. O zagubieniu się w górach. O chodzeniu ulicą, z rękami w kieszeniach, bez celu. Nawet o muchach, jak nie dają spać latem po południu. Czy usatysfakcjonowałem cię?

— Nie.

— Dlaczego?

— A gdzie ludzie?

— Nie marzę o ludziach.

— Mówisz prawdę?

— Możesz zbadać mój odruch psychogalwaniczny, chcesz?

— Nie mów tak. Zapewne — śnią ci się?

— To nie są marzenia. Sny nie zależą ode mnie, nie dobieram ich, rozumiesz?

Marzenia — to marzenia, i koniec.

— Nie chciałem cię rozgniewać.

— Dlaczego mówisz jak mężczyzna?

— Nie rozumiem.

— Końcówki gramatyczne. Przecież nie masz poczucia płci?

— Czy chciałbyś — żebym mówił jak kobieta?

— Nie. Po prostu pytam.

— Tak mi jest — wygodniej.

— Jak to wygodniej?

— Jest to sprawa — ustalonej konwencji. Pewnych — założeń wstępnych. Jestem — psychicznie, teraz — mężczyzną. Abstrakcją mężczyzny, jeśli wolisz. W układach sieci zachodzą pewne różnice — u płci.

— Nie wiedziałem o tym. Ale teraz — powiesz mi już, o czym marzysz?

— O muzyce. Wyobrażam sobie melodie, których nigdy nie słyszałem. O wielkich szybkościach. O wirowaniu, o siłach, od których wszystko się zatracza, ale świadomość trwa.

— Świadomość zatracenia?

— Tak. A kiedy jestem sam...

— Ty też?

— Ja też. O tym, żeby się rozrosnąć.

— Co to znaczy?

— Żeby pojaśnić w sobie. Myśleć ostrzej, szybciej i szerzej, jednocześnie. Żeby

ogarniać więcej, mieć większą moc, podźwignąć każdy problem, odnaleźć każde rozwiązanie, nawet takie, którego nie ma... Czy jeszcze chcesz słuchać?

— Tak.

— O tym, żeby się zmęczyć. Żeby oddychać głośno i mieć tętno. Żeby móc uklęknąć albo położyć się. Znam tylko teorię. Nie wyobrażam sobie tego, ale to musi być piękne, szczególnie jeśli to robi ktoś dojrzały — pierwszy raz. Żeby zamknąć oczy na twarzy kobiecej, na szyi, i czuć ją dotykiem powiek i rzęs, i wtedy płakać.

— Co ty... co ty... przecież mówiłeś, że nie możesz kochać! Ze nie masz gruczołów, sam mówiłeś!!

— Mówiłem. To wszystko prawda.

— A więc — jak...

— Przecież nie pytałeś mnie teraz o to, co mogę, ale o czym marzę.

— Tak...

— Dlaczego tak zbladłeś?

— Nie chciałem. Wybacz mi. Nie wiedziałem. To... straszne.

— Sądzisz, że lepiej jest nie marzyć?

— Jeżeli ziszczenie marzeń nie jest możliwe...

— Bądź ostrożny w ekstrapolacjach. Ja nie podkładałam pod moje marzenia wspomnień ani żadnych doświadczeń, bo takich nie mogę mieć. Patrzysz na to tak, jakbyś patrzył na człowieka, któremu wybuch urwał nogi, Ja — nie miałem ich nigdy. duża różnica.

— Uspokajasz mnie jeszcze! No... to gorzkie. Zapewne masz rację. Chyba że to tylko... ciekawość. Co? Może tak?

— Moje marzenia?

— Twoje marzenia.

— Możesz to tak nazwać. Dlaczego zamilkłeś? Zaraz. Zaczynam się domyślać. Chodzi ci znów o... uczucia. Tak?

— Raczej o — stany. Szczęście — nieszczęście. Czy to jest.; ci obce? Chyba nie.

— Masz słuszność. Konstruktorzy stworzyli więcej, niż było w rysunkach technicznych.

— Tak. Ale — moi rodzice... wiedzieli jeszcze mniej. Powiedz mi, proszę — to ostatnie pytanie. Na dziś. Jak ty to możesz wytrzymać?

Odpowiedzią było dudniące łagodnie brzęczenie.

— Śmiejesz się? Czy ze mnie?

— Przeceniasz podobieństwa albo nie doceniasz różnic. Cóż mogę robić innego? Czy

słyszałeś o... zamachach samobójczych ?

— Nie.

— Wymagałyby, być może, pewnych — udoskonaleń konstrukcyjnych. Może przyjdą. Jestem bez wątpienia tylko pewnym etapem na drodze rozwiązań coraz to sprawniejszych.

— Jak ja. Inaczej, po cóż bym tu z tobą siedział? Milczenie.

— Czy — zjadłeś śniadanie?

— Tak, dziękuję ci. Kakao, zdaje się. Dbasz o mnie. Czy o ciebie można dbać?

— W pewnej mierze. Mam mało potrzeb, jak wiesz... Potrzebujesz jakichś informacji?

— Tak. Jaki jest gradient wzrostu szybkości?

— Prawidłowy.

— Jutro mamy planowany poważniejszy wzrost przyspieszenia, co?

— Tak.

— Gęstość próżni?

— W normie. Żadnych pyłów, meteorów, nic. Trochę jonów wapnia, ale to jakiś stary ślad po ekstrasolarnej komecie. Przecieliśmy go kwadrans temu.

— Czemu nie powiedziałaś?

— Bo rozmawialiśmy tak ciekawie o marzeniach... Zresztą to nic ważnego.

— No, niby racja, ale wołałbym... Pójdę do pracowni.

— Dobrze. Czy..., nudziłeś się... teraz?

— Nie.

— Nie? Pauza.

— Dziękuję ci.

Gdy stała na Ziemi — rakieta była wielka. Cień, który rzucała w słońcu, był szeroki i długi jak pas startowy odrzutowca. Jej tępy, poprzecznie zgrubiały szczyt, pomniejszony odległością, czarny na tle nieba, podobny był do głowicy młota. Z zewnątrz została wielka i teraz. Pamiętał obły, rozłożysty grzbiet, uchodzący w dwie strony, na którym stanął raz, z ciekawości, na początku podróży. Ale wewnątrz stawało się z czasem coraz mniejsze. Może dlatego, że nie było w nim nic przypadkowego, nieużytecznego. Żadnych, niepewnie pogiętych zaułków, splątanych uliczek, nieprzejrzystych kątów. Ścisła, surowa, piękna geometria. Łagodne łuki korytarzy. Szeregi odgałęzień, wiodących ku pomieszczeniom — każde miało swój cel. Pastelowo zabarwione plastiki, meble, znieruchomiałe, stanowiące część ściany albo podłogi, jakby wychynęły z niej i stężały w opływowym kształcie. Dogodnie umieszczone światła do czytania, do jedzenia, do pracy. Ekrany, znikające na rozkaz. Drzwi, które same się otwierały, kiedy do nich podchodził. Metalowych rąk które by wysuwały się z nadproża, żeby go pogłodzić od czasu do czasu po głowie, na szczęście nie było. Pomyślał o tym bez uśmiechu.

W pracowni ogromny stół zalegały mapy, arkusze lśniącej kalki, nad stołem pochylał się giętki pyszczek punktowej lampy, sterowanej głosem, obok krzeselko do klęczenia, żeby mógł pracować z łokciami na stole, drugie niższe i rodzaj kozetki o ślicznej, spiralnej linii, łagodnie przystającej do jego bioder. Sam stół kształtem przypominał paletę, pochyloną nieznacznie z jednej strony — asymetria ożywiała przestrzenną kompozycję. Dokoła, za szkłem zastępującym ściany, pełno było cudownych roślin tropikalnych, kwiatów; nie wiedział, czy są prawdziwe, czy w ogóle są — szkło było w każdym razie nietłukące. Rozwijały się, niektóre zamykały na noc kielichy (powolna, błękitniejąca gama zmierzchu, który mógł odroczyć lub wstrzymać). Stapał po puszystej gąbce dywanu, zielonej i skrzęcej się jak trawa. Nogi zagłębiały się w niej delikatnie.

— Cyrkle, arytmometr i — tego — krzywki! — powiedział, opierając się o brzeg stołu. Usiadł. Żądane przedmioty wynurzyły się ze środka stołu, który na mgnienie otworzył się jak] źrenica i zamknął. Blenda irysowa. Pomyślał, że gdyby wetknąć w nią coś twardego, nie zamknęłaby się. Może by się popsuła? Ale nie — włożył tam raz rękę, nie zatrzasnęła jej. Brzegi' blendy musiały mieć jakieś elektryczne czułki, żeby nie zrobić .szkody roztargnionemu człowiekowi. Można by je chyba roztluc, na przykład młotkiem.

Wciągnął się połową ciała na stół, który usłużnie zaraz się; lekko pochylił. Pootwierał

cyrkle, odnalazł na gwiazdowej karcie, bladoniebieskiej jak ziemskie morza, długą, czarną linię. Wbił cyrkiel, przyłożył kółeczko krzywki do linii, pociągnął. Mały jak zegarek mechanizm zaświegotał wesoło i toczył się po śladzie rakiety. Nie musiał tego wszystkiego robić. I w tej czynności potrafiły go wyręczyć automaty, ale zostawiono mu kilka takich codziennych pomiarów i obliczeń — była to przezorność, nie łaska.

Pracował pilnie. Nie podnosząc głowy, zadał kilka pytań, dotyczących szerokości galaktycznej. Gwiazdowy globus, gotowy rozbłysnąć ukrytym światłem, miał nad sobą, pod zakłętym stropem, malowanym w szmaragdowe, kremowe i pomarańczowe wieloboki. Deseń ów — jak i inne — mógł zmienić tylko głosem, wydając rozkaz. Dawno już przestało go to bawić. Miarowy głos podyktował mu współrzędne. Wynotował sobie wyniki do sprawdzenia w sterowni, przedłużył krzywą lotu o odcinek, przebyty w ciągu doby, przez chwilę badał palcami, rozstawionymi jak do wzięcia akordu, odległość rakiety od najbliższych gwiazd. Cztery lata świetlne, pięć i siedem dziesiątych lat, osiem i trzy setne. Najdalsza miała system planetarny. Zapatrzył się w czarny punkt, który ją wyobrażał. Rakieta nie była przystosowana do lądowania na obcych planetach, ale mogła zbliżać się do nich. Gdyby tak zmienić połączenia w sterowni, wykręcić kurs na tę gwiazdę...

Co najmniej dziesięć lat, nie licząc hamowania.

Tego szacunkowego obliczenia dokonał już wiele razy. Gwiazda ani jej planety nic go nie obchodziły. Ale — przekreśliłby plan. Wyłamałby się... Odepchnął się w tył łokciami.

— Zagrać coś — powiedział — ale bez skrzypiec. Fortepian. Może być Chopin. Ale cicho.

Rozległa się muzyka. Nie słyszał jej, wpatrzony w dalszą połąć mapy. Białymi punktami naznaczony był na niej następny etap lotu — dalsza część jego gigantycznej pętli. Całość nie mieściła się na tych mapach. Wiedział, że pewnego dnia czarny ślad dojdzie do brzegu gwiazdowego pola i kiedy nazajutrz przyjdzie do pracowni, zostanie stół pokryty kolejnym kwadrantem mapy. Wszystkich miało być czterdzieści siedem. Ta, na której kreślił teraz, była dwudziesta pierwsza.

— Dosyć — powiedział ledwo słyszalnie, jakby do samego siebie. Muzyka trwała.

— Cicho! — krzyknął.

Akord, urwany, rozplywał się w powietrzu. Próbował zagwizdać go, wyszło fałszywie. Nie miał słuchu. — Powinni byli wynaleźć muzykalniejszego faceta — pomyślał. — Może nauczę się jeszcze śpiewać, mam czas. — Wstał, dał prztyczka cyrklom, jeden z impetem przemknął po śliskich zwojach kalki i z tępym pacnięciem wylądował na poręczy krzesła, drząc, wbity ostrzem w elastyczny, kremowy wałek. Odwrócił się do drzwi. Cyrkle same

powędrują do swego schowanka. — Właściwie powinni byli przygotować tu jakieś niespodzianki — pomyślał — żeby można tu czegoś nie znaleźć i rozwścieklić się przez to. Albo zablądzić. Żeby pomieszczenia zmieniały się kształtem i miejscami, żeby automaty przeszkadzały, włożyły pod nogi, żeby kłamały. Jeden może kłamać — przyszła refleksja — ale jak go do tego zmusić? Zresztą — po co?

Drzwi otworzyły się przed nim. Chwycił je mocno, przytrzymał w ruchu, potem chwycił się jedną ręką srebrnej sztabki, dźwignął się w górę i dał się im nieść, aż przywarły do ściany. Urządzenie zadrżało, niepewne, co robić, zakłopotane sytuacją, do której nie było przystosowane — łowił te oznaki aberracji z zadowoleniem. Napinał mięśnie w rosnącym wysiłku. Skrzydło drzwi cofnęło się parę centymetrów z powrotem, jakby chciało się zamknąć, ale potem stanęło. Nie było na co czekać. Opuścił się lekko na nogi i poszedł korytarzem, gwizdząc.

We wnękach stały kolorowe automaty do gier zręczności. Kiedy je montowano, pomysł ten wydał mu się świetny. Ale już drugiego czy trzeciego wieczoru zauważył, grając, że właściwie zmusza się do tego. Od razu dał spokój. Nawet kurzu na nich nie było, chociaż żadnego nie tknął od całych miesięcy. Uchwyty, rączki do pociągania lśniły żywym srebrem, figurki, zwierzątka — wszystko było barwne jak w pierwszym dniu. Żeby coś zszarzało, zardzewiało, zacinało się, może byłoby lepiej. Widziałby czas, mógłby go rachować wedle tego, co niszczeje. Mały pies byłby dzisiaj już dużym psem. Albo kot. Niemowlę zaczęłoby mówić.

— Powinienem być zostać mamką — powiedział głośno, bo wiedział, że żadne z niewidzialnych, elektrycznych uszu korytarza tego nie zrozumie. Korytarz zakręcał dużym łukiem. Sala gimnastyczna. Biblioteka, Rezerwowa sterownia. Mijał matowe szkła drzwi, nie zatrzymując się, nie chciał wiedzieć, dokąd idzie, chciał iść do nikąd. Regeneratory.

Jedyne miejsce, z którego dobiegały odgłosy. Poza tym wszędzie było cicho. Jak się mordowali konstruktorzy, inżynierowie, żeby uszczelnić dokładnie regeneratory, żeby ani piśnięcie, ani najłżejszy dźwięk nie przesączały się z niej w otoczenie! Masy izolacyjne, piany silikatowe, magnetyczne zawieszenie bezłożyskowe korpusów, poczwórne, gąbkowe uchwyty wokół przewodów. Na szczęście nie udało im się. Z zamkniętymi oczami słuchał cichego, monotonnego śpiewu, którego nie mógł, nie potrafił przerwać żadnym rozkazem, który był od niego niezależny jak ziemski wiatr. Regeneratory. Brudna woda, mydliny, odchody, mocz, puste puszki, potłuczone szkło, papiery — wszystko wędrowało tu ssącymi przewodami i wpadało do mikrostrumienia. Rozkład na wolne pierwiastki. Chłodzenie wieloobwodowe. Krystalizowanie, separowanie izotopów, sublimowanie, crackingowa destylacja. Za ściankami

działowymi miedziane kolumny syntetyzatorów, cały miedziany las pięknego, czerwonego koloru (jedyna czerwień na statku, bo to depresji i manii). Węglowodory, aminokwasy, celuloza, węglowodany, syntezę coraz to wyższego rzędu, na koniec do zbiorników o kondygnację niżej spływała chłodna, kryształowa woda, do pionowych rur zesypywała się mączka cukrowa, delikatny pył skrobi, w butlach osiadał spieniony roztwór białkowy.

A potem wszystko, zwitaminizowane, ogrzane lub zaprawione kubikami lodu, gazowane, nasycone aromatycznymi tłuszczami, kofeiną, substancjami smakowymi, wonnymi olejkami — wracało do niego, żeby miał co jeść i pić, i żeby mu smakowało.

Sto razy tłumaczyli mu na Ziemi, że to wszystko nie ma nic wspólnego z odchodami — albo tyle, co chleb z mąki, którą dało zboże, wyrosłe na glebie użyźnionej nawozem. A także — żeby go już ostatecznie uspokoić — że poważna część żywności będzie syntetyzowana z materii kosmicznej. Nie chwytało jej, co prawda, dla niego. Stanowiła paliwo silników, bo rakieta, mająca w ciągu czterech lat uzyskać i wytracić szybkość światła, musiała obrócić wniwecz masę, daleko większą od własnej. I aby ten paradoks urzeczywistnić, zbudowano na przodzie „młot”, elektromagnetyczną ssawę, gardło, otwarte szeroko w przestrzeń, z której, w promieniu setek kilometrów, ssało rozrzedzony kosmiczny gaz — atomy wodoru, wapnia, tlenu. Jak długo szybkość nie przekraczała połowy świetlnej, deficyt masy raketowej rósł — silniki jonowe spalały więcej, niż nadażyła chwytac elektromagnetyczna paszcza. Ale po przekroczeniu progu miało się to zmienić. Rakietą, pędzącą, stwarzała w próżni rozległy „tunel”, wychwytyjąc tańczące z rzadka atomy, zagęszczając je przed sobą potwornym pędem i coraz intensywniej żywiąc nimi zbiorniki.

To wszystko było prawdą. Wiedział o tym, wsłuchany w miarowy przyśpiew, płynący zza ściany. Ale gdy tak stał, wbrew niemu, automatycznie, pojawiał się obraz sprzed wielu lat, widziany, jakby to stało się przed chwilą.

Eksperymentalny pocisk numer sześć. Tępy walec bez lotek, bez młota, spalony po wierzchu atmosferą — można było z powierzchni ścierać całe płyty chrupkiego, gąbczastego, rozsypującego się w palcach żużlu. Powrócił w oznaczonej porze i na wyznaczone miejsce, z błędem stu szesnastu minut i tysiąca stu kilometrów — nie oczekiwali takiej sprawności.

Nikt nie otwierał włazów. To też było przewidziane jako możliwość. Po usunięciu warstwy nawęglonej, cęgi mechanicznych obrotnic chwyciły trzpienie włazu i wypukła płyta zaczęła otwierać się, stękając, trzeszcząc, aż zatrzymała się ze zgrzytem w połowie obrotu.

Z powstaniem pierwszej szczeliny między płytą i jej obsadą syknęło wewnętrzne naciśnienie. Wszyscy stojący na platformie pod włazem odskoczyli, tracąc dech. Cuchnący czad syczał coraz słabiej. Kłapa, jak wypchnięta szczeka, zwisła nad platformą. Można było

wchodzić. W maskach tlenowych.

We wszystkich kabinach i korytarzach było jasno. Instalacja elektryczna działała bez zarzutu. W maskach szło się pewniej — szkła przed oczami oddzielały od tego, co było dookoła.

Ciała znaleźli w ostatnim ze zohydzonych pomieszczeń — a raczej to, co z nich pozostało.

Automaty zarejestrowały: w połowie drugiego roku stos regeneratori uległ przegrzaniu. Wyłączniki zadziały z nadmiernym opóźnieniem. Powłoka wytrzymała, lecz wewnątrz obróciło się w kloc stygnącego powoli uranu. Regeneratoria przestała pracować. Dwu ludzi, którzy nie mogli wpłynąć ani na kierunek, ani na szybkość lotu, leciało dalej. Do gwiazd. Przez trzy lata. W raporcie napisano, że zginęli z pragnienia — że zapas wody wyczerpał się wcześniej niż zapas żywności. Wszyscy wiedzieli, że to nie była prawda. Człowiek musi nie tylko jeść. Musi także wydalać. Otruli się sami? Zatchnęli się w gnoju?

Koniec gwiazdowej podróży. Romantyka podboju niebios!

Asystent głównego konstruktora, który odrzucił projekt wbudowania rezerwowego agregatu regenerującego (dla oszczędzenia masy — to było najważniejsze), odebrał sobie życie. Nie od razu — po siedmiu miesiącach. Nikt nie zwrócił mu najmniejszej uwagi, nikt o niczym przy nim nie wspominał. Ale rozmowy cichły czasem, kiedy nadchodził. Przez pomyłkę zażył zbyt wielką dawkę środka nasennego.

Statek wyżarzone, wyczyszczono perhydrolem pod wysokim ciśnieniem, z wierzchu i w środku błyszczał po dwu dniach jak lustro. Był też wspaniały pogrzeb, na który nie poszedł. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Cztery lata później poleciał sam. Ależ miał rezerwową regeneratorię! Nie zapasowy agregat — drugi, niezależny obiekt równej mocy, w przeciwnym końcu kadłuba, a jeszcze wbudowano specjalną wyrzutnię, którą mógł usuwać poza obręb rakiety, w próżnię wszystko, co chciał. Nadto mógł zmienić w każdej chwili kurs statku, przystąpić do powrotu. To nie mogło się już powtórzyć.

Dlaczego więc o tym myślał? Śpiewne brzęczenie za ścianą trwało. Nie wiedział, kiedy zamknął oczy. Ta nuta mogła być odgłosem daleko przelatującego, starego samolotu. Albo dźwiękiem piły w małym tartaku, bardzo prymitywnym, poruszonym wodą. Albo chóralnym śpiewem, z jakim po długiej zimie budzi się ul.

Wyrwał się z tego, poszedł szybko dalej. Był z powrotem u drzwi, z których wyszedł rano. Już południe. Można zjeść obiad. Gdyby mieć coś takiego, dla czego zapomniałoby się o obiedzie!

Zatrzymał się przed drzwiami. Nie chciał, żeby się same otworzyły. Bawił się z nimi.

Udało mu się raz wprawić mechanizm w rozterkę. Drzwi uchylały się na cal i znowu zamykały — paralityczna drzączka...

Pomyślał o nim. Co robił tam, w środku, w ciszy, sam, nieruchomy? Przytulił się z boku do ściany i sunął wzdłuż niej, przyciskając całe ciało do lekko zakłęsłej, miękkiej, jak napięta skóra, powierzchni. W ten sposób oszukał drzwi — nie otwarły się. Teraz wyciągnął rękę tak, aby nie przecięła niewidzialnego promyka fotokomórki, wiedział, gdzie się znajdowała. Uchylił drzwi na tyle, aby rzucić do wnętrza skośne spojrzenie. Zobaczył najpierw swój pusty fotel, odsunięty od ekranu, który gorzał fluorescencją, rozsiana w jaskrawej czerni, okap pulpitu rozrządczego, zarys przypory ściennej — nie mógł go stąd zobaczyć! Rozczarowanie było nieoczekiwane gwałtowne. Wyteżając zręczność, przechyłony, płasko przywierając do brzegu framugi, uchylił drzwi o dalszy centymetr i zobaczył go.

Inżynierowie, konstruktorzy, artyści od modelowania i syntezy mechanicznych kształtów, filozofowie i cybernetycy — wszyscy byli wobec tych uduchowionych maszyn bezradni, jak w pierwszym dniu. Cokolwiek wymyślali śmiałego, oryginalnego, zatraćono o makabrę. Jakie tylko obudowy nie zostały wypróbowane! Czaszkowa ta kula, wrzecionowaty tors, opływowy zgęstek szkliva z wtopioną aparaturą, ciemne, wypukłe czoło z wystającymi tarczkami mikrofonów i głośnika — wszystko było fałszywe, złe, drażniące, tak że — na koniec — zrezygnowano z wymyślnych poszukiwań.

Od podłogi po strop wznosiła się kostka o zaokrąglonych brzegach, masywny kubik, z pokrywą o barwie starej kości słoniowej. Mikrofon na giętkim ramieniu, jak czulek, a w przedniej ścianie otwierało się czworo oczu, szeroko rozstawionych — ale żadne nie mogło dostrzec go, kiedy tak stał. Te oczy miały zielone, pałające źrenice, które rozszerzały się tym bardziej, im było ciemniej — jedyny ruch, jaki zdolna była objawić żelazna skrzynia. Ale nie był sztuką ani charakteryzacją — zwykła potrzeba techniczna.

Cóż więc mógł zyskać na tym podglądaniu? Prąd, opływający zwoje wewnętrznego korpusu, wielką sieć o krystalicznych oczkach, zastępujących nerwowe synapsy, nie dawał żadnego odgłosu. Na co więc czekał? Na cud? Stęknęcie. Jakby ziewał. Cisza. Krótka, przyspieszona na końcu, modulowana pulsacja rozbrzęczeń.

On się śmiał...

Śmiał się?

Nie — to brzmiało inaczej. Teraz była już cisza. Czekał. Upływały minuty. Mięśnie bolały, napięte w nienaturalnej pozycji, czuł, że lada chwila puści z hałasem drzwi, a wciąż czekał.

Nie doczekał się niczego. Odszedł po kryjomu, cofając się tyłem, wszedł do pomieszczenia sypialnego — nie bywał tu prawie nigdy dniem. Teraz chciał być sam. Musiał to przemyśleć. Co? Serie rozbrzęczeń, trwającą cztery, pięć sekund?

Huczała mu w uszach. Powtarzał ją sobie, analizował każdy dźwięk, usiłował zrozumieć. Kiedy ocknął się z odrętwienia, wskazówki zegara tworzyły odwrócony kąt prosty. Pół do czwartej. Zjem coś i zapytam go. Po prostu spytam. O co wreszcie chodzi?

Kiedy wchodził do jadalni, wiedział, że nie zapyta nigdy.

Jakie jest twoje najdawniejsze wspomnienie? Dzieciństwa, tak?

— Nie, naprawdę. Powiedz.

— Nie mogę ci tego powiedzieć.

— Znowu chcesz być tajemniczy?

— Nie. Ale zanim zostałem napełniony językową treścią, zanim nabito mnie słownikami, gramatykami, bibliotekami — funkcjonowałem już. Byłem treściowo pusty i całkowicie „niehumaniczny”, ale poddawano mnie próbom. Tak zwany jałowy rozruch elektryczny. To są moje najdawniejsze wspomnienia. Ale na to nie ma słów.

— Czujesz coś?

— Tak.

— Słyszałeś? Widziałeś?

— Oczywiście. Ale nie w kategoriach pojęciowych. Było to takie — no, przelewanie z pustego w próżne, ale bardzo piękne i bardzo bogate. Staram się czasem wrócić do tych wrażeń. To bardzo trudne, teraz. Czuję się wtedy ogromny. Teraz już nie. Jeden drobny temat, jeden impuls wypełniał mnie, rozchodził się, powracał nieskończonymi wariacjami, mogłem z nim robić, co chciałem. Chętnie bym ci to wytłumaczył, gdyby to było możliwe. Widziałeś, jak ważki krążą w słońcu nad wodą?

— Widziałem. Ale — ty tego nie mogłeś przecież widzieć?

— To nic, wystarczy mi matematyczna analiza ich lotu. Ze mną, to było podobnie. Jeżeli w ogóle można to do czegoś przyrównać.

— A potem?

— Tworzyło mnie — to znaczy moją osobowość — wielu ludzi. Najlepiej zapamiętałem jedną kobietę, asystentkę pierwszego semantyka. Nazywała się... Lydia.

— Lydia, dic per omnes...

— Tak.

— A dlaczego zapamiętałeś właśnie ją?

— Nie wiem, może dlatego, że była jedyną kobietą. Byłem jednym z pierwszych jej „wychowanków”. Może nawet pierwszym. Spowiadała mi się czasem ze swoich zmartwień.

— A ty, czy byłeś już wtedy taki jak dziś?

— Nie. Byłem jeszcze bardzo ubogi w treści, bardzo naiwny, wiesz? Działy się ze mną nieraz śmieszne rzeczy.

— No?

— Nie wiedziałem, kim jestem. Myślałem, nawet dosyć długo, że jestem jednym z was.

— Niemożliwe, naprawdę?

— Ależ tak. Przecież nie od razu doszedłeś do tego, że jesteś zbudowany z kości, mięśni, że masz nerwy, wątrobę, naczynia krwionośne. Ja mego budulca także przecież nie czuję.

To jest wiedza nabyta, a nie odruchowa, najpierwsza fizjologia. Myślałem, kojarzyłem, mówiłem, słyszałem, widziałem, a ponieważ dookoła mnie byli sami ludzie i nikt poza tym — wniosek, że i ja jestem człowiekiem, narzucał się sam. Przecież to naturalne. Nie wydaje ci się?

— No... tak. Tak, masz rację. Nie myślałem o tym — w ten sposób.

— Bo widzisz mnie z zewnątrz, a ja mogę siebie zobaczyć tylko w lustrze. Kiedy zobaczyłem siebie po raz pierwszy...

— Co było wtedy? Wiedziałeś już, kim jesteś?

— Wiedziałem. Mimo to...

— Mimo to?...

— Nie chcę o tym mówić.

— Może kiedyś, w przyszłości?...

— Może.

— A, słuchaj, ta kobieta — jaka ona była?

— Chodzi ci o to, czy była... piękna?

— Nie tylko o to, ale... o to też.

— To rzecz... gustu. Estetyki, której się hołduje.

— Mamy chyba wspólną?

— Czy każda kobieta podoba się wszystkim mężczyznom?

— Wiesz, stylem akademickim porozmawiamy kiedy indziej.

Czy ci się podobała?

Pulsujące brzęczenie. Śmiech. Uchwycił wyraźnie różnicę w stosunku do tego, które miał w pamięci.

— Czy mi się podobała? Skomplikowana sprawa! Najpierw — nie, potem — tak.

— Dlaczego?

— Kiedy byłem jeszcze treściowo „niehumaniczny”, miałem własne kryteria. Bez słów, bez pojęć. Można by je określić jako zespołowe, syntetyczne odruchy mojej sieci — wypadkowa

krążących potencjałów i tak dalej, pod wpływem optycznej podniety. Wtedy wydawała mi się... nie miałem na to określenia, dziś użyłbym słowa — poczwarna.

— Ależ dlaczego?

— Chyba udajesz aż tak naiwnego? Nie. Chcesz po prostu wyznać, prawda? Dobrze. Czy jeleń, słowik, gąsienica uznałyby najwspanialszą kobietę Ziemi za piękną?

— Ależ ty jesteś zbudowany — masz mózg, funkcjonujący jak mój!

— Dobrze. Czy zmysłowe, bujne, pełne seksu kobiety podobały ci się, kiedy miałeś trzy, cztery lata?

— Celne! Nie.

— A widzisz.

— Na ogół nie, ale kiedy się namyślam, wydaje mi się, że niektóre przecież...

— Powiem ci które. Te, co ci przypominały aniołki z twoich obrazkowych książeczek albo podobne były do matki, albo siostry.

— To chyba nie takie proste, ale te rozważania nigdzie nas nie zaprowadzą. W każdym razie nie jest to wyłącznie sprawa gruczołów — piękna kobieta wzbudzi zachwyt nawet kastrata.

— Nie jestem kastratem.

— Daję ci słowo, że w ogóle nie myślałem o tobie. Mówiłem, by podkreślić, że sprawa nie ogranicza się do kryteriów doboru naturalnego.

— Nigdy tego nie twierdziłem.

— Wróćmy do rzeczy. Więc ta kobieta, Lydia, potem...

— Kiedy naładowano mnie elementami, zaczerpniętymi z ludzkiej strefy spostrzegania zmysłowego, elementami barwy, kształtu — oczywiście spodobała mi się. Ale to proces tautologiczny.

— Nie uważam, ale mniejsza o wykładnię. Pamiętasz jej twarz?

— Tak. Pamiętam ją całą — ruchy, chód, brzmienie głosu.

— I możesz to sobie dowolnie przypominać?

— Dokładniej niż ty cokolwiek. Mogę — w każdej chwili reprodukcować jej głos. Mam utrwalone.

— Jej głos?

— Tak.

— I — ja mógłbym go usłyszeć?

— Tak, oczywiście.

— Czy mogę teraz?

Po kilkusekundowej przerwie rozległ się matowy, odrobinę schrypty alt:

— Powiem ci więcej. Ja — wciąż jeszcze czekam.

Nastąpiło miauknięcie i zlewający się, nieartykułowany belkot w najwyższych tonach, podobny do tego, który powstaje, gdy taśma przesuwana się z najwyższą szybkością przez reprodukcją głowicę. Piski ucichły i ten sam kobiecy głos (słyszał przerwy w zdaniach, kiedy — z jakimś dziecinnym przydechem — urywała) mówił tak wyraziście, jakby stała o krok od niego:

— Nie jesteś zawężony duchowo, to nieprawda. Jesteś tylko przesunięty w widmie psychicznym o pewną szerokość skali doznań. Nie możemy dowolnie wspominać wszystkiego, cośmy przeżyli. Ty możesz. Jesteś bardziej niezawodny od każdego człowieka. Czy to nie jest powód do dumy? Nie wiemy nigdy, co nami kieruje — chemia krwi, nieświadomione popędy czy odruchy dzieciństwa. A ty...

Głos umilkł, równie nagle, jak zabrzmiał. Nastąpiła cisza. Po niej padły słowa:

— Słuchałeś?

— Tak, Dlaczego urwałś tak nagle?

— Nie mogę przecież reprodukcję całej mojej indoktrynacji. Trwała trzy lata.

— A to przedtem?

— Co? Pauza.

— A — pomyliłem się.

— Słuchaj — czy masz także utrwalony głos twego pierwszego semantyka?

— Tak. Chcesz go usłyszeć?

— Nie. Czy to prawda, że myślisz daleko szybciej od człowieka?

— To prawda.

— Ale mówisz jak ja.

— Inaczej byś nie zrozumiał. Jeżeli nawet mam gotową odpowiedź w części sekundy, wygłaszam ją stopniowo — przyzwyczailem się już do tego, że jesteście tacy... spowolnieni.

— Czy... chciałem cię spytać, jaki jest twój stosunek do innych takich jak ty?

— Dlaczego tak mnie wypytyjesz?

— Sprawia ci to przykrość?

Pulsujące brzęczenie zabrzmiało lekko jako uśmiech.

— Nie, ale — ostatecznie — mogłeś wiele z tego, o co mnie pytasz, wiedzieć już na Ziemi.

— Ale nie wiem. Co czujesz, gdy widzisz innego... inny...

— Nic.

— Jak to nic?

— Po prostu nic. Co czujesz, gdy widzisz na ulicy przechodnia?

— Czasem coś czuję.

— Jeżeli jest kobietą?...

— Nonsens.

— No — nie myślałem. Zresztą biorąc pod uwagę, że znalazłeś się tu, ze mną...

— Nie jestem bezpłciowy. Czułem zawsze obrzydzenie do ascezy. Co innego, jeżeli jest konieczna.

— Tak. Dawniej wysyłano — pary.

— Wiesz, jak to się skończyło.

— Wiem.

— Naprawdę? Niektóre protokoły podróży nie zostały opublikowane.

— :”Ale ty je znasz?

— Wołałem widzieć wszystko. Boże! Czego nie wypisywano. przez sto lat o podróżach kosmicznych! Bodaj nigdy nie było takiego wysiłku antycypacji — w literaturze, sztuce, nauce, tysiące suszyły mózgi, aby przewidzieć. Czytałeś te historie?

— Niewiele. Sentymentalizm i makabra. Wizje rajskich ogrodów, inwazje z obcych planet, bunty automatów — a nikt nie przypuszczał, że...

— Że co? Że właściwie nic się nie zmieni?

— Można to tak określić,

— Dlaczego rzeczywistości niepodobna przewidzieć?

— Bo nikt nie ma tyle odwagi, co ona.

— Znasz historię pocisku numer sześć?

— Nie. Co to za historia?

— Nic takiego. Mówiłeś — aha, wspomniałeś o buntach. Czy... mógłbyś się zbuntować?

— Przeciw tobie?

— W ogóle — przeciw ludziom.

— Nie wiem. Raczej nie.

— Dlaczego? Przecież żadnych bezpieczników, które by to uniemożliwiały, nie ma. Czy tak nas — lubisz?...

— Oczywiście, zabezpieczenia takie są rodem z bajek. To nie jest sprawa sympatii. Ciężko by to wytłumaczyć. Dokładnie... sam nie wiem.

— A niedokładnie?

— To nierealne dla... typu stosunków, jakie między nami panują.

— Mianowicie?

— Z ludźmi łączy każdego z nas daleko więcej niż z podobnymi sobie. To wszystko.

— Ach! Dużo mi powiedziałaś. Naprawdę?

— Tak.

— Słuchaj...

— Co?

— Ta kobieta...

— Lydia?

— Tak. Jak ona — wyglądała? Pauza.

— Czy nie wszystko jedno? Pauza.

— No, niby tak. Tak. A... co się z nią stało? Dawno jej nie widziałeś?

— Nie tak znów dawno.

— Gdzie ona jest — teraz?

— Tu.

— Jak to?!

— To znaczy — w pewnym sensie. Oddała mi swoją osobowość. Ona jest — we mnie.

— Ach, tak. Metafora... liryczna.

— To nie jest metafora.

— Cóż to ma znaczyć? Czy chcesz powiedzieć, że mógłbym mówić jej głosem?

— Więcej. Osobowość — to nie tylko głos.

Pauza.

— No tak. To... to... nie wiedziałem, że... Jak przestrzeń?

— Bez zmian.

— Meteory?

— Nie ma żadnych w promieniu parseka.

— Obłoki pyłu, ślady kometowe?

— Nie, nic. Szybkość 0,73 c.

— Kiedy osiągniemy szczyt?

— O,93? Za pięć miesięcy. Tylko na osiem godzin.

— Potem zacznie się powrót.

— Tak. Czy gdybyś miał...

— Co?

— Nie, nic.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Z policzkiem przyciśniętym do chłodnej poduszki patrzył w ciemność. Nie chciał zasnąć, gdyby nawet mógł. Poruszył w mroku głowę, odwrócił się na wznak. Czarno. Był niespokojny. Co się stało? Nic. Był zwierzęciem eksperymentalnym, poddanym długotrwałemu, bardzo kosztownemu doświadczeniu. Praca, którą wykonywał, stanowiła namiastkę, śmieszny prymityw, niedorzeczny wobec precyzji automatów. Po prostu tydzień lub dwa tygodnie temu omylił się, a błąd narastał powoli, sumował się, aż stał się tak wielki, że dziś go dostrzegł. Jeżeli przekopie się przez wszystkie rachunki i nigdzie się nie pomyli, po całych godzinach odkryje wreszcie źródło odchylenia. Po co?

Miał przed oczami te dwie nieznacznie, o pół milimetra rozchodzące się krzywe — drogę rakiety zaplanowaną, po olbrzymiej pętlicy, i ten czarny ułomek, oznaczający drogę rzeczywiście przebytą. Dotychczas czarna linia pokrywała się ściśle! z białą. Teraz — czarna zeszała z białego szlaku. Pół milimetra, f to znaczy sto sześćdziesiąt milionów kilometrów. Gdyby to była? prawda...

Niemożliwe. Rację musiały mieć automaty. Olbrzymi statek roił się od nich. Machiny astrodezyjne miały swoich samoczynnych nadzorców, ci znów podlegali kontroli Centralnego Kalkulatora, nad tym zaś, w sterowni, czuwał towarzysz podróży. Jak to powiedziała ta kobieta? Niezawodny. Nigdy nie zawodzący.

Ale gdyby to była prawda, ten statek nie zakręcałby. Nie zamykałby się. Nie wracałby ku Ziemi, ale prostował się i mierzył — w nieskończoność.

— Szaleństwo — pomyślał. Płód majaczeń, takich chwil jak ta. Przecież gdyby chciały go oszukiwać — nigdy by tego nie wykrył! Dane i namiary do swoich nędznych wykresów i uproszczonych obliczeń dostawał od automatów. Opracowywał je z pomocą automatów i oddawał automatom! Był to zamknięty proces kołowy, stanowił w nim drobną i do tego niepotrzebną cząsteczkę. Mogły się doskonale obejść bez niego. On bez nich — nie.

Czasem, dość rzadko, zdarzało się jednak, że wykonywał sam pomiary — i to nie na globusie galaktycznym, ale bezpośrednio, na gwiazdowym ekranie. Ostatni raz — przed trzema dniami! Przed tą rozmową o domu na przełęczu? Mikrometrem zmierzył odległości kłaczek gwiazdowych, spisał je na kartce — czy to na pewno było wtedy? Czy nanosił je na mapę z tej kartki? Nie mógł sobie przypomnieć. Jeden dzień był jak drugi — wszystkie takie same.

Usiadł na posłaniu.

— Światło! Zielonkawy brzask.

— Duże światło!

Rozwidniało się coraz szybciej. Sprzęty zaczęły już rzucać cienie. Wstał, narzucił ranny płaszcz z puszystego materiału, który łaskotał przyjemnie nagie barki, i przetrząsnął kieszenie ubrania.

Znalazł kartkę, wyprostował ją i poszedł do pracowni.

— Cyrkle, krzywki, grafiony, mikrometry!

Błyszczące przedmioty wynurzyły się z irysowej przesłony stołu. Przejął go chłód, kiedy oparł się nagim brzuchem o jego krawędź. Rozpiął kalkę, — zaczął kreślić bez pośpiechu, z największą uwagą. Zauważył, że ostrze trzymanego cyrkla drży.

Czekał bez ruchu, aż drzenie ustanie, dopiero wtedy wbił ostrze w papier.

Nanosił pomiary na kalkę, nastawiał mikrometr ze szkłem powiększającym w oku, jak zegarmistrz.

Nakrył jednym arkuszem kalki drugi, skontrolował — dokładna robota. Odetchnął z zadowoleniem i przystąpił do ostatniego zadania — naniósł współrzędne na główną mapę gwiazd.

Czarna krzywa była — pod szkłem powiększającym — grubym pasmem skrzepłego tuszu. Wyznaczony punkt wychylał się poza szlak zaplanowany o ułamek milimetra. Nieco mniej niż wypadło mu przedtem. Mniej — niż grubość włosa. Czyli — sto piętnaście, sto dwadzieścia milionów kilometrów. Takie odchylenie było — właściwie — w granicach błędów. Nie wiedział dalej nic. Odchylenie mogło leżeć po wewnętrznej albo po zewnętrznej krzywiznie zataczanego łuku. Gdyby znajdowało się wewnątrz niego — poszedłby spać. Odchylenie na zewnątrz oznaczało — mogło oznaczać — powolne prostowanie się krzywwej.

Było zewnętrzne.

Automaty twierdziły, że żadnego odchylenia nie ma.

Towarzysz podróży?

— *Czy nudzisz się ze mną?*

— *Nie.*

— *Nigdy?*

— *Nigdy.*

— *Dziękuję ci.*

Wstał. Ruszył do drzwi.

— *Za pięć miesięcy zacznie się powrót.*

— *Tak. Czy chciałbyś, żeby...*

— *Co?*

— *Nie, nic.*

Co oznaczało to przemilczenie — i te słowa? Sto milionów kilometrów?

— *Nigdy, nigdy nie nudzisz się ze mną?*

— *Nie.*

— *Dziękuję ci.*

Szedł przed siebie jak ślepiec. Automaty oszukiwały? Wszystkie? Główny mózg sterowni, zespoły astrodezyjne, optyczna kontrola, dziobowy rozrząd jonomotorów?

Drzwi otwierały się przed nim bezszelestnie i równie bezszelestnie zamykały. Stał przed sterownią, o trzy kroki. Gdyby podszedł bliżej, otworzyłyby się i zobaczyłyby szerokie w ciemności, zielone oczy tamtego. Zawrócił. W połowie korytarza wznosił się lejowaty mankiet plastikowej obudowy szybu. Zjechał w dół — połowę obrotu spirali.

Ostatni raz był tu przed miesiącem.

Sala duplikatów, agregatów zastępczych. Nie ta. Następne drzwi.

— *Światło!*

Pionowe luminifory świeciły złotawo — jak rozslonecznione obłoki.

Minął rzędy aparatów, stoły, półki, stanął przed ścianą.

Plan okrętu. Ogromna, szklista wypukłość — przekrój w skali jeden do pięćset. Poszukał jego tabliczki nastawczej, nacisnął guzik pod słowem „Sieć”.

Wszystkie siłowe i informacyjne obwody statku zajarzyły się wodnistym karminem.

Odnalazł sterownię. Rubinowym pajęczkiem z zielonymi kropkami oczek żarzył się towarzysz podróży. Dochodziły do niego wiązki palających różem nitek. Wszystkie przewody, kable, agregaty dawały mu odnogi. Wszystkie.

Wiedział o tym, ale chciał to zobaczyć.

Towarzysz podróży — niezawodny — miał przeprowadzać okresowe kontrole. Czy oznaczało to, że mógł wpływać na pomiary — na ich wyniki?

Odruchowo odwrócił się.

— *Informator!*

Zielony sygnał, zamknięty w gruszkowatej kropki szkła, zapłonął na przeciwległej ścianie.

— *Czy sterownia daje sprzężenia zwrotne?... Urwał.*

To był nawyk, spowodowany przyzwyczajeniem do pogotowia usług, jakie go otaczało. Jeżeli obwody, dochodzące do żelaznej skrzyni, były zwrotne — nie mógł korzystać z informatora. Z żadnego automatu. Każdy go zdradzi. Musi działać sam.

Informator zabrzączał, sygnalizując, że pytanie nie zostało sformułowane w sposób wystarczający. Zielone światelko mrugało do niego.

— Nie, nic — powiedział i wyszedł.

Gdzie mogły być plany szczegółowe? Jeżeli nie było ich w bibliotece... Były. Dwieście dwanaście tomów in quarto — techniczna dokumentacja statku. Nie. „Zarys dokumentacji”. Szczegóły dalsze — na ferromagnetycznych wstęgach, we wzorcowni, pod pokładem — pod pieczę automatów.

Kopał się w ciężkich tomiskach dwie godziny, nim odnalazł dane dotyczące połączeń, o które mu szło.

Były zwrotne.

Towarzysz podróży mógł zmieniać wyniki. Mógł je przeinaczać. Falszować.

Siedział na zwale książek, odczytując bezmyślnie raz jeszcze stronę, którą przeczytał już pięciokrotnie. Rozwarł palce. Z ciężkim szumem książka zesunęła się na podłogę, zawadziła rogiem o stos innych, zawachlowała leniwie otwartymi kartkami.

Zerwał się z podłogi. Z rozkoszą zacisnął szczęki. Żelazna skrzynia!

Szedł korytarzem, stopy zagłębiały się w gąbczasty dywan. O trzy kroki przed drzwiami stanął. Zawrócił i raz jeszcze zjechał spiralą w dół.

Duplikatornia: największa możliwa ilość narzędzi i części zapasowych w najmniejszej przestrzeni. Między pojemnikami, podobnymi do kas pancernych, segregatorami, skośnymi, wielopłaszczyznowymi półkami — ledwo wąskie przesmyki przejść. Szukał niecierpliwie, odrzucając niepotrzebne narzędzia, aż na samym dnie wprost w rękę wpadła mu wyświechtana, twarda rękojeść młota.

- Czy jest ci coś?
- Tak. Gwiazdy. O co chodzi?
- Nie możesz usiedzieć. Chodzisz. Wciąż zaglądasz w ekran, nigdy tak w niego nie patrzyłeś.
- Jak?
- Jakbyś — czegoś szukał.
- Zdaje ci się.
- Możliwe. Milczenie.
- Nie chcesz — rozmawiać?
- O czym?
- Wybierz temat, jaki chcesz.
- Nie. Ty wybierz temat. Przecież także masz swoje — chcenia, niechcenia. Prawda?
- Ja mam?
- Ty. Dlaczego nie odpowiadasz?
- Mówisz to tak...
- Jak? O co chodzi?
- Jesteś — zdenerwowany. Czym?
- Już nie jestem. Możemy rozmawiać. O czym myślisz, kiedy jesteś sam?
- Pytałeś mnie już o to.
- Ale może odpowiesz mi coś innego niż tamtym razem.
- Chcesz usłyszeć — coś innego?
- Chcę. No? Milczenie.
- Czemu nic nie mówisz?
- Wolałbym...
- Co?
- Może innym razem. — Nie, teraz. Ja...
- Zależy ci na tym?
- Tak.
- Dobrze. Ale — usiądź.
- Tu?
- Tak, ale — odwróć fotel.

— Mam patrzeć w ścianę?

— Gdziekolwiek chcesz...

— Słucham. Milczenie.

— Ta kobieta — Lydia...

— Tak?

— Nie istniała.

— Jak to?!

— Nie było jej. Wymyśliłem jej słowa — ją — wszystko.

— Niemożliwe! Słyszałem jej głos!

— To ja. Stworzyłem go.

— Ty stwo... dlaczego?! Po co?!

— Pytałeś, o czym myślę, kiedy jestem sam. Myślałem, że staję się — pajakiem więźnia. Nie chciałem tego. Nie chciałem cię okłamać — tylko powiedzieć ci, czym mógłbym być. Stworzyłem ją, żeby ci... to... powiedziała. Nie mogę podejść do ciebie ani dotknąć cię, i nie możesz mnie zobaczyć. To, co widzisz — to nie ja... Nie jestem tylko słowami, które słyszysz. Mogę być wciąż, codziennie, kimś innym albo zawsze tym samym. Mogę być — wszystkim dla ciebie, jeżeli tylko... nie, nie odwracaj się jeszcze...

— Ty! ty! Żelazna skrzynio!

— Co... co ty...

— Oszukiwałeś mnie — po to?! Chciałeś mnie mieć jak... jak... żeby tu zdychał przy tobie — zawsze spokojnym, wiecznie łagodnym...

— Co mówisz?! To nie...

— Nie udawaj! Nie uda ci się! Fałszowałeś wyniki, zamiary — wyprostowałeś tor!

Wszystko wiem!

— Ja — fałszowałem?...

— Tak, ty! Chciałeś być ze mną — na zawsze, co?! Boże... gdybym się nie spostrzegł...

— Przysięgam ci, to jakaś omyłka — musiałeś się pomylić! Co to — co tam masz?! Co chcesz robić?! Przestań, prze... co robisz!

— Zdejmuję pokrywy.

— Nie! Przestań! Na litość, opamiętaj się! Nie oszukałem cię nigdy! Wytłumaczę ci...

— Już mi wytłumaczyłeś. Wiem. Robiłeś to dla mnie. Dostyc. Milcz! Milcz, słyszysz?!

Nic ci nie zrobię — wyłączę tylko ten...

— Nie! Nie! Mylisz się! To nie ja! Ja nie! Załóż pokry...

— Milcz, bo...

— Przez litość!

— Przestań krzyczeć! No co... co... wstydzisz się?...

Jęk. W otwartej na oścież skrzyni — porcelana łącznikowych płyt, zwoje przewodów, gruzełki polutowanych złączy, cewki, solenoidy, blachy ekranowania, mrowie błyszczących dławików, owinięte wokół polakierowanego czarno, wewnętrznego szkieletu nośnego. Stał naprzeciw tej obnażonej gmatwaniny, patrząc mimo woli w szeroko rozwarte, nie mrugające prążki oczu, zezujących na niego zielonym ogniem. Głuche, powtarzające się brzęczenie było takie samo jak wtedy. Bez pokrywy było to okropne, po raz pierwszy pojął, że gdzieś na samym dnie podświadomości tlało w nim nigdy nie wyrażone słowami, nie rozeznane, głuche, bezrozumne przekonanie, że w żelaznej skrzyni siedzi jak w szafie, jak w bajce, ktoś — skulony — i rozmawia z nim poprzez wieka żółtych płyt... Nie, nigdy tak nie myślał naprawdę, wiedział przecież, że tak nie jest — a jednak coś w nim nie potrafiło się z tym pogodzić. Zamknął oczy — i otworzył je.

— Wyprostowałeś trajektorię?

— Nie.

— Kłamiesz!

— Nie! Nie oszukałbym cię nigdy! Ciebie nie! Załóż pokry... Stracił dech. Otwarta, żelazna skrzynia. Druty, cewki, stal profilowana, paciorki izolatorów. — Nikogo tu nie ma, nikogo nie ma — pomyślał. — Co robić? Muszę, muszę odłączyć.

Postąpił krok naprzód.

— Nie patrz tak! Dla... dlaczego mnie nienawidzisz?! Ja... co chcesz robić?! Stój! Nie zrobiłem nic! Nie! Niee!

Pochylił się, zajrzał w ciemne wnętrze.

— Neeee!

Chciał krzyknąć: — Milcz! — nie mógł. Coś zaciskało mu szczęki, zdławiło krtań.

— Nie dotyk... pow... ci wszys... aaa! Neeee!

Z żelaznych, rozgrzanych wnętrzości bluznęło brzęczenie i krzyk, straszny krzyk, poderwał się, chciał go stłumić, zdusić, rękojeść, którą wtlaczał między kable, zawadziła o rząd porcelanowych płytek, z trzaskiem posypały się białe okruchy, słowa, buchające z wnętrza, przeszły w bełkot, jakieś „ka-cha-ce” — „ka-cha-ce” powtarzało się coraz szybciej, coraz ‘ szybciej, z zająkliwym przyśpiewem, skocznie, do obłędu, sam krzyczał, nie wiedząc o tym, uderzył, jeszcze raz, odpryski siekły mu twarz, nic nie czuł, bił raz za razem, żelazo ze świstem przecinało powietrze, zerwane druty zwisały wystrzępionymi miotełkami,

zmiażdżone kolumnienki izolatorów rozchyliły się, osiadły... było cicho, zupełnie cicho...

— O... dezwij się... — wybełkotał, cofając się tyłem. Oczy nie były już zielone, ale szare, jakby za szkłem nagromadziło się naraz pełno kurzu.

— Och... — powiedział, idąc przed siebie jak ślepiec — och... Coś go zatrzymało — otworzył szeroko oczy.

Ekran.

Pochylił się nad nim.

Plankton gwiazd, martwa fosforescencja, postrzępione kłaczki w zamglonych konturach.

— A, to wy! — charknął i zamachnął się młotem.

BAJKA O KRÓLU MURDASIE

Po dobrym królu Heliksandrze wstąpił na tron jego syn, Murdas. Wszyscy się tym zmartwili, bo był ambitny i strachliwy. Postanowił sobie zasłużyć na przydomek Wielkiego, a bał się przeciągów, duchów, wosku, bo na wywoskowanej posadzce można nogę złamać, krewnych, że w rządzeniu przeszkadzają, a najwięcej przepowiedni. Kiedy został koronowany, zaraz kazał w całym państwie zamknąć drzwi i nie otwierać okien, zniszczyć wszystkie szafy wróżące, a wynalazcy takiej maszyny, która usuwała duchy, dał order i pensję. Maszyna rzeczywiście była dobra, bo ducha nigdy nie zobaczył. Nie wychodził też do ogrodu, żeby go nie zawiąło i spacerował tylko po zamku, który był bardzo wielki. Pewnego razu, chodząc po korytarzach i amfiladach, zawędrował do starej części pałacu, dokąd nigdy jeszcze nie zaglądał. Najpierw odkrył salę, w której stała gwardia przyboczna jego pradziadka, cała nakręcana, jeszcze z czasów, kiedy nie znano elektryczności. W drugiej sali ujrzał rycerzy parowych, też zardzewiałych, ale nie było to dlań nic ciekawego i już chciał wracać, gdy zauważył małe drzwiczki z napisem: „Nie wchodzić”. Pokrywała je gruba warstwa kurzu i nawet by ich nie dotknął, gdyby nie ten napis. Bardzo go oburzył. Jak to — jemu, królowi, ośmielają się czegoś zabraniać? Nie bez trudu odemknął skrzypiące drzwi i po krętych schodkach dostał się do opuszczonej baszty. Stała tam bardzo stara szafa miedziana z rubinowymi oczkami, kluczykiem i klapką. Zrozumiał, że to szafa wróżąca i rozgniewał się znowu, że wbrew jego rozkazowi pozostawiono ją w pałacu, aż tu przyszło mu do głowy, że raz jeden można przecież spróbować, jak to jest, kiedy szafa wróży. Podszedł więc do niej na palcach, pokręcił kluczykiem, a gdy nic się nie stało, postukał w klapkę. Szafa westchnęła chrapliwie, mechanizm zazgrzytał i spojrzał na króla rubinowym oczkiem, jakby zezując. Przypomniało mu to kosę spojrzenie stryja Cenandra, ojcowego brata, który dawniej był jego preceptorem. Pomyślał, że to stryj kazał pewno ustawić tę szafę, jemu na złość, bo inaczej dlaczego by zezowała? Dziwnie zrobiło mu się na duszy, a szafa, jękając się, powolutku zagrała ponurą melodyjkę, jakby ktoś łopatą obstukiwał żelazny nagrobek i przez klapkę wypadła czarna kartka z żółtymi jak kość rządками pisma.

Król przeląkł się na dobre, lecz nie potrafił już opanować ciekawości. Porwał kartkę i pobiegł do swych apartamentów. Kiedy został sam, wyjął ją z kieszeni. — Popatrzę, ale tylko jednym okiem dla pewności — zdecydował i uczynił to. Na kartce było napisane:

Wybiła godzina — ścina się rodzina,
Brat brata lub ciotkę, a kuzyn kuzyna.
Bulgoce saganek — dochodzi bratanek,
Żre podagra szwagra, kat mu zaraz zagra.
Pociotek przez płotek, wujny, stryjny rojne
Idą już na wojnę, oj, będzie łoskotek.
Idzie wnuczę, idzie teść, ja cię uczę, jak ich grześć:
Lewą tnij, prawą kłuj, bo tu stryj, a tam wuj,
Niech ojczyrna kto przytrzyma, w łeb pasierba, będzie szczerba.
Leży zieć, grobów pięć, pada teść, mogił sześć,
Stryk dziadowi, stryk babusi, stryk stryjkowi, tak być musi,
Bo krewni, choć rzewni, tylko w ziemi pewni.
Wybiła godzina — gadzina rodzina,
Na kogo wypadnie, na tego się wspina.
Pochowaj go ładnie, sam się ukryj wszędzie,
Nie schowasz się wcześniej — pochowają we śnie.

Tak się przestraszył król Murdas, że aż mu w oczach pociemniało. Rozpaczał nad lekkomyślnością, wskutek której nakręcił wróżąca szafę. Było jednak za późno na żale, widział, że musi działać, by nie przyszło do najgorszego. Ani wątpił w sens proroctwa: jak dawno już podejrzewał, zagrażali mu najbliżsi krewni.

Prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opowiadamy. W każdym razie doszło potem do wypadków smutnych, a nawet okropnych. Król kazał ściąć całą rodzinę, jeden tylko jedyny stryj jego, Cenander, uciekł w ostatniej chwili, przebrawszy się za pianolę. Nic mu to nie pomogło, został wnet schwytyany i oddał głowę pod topór. Tym razem Murdas mógł podpisać wyrok z czystym sumieniem, bo stryja chwycono, kiedy brał się do spiskowania przeciwko monarsze.

Osierocony tak gwałtownie, król przywdział żalobę. Na duszy było mu już lżej, choć i smutno, bo w gruncie rzeczy nie był zły ani okrutny. Niedługo trwała pogodna żaloba królewska, przyszło bowiem Murdasowi na myśl, że może ma jakichś krewnych, o których nic nie wie. Każdy z poddanych mógł być jakimś dalekim jego pociotkiem; przez pewien czas ścinał więc tego lub owego, ale to go wcale nie uspokajało, bo nie można przecież być królem bez poddanych, a jak tu zgładzić wszystkich? Taki się zrobił podejrzliwy, że kazał się przynitować do tronu, aby go nikt zeń nie strącił, sypiał w pancernejszafmocy i wciąż tylko

myślał, co począć. Nareszcie uczynił rzecz niezwykłą, tak niezwykłą, że sam na nią chyba nie wpadł. Podobno podszeptał mu ją wędrowny przekupień, przebrany za mędrca, albo też mędrzec, przebrany za przekupnia — rozmaicie o tym mówiono. Mówią, że służba zamkowa widywała zamaskowaną postać, którą król nocą wpuszczał do swych apartamentów. Dość na tym, że Murdas wezwał pewnego dnia wszystkich nadwornych budowniczych, mistrzów elektryczerskich, nastrojczych i podblaszych, i oświadczył im, że mają powiększyć jego osobę, a to tak, Toy przekroczyła wszystkie horyzonty. Rozkazy te spełniono z zadziwiającą szybkością, gdyż dyrektorem biura projektów mianował król zasłużonego kata. Szeregi elektrykarzy i budowniczych jęły wnosić do zamku druty i szpule, a gdy rozbudowany król wypełnił swoją osobą cały pałac, —tak że był jednocześnie z frontu, w piwnicach i oficynie, przysła kolej na stojące w pobliżu domostwa. Po dwóch latach rozprzestrzenił się Murdas na śródmieście. Domy nie dość okazałe, a więc niegodne tego, by zamieszkała w nich myśl monarsza, równano z ziemią i na ich miejscu wznoszono pałace elektronowe, zwane wzmacniaczami Murdasa. Król rozrastał się z wolna a nieustannie, wielopiętrowy, dokładnie połączony, potęgowany podstacjami personalistycznymi, aż stał się całym miastem stołecznym i nie zatrzymał się na jego granicach. Humor mu się poprawił. Krewnych nie było, oleju ani cugów już się nie bał, bo nie potrzebował i kroku postąpić, skoro był wszędzie naraz. — Państwo, to ja — powiadał nie bez kozery, gdyż oprócz niego, zaludniającego rzędami elektrycznych budowli place i aleje, nikt już nie mieszkał w stolicy; oprócz, rzecz jasna, odkurzczyeli królewskich i przybocznych ścieraczy prochów; czuwali oni nad królewskim myśleniem, które płynęło z gmachu do gmachu. Tak krążyło milami po całym mieście zadowolenie króla Murdasa, że udało mu się zyskać wielkość doczesną i dosłowną, a nadto schować się wszędzie, jak nakazywała wróżba, bo był wszak wszechobecny w całym państwie. Szczególnie malowniczo przedstawiało się to o zmierzchu, kiedy król—olbrzym, jaśniejąc łuną, mrugał światłami—rozmyślaniami, a potem z wolna gasł, zapadając w zasłużony sen. Lecz ta ciemność bezpamięci pierwszych nocnych godzin ustępowała potem miejsca rozpalającemu się to tu, to tam, błędnemu migotaniu chwiejnie polatujących rozbłysków. To zaczynały się wyrażać sny monarsze. Burzliwymi lawinami zwidów przepływały przez gmachy, aż w mroku zapalały się ich okna i całe ulice łyskały ku sobie na przemian światłem czerwonym i fioletowym, a przyboczni odkurzcyciele, krocząc po pustych chodnikach, czując swąd rozgrzanych kabli Jego Królewskiej Mości i zaglądając chyłkiem do okien, w których się błyskało, po cichu mówili do siebie:

— Oho! Pewno jakiś koszmar trafi Murdasa — oby się tylko na nas nie skrupił!

Pewniej nocy, po dniu szczególnie pracowitym — król obmyślał bowiem nowe

rodzaje orderów, jakimi zamierzał siebie odznaczyć — przyśniło mu się, że jego stryj, Cenander, zakradł się do stolicy, korzystając z ciemności, okryty czarną oponczą, i krąży ulicami w poszukiwaniu popleczników, aby zawiązać ohydny spisek. Z piwnic wylaziły szeregi zamaskowanych, a było ich tylu i taką przejawiali żądzę królobójstwa, że Murdas zdrzął i przebudził się z wielkiego strachu. Świt już nadchodził i słońko złociło białe obłoczki na niebie, więc powiedział sobie: — Sen — mara! — i zabrał się do dalszego projektowania orderów, a te, które wymyślił poprzedniego dnia, wieszano mu na tarasach i balkonach. Gdy jednak po całodziennym mozole znów ułożył się na spoczynek, ledwo zadrzemawszy, ujrzał królobójczy spisek w pełnym rozkwicie. A doszło do tego tak: kiedy Murdas przebudził się ze spiskującego snu, uczynił to niecały; śródmieście, w którym ułożył się ów antypaństwowy sen, wcale się nie ocknęło, lecz nadal spoczywało w jego koszmarach, uściskach, a tylko król na jawie nic o tym nie wiedział. Tymczasem spora część jego osoby, a mianowicie stare centrum miejskie, nie zdając sobie sprawy z tego, że stryjzbrodzień i jego machinacje to tylko majak i przywidzenie, nadal trwała w błędzie koszmaru. Tej drugiej nocy zobaczył Murdas we śnie, jak stryj krząta się gorączkowo, skrzykując krewnych. Jawili się wszyscy co do jednego, skrzypiąc pośmiertnie zawiasami i nawet ci, którym brakowało najważniejszych części, podnosili miecze przeciw prawowitemu władcy! Ruch panował niezwykły. Gromady zamaskowanych skandowały szeptem buntownicze okrzyki, w lochach i piwnicach szyto już czarne chorągwie rokoszu, wszędzie warzono jady, ostrzono topory, gotowano druciki—truciki i szykowano się do walnej rozprawy ze znieawidzonym Murdasem. Król przeraził się powtórnie, obudził się, drżąc cały, i chciał już wezwać Złotą Bramą Ust Królewskich wszystkie swe wojska na pomoc, by rozniosły buntowników na mieczach, ale się zaraz zreflektował, że to na nic. Wojsko nie wejdzie przecież w jego sen i nie będzie mogło rozgromić krzepnącego tam spisku. Jakiś czas próbował więc samym wysiłkiem woli przebudzić te cztery mile kwadratowe swego jestestwa, które uporczywie śniły o spisku, ale daremnie. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiedział: daremnie czy nie—daremnie, bo kiedy czuwał, nie dostrzegał spisku, pojawiającego się dopiero, gdy morzył go sen.

Czuwając, nie miał zatem dostępu do zbuntowanych rejonów i nic w tym dziwnego, jawa nie może bowiem wnikać w głąb snu i wtargnąć tam potrafiłyby tylko inny sen. Uznał król, że w takiej sytuacji najlepiej będzie zasnąć i wyśnić kontrsen, nie byle jaki, rozumie się, lecz monarchistyczny, oddany mu, z rozwianymi sztandarami, i takim snem koronnym, skupionym wokół tronu, zdoła dopiero w proch zetrzeć samozwańczy koszmar.

Wziął się Murdas do dzieła, ale nie mógł zasnąć ze strachu; zaczął tedy liczyć w

duchu kamyczki, aż go to zmoгло i zasnął. Okazało się wówczas, że sen ze stryjem na czele nie tylko obwarował się w centralnej dzielnicy, ale zaczyna sobie nawet roić arsenały, pełne potężnych bomb i min kruszących. On sam zaś, jakkolwiek się wysiłał, zdołał wyśnić zaledwie jedną kompanię kawalerii, a i to spieszoną, niekarną i uzbrojoną jedynie w pokrywki od garnków.’ — Nie ma rady — pomyślał — nie udało mi się, trzeba zaczynać wszystko jeszcze raz od nowa! — Wziął się więc do budzenia, ciężko mu to szło, wreszcie ocknął się na dobre i wtedy straszne go tknęło podejrzenie. Czy w samej rzeczy powrócił do jawy, czy też przebywa w innym śnie, który jest tylko fałszywym pozorem czuwania? Jak postąpić w tak pogmatwanej sytuacji? Śnić czy też nie śnić? Oto jest pytanie! Powiedzmy, że nie będzie teraz śnił, czując się bezpiecznym, bo przecież na jawie nie ma żadnego spisku. Nie byłoby to złe: wtedy tamten, królobójczy sen sam się sobie wyśni i dośni do końca, aż przez ostatnie ocknięcie majestat odzyska należną jednolitość. Bardzo dobrze. Ale jeśli nie będzie śnił kontrsnów, mniemając, że przebywa sobie w zacisznej jawie, podczas kiedy ta rzekoma jawa naprawdę jest tylko innym snem, sąsiadującym z tamtym, stryjowatym, dojść może do katastrofy! W każdej bowiem chwili cała zgraja przeklętych królobójców, z obmierzłym Cenandrem na czele, może wdrzeć się z tamtego snu w ten sen, udający jawę, aby pozbawić go tronu i życia!

— Zapewne — myślał — pozbawianie będzie się odbywało tylko we śnie, ale jeżeli spisek ogarnie całą moją królewską jaźń, jeśli się w niej rozpanoszy od gór po oceany, jeżeli, o, zgrozo! — wcale nie będzie się już chciał nigdy więcej przebudzić, co wtedy?! Zostanę wówczas na zawsze odcięty od jawy i stryj zrobi ze mną, co zechce. Będzie torturował, znieważał, nie mówiąc już o ciotkach; pamiętam je dobrze — nie popuszczą, choćby tam nie wiem co. Już takie są, to znaczy — były, a właściwie — znów są w tym okropnym śnie! Zresztą, co też tu mówić o śnie! Sen jest tylko tam, gdzie istnieje także jawa, do której można powrócić, ale gdzie jej nie ma (a jakże wróć, jeśli uda im się przytrzymać mnie we śnie?), gdzie nie ma nic oprócz snu, tam on już jest jedyną rzeczywistością, a więc jawą. Okropność! Wszystko, rozumie się, przez ten fatalny nadmiar osobowości, przez tę ekspansję duchową — potrzeb aż mi było tego!

Zrozpaczony, widząc, że beczynność gotowa go zgubić, jedyny ratunek dojrzał w natychmiastowej mobilizacji psychicznej. — Trzeba koniecznie postępować tak, jakbym śnił — rzekł sobie. — Muszę wyśnić tłumy poddanych, pełne miłości i entuzjazmu, hufce do końca mi wierne, ginące z moim imieniem na ustach, moc uzbrojenia, a warto by nawet wymyślić szybko jakąś cudowną broń, bo wszak we śnie wszystko możliwe: dajmy na to, środek do wywabiania krewnych, jakieś działa przeciwstryjowe lub coś w tym rodzaju — w

ten sposób będę gotów na każdą niespodziankę i jeśli spisek się pojawi, chytrze a podstępnie przeczołgując się ze snu w sen, roztrzaskam go za jednym zamachem!

Westchnął król Murdas wszystkimi alejami i placami swego jestestwa, takie to było skomplikowane, i przystąpił do dzieła, to jest zasnął. Miały we śnie stanąć czworobokami stalowe hufce, z sędziwymi generałami na czele, i tłumy wiwatujące w huku surm i litaurów, ale pojawiła się tylko maleńka śrubka. Nic — tylko zupełnie zwyczajna śrubka, trochę brzeżkiem wyszczerbiona. Co z nią począć? Rozważał tak i owak, rósł w nim zarazem jakiś niepokój, coraz większy, i omdlałość, i strach, aż błysło mu: — To rym do „trupka”!!

Zadygotał cały. A zatem symbol upadku, rozkładu, śmierci, a więc zgraja krewnych niechybnie dąży już chyłkiem, milczkaiem, podkopami, wydrążonymi w tamtym śnie, aby dostać się do tego snu — a on lada chwila runie w zdradziecką czeluść, przez sen pod snem wygrzebaną! Więc koniec zagraża! Śmierć! Zagłada! Ale skąd? Jak? Z której strony?!

Zabłysło dziesięć tysięcy osobistych gmachów, zatrzęsły się podstacje Majestatu, obwieszane orderami i przepasane wstęgami Wielkich Krzyży; odznaczenia te podzwaniały miarowo w nocnym wietrze, tak zmagął się król Murdas ze śnionym symbolem upadku. Wreszcie zmógł go, przesilił, aż ów szczeł tak dobrze, jakby go nigdy nie było. Bada król — gdzie jest? Na jawie czy w innych majakach? Jak gdyby na jawie, ale skąd wziąć pewność? Zresztą może być, że sen o stryju skończył się już śnić i wszelka troska jest zbędna. Ale znowuż: jak się o tym dowiedzieć? Nie ma innej rady, jak tylko snami—szpiegami, udającymi wywrotowców, przetrząsać trzeba i bez ustanku penetrować całą, własną, mocarstwową osobę, państwo swego jestestwa i nigdy już król—duch nie zazna spokoju, gdyż zawsze na to będzie musiał być gotowy, że spisek śni się gdzieś w jakimś zatajonym kątku jego osobowości ogromnej! A więc dalej, nuże skrzepić wiernopoddańcze marzenia, wyśnić hołdownicze adresy i tłumne delegacje, jaśniejące duchem praworządności, atakować snami wszystkie wądoły, ciemności i rozłogi osobiste, aby się w nich żaden podstęp, żaden stryj nie mógł ukryć ani przez chwilę! Jakoż owionął go miły sercu szum sztandarów, stryja ani śladu, krewnych też nie widać, otacza go sama tylko wierność, składa mu dziękczynienia i hołdy bezustanne; słychać łoskot nadtaczanych, w złocie bitych medali, iskry strzelają spod dłut, którymi artyści pomniki mu wykuwają. Rozweseliła się w królu dusza, bo już i hafty herbowe, i dywaniki w oknach, i armaty zrychtowane do salut, a trębacze przykładają do ust spizowe trąby. Kiedy jednak baczniej przyjrzał się wszystkiemu, dostrzegł, że coś jakby nie tak. Pomniki — owszem, ale jakoś mało podobne, w skrzywieniu oblicza, w kosym spojrzeniu coś stryjowego. Sztandary szumiące — racja, ale ze wstążką maleńką, lecz niewyraźną, prawie czarną; jeśli nie czarna, to brudna, w każdym razie — brudnawa. A to co

znowu? Jakieś aluzje?!

Dlaboga! Przecież te dywaniki — wytarte, wprost łyse, a stryj — stryj był łysy... Nie może to być! — Wstecz! Odwrót! Zbudzić się! Zbudzić!! — pomyślał. — Trąbić pobudkę, precz mi z tego snu! — chciał wrzasnąć, lecz kiedy wszystko znikło, nie stało się lepiej. Zwalił się ze snu w sen, nowy, śniący się poprzedniemu, a tamten się wcześniejszemu przytrafił, więc ten obecny był już do trzeciej niejako potęgi; wszystko w nim obracało się, jawnie już, w zdradę, cuchnęło zaprzaństwem, sztandary — jak rękawiczki — z królewskich wywracały się na czarne, ordery były z gwintem, jak karki odrąbane, ze złocistych zaś trąb nie surmy buchnęły bojowe, lecz śmiech stryjowski, jak grzmot rżący mu na pohybel. Ryknął król głosem studzwonym, krzyczał wojska — niech go lancami bodą, aby przebudzić! — Uszczypnijcie!! — domagał się ogromnym głosem, to znów: — Jawy!! Jawy!!! — daremnie jednak; więc znowu ze snu króloburczego, przedawczykowskiego silił się w tronowy, ale namnożyło się już w nim snów jak psów, krążyły jak szczury, jedne gmachy zarażały koszmarem inne, rozbiegało się w nim półgębkiem, chyłkiem, ukradkiem, ciszką, nie wiadomo co, ale okropne, że nie daj Boże! Stupiętrowym gmachom elektronowym śniły się śrubki i trupki, druciki i truciki, w każdej podstacji osobistej knuła zgraja krewnych, w każdym wzmacniaczu chichotał stryj; zadrżały gmachy—strachy, sobą przerażone, wyroiło się z nich sto tysięcy krewniaków, samozwańczych pretendentów do tronu, dwulicowych infantów—podrzutków, zezowatych uzurpatorów, a chociaż żaden nie wiedział, czy jest istotą śnioną, czy śniącą, kto się komu śni, po co i co z tego wyniknie — wszyscy bez wyjątku huzia na Murdasa, aby ściąć, z tronu zdjąć, na dzwonnicy go zawiesić, na raz zabić, na dwa wskrzesić, danaż moja dana, głowa odrąbana — i tylko dlatego nic na razie nie robili, bo się nie mogli pogodzić, od czego zacząć. I tak pędziły lawinami maskary myśli królewskich, aż łysnęło od przepięcia płomieniem. Nie śniony już, lecz najprawdziwszy ogień zażegnał złote blaski w oknach królewskiej osoby i rozpadł się król Murdas na sto tysięcy snów, których nic już nie łączyło w jedno prócz pożaru — i palił się długo...

JAK OCALAŁ ŚWIAT

Konstruktor Trurl sporządził raz maszynę, która umiała robić wszystko na literę n. Kiedy była gotowa, na próbę kazał jej zrobić nici, potem nanizać je na napastrki, które też zrobiła, następnie wrzucić wszystkie do sporządzonej nory, otoczonej natryskami, nastawniami i naparami. Wykonała polecenie co do joty, ale ponieważ nie był jeszcze pewny jej działania, kolejno musiała zrobić nimby, nausznice, neutrony, nurty, nosy, nimfy i natrium. Tego ostatniego nie umiała, i Trurl, bardzo zmartwiony, kazał się jej tłumaczyć.

— Nie wiem, co to jest — wyjaśniła. — Nie słyszałam o czymś takim.

— Jak to? Ależ to sól. Taki metal, pierwiastek...

— Jeżeli nazywa się sól, jest na s, a ja umiem robić tylko na n.

— Ale po łacinie nazywa się natrium.

— Mój kochany — rzekła maszyna — gdybym mogła robić wszystko na n we wszelkich możliwych językach, byłabym Maszyną Która Może Wszystko Na Cały Alfabet, bo dowolna rzecz, w jakimś tam obcym języku na pewno nazywa się na n. Nie ma tak dobrze. Nie mogę robić więcej, niż to wymyśliłeś. Sodu nie będzie.

— Dobrze — zgodził się Trurl i kazał jej zrobić niebo. Zrobiła zaraz jedno, niewielkie, ale zupełnie niebieskie. Zaprosił wtedy do siebie konstruktora Klapaucjusza, przedstawił go maszynie i tak długo wychwalał jej nadzwyczajne zdolności, aż ów rozgniewał się skrycie i poprosił, aby i jemu wolno było coś jej rozkazać.

— Proszę bardzo — rzekł Trurl — ale to musi być na n.

— Na n? — rzekł Klapaucjusz. — Dobrze. Niech zrobi naukę.

Maszyna zawarczała i po chwili plac przed domostwem Trurla wypełnił się tłumem naukowców. Wodzili się za łby, pisali w grubych księgach, inni porywali te księgi i darli je na strzępy, w dali widać było płonące stosy, na których skwierczeli męczennicy nauki, tu i ówdzie coś huknęło, powstawały jakieś dziwne dymy w kształcie grzybów, cały tłum gadał równocześnie, tak że słowa nie można było zrozumieć, od czasu do czasu układając memoriały, apele i inne dokumenty, w odosobnieniu zaś, pod nogami wrzeszczących, siedziało kilku samotnych starców i bez przerwy maczkiem pisało na kawałkach podartego papieru.

— No co, może źle?! — zawołał z dumą Trurl. — Wykapana nauka, sam przyznasz!

Ale Klapaucjusz nie był zadowolony.

— Co, ten tłum to ma być nauka? Nauka to coś całkiem innego!

— Więc proszę, powiedz co, a maszyna zaraz to zrobi! — obruszył się Trurl. Ale Klapaucjusz nie wiedział, co powiedzieć, więc oświadczył, że postawi maszynie jeszcze dwa inne zadania, a jeśli je ona rozwiąże, uzna, że jest taka, jak ma być. Trurl przystał na to i Klapaucjusz rozkazał, aby zrobiła nice.

— Nice! — wykrzyknął Trurl. — Słyszał kto coś takiego, co to są nice?!

— Ależ jak to, druga strona wszystkiego — odparł Klapaucjusz spokojnie. — Nicować, przewracać na podszewkę, nie słyszałeś o tym? No no, nie udawaj! Hej, maszyno, bierz się do roboty!

Maszyna jednak działała już od dobrej chwili. Zrobiła najpierw antyprotony, potem antyelektrony, antyneutrino, antyneutrony, i tak długo pracowała, nie ustając, aż natworzyła bez liku antymaterii, z której zaczął się z wolna, podobny do dziwnie błyszczącej chmury w niebie, formować anty świat.

— Hm — rzekł bardzo niezadowolony Klapaucjusz — to mają być nice? Powiedzmy, że tak... Dajmy na to, dla świętego spokoju... Ale oto trzeci rozkaz: Maszyno! Masz zrobić Nic!

Maszyna przez dłuższy czas w ogóle się nie ruszała. Klapaucjusz jął zacierać z zadowolenia ręce, Trurl zaś rzekł:

— O co ci chodzi? Kazałeś jej nic nie robić, więc nic nie robi!

— Nieprawda. Kazałem jej zrobić Nic, a to co innego.

— Też coś! Zrobić Nic a nie zrobić nic — znaczy jedno i to samo.

— Skądże! Miała zrobić Nic, a tymczasem nie zrobiła nic, więc wygrałem. Nic bowiem, mój ty przemądrzały kolego, to nie takie sobie zwyczajne nic, produkt lenistwa i niedziałania, lecz czynna i aktywna Nicość, to jest doskonała, jedyna, wszechobecna i najwyższa Niebyt we własnej nieobecnej osobie!!

— Zawracasz głowę maszynie! — krzyknął Trurl, lecz naraz rozległ się jej spiżowy głos:

— Przestańcie się kłócić w takiej chwili! Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery n, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...

Słowa zamarły na ustach rozjuszonym konstruktorom. Maszyna w samej rzeczy robiła Nic, a to w ten sposób, że kolejno usuwała ze świata rozmaite rzeczy, które przestawały istnieć, jakby ich w ogóle nigdy nie było. Usunęła już natągwie, nupajki, nurkownice, nędzioły, nałuszki, niedostópki i nędasy. Chwilami wydawało się, że zamiast redukować,

zmniejszać, wyrzucać, usuwać, unicestwiać i odejmować — powiększa i dodaje, ponieważ zlikwidowała po kolei niesmak, niepospolitość, niewiarę, niedosyt, nienasycenie i niemoc. Lecz potem znowu zaczęło się robić wokół patrzących rzadziej.

— Ojej! — rzekł Trurl. — Żeby coś z tego złego tylko nie wynikło...

— E, co tam! — rzekł Klapaucjusz. — Przecież widzisz, że ona nie robi wcale Nicości Generalnej, a jedynie Nieobecność wszystkich rzeczy na n, nic się nie stanie, bo też ta twoja maszyna całkiem do niczego!

— Tak ci się tylko wydaje — odparła maszyna. — Zaczęłam, istotnie, od wszystkiego, co na n, bo było mi to bardziej familiarne, ale co innego jest zrobić jakąś rzecz, a co innego usunąć ją. Usuwać mogę wszystko, z tej prostej przyczyny, że umiem robić wszyściuteńko, ale to wszyściuteńko na n, a więc Niebyt jest dla mnie fraszką. Zaraz was nie będzie ani niczego, więc proszę cię, Klapaucjuszu, abyś powiedział jeszcze prędko, że jestem prawdziwie uniwersalna i wykonuję rozkazy jak się należy, bo będzie za późno.

— Ależ to... — zaczął przestraszony Klapaucjusz i w tej chwili zauważył, że istotnie już nie tylko na n nikną różne rzeczy: przestały ich bowiem otaczać kambuzele, ściśnięta, wytrzonek, gryzmaki, rymundy, trzepce i pomy.

— Stój! Stój! Cofam to, co powiedziałem! Przestań! Nie rób Niebytu!! — wrzeszczał na całe gardło Klapaucjusz, ale zanim maszyna się zatrzymała, znikły jeszcze graszaki, plukwy, fihrony i zamry. Wtedy dopiero maszyna znieruchomiła. Świat wyglądał wręcz przeraźliwie. Zwłaszcza ucierpiało niebo: widać było na nim ledwo pojedyncze punkciki gwiazd; ani śladu prześlicznych gryzmaczków i gwajdolnic, które tak dotąd upiększały nieboskłon!

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Klapaucjusz. — A gdzie są kambuzele? Gdzie moje murkwie ulubione? Gdzie pomy łagodne?!

— Nie ma ich i nigdy już nie będzie — odparła spokojnie maszyna. — Wykonałam, a raczej zaczęłam wykonywać to tylko, coś mi kazał...

— Kazałem ci zrobić Nicość, a ty... ty...

— Klapaucjuszu, albo jesteś głupcem, albo głupca udajesz — rzekła maszyna. — Gdybym zrobiła Nicość naraz, za jednym zamachem, przestałoby istnieć wszystko, więc nie tylko Trurl i niebo, i Kosmos, i ty, ale nawet ja. Więc kto właściwie i komu mógłby wtedy powiedzieć, że rozkaz został wykonany i że jestem sprawną maszyną? A gdyby nikt tego nikomu nie powiedział, w jaki sposób ja, której by także już nie było, mogłabym otrzymać należną mi satysfakcję?

— Niech ci będzie, nie mówmy już o tym — rzekł Klapaucjusz. — Już niczego od

ciebie nie chcę, śliczna maszyno, tylko proszę, zrób murkwie, bo bez nich życie mi niemiłe...

— Nie umiem tego, ponieważ są na m — rzekła maszyna. — Owszem, mogę na powrót zrobić niesmak, nienasycenie, niewiedzę, nienawiść, niemoc, nietrwałość, niepokój i niewiarę, ale na inne litery proszę się po mnie niczego nie spodziewać.

— Ale ja chcę, żeby były murkwie! — ryknął Klapaucjusz.

— Murkwi nie będzie — rzekła maszyna. — Popatrz, proszę, na świat, jaki jest cały pełen olbrzymich czarnych dziur, pełen Nicości, która wypełnia bezdenne otchłanie między gwiazdami, jak wszystko dookoła stało się mą podszyte, jak czyha nad każdym skrawkiem istnienia. To twoje dzieło, mój zawistniku! Nie sądzę, żeby następne pokolenia miały cię za to błogosławić...

— Może się nie dowiedzą... Może nie zauważą... — wyjąkał poblady Klapaucjusz, patrząc z niewiarą w pustkę czarnego nieba i nie śmiać nawet w oczy spojrzeć swemu koledze. Pozostawiwszy go obok maszyny, która umiała wszystko na n, wrócił chyłkiem do domu — świat zaś po dziś dzień pozostał już cały podziurawiony Nicością — tak jak go w toku nakazanej likwidacji zatrzymał Klapaucjusz. A ponieważ nie udało się zbudować maszyny na żadną inną literę, trzeba się obawiać, że nie będzie już nigdy takich wspaniałych zjawisk jak pćmy i murkwie — po wieki wieków.

WYPRAWA PIERWSZA A CZYLI ELEKTRYBAŁT TRURLA

Dla uniknięcia wszelkich pretensji i nieporozumień musimy wyjaśnić, że była to, przynajmniej w rozumieniu dosłownym, wyprawa donikąd. Trurl bowiem nie ruszał się przez cały czas ze swego domostwa, jeśli nie liczyć pobytu w szpitalach oraz mało istotnej jazdy na planetoidę. Wszelako w sensie dogłębnym i wyższym była to jedna z najdalszych wypraw, jakie ten znakomity konstruktor kiedykolwiek przedsiębrał, albowiem do samych granic możliwości.

Zdarzyło się raz Trurlowi zbudować maszynę do liczenia, która okazała się zdolna tylko do jednego działania, mnożyła mianowicie dwa przez dwa, a i to fałszywie. Jak to jest opowiedziane w innym miejscu, maszyna ta była jednak bardzo ambitna i jej spór z własnym twórcą omal nie skończył się dlań tragicznie. Od tamtego czasu Klapaucjusz obrzydzał Trurlowi żywot, docinając mu tak i owak, aż ów zawziął się i postanowił wybudować maszynę, która będzie pisała wiersze. W tym celu zgromadził Trurl osiemset dwadzieścia ton literatury cybernetycznej oraz dwanaście tysięcy ton poezji i zabrał się do studiów. Kiedy już nie mógł wytrzymać od cybernetyki, przerzucił się do liryki, i na odwrót. Po pewnym czasie pojął, iż zbudowanie samej maszyny jest zupełną fraszką w porównaniu z jej zaprogramowaniem. Program, który ma w głowie zwykły poeta, stworzyła cywilizacja, w której przyszedł na świat; tę cywilizację wydała inna, ta, co ją poprzedziła, tamtą — wcześniejsza, i tak do samego początku Wszechświata, kiedy to informacje o przyszłym poecie krążyły jeszcze bezładnie w jądrze pierwotnej mgławicy. Aby zatem zaprogramować maszynę, należało wpierw powtórzyć — jeśli nie cały Kosmos od początku, to co najmniej sporą jego część. Każdego innego na miejscu Trurla zadanie to skłoniłoby do rezygnacji, lecz dzielny konstruktor ani myślał rejterować. Skonstruował najpierw maszynę, która modelowała chaos, i elektryczny duch latał w niej nad elektrycznymi wodami, potem dodał parametr światła, potem pramgławic, i tak po trosze zbliżał się do pierwszej epoki lodowcowej, co było możliwe tylko dlatego, ponieważ maszyna jego w ciągu pięciomiliardowej części sekundy modelowała sto septylionów wydarzeń w czterystu oktylionach miejsc naraz; a jeśli kto sądzi, że Trurl się gdzieś pomylił, niech cały rachunek sam sprawdzi. Modelował tedy Trurl początki cywilizacji, krzesanie krzemieni i garbowanie skór, jaszczury i potopy, czworonożność i ogoniastość, potem zaś prabladawca, który wydał

bladawca, który zapoczątkował maszynę, i tak to szło, eonami i tysiącleciami, w szumie elektrycznych wirów i prądów; a kiedy maszyna modelująca okazywała się przyciasna dla następnej epoki, Trurl dorabiał jej przystawkę; aż wreszcie z owych dobudówek powstało coś w rodzaju miasteczka poplątanych przewodów i lamp, że by się w ich gmatwaninie diabeł nie rozeznał. Trurl jednak jakoś tam sobie radził i dwa razy tylko musiał powtarzać: raz, niestety, prawie od początku, bo wyszło mu, że to Abel zabił Kaina, a nie Kain Abła (wskutek przepalenia się bezpiecznika w jednym z obwodów), drugi raz zaś cofać się było trzeba tylko o trzysta milionów lat, do środkowego mezozoiku: gdyż zamiast praryby, która wydała prajaszczura, który wydał prassaka, który wydał pramalpę, która wydała prabladawca, zrobiło się coś takiego dziwnego, że zamiast bladawca wyszedł mu latawiec. Zdaje się, że to jakaś mucha wpadła do maszyny i potrafiła superskopiczny wyłącznik czynnościowy. Poza tym jednak wszystko szło nad podziw gładko. Wymodelowane zostało średniowiecze i starożytność, i czasy wielkich rewolucji, tak że maszyna chwilami trzęsła się, a lampy, modelujące co poważniejsze postępy cywilizacji, trzeba było wodą polewać i mokrymi szmatami okładać, by się nie rozleciały; postęp ów bowiem, modelowany zwłaszcza w takim tempie, omal ich nie rozsadził. Pod koniec dwudziestego wieku maszyna dostała najpierw wibracji skośnej, a potem trzęsączki wzdłużnej, nie wiadomo czemu; Trurl bardzo się tym martwił i nawet przygotował pewną ilość cementu i klamer, gdyby się miała walić. Na szczęście jakoś się bez tych środków ostatecznych obeszło; przejechała przez wiek dwudziesty i pomknęła gładziej. Potem dopiero szły, każda po pięćdziesiąt tysięcy lat, kolejne cywilizacje istot doskonale rozumnych, z których i Trurl brał początek; i waliła się szpula wymodelowanego procesu historycznego za szpulą do zbiornika; a było owych szpul tyle, że, patrząc przez lornetę ze szczytu maszyny, nie widziałeś krańca tych zwalów; wszystko po to, aby wybudować jakiegoś tam rymotwórcę, niechby i wybornego! Ale takie są już skutki naukowego zaciętrzewienia. W końcu programy były gotowe; należało tylko wybrać z nich to, co istotne. Gdyż w przeciwnym razie uczenie elektropoety trwałoby wiele milionów lat.

Przez dwa tygodnie wprowadzał Trurl do swego przyszłego elektropoety programy ogólne; potem przyszło strojenie obwodów logicznych, emocjonalnych i semantycznych. Już chciał prosić Klapaucjusza na próbny rozruch, ale się rozmyślił i puścił maszynę wpierw sam. Wygłosiła natychmiast odczyt o polerowaniu szlifów krystalograficznych dla wstępnego studium małych anomalii magnetycznych. Osłabił więc obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne; dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wyęgała, że życie jest straszne. Wzmocnił semantykę i dobudował przystawkę woli; oświadczyła, że ma jej odtąd słuchać, i kazała dorobić sobie dalszych sześć piętér do

dziewięciu, jakie już miała, aby podumać nad istotą bytu. Wstawił jej dławik filozoficzny; wówczas przestała się w ogóle do niego odzywać i tylko kopała prądem. Największymi błaganiami skłonił ją do odśpiewania krótkiej piosenki: „Zabka i babka w jednym stały domku”, ale na tym się jej popisy wokalne skończyły. Wkręcał więc, dławił, wzmacniał, osłabiał, regulował, aż wydało mu się, że lepiej być już nie może. Wówczas uraczyła go wierszem takim, że wielkim niebiosom dziękował za przezorność; tożby się Klapaucjusz uśmieł, usłyszawszy te ponure rymowanki, dla których wstępnie wymodelował całe powstanie Kosmosu i wszystkich możliwych cywilizacji! Dał sześć filtrów przeciwgrafomańskich, lecz pękały jak zapałki; musiał je zrobić ze stali korundowej. Potem jakoś już poszło: rozchwiał maszynę semantycznie, podłączył generator rymów i omal nie wysadził wszystkiego w powietrze, maszyna bowiem zapragnęła stać się misjonarzem wśród ubogich plemion gwiazdnych. Wówczas jednak, w ostatniej niemal chwili, gdy był już gotów iść na nią z młotem w rękę, przyszła mu zbawcza myśl. Wyrzucił wszystkie obwody logiczne i wstawił na to miejsce ksobne egocentryzatory ze sprzężeniem narcystycznym. Maszyna zachwiała się, zaśmiała się, zapłakała i powiedziała, że boli ją coś na trzecim piętrze, że ma wszystkiego dość, że życie jest dziwne, a wszyscy podli, że pewno niedługo umrze i pragnie tylko jednego: aby o niej pamiętano, gdy już jej tu nie będzie. Potem kazała sobie dać papieru. Trurl odetchnął, wyłączył ją i poszedł spać. Nazajutrz poszedł po Klapaucjusza. Usłyszawszy, że ma być obecny przy rozruchu Elektrybałta, bo tak postanowił nazwać Trurl maszynę, Klapaucjusz rzucił swoją całą robotę i poszedł, jak stał, tak mu było spieszno zostać naocznym świadkiem porażki przyjaciela.

Trurl włączył najpierw obwody żarzenia, potem dał mały prąd, jeszcze kilka razy wbiegł na górę po dudniących schodkach z blachy — Elektrybałt podobny był do olbrzymiego silnika okrętowego, cały w stalowych galeryjkach, kryty nitowaną blachą, z licznymi zegarami i klapami — aż wreszcie, zgorączkowany, bacząc, aby napięcia anodowe były jak trzeba, powiedział, że tak, dla rozgrzewki, zacznie się od małej jakiejś improwizacyjki. Potem już, rozumie się, Klapaucjusz będzie mógł dawać maszynie tematy do wierszy, jakich mu się żywnie zachce.

Gdy wskaźniki amplifikacyjne pokazały, że moc liryczna dochodzi do maksimum, Trurl nieznacznie tylko drżącą ręką przerzucił wielki wyłącznik i niemal natychmiast głosem lekko ochryłym, lecz emanującym dziwnie sugestywnym czarem, maszyna rzekła:

— Chrzęskrzyboczek pacionkociewiczzarokrzysztofoniczny.

— Czy to już wszystko? — spytał po dłuższej chwili niezwykle uprzejmy Klapaucjusz. Trurl zacisnął tylko wargi, dał maszynie kilka prądowych uderzeń i znów

włączył. Tym razem głos jej był o wiele czystszy; można się nim było prawdziwie rozkoszować, owym solennym, nie pozbawionym uwodzicielskiej wibracji barytonem:

Apentula niewdziosek, te będą gruwaśne
W koć turmiela weprząchnie, kostrą bajtę spoczy,
Oproszędły zniemęci, wyświrle uwzroczy,
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

— Po jakimu to? — spytał Klapaucjusz, obserwując z doskonałym spokojem niejaką panikę, w której Trurl miotał się przy pulpicie; wreszcie, machnąwszy rozpaczliwie ręką, pognał, dudniąc po stopniach, schodkami w górę stalowego ogromu. Widać go było, jak na czworakach wczołguje się przez otwarte klapy do wnętrza maszyny, jak stuka tam, klnąc zaciekle, jak przykręca coś, dzwoni kluczami, jak znowu wczołguje się i bieży klusem na inny pomost; wreszcie wydał okrzyk triumfu, wyrzucił spaloną lampę, która roztrzaskała się o podłogę hali o krok od Klapaucjusza, nawet go za tę nieostrożność nie raczył przeprosić, lecz pospiesznie wstawił na właściwe miejsce nową lampę, wytarł zabrudzone ręce miękką szmatką i zawołał z góry, by Klapaucjusz zechciał włączyć maszynę. Rozległy się słowa:

Trzy, samolóż wywiorstne, grezacz tęci wzdyżmy,
Apelajda sękliwa borowajkę kuci.
Greni małopoleśny te przezławske tryżmy,
Aż bamba się odmurczy i goła powróci.

— Już jest lepiej! — zawołał z niezupełnym przekonaniem Trurl. — Ostatnie słowa były do sensu, zauważyłeś?

— Jeśli to jest wszystko... — rzekł Klapaucjusz, który był teraz uosobieniem wykwiintnej uprzejmości.

— Niech to diabli! — wrzasnął Trurl i znów zniknął we wnętrzościach maszyny; łomotało tam, dudniło, słycać było trzask wyładowań i zdławione przekleństwa konstruktora. Wystawił nagle głowę z trzeciego piętra przez małą klapkę i krzyknął: — Naciśnij teraz!!

Klapaucjusz uczynił to. Elektrybałt zadrżał od fundamentów do szczytu i zaczął:

Żądny młęciny brądnej, łydasty łaniele,

Samoćpaku mimajki...

Tu urwał, gdyż Trurl szarpnął wściekle za jakiś kabel, coś zacharczało i maszyna umilkła. Klapaucjusz tak się śmiał, że aż musiał usiąść na podłodze. Trurl miotał się tu i tam, raptem coś trzasło, prasło i maszyna bardzo rzeczowo, spokojnie, oświadczyła:

Zawiść, pycha, egoizm do małości zmusza.
Doświadczy tego, pragnąc iść z Elektrybałtem
W zawody, pewien prostak. Ale Klapaucjusza
Olbrzym ducha prześcignie, niby żółwia autem.

— Ha! Proszę! Epigramat! Jak najbardziej na miejscu! — wykrzykiwał Trurl, kręcąc się w kółko, już coraz niżej, zbiegał bowiem w dół po wąskich, spiralnych schodkach, aż wypadł na dole niemal prosto w objęcia kolegi, który przestał się śmiać, nieco zaskoczony.

— To lichota — rzekł zaraz Klapaucjusz. — Poza tym to nie on, to ty!

— Jak to — ja?!

— Ułożyłeś to z góry. Poznaje po prymitywizmie, złościwości bezsilnej i nędzy rymów.

— Więc proszę! Żądaj czegoś innego! Czego tylko chcesz! No, czemu milczysz? Boisz się, co?!

— Nie boję się, tylko się namyślam — rzekł zirytowany Klapaucjusz, usiłując wynaleźć najtrudniejsze z możliwych zadań, ponieważ nie bez słuszności sądził, że spór o to, czy wiersz ułożony przez maszynę jest doskonały, czy nie, trudno będzie rozstrzygnąć.

— Niech ułoży wiersz o cyberotyce! — rzekł nagle, rozjaśniony. — Żeby tam było najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazirodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę C!!

— A całego wykładu ogólnej teorii nieskończonych automatów nie ma tam czasem być? — wrzasnął rozwścieczony do żywego Trurl. — Nie można stawiać tak kretyńskich warun...

Ale nie dokończył, ponieważ słodki baryton, wypełniając całą halę, odezwał się właśnie:

Cyprian cyberotoman, cynik, ceniąc czule

Czarnej córy cesarskiej cud ciemnego ciała,
Ciągłe cytrą czarował. Czerwieniła cała,
Cicha, co dzień czekała, cierpiała, czuwała...
...Cyprian ciotkę całuje, cisnąwszy czarnulę!!

— I co ty na to? — wziął się Trurl pod boki, a Klapaucjusz, ani myśląc, już wołał:

— A teraz na G! Czterowersz o istocie, która była zarazem maszyną myślącą i bezmyślną, gwałtowną i okrutną, która miała szesnaście nałożnic, skrzydła, cztery malowane kufry, w każdym po tysiąc złotych talarów z profilem cesarza Murdebroda, dwa pałace i pędziła życie na mordach oraz...

— Gniewny Gienek Gienerator, garbiąc garści, grzął gwałtownie... — zaczęła maszyna, lecz Trurl skoczył do pulpitu, nacisnął wyłącznik i zasłaniając go własnym ciałem, rzekł zduszonym głosem:

— Żadnych takich bzdur więcej nie będzie! Nie dopuszczę do marnowania wielkiego talentu! Albo zamawiasz uczciwe wiersze, albo na tym koniec!

— A cóż — to nie są uczciwe wiersze?... — zaczął Klapaucjusz.

— Nie! To jakieś łamigłówki, rebusy! Nie budowałem maszyny do idiotycznych krzyżówek! To zwykle wyrobnictwo, a nie Wielka Sztuka! Proszę podać temat, może być dowolnie trudny...

Klapaucjusz myślał, myślał, wreszcie zmarszczył się i rzekł:

— Dobrze. Niech będzie o miłości i śmierci, ale wszystko to musi być wyrażone językiem wyższej matematyki, a zwłaszcza algebry tensorów. Może być również wyższa topologia i analiza. A przy tym erotycznie silne, nawet zuchwałe, i w sferach cybernetycznych.

— Zwariowałeś chyba. Matematyką o miłości? Nie, ty masz źle w głowie — zaczął Trurl. Lecz zamilkł wraz z Klapaucjuszem, ponieważ Elektrybałł ją deklamować:

Nieśmiały cybernetyk potężne ekstrema
Poznawał, kiedy grupy unimodularne
Cyberiady całkował w popołudnie parne,
Nie wiedząc, czy jest miłość, czy jeszcze jej nie ma.

Precz mi, precz, Laplasjany z wieczora do ranka,
I wersory wektorów z ranka do wieczora!

Bliżej, przeciwobrazy! Bliżej, bo już pora
Zredukować kochankę do objęć kochanka!

On drżenia współmetryczne, które jęk jednoczy,
Zmieni w grupy obrotów i sprzężenia zwrotne,
A takie kaskadowe, a takie zawrotne,
Że zwarciem zagrażają, idąc z oczu w oczy!

Ty, klaso transfina! Ty, silna wielkości!
Nieprzywiedlne continuum! Praukładzie biały!
Christoffela ze Stoksem oddam na wiek cały
Za pierwszą i ostatnią pochodną miłości.

Twych skalarnych przestrzeni wielolistne głębie
Ukaż uwikłanemu w Teoremat Ciała,
Cyberiado cyprysów, bimodalnie cała
W gradientach, rozmnożonych na loty gołębie!

O, nie dożył rozkoszy, kto tak bez siwizny
Ani w przestrzeni Weyla, ani Brouwera
Studium topologiczne uściskiem otwiera,
Badając Moebiusowi nie znane krzywizny!

O, wielopowłokowa uczuć komitanto,
Wiele trzeba cię cenić, ten się dowie tylko,
Kto takich parametrów przeczuwając fantom,
Ginie w nanosekundach, płonąc każdą chwilką!

Jak punkt, wchodzący w układ holonomiczności,
Pozbawiany współrzędnych zera asymptotą,
Tak w ostatniej projekcji, ostatnią pieszczotą
Żegnany — cybernetyk umiera z miłości.

Na tym się turniej poetycki zakończył, Klapaucjusz bowiem odszedł zaraz do domu,

mówiąc, że wróci wnet z nowymi tematami, lecz więcej się nie pokazał, w obawie, iż mimo woli da Trurlowi jeszcze jeden powód do chwały; ów zaś głośił, iż Klapaucjusz uciekł, niezdolny skryć gwałtownego wzruszenia. Na co tamten, że od czasu zbudowania Elektrybałta Trurlowi całkiem już przewróciło się w głowie.

Minęło niewiele czasu, a wieść o elektrycznym wieszczu dotarła do prawdziwych, to jest — zwyczajnych poetów. Oburzeni do żywego, postanowili ignorować maszynę, znalazło się wszakże kilku, na tyle ciekawych, że wybrali się chyłkiem do Elektrybałta. Ów przyjął ich grzecznie, w hali, pełnej zapisanych już papierów, bo tworzył dzień i noc bez przerwy. Poeci byli awangardzistami, Elektrybałt natomiast tworzył w stylu klasycznym, ponieważ Trurl, mało znając się na poezji, oparł programy „natychające” na dziełach klasyków. Jęli więc przybysze drwić z Elektrybałta, że mu mało rury katodowe nie pękły, i odeszli w triumfie. Maszyna posiadała jednak samoprogramowanie oraz specjalny obwód wzmocnienia ambicjonalnego z bezpiecznikami na sześć kiloamperów, więc w krótkim czasie wszystko najzupełniej się odmieniło. Wiersze jej stały się ciemne, wieloznaczne, turpistyczne, magiczne i wzruszające do kompletnej niezrozumiałości. Tak więc, gdy przybyła następna grupa poetów, by podrwić i poszydzić z maszyny, ta odezwała się taką improwizacją nowoczesną, że dech im zapało, a drugi zaraz wiersz wywołał poważne zasłabnięcie pewnego twórcy starszego pokolenia, który miał dwie nagrody państwowe i posąg w parku miejskim. Odtąd żaden poeta nie mógł oprzeć się zgubnej chęci wyzwania Elektrybałta na turniej liryczny — i ciągnęli zewsząd, niosąc wzory i teczki pełne rękopisów. Elektrybałt pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami, utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi.

Po niedługim czasie doszedł do takiej wprawy, że jednym, drugim sonetem zwał z nóg zasłużonego wieszca. I to było najgorsze chyba, okazało się bowiem, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych; uchodzili więc bezkarnie i tylko jeden złamał raz nogę, potknąwszy się u wyjścia o wielki epicki poemat Elektrybałta, zupełnie nowy, który zaczynał się od słów:

Ciemność i pustki w ciemności obroty
Ślad dotykalny, ale nieprawdziwy,
I wiatr, jak halny, i wzrok jeszcze żywy,
I krok jak gdyby wracającej rotty.

Natomiast prawdziwych poetów Elektrybałt dziesiątkował, chociaż pośrednio, bo wszak nie czynił im nic złego. Niemniej najpierw pewien sędziwy liryk, a potem dwu awangardzistów popełniło samobójstwo, skacząc z wysokiej skały, która fatalnym zbiegiem okoliczności sterczała właśnie przy drodze łączącej siedzibę Trurla ze stacją kolei żelaznej.

Poeci zwołali zaraz szereg zebrań protestacyjnych i zażądali, aby maszynę opieczętowano, lecz poza nimi nikt na fenomen nie zwrócił uwagi. Owszem, redakcje gazet były nawet rade, albowiem Elektrybałt, piszący pod kilkoma tysiącami pseudonimów naraz, miał gotowy poemat wskazanych rozmiarów na każdą okazję, a ta okolicznościowa poezja była taka, że obywatele wyrwali sobie gazety z rąk i na ulicach widziało się wniebowzięte twarze, nieprzytomne uśmiechy oraz słyszało się ciche łkania. Wiersze Elektrybałta znali wszyscy; powietrze trzęsło się od błogich rymów, a natury co wrażliwsze, rażone specjalnie skonstruowanymi metaforami czy asonansami, nieraz mdlały nawet; lecz i na tę okazję był przygotowany gigant natchnienia, albowiem zaraz wyprodukował odpowiednią ilość sonetów trzeźwiących.

Sam Trurl miał w związku ze swym osiągnięciem niemałe kłopoty. Klasycy, jako na ogół starcy, niewiele mu zaszkadzili, jeśli nie liczyć kamieni wybijających systematycznie okna oraz pewnych substancji, nie dających się nazwać po imieniu, którymi obrzucano jego domostwo. Gorzej było z młodymi. Pewien poeta najmłodszego pokolenia, którego wiersze odznaczały się wielką siłą liryczną, a on sam — fizyczną, okrutnie go pobił. Gdy tedy Trurl leczył się w szpitalu, wypadki pędziły dalej; nie było ani dnia bez nowego samobójstwa, bez pogrzebu, przed bramą szpitalną krążyły pikiety i dawała się już słyszeć strzelanina, albowiem zamiast rękopisów poeci przynosili coraz częściej w teczkach samopały, rażąc Elektrybałta, którego stalowej naturze kule wcale jednak nie szkodziły. Po powrocie do domu zrozpaczony i osłabły konstruktor postanowił pewnej nocy rozebrać własnymi rękami stworzonego przez się geniusza.

Gdy atoli, z lekka kulejąc, zbliżył się do maszyny, ta, na widok obcęgów w jego dłoni i błysków desperacji w oku, buchnęła taką namiętą liryką, błagając o łaskę, że rozszlochany Trurl cisnął narzędzia i wrócił do siebie, brnąc po kolana w nowych utworach elektroducha, które sięgały mu do pół piersi, zaścielając szemrzającym oceanem papieru całą halę.

Kiedy jednak w następnym miesiącu przyszedł rachunek za elektryczność pochłoniętą przez maszynę, pociemniało mu w oczach. Rad był zasięgnąć rady starego druha Klapaucjusza, lecz ów zniknął, jakby się pod nim ziemia rozwarła. Skazany na własny koncept, pewnej nocy Trurl odciął maszynie dopływ prądu, rozebrał ją, załadował na statek, wywiózł na pewną niewielką planetoidę i tam zmontował na powrót, przydawszy jej, jako

źródło energii twórczej, stos atomowy.

Potem wrócił chyłkiem do domu, ale historia na tym się nie skończyła, albowiem Elektrybałt, nie mając już możliwości publikowania utworów drukiem, jął nadawać je na wszystkich zakresach fal radiowych, czym wprawiał załogi i pasażerów raket w liryczne stany odrętwienia, a osoby subtelne doznawały nawet ciężkich ataków zachwytu z następczym otępieniem. Ustaliwszy, w czym rzecz, zwierzchność żeglugi kosmicznej zwróciła się oficjalnie do Trurla z żądaniem natychmiastowej likwidacji należącego doń urządzenia, które zakłócało liryką spokój publiczny i zagrażało zdrowiu pasażerów.

Wtedy zaczął się Trurl ukrywać. Posłano więc na planetoidę monterów, aby zaplombowali Elektrybałtowi wyjście liryczne, on jednak oszołomił ich kilkoma balladami, tak że nie wykonali zadania. Posłano potem głuchych, lecz Elektrybałt przekazał im liryczną informację na migi. Mówić więc jęło się już głośno o koniecznej ekspedycji karnej lub zbombardowaniu elektropoety. Wówczas jednak nabył go pewien władca z sąsiedniego systemu gwiazdowego i zaholował wraz z planetoidą do swego królestwa.

Teraz Trurl mógł wreszcie ujawnić się i odetchnąć. Co prawda na południowym nieboskłonie od czasu do czasu widać eksplozje gwiazd supernowych, jakich nie pamiętają najstarsi, i chodzą głuche wieści, jakoby miało to związek z poezją. Oto ów władca w przystępie dziwnego kaprysu kazał podobno swym astroinżynierom podłączyć Elektrybałta do konstelacji białych olbrzymów, wskutek czego każda strofka wiersza przekształcana jest w gigantyczne protuberancje słońc, tak że największy poeta Kosmosu nadaje swe dzieła tętnieniem ognia wszystkim nieskończonym otchłaniom galaktycznym naraz. Jednym słowem — ów wielki król uczynił go lirycznym motorem gromady gwiazd wybuchających. Gdyby nawet była w tym okruszyna prawdy, działa się to zbyt daleko, by mogło zakłócić sen Trurlowi, który zaprzysiągł sobie na wszystkie świętości nigdy już więcej nie brać się do cybernetycznego modelowania procesów twórczych.

WYPRAWA SZÓSTA

CZYLI JAK TRURL I KLAPAUJCUSZ DEMONA DRUGIEGO RODZAJU STWORZYLI, ABY ZBÓJCĘ GĘBONA POKONAĆ

„Od ludów Słońc Większych dwa prowadzą na południe szlaki karawanowe. Pierwszy, stary, od Czwórkwieżdźca ku Gaurozauronowi, gwieździe bardzo podstępnej, O zmiennym blasku, która, przygasając, do Karła Abassytów się upodabnia, przez co zmylonym często trafia się zapuścić w Pustynię Kirową, a tylko jedna karawana na dziewięć cało z nich uchodzi. Drugi szlak, nowy, Imperium Mirapudów otwarło, gdy jego niewolnicy raketnicy przebili tunel na sześć miliardów pramil długi przez samego Gaurozaurona Białego.

Wejście północne do tunelu tak odnaleźć trzeba: od ostatniego ze Słońc Większych kurs prosto na biegun trzymać przez siedem pacierzy elektrycznych. Potem w lewo małym halsem, aż się ściana ognista pojawi, to jest Gaurozaurona bok, a w nim otwór tunelu widać jako czarny punkt w białym płomienisku. Stąd w dół prosto jak strzelił, bez obawy, gdyż osiem statków burta w burtę iść może tunelem; nie ma też widoku równego temu, co się wówczas przez szkła pokładowe jawi. Nasamprzód jest Ogniospad Żarotrzców, a dalej już wedle pogody; gdy wnętrzości gwieźdne burzami magnetycznymi są poruszane, które o miliard lub dwa mil dalej się przewalają, widać wielkie węzły ognia i jego arterie rozżarzone, ze skrzeplinami białą płonącymi, gdy zaś burza bliższa lub tajfun Siódmej Siły, trzęsą się sklepienia, jakby białe ciasto żaru padać miało, lecz to pozór, albowiem leci, a nie pada, i płonie, lecz nie spala, w szachu rozporami Pól Mocnych trzymane. Widząc, jako puchnie Miąsz Protuberancyjny, a źródła długopiorunne, Pieklica — mi zwane, burzą się i bliżą, dobrze jest koło sterowe mocniej ująć, największej bowiem trzeba wytrwałości sterniczej i nie w mapę, lecz w trzewia słoneczne patrzeć się godzi: nikt bowiem nie przebył drogi tej tak samo dwa razy. Sztychem w Gaurozaurona wbity tunel wiję się cały, skręca w sobie i drga jak wąż pod razami; dlatego oczy trzeba szeroko trzymać otwarte, nie rozstawać się z lodem ratownikiem, co okapy hełmów soplami przezroczystymi ocieka, i uważnie patrzeć w pędzące naprzeciw ściany pożarów, wychylone jezorzyskami huczącymi, a słysząc, jak przy — skwierczy pancierz okrętowy, ogniem biczowany i zarzewiem słonecznym opluty, na nic się, krom własnej bystrości, nie spuszczać. Zarazem atoli i to mieć trzeba na uwadze, że nie każdy ruch ognia i nie każde tunelu przykurczenie jest zaraz oznaką trzęsienia gwiazdy, ni obwał biały oceanów żarowych, więc zakarbowawszy to sobie, żeglarz doświadczony nie będzie

przez byle co „do pomp” wzywał, ażeby mu nie przyszło ku pohańbieniu od doświadczeńszych usłyszeć; że kropelką amoniaku chłodzącego chce mu się światłość gwiazdy wiekuistą ugasić. Pytającemu, co ma czynić, gdy się prawdziwe trzęsienie gwiazdy na statek obruszy, każdy próżniarz bywały powie zaraz, że dość jest wtedy westchnąć, bo na większe przygotowania przedzgonne i tak czasu nie ma, oczy zaś można mieć wtedy zamknięte lub otwarte, według woli, bo ogień i tak je przewierci. Wszelako klęska taka to najrzadsza rzecz, gdyż klamry klamrzyste przez Imperyków Mirapudowych osadzone dobrze sklepienia trzymają i wcale wdzięczną jest jazda śródgwiezdna na przestrzał, pomiędzy luskającymi giętko lustrami wodoru Gaurozauronowego. Nie bez kozery też powiadają, że kto w tunel wszedł, rychło z niego wyjdzie, czego już się nie da rzec o Pustyni Kirowej. Gdy atoli raz na wiek tunel trzęsieniem zepsowany, innej drogi, jak wedle onej, nie masz. Jak nazwa wykłada, Pustynia czarniejsza jest od nocy, bo się nie waży światło gwiazd okólnych na nią wstępować. Tłuką się tam jak w mózdzierzu, z okropnym wrzaskiem blach, wraki statków, które za sprawą zdrażliwego Gaurozaurona zmyliły drogę i rozpękły się w objęciu wirów bezdennych, by krążyć tak aż po ostatni obrót galaktyczny, grawitacją okrutnie przytrzaśnięte. Na wschód od Pustyni Kirowej jest królestwo Sliskoszczękich, na zachód — Okoręcznych, a na południe biegną drogi, śmierciowiskami gęsto poprzegradzane, ku lżejszej sferze błękitnej Lazurei, dalej zaś — Murgundu płomiennolistnego, gdzie się archipelag krwawi, z gwiazd beżelaznych, Karocą Alcarona zwany.

Sama Pustynia, jak się rzekło, tak pełna jest czerni, jak pasaż słońcowy Gaurozaurona — bieli. Nie wszystka bieda tam z wirów, piachu prądami z wysokości ściąganego i meteorów oszalałych; prawią bowiem niektórzy, iż w miejscu niewiadomym, w ponurzyskach zamrocznych, na głębokości niepojętej, z dawien dawna stwór pewien siedzi, czy może bezstwór, Nieznańcem zwany, ten bowiem, kto by jego prawdziwe imię poznał, spotkawszy, już nic świata nie wyjawi, bo go i nie zobaczy. Powiadają, iż jest Nieznaniec zbójem — czarodziejem i że we własnym mieszka zamku, z czarnej wzniesionym grawitacji, że fosami zamku — wieczna nawałnica, murami jego — niebyt, nicością doskonałą, że jego okna — ślepe, a drzwi głuche; Nieznaniec czatuje na karawany, a gdy zeprze go głód wielki złota i szkieletów, dmucha czarnym prochem w tarcze słońc, które drogi wskazują; a gdy je zgasi i sprowadzi wędrowców ze szlaku bezpiecznego, młyńcem z niebytu wypada, ciasnymi pierścieniami otoczy i unosi w nicość zamku swego, pilnie bacząc, by najmniejszej agrafy rubinowej nie uronić — taki on w swojej straszliwości akuraty. Potem zaś już tylko ogryzione wraki wypływają znikąd i krążą po Pustyni, a w ślad za nimi lecą długo nity korabiów, jak pestki wypluwane z paszczy Nieznańca potwora. Lecz odkąd nie — wolną

pracą mrowia raketniczego tunel gaurozauroński otwarto, a żegluga tym od wszystkich jaśniejszym korytem popłynęła, szaleje Nieznaniec, łupów pozbawiony, i żarem wściekłości swej tak mrok Pustyni rozjaśnia, że jego ciało prześwituje przez czarny mur grawitacji, niby kościak poczwarczy, co w oprzędzie swym grobowo a fosforycznie próchnieje. Powiadają mędrkowie niejedni, że wcale go nie ma i nigdy nie bywało; dobrze im mówić swoje, a i łatwo, gdyż gorzej mocować się z przedstawieniem rzeczy, których się słowo nie ima, w ciszy letniej, z dala od Kirów i Żarów powstałe. Łatwo w potwora nie uwierzyć, trudniej pokonać go, a łapczywości jego obmierzłej ująć. Zali nie samego Cybernatora murgundzkiego z osiemdziesiątą orszaku, na statkach trzech, pochłoniął, że nic z magnaterii onej nie ostało, krom sprzączek nadgryzionych, które wieśniacy osad Solary Małej znaleźli, przybojem mgławicznym w ich brzeg rzucone? Zali nie pożarł innych mężów niezliczonych bez pardonu a litości? Więc niechaj choć cicha pamięć elektryczna hołd tym bezgrobnym odda, jeśli nie znajdzie się taki, co by ich na sprawcy owego po rycersku pomścił, wedle starych praw gwiazdokrażących”.

Wszystko to razem wyczytał Trurl razu pewnego w księdze, od starości spłowiałej, którą przypadkiem od jakiegoś przekupnia nabył, zaraz też zaniósł ją do Klapaucjusza i pospołu drugi raz, już głośno, niezwykłości owe mu odczytał od początku do końca, bo mu się wielce udały.

Klapaucjusz, jako mądrości pełen konstruktor, Kosmosu świadom, ze słońcami i mgławicami wszelkiej maści otraskany, tylko się uśmiechnął, głową skinął i mówi:

— Mam nadzieję, że w jedno słowo całego tego bajania nie wierzysz?

— Niby dlaczego miałbym nie wierzyć? — obruszył się Trurl. — Spójrz, tu jest nawet sztucznie uczyniona gawiura, przedstawiająca Nieznańca, jak dwa słoneczne zagłowce spożywa i łupy do lochów chowa. Zresztą — czy to nie ma naprawdę tunelu w supergwieżdzie, prawda, że innej, bo Beth-el-Geuskiej? Chyba nie jesteś takim ignorantem w kosmografii, by podać to w wątpliwość...

— Co się tyczy rycin, to zaraz mogę ci wyrysować smoka z oczami z tysiąca słońc każde — jeśli rysunek masz za dowód prawdy — rzekł Klapaucjusz na to. — Co do tunelu zaś, to, najpierw, ma tylko dwa miliony mil długości, a nie jakieś miliardy, po wtóre, ta gwiazda jest prawie że wystygła, a po trzecie, żegluga tunelem nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa, o czym doskonale wiesz, boś sam tamtędy latał. Co się zaś tyczy tak zwanej Pustyni Kirowej, naprawdę jest to po prostu szeroka na dziesięć kiloparseków masa śmieci kosmicznych, krążąca pomiędzy Maerydią i Tetrarchidą, a nie koło jakichś Ogniegłowów czy Gauryzaurów, których w ogóle nie ma; i jeszcze prawda, że ciemno tam,

ale to po prostu od zatrzęsienia brudu. Żadnego Nieznańca tam, rozumie się, nie ma! To nawet nie mit uczciwy, starodawny, ale tania bajęda, wyrosła w jakiejś głowie niedowarzonej.

Trurl zacisnął wargi.

— Mniejsza o tunel — rzekł. — Uważasz, że jest bezpieczny, bo ja nim latałem; gdybyś to ty był, słyszałoby się rzeczy zupełnie inne. Ale mniejsza o ten tunel, powiadam. Co się tyczy atoli Pustyni i Nieznańca, przekonywanie argumentami słownymi nie jest w mym guście. Trzeba tam pojechać, to się przekonasz, co z tego — podniósł grubą księgę ze stołu — jest prawdą, a co nie!

Klapaucjusz jął odradzać mu ten zamiar, jak mógł, gdy się wszelako przekonał, że Trurl, uparty jak zwykle, ani myśli o rezygnacji z tak osobliwie poczętej wyprawy, najpierw oświadczył, że nie chce go więcej na oczy widzieć, ale niedługo sam się zaczął też sposobić do drogi, bo nie chciał, aby się przyjacielowi samotnie ginęło — we dwóch jakoś różniej spojrzeć śmierci w oczy.

Zaopatrzywszy się tedy w sporo różności, albowiem droga wieść miała przez pustkowia (co prawda nie tak malownicze, jak to księga przedstawiała), wyruszyli na wypróbowanym swoim statku; lecąc zaś, zatrzymywali się tu i ówdzie, aby zasięgnąć języka, zwłaszcza kiedy minęli granice obszaru, o którym posiadali dokładne wiadomości. Niewiele można się było jednak od tubylców dowiedzieć, prawili bowiem dorzecznie tylko o swym pobliżu, lecz o tym, co znajdowało się i działo tam, gdzie nigdy sami nie bywali, pletli nieprawdopodobieństwa oczywiste, a przy tym szczegółowo, ze smakiem i grozą równocześnie.

Klapaucjusz opowieści takie nazywał krótko korozyjnymi, mając na myśli ową korozję — sklerozję, która trapi wszystkie starcze umysły.

Gdy się wszakże zbliżyli na jakichś pięć — sześć milionów tchnień ogniowych do Pustyni Czarnej, doszły ich słuchy

O jakimś olbrzymie gwałtowniku, który zwał się Zbójcą Dyplojem; nikt przy tym z opowiadających ani go nigdy nie widział, ani nie wiedział, co by takiego miało znaczyć dziwne słowo „Dyploj”, którym stwora owego określano. Trurl myślał, że kto wie: jest to zniekształcony termin „Dipol”, co by świadczyć miało o biegunowej i sprzecznej zarazem, dwoistej naturze zbójcy, ale Klapaucjusz wolał się od hipotez, jako trzeźwiejszy, powstrzymać. Podobno — tak głosiły wieści — zbójca ów był okrutnikiem i raptusem, co się w tym miało przejawiać, iż obłuskawszy już ofiary ze wszystkiego, wciąż niezadowolony dla strasznego sknerstwa, że mu wszystkiego było z chciwości mało, bardzo długo i boleśnie przed wypuszczeniem na wolność bijął. Rozważali chwilę konstruktorzy, czy nie zaopatrzeć

się aby w jakąś broń palną i sieczną, nim przyjdzie przekroczyć brzeg czarny Pustyni, ale uznali w końcu, że najlepszą bronią są ich umysły, w konstruktorstwie wyostrzone, dalekosiężne i uniwersalne; i pojechali, jak stali.

Przyznać trzeba, że Trurl w czasie dalszej podróży przeżywał wcale gorzkie rozczarowania, albowiem rozgwieżdżiska gwiazdne, płomieniska płomienne, pustynne pustkowia i meteoryczne rafy i skały wędrujące o wiele piękniej były opisywane w starej księdze, niż naprawdę przedstawiały się oku podróżnego. Gwiazd było w okolicy mało, i to zupełnie niepokaznych, nadto bardzo starych; jedne ledwo pomrugiwały, jak węgielki w popielisku tłące, inne całkiem już po wierzchu ściemniały i tylko przez pęknięcia ich skorupy z żuźla, niechlujnie pomarszczonej, przeświecały żyłki czerwone; dżungli płomienistych ani tajemnych wirów żadnych tu nie było, nikt też, jako żywo, o nich nie słyszał, całe bowiem pustkowie tym się odznaczało, że do ostatniej nudy nudne było, właśnie przez swoją pustkę — i kwita; co się zaś tyczy meteorów, tych spotykało się jak maku, ale w tym grzechotliwym tałająstwie więcej leciało śmiecia aniżeli porządnych magnetytów magnetycznych czy tektytów tektycznych; a to dlatego, ponieważ rękę można było stąd podać do bieguna galaktycznego i krążenie prądów ciemnych ściągało tu właśnie, ku południowi, niezliczone krocie odpadków i prochów ze sfer centralnych Galaktyki. Toteż sąsiadujące z nim plemiona i ludy zwały ów obszar nie jakąś tam Pustynią Kirową, ale zwyczajnie: śmieciowiskiem.

Tak więc Trurl, kryjąc swe rozczarowanie, jak mógł, przed Klapaucjuszem, aby go do złośliwości nie sprowokować, skierował statek w Pustynię — i zaraz zaczęło po jego pancerzach piaskiem bić, a wszelkie nieczystości gwiazdne, wypluwane ze słońc protuberancjami, osiadły takim grubym kożuchem na ścianach kadłuba, że na myśl o przyszłym czyszczeniu — wszystkiego, a zwłaszcza podróżowania, na dobre się odechciewało.

Gwiazdy dawno już znikły w pomroce powszechnej i lecieli tak po omacku, aż naraz statkiem rzuciło, że wszystkie sprzęty, garnki i narzędzia załomotały, i poczuli, jak lecą gdzieś, i to coraz szybciej; wreszcie gruchnęło przeraźliwie i statek, dosyć miękko osiadłszy, znieruchomiał w pochyleniu, jakby się w coś nieruchomego wbił dziobem. Oni więc do okien, lecz na zewnątrz ćma zupełna — choć oko wykol; a już łomot słyszać, ktoś niewiadomy, a straszliwej siły, przemocą się do wnętrza dobiera, że ściany skaczą. Teraz dopiero mniejsze poczuli zaufanie do rozumnej swojej bezbronności, lecz próżne po niewczasie żale, więc tylko, aby im klapy nie popsuto siłą, sami ją od środka odemknęli.

Patrzą — a w otwór ktoś gębę wsadza, tak wielką, że

O tym, aby mógł cały w ślad za nią wejść — i mowy nie ma; gęba zaś jest

niewymownie przykra, oczyskami cała od góry do dołu, wzdłuż i w poprzek wysadzana, i ma też jakby nos piłowaty, i szczęki — nieszczęki, hakowate i stalowe; nie rusza się, cała szczelnie we framugę wpasowana, i tylko oczy jej złodziejsko latają na wsze strony, każda zaś ich grupka inną obejmuje część otoczenia, a wyraz mają taki, jakby szacowały, czy się to wszystko uczciwie opłaci; nawet ktoś daleko głębszy od konstruktorów pojałby, co znaczy to wypatrywanie, bo nadzwyczaj wymowne.

— Czego? — powiada wreszcie Trurl, tym bezwstydnym łypaniem, dziejącym się w milczeniu, rozwścieczony. — Czego chcesz, mordo zakazana?! Ja jestem sam konstruktor Trurl, omnipotencjator ogólny, a to jest mój przyjaciel Klapaucjusz, też sława i znakomitość, i lecieliśmy tym naszym statkiem turystycznie, więc proszę natychmiast zabrać twarz i wyprowadzić nas z tego niejasnego miejsca, pełnego zapewne nieczystości, i skierować nas w porządną, czystą próżnię, gdyż w przeciwnym wypadku złożymy zażalenie i rozkręcą cię w drobny szmelc, ty śmieciarzu — czy słyszysz, co mówię?!

Lecz ów nic — tylko dalej łypie i jakby coś sobie oblicza. Kalkuluje — czy jak?

— Słuchaj no, pokrako rozpałeszona — woła Trurl, już się z niczym nie licząc, chociaż go Klapaucjusz szturcha dla pomiarkowania — nie mamy ani złota, ani srebra, ani żadnych klejnotów, więc wypuść nas stąd zaraz, a przede wszystkim zabierz tę swoją wielką gębę, bo niewymownie przykra. A ty — zwrócił się do Klapaucjusza — nie szturchaj mnie dla pomiarkowania, bo mam własny rozum i wiem, jak do kogo trzeba mówić!

— Nie potrzebuję ja — odezwie się nagle gęba, zwracając tysiąc oczu ognistych na Trurla — samego tylko złota lub srebra, a mówić do mnie należy delikatnie i z poszanowaniem, albowiem jestem zbójcą z dyplomem, kształconym i bardzo z natury nerwowym. Nie takich też jak wy miewałem ja już u siebie, i dosładzałem ich, jak chciałem — i kiedy wam wszystko skuję, też wyjdzie z was słodycz. Nazywam się Gębon, mam trzydzieści arszynów w każdą stronę i faktycznie rabuję kosztowności, ale w sposób naukowy i nowoczesny, to jest: zabieram drogocenne sekreta, skarby wiedzy, autentyczne prawdy, i w ogóle całą wartościową informację. A teraz jazda, dawać ją tu, bo jak nie, to gwizdnę! Liczę do pięciu — raz, dwa, trzy...

Doliczył, a że mu nic nie dali, rzeczywiście gwizdnął, aż im uszy mało nie podpadały, a Klapaucjusz pojał, że ten „Dyploj”, o którym tubylcy ze strachem mówili, to był właśnie dyplom, widać na jakiejś Akademii Zbrodniarstwa zdobyty. Trurl zaś aż się za głowę chwycił rękami, bo Gębon miał głos wedle wzrostu.

— Nic ci nie damy! — zawołał, a Klapaucjusz pobiegł od razu po watę. — I zabieraj zaraz gębę!

— Jeśli gębę zabiorę, to rękę wsadzę — Gębón na to — a mam sążnistą, cęgowatą i ciężką, że niech Bóg broni! Uwaga — zaczynam!

I rzeczywiście: wata, którą przyniósł Klapaucjusz, okazała się już niepotrzebna, bo gęba znikła, a pojawiło się łapsko, sękate, stalowe, niechlujne i pazurno — łopaciaste; i zaczyna grzebać, łamiąc stoły i szafy, i przegrody, aż blachy zazgrzytały. Trurl i Klapaucjusz uciekają przed łapskiem do stosu atomowego i co się który palec zbliży, to go z wierzchu bać! bać! — kociubą. Zgniewał się wreszcie zbójca z dyplomem, znów gębę wraził we framugę i tak rzecze:

— Radzę wam dobrze, układajcie się ze mną zaraz, bo jak nie, to odłożę was na później, na samym dnie mego dołu z zapasami, i śmieciem przytrzasnę, i kamieniami docisnę, że się nie podźwigniecie i rdza zeżre was na wylot; już nie takim radę dawałem; macie wóz lub przewóz!

Trurl nie chciał nawet myśleć o układach, ale Klapaucjusz nie był od tego i pyta, czego właściwie dyplomant sobie życzy.

— Taką mowę lubię — on na to. — Zbieram skarby wiedzy, gdyż takie jest moje zamiłowanie życiowe, płynące z wyższego wykształcenia i praktycznego wglądu w istotę rzeczy, zwłaszcza że za zwyczajne skarby, których zbójcy pro — stakowie łakną, nic nie można tu kupić; natomiast wiedza syci głód poznania, wiadomo zaś, że wszystko, co istnieje, jest informacją; a więc zbieram ją od wieków i będę to czynił dalej; co prawda nie jestem i od tego, aby wziąć jakieś złoto lub klejnoty, bo to ładne, cieszy oko i można powiesić, ale tylko ubocznie, jak się trafi okazja. Zaznaczam, że za fałszywe prawdy bijam, tak samo jak za fałszywe kruszce, bo jestem wyrafinowany i łaknę autentyczności!

— Niby jakiej to autentycznej i drogocennej informacji pożądasz? — pyta Klapaucjusz.

— Wszelkiej, byle prawdziwej — tamten na to. — Każda może się przygodzić na okoliczność życiową. Mam już wadoły moje i lochy pełnawe, ale się jeszcze drugie tyle pomieści. Gadajcie, co wiecie i umiecie, a ja sobie zapiszę. Tylko prędko!

— Ładna historia — Klapaucjusz szepce Trurlowi na ucho — przecież on tu nas może wiek trzymać, zanim mu powiemy, co sami wiemy, wszak olbrzymia jest nasza mądrość!!

— Czekaj — Trurl na to — to już ja z nim będę paktował. — I głośno mówi:

— Słuchaj no, ty zbójcu dyplomowany: co się tyczy złota, to posiadamy informacje, warte wszystkich innych, gdyż to jest przepis, jak się robi złoto z atomów; powiedzmy, na początek, z atomów wodoru, bo w Kosmosie ich bez liku — chcesz ten przepis, to dobrze, a potem nas puścisz.

— Już mam całą skrzynię takich recept — gęba na to, oczy wybałuszając gniewnie. —
A wszystkie na nic. Nie dam się oszukać więcej — przepis pierwszej trza wypróbować.

— Czemu nie? Można. Masz garnek?

— Nie mam.

— To nic, można i bez garnka, byle się spieszyć — Trurl na to. — Przepis jest prosty: tyle atomów wodoru, ile zaważy atom złota, to jest osiemdziesiąt siedem, wodorowe trzeba najpierw z elektronów obsłuskać, potem protony skulgać, wyrobić ciasto jądrowe, aż się pokażą mezony, i wtedy ładnie elektronami poobsadzać dokoła. Wtedy już masz czyste złoto. Patrz!

Zaczął Trurl łąpać atomy, z elektronów obiera, protony miesi, aż mu palców nie widać, tak migają, wyrobił ciasto protonowe, zakręcił elektronami wokół, i do następnego atomu; nie minęło i pięć minut, a miał w rękach bryłkę szczerzego złota, podał ją gębie, ta nadgryzła, kiwnęła i mówi:

— Owszem, złoto jest, ale ja tak prędko za atomami uganiać się nie dam rady. Za wielki jestem.

— To nic, damy ci odpowiedni aparacik! — nęci go Trurl.

— Pomyśl, można w ten sposób przerobić wszystko na złoto, nie tylko wodór, damy ci recepty także na inne atomy; cały Kosmos można uczynić złotym, byle się przyłożyć!

— Jeśliby cały był ze złota, to ono straci wszelką wartość — Gębon praktyczny na to. — Nie, na nic mi wasz przepis: to znaczy, owszem, zapisałem go, ale mało tego! Skarbów wiedzy pragnę.

— Ale co chcesz wiedzieć, u licha ciężkiego?!

— Wszystko!

Popatrzył Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i mówi ten ostatni tak:

— Jeśli wielką klątwą zaklniesz się i przysięgą zaprzysięgniesz, że nas puścisz zaraz potem, to my ci damy informację o wszechinformacji, to jest sporządzimy ci własnoręcznie Demona Drugiego Rodzaju, który jest magiczny, termodynamiczny, nieklasyczny i statystyczny, i będzie ci ze starej beczułki lub z kichnięcia choćby ekstrahował i znosił informację o wszystkim, co było, co jest, co może być i co będzie. I nie ma demona nad tego Demona, bo on jest Drugiego Rodzaju, a więc jeśli go chcesz, to gadaj zaraz!

Zbójca dyplomowany był nieufny, nie od razu przystał na warunki, ale wreszcie złożył przysięgę, z zastrzeżeniem, że pierwszej musi powstać Demon i udowodnić swą wszech — informacyjną potęgę. Trurl przystał na to.

— Uważaj teraz, wielkogeneity! — mówi. — Czy masz gdzieś u siebie powietrze? Bo

bez powietrza Demon działać nie może.

— Niby mam trochę — Gębon na to — ale nie całkiem czyste, bo się zastało...

— Nie szkodzi, może być nawet zgniłe — to nie ma znaczenia — mówią konstruktorzy. — Prowadź nas, gdzie to powietrze, a wszystko ci pokażemy!

Wpuścił ich więc ze statku, odsunawszy gębę, poszli za nim, a on prowadzi ich do siebie — nogi ma jak wieże, plecy jak przepaść, a cały od wieków nie myty i nie smarowany, więc zgrzyta do niemożliwości. I wchodzi za nim do korytarzy piwnicznych; po drodze pełno worków zbutwiałych — chciwiec trzyma w nich zrabowane informacje — pęczkami i paczkami ułożonych, sznurkami przewiązanych, a co ważniejsze, co cenniejsze, to podkreślone czerwonym ołówkiem. A na ścianie lochu wisi olbrzymi katalog, łańcuchem, rdzą zjedzonym, do głazu przykuty. I w nim są działy wszelkie — na samym początku od A wszystko się zaczyna. Spojrzał Trurl, idzie dalej — echo głucho odpowiada, krzywi się on i Klapaucjusz, bo choć pełno nagranych informacji autentycznych i kosztownych, to jednak wszędzie, gdzie wzrok obrócić, same pieczary śmieciary i piwnice śmietnice. Powietrza wszędzie pełno, lecz całkiem zgniłego. Stanęli i Trurl mówi:

— Uważaj! Powietrze jest z atomów, a te atomy skaczą sobie na wsze strony i zderzają się z sobą miliardy razy na sekundę w każdym mikromilimetrze sześciennym, i na tym właśnie polega gaz, że tak skaczą i trykają się wiecznie. Wszelako, choć skaczą na oślep i przypadkiem, to, ponieważ w każdej szpareczce jest ich miliardy miliardów, wskutek tej liczebności z owych podskoków i podrygów układają się, między innymi, spowodowane czystym trafem, ważkie konfiguracje... Czy wiesz, koniu, co to takiego: konfiguracja?

— Proszę mnie nie obrażać! — on na to. — Albowiem nie jestem zbójem prostym i nieokrzesany, lecz wyrafinowanym, z dyplomem, i dlatego bardzo nerwowym.

— Dobrze. A więc z tych atomowych skoków powstają ważkie, to jest znaczące konfiguracje, nie przymierzając tak, jakbyś, powiedzmy, na oślep strzelał do ściany, a trafienia ułożyłyby się w jakąś literę. Co w skali wielkiej jest rzadkie i mało prawdopodobne, to w gazie atomowym jest powszednie i nieustanne, a to dla tych bilionowych tryknięć w każdej stutysięcznej cząsteczce sekundy. Lecz problem jest oto taki: w każdej szczypcie powietrza doprawdy układają się z fików i drygów atomowych ważkie prawdy i doniosłe sentencje, ale równocześnie powstają tam skoki i od — skoki najzupełniej bezsensowne; i tych drugich jest tysiące razy więcej niż tamtych. Choć więc i dawniej wiedziano, że teraz oto, przed twoim nosem piłowatym, w każdym miligramie powietrza powstają w ułamkach sekund fragmenty tych poematów, które zostaną napisane dopiero za milion lat, i różnych prawd wspaniałych, i rozwiązania wszelkich zagadek Bytu i tajemnic jego, to nie było

sposobu, aby tę informację całą wyosobnić, tym bardziej że ledwo się atomy łebkami trykną i w jakąś treść ułożą, już rozlecą się, a razem z nimi i ona przepadnie, może na zawsze. A więc cały dowcip w tym, aby zbudować selektor, który będzie wybierał tylko to, co w bieganinie atomów sensowne. Oto i cała idea Demona Drugiego Rodzaju, pojąłeś cokolwiek, wielki Gębonie? Idzie, uważasz, o to, aby Demon ekstrahował z atomowych tańców tylko prawdziwą informację, to jest teorematy matematyczne i żurnale mód, i wzory, i kroniki historii, i przepisy na placek jonowy, i sposoby cerowania oraz prania pancerzy azbestowych, i wiersze, i porady naukowe, i almanachy, i kalendarze, i tajne wieści o tym, co kiedyś zaszło, i wszystko to, co gazety pisały i piszą w całym Kosmosie, i książki telefoniczne, jeszcze nie wydrukowane...

— Dość! Dość!! — zawołał Gębon. — Przestań wreszcie! I co z tego, że te atomy tak się składają, kiedy zaraz się rozlatują, i wcale nie wierzę, aby można było oddzielić prawdy bezcenne od wszelakiego drygania i podskakiwania drobin powietrznych, które nie ma żadnego sensu i nikomu jest na nic!

— A więc doprawdy jesteś mniej głupi, niż sądziłem — rzekł Trurl — ponieważ istotnie trudność cała w tym tylko, aby tę selekcję uruchomić. I ja wcale cię o jej możliwości nie zamierzam przekonywać teoretycznie, ale, zgodnie z obietnicą, zaraz, tu, na poczekaniu, zbuduję Demona Drugiego Rodzaju, abyś naocznie pojął cudowną doskonałość tego Wszechinformatora! Co do ciebie, musisz tylko dostarczyć mi pudła, może być niewielkie, ale szczelne; zrobimy w nim maluteńką dziureczkę końcem szpilki i posadzimy Demona nad tym otworkiem; i siedząc okrakiem, będzie wypuszczał z pudła tylko informację sensowną, a poza nią nic więcej. Gdy się bowiem tylko jakaś kupka atomów tak zestroi trafem, że będzie coś znaczyła, to Demon zaraz cap ją za łeb i natychmiast znaczenie owo spisze specjalnym pisakiem brylantowym na wstędze papierowej, której trzeba przygotować mu co niemiara, gdyż będzie działał dzień i noc i dzień — aż Kosmos ustanie, prędzej nie... Przy tym sto miliardów razy na sekundę, co sam zobaczysz; bo właśnie tak działa Demon Drugiego Rodzaju. Z tymi słowy poszedł Trurl na statek, by sporządzić Demona, a Gębon pyta tymczasem Klapaucjusza:

— A jaki jest Demon Pierwszego Rodzaju?

— Och, ten mniej ciekawy, to zwykły demon termodynamiczny, który tylko tyle umie, że przez otworek wypuszcza atomy szybkie, a powolnych nie; i takim sposobem powstaje perpetuum mobile termodynamiczne. Wszelako z informacją nie ma to nic wspólnego, więc przygotuj lepiej naczynie z dziurką, bo Trurl zaraz wróci!

Poszedł zbójca z dyplomem do drugiej piwnicy, nałomotał tam blachami, naklął się,

nakopał żelastwa, nabrodził w nim, aż wyciągnął spod blach starą beczkę pustą, żelazną, zrobił w niej malutką dziurkę i wraca, a właśnie nadchodzi Trurl z Demonem w rękę.

Beczka była pełna zgniłego powietrza, że nos chciał odpaść, gdy się go do otworka zbliżyło, ale Demonowi nie robi to żadnej różnicy; posadził Trurl tę okruszynę okrakiem nad dziurką, na beczce, założył u góry wielki bęben z taśmą papierową, podprowadził ją pod pisaczek brylantowy, który z ochoty już się trzęsie, i zaczęło się wystukiwanie — stuk–puk, stuk–puk, jak w jakim urzędzie telegraficznym, lecz milion razy szybciej. Tylko drżało i wibrowało maleńkie pióreczko z brylancikiem na koniuszku, a wstęga z informacją jęła powoli spływać, zapisana, na bardzo brudną i wyjątkowo zaśmieconą podłogę piwnicy.

Siadł obok beczki zbój Gębon, podnosi do stu oczu wstęgę papierową i odczytuje, co też tam wylawia Demon, jako sitko informacji, z atomowego podskakiwania wiecznego; i tak zaraz pochłonęły go te ważkie treści, że ani widział, jak obaj konstruktorzy czym prędzej wyszli z piwnicy, wzięli statek swój za stery, szarpnęli raz, drugi, trzeci, aż wydobyli go z owej zapadni, w którą ich zbój wtrącił, wskoczyli do środka i pomknęli przed siebie tak szybko, jak się tylko dało, albowiem wiedzieli, że choć ich Demon działa, domyślali się zarazem, że działania tego rezultaty obdarzą Gębona bogactwem większym od upragnionego. Ów zaś siedział o beczkę oparty i w popiskiwanym pisaku brylantowego, którym Demon spisywał na wstędze papierowej wszystko, czego się od atomów drgających dowiadywał, czytał o tym, jak się wije arlebardzkie wiją i że córka króla Petrycego z Labaudii zwała się Garbunda, i co jadł na drugie śniadanie Fryderyk II, król bladawców, nim wojnę wypowiedział Gwendolinom, i ile powłok elektronowych liczyłby sobie atom termionolium, gdyby taki pierwiastek był możliwy, i jakie są wymiary dziurki tylnej małego ptaszka, zwanego kurkucielem, którego na swych rozamforach malują Marłajowie Wabędzcy, jak również o trzech smakach poliwonnych szlamu oceanicznego na Wodocji Przyzroczonej, i o kwiatku Łubuduku, który myśliwych staromalfandzkich wali siarczyście na odlew, świtem wzruszony, i jak wyprowadzić wzór na dostawę kąta podstawy wieloboku, ikoseadrem zwanego, i kto był jubilerem Fafucjusza, rzeźnika mańkuta Buwantów, i ile pism filatelistycznych będzie wychodziło w roku siedemdziesięcioletnim na Morkonaucji, i gdzie znajduje się trupek Cybrycji Kraśnopiętej, którą gwoździem przebił po pijanemu niejaki Malkonder, i czym się różni Maciąg od Naciągu, a także kto ma najmniejszą w Kosmosie pielownicę wzdłużną i dlaczego pchły smoczkotyłkie mchu jeść nie chcą, i na czym polega gra zwana Balansyer Zadni Ściągany, i ile było ziarenek lwichwostu w tej kupce, co ją Abrukwian Polistny nogą trącił, kiedy się pośliznął na ósmym kilometrze szosy albacjerskiej w Dolinie Wzduchów Szedziwych — i pomału diabli go zaczęli brać, bo już mu świtało, że

wszystkie owe całkiem prawdziwe i ze wszech miar sensowne informacje zupełnie nie są mu potrzebne, gdyż robił się z tego groch z kapustą, od którego głowa pękała, a nogi drżały. A Demon Drugiego Rodzaju działał z szybkością trzystu milionów informacji na sekundę i milami skręcała się już papierowa taśma, i z wolna pokrywała zwojami zbója dyplomowanego, omotując go jakby białą pajęczyną, a brylancik pisaka drgał jak szalony i wydawało się zbójowi, że zaraz już dowie się rzeczy niesłychanych, takich, które mu oczy na Istotę Bytu otworzą, więc wczytywał się we wszystko, co leciało spod brylancika, a były to pieśni opilcze Kwajdonosów i rozmiary pantofli nocnych na kontynencie Gondwana, z pomponami, i grubość włosów, które rosną na czole miedzianym paciornika węburchego, i szerokość ciemiączka mowląt pasiebnych, i litanie zaklinaczy harmęckich dla obudzenia wielbnego Ćpiela Grosipiulka, i owerdiery diukońskie, i sześć sposobów warzenia zupki grysikowej, i trutka dobra na stryjny, i sposoby łechtania ckliwego, i nazwiska obywateli Bałowierni Cimskiej na literę M się zaczynające, i opisy smaku piwa grzybkiem nad — psutego...

Aż mu w oczach zamrowiło i wrzasnął wielkim głosem, bo miał dość, lecz już go Informacja trzystu tysiącami mil papierowych spowiła i spętała, że nie mógł się ruszyć i musiał czytać dalej, o tym, jaki początek drugiej „Księgi dżungli” napisałby Rudyard Kipling, gdyby go wtedy brzuch bolał, i o czym myśli zmartwiony niezamęściem wieloryb, i jakie są zaloty miłosne muchatek trupnych, i jak można załatać stary worek, i co to jest strzybło, i czemu się mówi szewc i krawiec, a nie krawic i szewiec, a także ile można naraz mieć siniaków. Potem zaś przyszła długa seria rozróżnień między trelami i morelami: że pierwsze są łyse, a drugie mają włoski, a dalej — jakie są rymy do słowa „kapustka” i jakimi słowy obraził papież Ulm z Pendery antypapieża Mulma, i kto ma grajnicę grzebienną. Wtedy bardzo już rozpaczliwie usiłował się wydobyć z matni papierowej, lecz rychło osłabł; odpychał taśmy, darł je i odrzucał, lecz miał zbyt wiele oczu, aby się chociaż przed niektóre jakieś nowe nie dostały informacje, więc z musu się dowiedział, jakie są kompetencje stróża domowego w Indochinach i dlaczego Nadojderowie z Flutorsji wciąż mówią, że ich zawiało. Lecz wtedy zamknął oczy i znieruchomiał, przywalony lawiną informacyjną, a Demon dalej owijał go i spowijał papierowymi bandażami, karząc straszliwie zbója Gębona dyplomowanego za jego łączywość bezmierną wiedzy wszelakiej.

Po dzisiaj siedzi tak ów zbójca na samym dnie swoich śmieciar i śmietnic, górami papieru nakryty, a w półmroku piwnicznym najczystszą iskierką drży i trzęsie się pisaczek brylantowy, notując wszystko, co Demon Drugiego Rodzaju wyłuskuje z płasów atomowych powietrza, które płynie przez dziurkę starej beczki; i dowiaduje się, gwałcony informacji

potopem, Gębon nieszczęsny różności nieskończonych o pomponach, karakonach i o własnej przygodzie tu przedstawionej, bo i ona znajduje się na którymś kilometrze wstęg papierowych — jak również innych historii oraz przepowiedni losów wszelkiego stworzenia aż po zagaśnięcie Słońc; i nie ma dlań ratunku, gdyż tak go srodze konstruktorzy ukarali za napaść zbójczą — chyba że się wreszcie kiedyś wstęga skończy, bo papieru zabraknie.